

**LISA UNGER**  
**Piękne kłamstwa**

*Że bez nazwiska był, bez nazwy - zgoła  
Sierota, quidam...*

Cyprian Kamil Norwid *Quidam*

## 25 października 1972

***B**ył czas, kiedy chciała, żeby umarł.*

*Nie, żeby go nigdy nie spotkała albo żeby nigdy się nie urodził, ale żeby wpadł pod samochód lub żeby zginął jakąś inną gwałtowną śmiercią, w bójce w barze albo żeby maszyna wciągnęła mu rękę, a on wykrwawiłby się na śmierć, zanim ktoś zdążyłby przyjść mu z pomocą. I chciała, żeby w ostatnich chwilach, kiedy będzie czuł, że życie z niego uchodzi, zrozumiał, jakim był draniem, jak zmarnował życie. Wyobrażała go sobie przerażonego, w nerkowatej kałuży krwi, jak w ostatnim przebłytku świadomości kaja się, zdając sobie sprawę, że zaraz zapłaci za to, kim był. W tej mrocznej chwili będzie żałował, bardzo żałował. Ale będzie już za późno. Właśnie tak o nim myślała.*

*Leżała sama w ciemności na starej kołdrze przykrywającej łóżko. Kaloryfer pompował suche i gorące powietrze, od czasu do czasu wydając głośny łomot, jakby ktoś uderzał w kolanko metalowym kluczem. Nasłuchiwała łagodnego, regularnego oddechu dziecka. Silny wiatr trząsał szybami. Wiedziała, że na dworze jest zimno, zimniej niż do tej pory tej jesieni. Lecz ona się pociała. Ogrzewanie w mieszkaniu zawsze było trochę za bardzo podkrecone. Wnocy niemowlę (właściwie już nie niemowlę, dziewczynka miała prawie dwa lata) skopywało kocyk. Nasłuchiwała właśnie tego, nagłej zmiany pozycji we śnie, kiedy córeczka strąca z siebie przykrycie. Ale czekała i na inne odgłosy.*

*Serce wreszcie się uspokoiło, dziecko przestało płakać, wiedziała jednak, że on wróci. Leżała ubrana w szarą bluzę, dżinsy i trampki, z telefonem w ręku.*

*Obok nogi położyła kij baseballowy. Jeśli on wróci, znowu zadzwoni na policję, chociaż dopiero odjechali. Miała nakaz sądowy. Musieli przyjeżdżać, nieważne, jak często ich wzywała.*

*Nie mogła uwierzyć, że to się jej przydarzyło. Gdyby nie dziecko, mogłaby myśleć tylko o tym, jak pogmatwała sobie życie, ile popełniła błędów, ile nadziei legło w gruzach. Wiedziała przynajmniej, że jedno jest w tym dobre, że córka jest szczęśliwa, zdrowa i kochana przez matkę.*

*Zegar przy łóżku rzucał zieloną poświatę, słysząc było tylko oddech dziecka i szum lodówki w holu. Stara maszyna nisko buczała i brzęczała z lekka. Poza tymi dźwiękami ona nie słyszała prawie nic, chociaż uważnie nasłuchiwała w ciemności. Gdzie on jest, jaki będzie jego następny ruch?*

*Zerwał ich związek, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży. Jeśli można to było nazwać związkiem. Parę razy wyszli gdzieś razem. Poderwał ją na swój wóz, monte carlo, i zabrał do pizzerii, w której chyba go znali. Przyniósł jej krzesło i powiedział, że jest sliczna. Powtórzył to parę razy przy kolacji, traktując te słowa jako wypełniacz przerw w rozmowie.*

*Poszli na Kandydata z Robertem Redfordem i na Zbiega z Steve'em McQueenem, chociaż gdyby ją zapytał, nie miałyby specjalnie ochoty oglądać żadnego z tych filmów. Po prostu podjechał z nią do kina, podszedł do kasy i kupił bilety. Może powinna to uznać za pierwsze ostrzeżenie. Jeśli idzie się do kina z dziewczyną, należałoby chyba zapytać, co chciałyby obejrzeć. Siedziała w ciemnej sali, z kubkiem prażonej kukurydzy pomiędzy nogami, a on bawił się jej końskim ogonem i szeptał do ucha, że jest sliczna. Za drugim razem, na Zbiegu, pozwoliła mu dotknąć swojej piersi i prawie się jej to spodobało. Zrobiło się jej gorąco. Tamtej nocy poszedł do niej i spali z sobą. Lecz nie został na noc. Przespała się z nim jeszcze parę razy, ale przestał już zapraszać ją na pizzę i do kina. A kiedy zaczęła czekać na jego głos w słuchawce, na dotyk jego ręki, zniknął z jej życia. Oni wszyscy tak robią, prawda? Tak jakby przez tydzień ze sobą byli, a w następnym tygodniu stali się sobie obcy. Przez jakiś czas odzywał się co wieczór. Potem telefon przestał dzwonić. Patrzyła na aparat, siedząc na kuchennym blacie, i podnosiła słuchawkę, żeby sprawdzić, czy działa.*

*Nie wychowano jej na taką, co ugania się za mężczyznami i pyta, dlaczego nie dzwonią, więc kiedy przestał się odzywać, nie próbowała go znaleźć. Nie wychowano jej także, rzecz jasna, na taką, co daje się facetowi obmacywać w kinie, a potem idzie z nim do łóżka.*

*Tak czy inaczej, był dla niej tylko sposobem na spędzenie czasu, sposobem na zapomnienie o mężczyźnie, który był przed nim. Tak bardzo się różnili.*

*Tamten był bogaty, zapraszał ją na przyjęcia, kupował prezenty, sukienki i biżuterię Mówił do mej po francusku i chociaż me rozumiała, i tak robiło to na niej wrażenie Błąd polegał na tym, że był jej szefem Kiedy się nią znudził, zasugerował, żeby poszukała sobie innej pracy Byli tak różni, ten teraz i tamten przedtem Ale w końcu okazali się tacy sami, prawda? Kiedy się znudzili, chcieli, żeby odeszła Albo robili się zimni i traktowali ją z dystansem Albo stawali się brutalni, tak jak ten*

*Jej rodzice, nałogowi palacze, umarli jedno po drugim, w odstępach dwóch lat, i to całkiem młodo Matka umierała powoli, straszłą śmiercią na rozemdę płuc, a ojciec dostał ataku serca Nie miała rodzeństwa Więc nie miała się przed kim wstydzic niechcianej ciąży, ale też nie miała się do kogo zwrócić Jej jedyną przyjaciółką była Maria, mieszkała na dole Wszyscy nazywali ją madame Maria Starsza kobieta zarabiała na życie, wróżąc u siebie z tarota, przekazując porady „od bogini”, jak mówiła Madame Maria powiedziała j ej, że dostanie prezent Maria zawsze tak mówiła Tym razem miała rację*

*Kiedy była pewna, poszła się z nim spotkać Zapytał, skąd wie, że to jego Wtedy zaczęła go naprawdę nienawidzić i dziwić się, jak mogła tak tanio oddać się komuś tak nic niewartemu Zapewniła go, że nic od niego nie żąda, że chce mu tylko dać okazję do bycia ojcem Zostawił ją na ciemnym parkingu Zaczęło mżyć, a ona słuchała, jak jego wóz odjeżdża z rykiem silnika To spotkanie było błędem, źle go oceniła. Myślała, że zachowa się jak należy Kolejny błąd*

*Potem, może z poczucia winy, z ciekawości, a może nawet z jakiejś odrobiny uczucia, zaczął do mej przychodzić Dziecko miało już kilka miesięcy Wydawało się, że rola ojca go wciąga Ale po jakimś czasie zaczęły się awantury Policja Przeprasiny Przebaczenie ze względu na dobro dziecka I tak w kółko Az do tamtego niezapomnianego popołudnia Wtedy zaczęła się prawdziwa awantura*

*Od tamtej pory spędziła wiele podobnych nocy, leżąc w ciemności, w ubraniu, czekając I miała sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć Roztrzasała scysje, analizowała swoje słowa i czyny, zastanawiała się, co należało zrobić inaczej Ale jedyna myśl, która przychodziła jej do głowy, dotyczyła tamtych filmów, tego, że jej nie zapytał, na co chciałaby pójść To powinno jej powiedzieć, z kim ma do czynienia Czasem takie małe rzeczy wiele mówią o człowieku*

*Wspominała tamto popołudnie, wryło się j ej w pamięć jak znak wypalony na skórze "Z" jak zła matka Maria zadzwoniła do niej do pracy Pognęła do domu, gdzie zostawiła go z dzieckiem, bo musiała iść na swoją zmianę Pamiętała to charakterystyczne, dojmujące zawołanie, to połączenie między sercem dziecka a jej sercem, kiedy biegła na górę, po dwa stopnie naraz*

*Pamiętała, jak wpadła przez drzwi i zobaczyła, jak siedzi na kanapie z twarzą wykrzywioną strachem. Drzwi do pokoju dziecinnego były zamknięte, jakby zatrzasknął je, żeby nie słyszeć płaczu. Było jej niedobrze, szalała z lęku, kiedy rzuciła się do tych drzwi. Dziewczynka siedziała w łóżeczku, czerwona od płaczu, ramię miała koszmarnie, nienaturalnie wygięte. Chwyliła dziecko i wybiegła, krzycząc:*

*- Coś ty zrobił? Coś ty zrobił? Popatrz, coś ty zrobił!*

*On siedział w milczeniu z rozłożonymi rękami. Nie spojrzała na niego drugi raz, tylko wybiegła z krzyczącym, skrzywdzonym dzieckiem w ramionach.*

*Nie czekała, nie mogła czekać, na karetkę. Ostrożnie posadziła dziecko w foteliku samochodu. Krzyki dziewczynki raniły jak noże. Miała wrażenie, że płacze krwią. Starła się mówić spokojnie.*

*— W porządku, kochanie. Mamusia jest tutaj. Mamusia jest tutaj.*

*W izbie przyjęć lekarz wziął od niej dziecko, a ona poszła za nim, kiedy zagłębiał się w trzewia szpitala, na piętrze pediatrycznym. Modliła się, modliła się, żeby pediatra, który pracował na przemian w Klinice Aniołków i w tym szpitalu, był na miejscu. Jej modlitwy zostały wysłuchane i w kilka minut córeczka znalazła się w jego ostrożnych rękach.*

*— Co ci się stało, malutka? — zapytał spokojnie.*

*Nie mogła nic zrobić. Stała tylko obok w milczeniu.*

*~ Mamusiu - powiedział łagodnie. Nie używał jej imienia, kiedy zajmował się dzieckiem. — Wiem, że jesteś wystraszona, ale muszę cię poprosić, żebyś zaczekała na zewnątrz. Jesteś zdenerwowana; dziecko to wyczuwa. Bądź dzielna i zaczekaj przed gabinetem.*

*Wbrew sobie skinęła głową i pozwoliła się wyprowadzić pielęgniarce. Młoda kobieta o jasnoniebieskich oczach ukrytych za grubymi okularami w rogowej oprawie patrzyła na nią ze współczuciem i podejrzliwością. Był w tym spojrzeniu także osąd. Zimny i pewny.*

*Oni myślą, że to ja skrzywdziłam moje dziecko.*

*Miała wrażenie, że pierś eksploduje jej od emocji, które nią targały, kiedy siedziała i patrzyła na drzwi gabinetu. Płacz dziewczynki z krzyku przeszedł w pojękiwanie, a potem zaległa cisza. Była jak sparaliżowana, jakby przywiązano ją do pomarańczowego plastikowego krzesła. Nie mogła sprawdzić, jaka jest przyczyna tej ciszy. Wreszcie, po nieznośnie długim oczekiwaniu, wyszedł lekarz.*

*— Będzie dobrze — powiedział łagodnie.*

*Usiadł obok i położył jej dłoń na kolanie. Mówił, że przy złamaniach u tak małych dzieci trzeba postępować delikatnie, mówił też o tym, jak będzie wyglądało dalsze leczenie. Obracała w myślach jego słowa: „będzie do-*

brze", aż wreszcie trafiły do serca, które znów zaczęło bić normalnie. Krew znów zaczęła krążyć, przywracając ją życiu. Była jak zawieszona w przerażeniu, pomiędzy życiem a śmiercią, dopóki nie dowiedziała się, że jej dziecko już nie cierpi.

- Wszystko w porządku — uspokoił lekarz, patrząc jej w oczy. — Będzie dobrze.

Ale w jego oczach było też coś innego. W ciepłym zazwyczaj spojrzeniu - troska i podejrzenie.

W szpitalu spędziła prawie całą noc. Dziecko dostało środki przeciwbólowe, rączkę owinięto cieniutkim bandażem gipsowym. Lekarz był przy nich, dopóki nie nadszedł czas powrotu do domu. Kiedy szykowała się do wyjścia, dotknął jej ramienia i zapytał z miną, której nie potrafiła odczytać.

— Bardzo kochasz swoje dziecko, prawda?

— Bardziej niż cokolwiek.

— Czy dasz radę ją ochronić? — Pytanie było dziwne, zwłaszcza że odzwierciedlało jej własne troski.

— Każdy, kto będzie chciał skrzywdzić moje dziecko, będzie musiał mnie najpierw zabić.

Pokiwał głową.

- Postaramy się, żeby do tego nie doszło. Nie zrezygnuj przypadkiem z oskarżenia. Spotkamy się w klinice w czwartek albo wcześniej, gdyby były jakieś problemy. — Powiedział to stanowczym głosem. Postusznie pokiwała głową.

- Żałuję - szepnęła, kiedy się od niej odwracał — że nie ma ojca takiego jak ty.

Popatrzył na nią dziwnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Uśmiechnął się ciepło, ze współczuciem.

- Ja też, ja też.

Za każdym razem, kiedy przypominała sobie tamtą chwilę, na nowo ogarniała ją nienawiść do człowieka, który skrzywdził jej dziecko. Z coraz większą zawziętością odrzucała jego błagania o przebaczenie, ciągłe prośby, żeby pozwoliła mu spędzić minutę, tylko minutę, z dzieckiem, a potem wybuchi wściekłości, kiedy odmawiała. Zranił dziecko przypadkiem. Nie chciał tego. Tak twierdził. Wydawał się pełen skruchy. Ale ona ciągle myślała o tym, co powiedział lekarz. „Czy dasz radę ją ochronić?”. Jedyнным sposobem, żeby odpowiedź brzmiała „tak”, było pozbycie się go z ich życia.

Chyba trochę przysnęła, ale coś ją obudziło; przesunęła dłoń ze słuchawki na kij baseballowy. Leżała cicho, adrenalina krążyła w jej żyłach, wsłuchiwała się

w noc. Dziecko poruszyło się we śnie i westchnęło. Usłyszała lekkie trzaskanie, raczej brzęk, dźwięk napinającej się metalowej sprężyny, jakby ktoś otwierał po cichu drzwi.

On nie bywał cichy. Kiedy przychodził, zawsze walił w drzwi. Ścisnęła ją w gardle. Powoli wstała z łóżka. Zapomniała o telefonie, kij ciężki jej w rękę. Podeszła do progu i zajrzała do małego saloniku. Stąd mogła obserwować drzwi wejściowe. Zamek wydał się jej nagle za słaby i zaczęła się przeklinać, że nie założyła sztyftów i łańcucha, jak radzili policjanci. Nie było jej na to stać. Okno przy drzwiach było okratowane, ale znajdowało się nad podestem, na który każdy mógł wejść po schodkach.

To jego cień przesunął się za oknem? Zastony były zaciągnięte, lecz latarnie na parkingu świeciły jasno i czasem widziała cienie ludzi spieszących do domów. Znowu zaczęła nasłuchiwać, niczego jednak nie usłyszała. Już miała się odprężyć, kiedy znowu to usłyszała, tę napinającą się metalową sprężynę. Stał za drzwiami? Jej oddech przyspieszył.

Spojrzała na telefon, który zostawiła na łóżku. Wezwać policję? Nie mogła kolejny raz wzywać ich na próżno. Wcześniej już kilka razy odchodził, zanim przyjechali. I chociaż z całym szacunkiem spisali jej zeznania, zaczynała się czuć jak mały chłopiec, który krzyczy, że widzi wilki. Jeśli znowu ich wezwie, a tam nikogo nie ma, będzie jej wstyd. Chwyliła kij oburącz i podeszła do drzwi.

Szła cicho, powoli. On zawsze był hałaśliwy. Nigdy nie próbował włamać się po cichu, żeby je skrzywdzić. Albo, jak w jej drugim, najgorszym koszmarze, ukraść jej dziecko. W ostatnich latach w okolicy zaginęło troje dzieci. Co noc ich twarzyczki patrzyły na nią z ekranu telewizora, dręczyły ją słodkimi uśmiechami, jasnymi oczami. Każde z nich znikło z domu. Żadnego nie odnaleziono, nie było nawet tropu, którym można by pójść. Co jakiś czas słyszała w wiadomościach, że widziano je w centrum handlowym albo na placu zabaw. Ale trop wciąż prowadził donikąd. Rozmyślała o ich rodzicach, o zięjących pustką dziurach w ich sercach, o egzystencji pełnej strasznych pytań i strasznych wyobrażeń. Może tylko nadzieja trzymała ich przy życiu, może jedyną rzeczą, która sprawiała, że brzytwą nie tknęła ich przegubów, a lufa pistoletu nie wsunęła się w usta, była myśl, że pewnego dnia otworzą drzwi i znowu zobaczą dzieci. Nie potrafiła wyobrazić sobie obezwładniającego żalu za dzieckiem, które może gdzieś żyje, nieosiągalne, albo jest martwe... nie wiedziała, co gorsze.

Była już blisko drzwi, zaledwie o metr. Stała przy swojej starej wersalce. Skradając się, niczego nie słyszała, więc zamartała jak posąg z uniesionym kijem.



## Rozdział 1

Jest ciemno w ten okropny sposób, który pozwala rozpoznać przedmioty, ale nie czarną przestrzeń za nimi. Oddycham nierówno z wyczerpania i ze strachu. Jedyne człowiek, któremu ufam, leży na podłodze obok mnie. Przymiaram się do niego i słyszę, że oddycha z trudem, płytko. Wiem, że jest ranny. Lecz nie wiem, jak ciężko. Szepczę mu do ucha jego imię, ale nie odpowiada. Dotykam go, nigdzie nie ma krwi. Odgłos jego ciała padającego na podłogę był najgorszym dźwiękiem, jaki w życiu słyszałam.

Macam wokół, szukając pistoletu. Po kilku sekundach wyczuwam opuszkami palców zimny metal i z ulgi zbiera mi się na płacz. Nie ma jednak na to czasu.

Słyszę, że na dworze pada. Głośne, ciężkie krople skapują na płótno. Dostaję się do środka przez dziury ziejące w suficie, przez gnijące podłogi i zniszczone klatki schodowe. Porusza się i jęczy. Słyszę, jak wypowiada moje imię, i znów przytulam się do niego.

- W porządku. Będzie dobrze — mówię, chociaż nie mam powodu wierzyć we własne słowa. Gdzieś na zewnątrz albo nad nami jest człowiek, którego chyba trafiłam, i inni, nieznani mężczyźni, którzy próbują nas zabić, żeby chronić straszną prawdę, jaką odkryłam. Sama jestem ranna; zemdląłabym z bólu, gdybym nie wiedziała, że oznacza to śmierć w tym przeklętym budynku na Lower East Side Manhattanu. Coś tkwi w moim prawym biodrze. Prawdopodobnie kula albo duża drewniana drzazga czy gwóźdź. Jest

tak ciemno, że ledwie widzę wielką dziurę w dżinsach i poczerniały od krwi materiał. Jestem oszołomiona, świat wokół mnie wiruje, ale się trzymam.

Słyszę, jak chodzą nad nami, snopy światła latarek przedostają się przez dziury w podłodze i przeszywają ciemność. Próbuję kontrolować oddech, który w moich uszach brzmi jak huk nadjeżdżającego pociągu. Słyszę, jak jeden z nich mówi:

- Chyba spadli. Są na dole.

Odpowiedzi nie ma, ale słyszę, jak schodzą po skrzypiącym drewnie.

Porusza się.

- Idą tu - mówi. Głos ma chrapliwy. - Uciekaj stąd, Ridley.

Nie odpowiadam. Oboje wiemy, że go nie opuszczę. Przysuwam się, a on próbuje wstać, lecz ból na jego twarzy widać wyraźniej, niż gdyby krzyczał. Wiem, że tłumi jęk, żeby chronić nas przez jeszcze kilka minut. Jeśli nie wyjdziemy stąd razem, nie wyjdziemy w ogóle. Ciągnę go, chociaż nie powinnam go ruszać, za starą, pokrytą pleśnią kanapę, która leży wywrócona pod ścianą. To tylko kawałek, ale widzę, jak błędnie i wykrzywia się z bólu. Znowu traci przytomność i natychmiast staje się o kilkanaście kilogramów cięższy. Widzę jednak, że porusza wszystkimi kończynami. To już dobrze. Uświadamiam sobie, że ciągnąc go, modłę się. Noga mnie pali, jestem coraz słabsza.

- Boże, pomóż, Boże, pomóż, Boże, pomóż - powtarzam jak mantrę.

Za kanapą jest mała przestrzeń, która wystarcza dla nas dwojga. Ciągnę go tam i kładę się obok na brzuchu. Przystawiłam do kanapy starą skrzynkę i patrzę przez szparę między drewnianymi deszczułkami. Są bliżej. Na pewno nas usłyszeli, bo przestali rozmawiać i wyłączyli latarki. Trzymam oburącz pistolet i czekam. Nigdy wcześniej nie strzelałam z pistoletu i nie wiem, ile kul zostało. Myślę, że chyba tu umrzemy.

- Ridley, proszę, nie rób tego. - Głos rozbrzmiewa w ciemności i dociera do mnie z góry. - Możemy załatwić to inaczej.

Nie odpowiadam. Wiem, że to sztuczka. Teraz już nic nie można załatwić, zaszliśmy za daleko. Miałam wiele szans, żeby zamknąć oczy i wrócić do życia we śnie, ale nie skorzystałam z żadnej. Czy teraz żałuję? Trudno znaleźć odpowiedź, gdy widma zbliżają się coraz bardziej.

- Sześć - szepcze.

- Co?

- Zostało ci sześć kul.

## Rozdział 2

Do niedawna w moim życiu nic ciekawego się nie działo, chociaż to nie znaczy, że wiodłam szarą egzystencję. Ale pewnego razu przytrafiło się coś, co przewróciło wszystko do góry nogami. Opowiem wam o tym. Coraz bardziej zaczyna mi się zdawać, że nie było to jedno wydarzenie, lecz niezliczona ilość małych decyzji, które zmieniły zarówno mnie, jak i moich bliskich. Kilku ludzi zginęło, zdemaskowane zostały kłamstwa, ale prawda nas nie uwolniła. Zniszczyła jedynie starannie budowaną fasadę. Zostaliśmy nadzy i zaczęliśmy wszystko od nowa.

Nazywam się Ridley Jones, a kiedy cała sprawa się zaczęła, byłam trzydziestodwuletnią pisarką i mieszkalam samotnie w East Village. Mieszkanie, które wynajmowałam od czasu studiów na Uniwersytecie Nowojorskim, mieściło się na drugim piętrze, w małym budynku bez windy, na rogu Piątej Alei i Jedenastej ulicy, nad pizzerią Pięć Róż. Na swoisty urok tego domu składał się ciemny fronton i brama, słabo oświetlony korytarz, wypaczone podłogi oraz zapachy czosnku i oliwy. Ale było tu niesamowicie tanio, płaciłam osiemset dolarów miesięcznie. Jeśli znacie Nowy Jork, to wiecie, że taki czynsz graniczy z cudem, nawet za mieszkanie o powierzchni siedemdziesięciu metrów, z sypialnią wychodzącą na tylne podwórze, gdzie psy szczekają przez cały dzień, a jedyny widok to widok lokatorów z domu obok, prowadzących równoległe życie, równie istotne jak moje. Mimo wszystko miejsce było dobre i czułam się w nim szczęśliwa. Nawet kiedy mogłam sobie pozwolić na coś lepszego, zostałam, bo było mi tu wygodnie, przyzwyczaiłam się i miałam blisko do najlepszej pizzerii w Nowym Jorku.

Może was dziwić moje imię. Mój ojciec, doktor Benjamin Jones, pediatra z New Jersey, mieszkał w staroświeckim, wygodnym wiktoriańskim domu razem z moją matką, były tancerką i gospodynią domową w jednej osobie. Kochał ją z wzajemnością od dnia, kiedy w roku 1960 spotkali się w Rutgers University. Zawsze ubolewał, że ma tak pospolite nazwisko. Takie, jakie się podaje, żeby ukryć tożsamość, jak Doe albo Smith. Im był starszy, tym bardziej trapiła go zwyczajność nazwiska. Wyrastał na smutnym przedmieściu Detroit, w stanie Michigan, w rodzinie zwykłych ludzi, którzy chcieli, żeby wiódł zwyczajne życie. Ale on nie uważał się za człowieka pospolitego i kiedy miał nadawać imiona własnym dzieciom, nie chciał, żeby myślały, że oczekuje po nich zwyczajności. Dał mi na imię Ridley, od Ridleya Scotta, reżysera... zawsze był trochę maniakiem filmowym. Uważał, że to niezwykle

imię dla małej dziewczynki, że to coś szczególnego i że zachęci mnie w ten sposób, żebym wiodła życie niezwykle. Uznał, że zostając nowojorską pi-sarką, spełniłam jego nadzieje.

Zanim jeszcze nastąpiły wydarzenia, o których wam opowiem, byłam chyba, na swój sposób, nadzwyczajna, a to dlatego, że kochałam rodziców, a oni kochali mnie, że przez większą część dorosłego życia byłam szczęśliwa, że podobało mi się prawie wszystko w mojej osobie (poza biodrami), że uwielbiałam swoją pracę, przyjaciół i miejsce, w którym mieszkałam. Dobrze mi się układało z mężczyznami, chociaż prawdziwą miłość poznałam dopiero niedawno. Doceni to każdy, kto mieszka w Nowym Jorku.

Ale było tak wiele spraw mi nieznanych, ukrytych w przeszłości, których istnienia nawet nie podejrzewałam. Nie dopuszczam do siebie myśli, że to niewiedzy zawdzięczam moje względne poczucie szczęścia, lecz wy pewnie powiecie, że właśnie tak było. Teraz na pewno coś się we mnie zmieniło. Świat jest innym miejscem, a szczęście i prawdziwy spokój wydają mi się ulotne. Kobieta, którą byłam, musiała być beznadziejnie naiwna. Zazdroszczyć jej.

Kiedy patrzę wstecz na moje życie, dziwię się, że o jego biegu nie zdecydowały najważniejsze z podejmowanych przeze mnie decyzji. Zmieniło się ono pod wpływem decyzji pozornie bez znaczenia. Pomyślcie tylko. Pomyślcie o niespodziewanych przypadkach, które wpłynęły na wasze życie. Czy większość z nich nie rozegrała się w ciągu kilku sekund? Czy to nie małeńka decyzja sprawia, że przechodzicie przez ulicę, narażacie się na niebezpieczeństwo albo go unikacie? W końcu was to dopadnie. Człowiek, którego poślubicie, wybór zawodu, wychowanie - owszem, to składa się na całość. Ale, jak mówią, diabeł tkwi w szczegółach.

Cóż, przedstawię wam te moje małe wybory.

Był poniedziałkowy poranek, w Nowym Jorku jesień przechodziła w zimę. Babie lato minęło i w powietrzu pojawił się pierwszy chłód. To moja ulubiona pora roku, kiedy natrętny upał i wilgoć uwięzione w betonowych murach miasta wyparowują, pozostawiając po sobie nową rzeźkość.

Obudziłam się w tamten poniedziałek i słabe światło wpadające przez okna powiedziało mi, że jest szary świt. Zobaczyłam, że szyby upstrzone są kropkami deszczu. To był ten szczegół, który wpłynął na moją decyzję. Sięgnęłam pod kołdrę po bezprzewodowy telefon, który leżał przy łóżku, przesu-kałam zapisane identyfikatory znajomych i wybrałam numer.

- Gabinet doktora Rifkina - powiedział głos rzeczowy i twardy jak miejski chodnik.

- Mówi Ridley Jones - przedstawiłam się, udając, że mam chrypkę. - Leżę w łóżku z paskudnym przeziębieniem, mogłabym mimo wszystko przyjść, ale nie chcę, żeby dentysta rozchorował się przeze mnie. - Podkreśliłam te słowa sztucznym kaszlnięciem. Doktor Rifkin był moim dentystą, maleńkim gnomem, który zajmował się moim uzębieniem, odkąd zostałam studentką na Uniwersytecie Nowojorskim. Miał długą białą brodę, wydatny brzuch, nosił koszulę w kratkę, spodnie na szelkach, ortopedyczne buty i chodząc, ucieszenie się kołysał. Przy tym wszystkim zawsze rozczarowywał mnie swoim akcentem z Long Island. Powinien mieć akcent szkocki. I mówić do mnie „laska”.

- Przełożmy wizytę - powiedziała słuźbiście sekretarka, jakby nie dała się nabrać na moje kłamstwo albo nic jej ono nie obchodziło.

Byłam wolna. Wolność, muszę powiedzieć, jest dla mnie chyba najważniejszą rzeczą, ważniejszą niż młodość, uroda, sława, pieniądze. Nie powiedziałabym, że ważniejszą niż miłość. Ale niektórzy moi znajomi twierdzą, że jest ona dla mnie kwestią rzutu monetą. Jednym z nich jest Zachary.

- Śniadanie u Bubby'ego? - zapytałam, kiedy podniósł słuchawkę.

Chwila ciszy, słyszałam, jak obraca się na łóżku. Kilka miesięcy temu mogłabym leżeć obok niego o tej porze.

- Nie masz nic do roboty? - zapytał.

- Właśnie jestem między zleceniami - powiedziałam z żartobliwym oburzeniem. To była prawda; byłam między zleceniami, pracując jako wolny strzelec. Ale z wielu powodów nie to było istotne.

- O której? - zapytał.

Usłyszałam w jego głosie smutną mieszankę nadziei i żalu, którą często wyczuwałam, kiedy ze mną rozmawiał.

- Dasz mi godzinę?

- Okej, więc do zobaczenia.

Powinłam była posłubić Zachary'ego, spodziewano się tego po mnie. Nasze drogi życiowe splotły się jeszcze w dzieciństwie. Moi rodzice kochali go, może nawet bardziej niż mojego brata. Moje przyjaciółki kochały go, jego piaskowe włosy i jasne oczy, jego szczupłe, atletyczne ciało, jego dochodową praktykę pediatryczną i sposób, w jaki mnie traktował. Nawet ja naprawdę go lubiłam. Ale kiedy przyszło do podjęcia decyzji, zawahałam się. Dlaczego? Ze strachu przed zobowiązaniami? Wielu ludzi tak sądziło. Ale ja tak nie myślę. Mogę tylko powiedzieć, że słowa „Zachary” i „na zawsze” nie idą ze sobą w parze. O nic konkretnego nie mogłam mieć do niego pretensji. Byliśmy w przyjaźni, łączył nas dobry seks i wspólne pasje, między innymi do sali dinozaurów w Muzeum Historii Naturalnej i francuskich

lodów waniliowych od Haagena-Dazsa. Lecz miłość to więcej niż suma jej części, prawda? Poza tym byłam wobec niego bardzo opiekuńcza i doszłam do wniosku, że potrzebuje kogoś, kto kochałby go bardziej niż ja. Pewnie nie ma to dla was sensu. Moi rodzice i matka Zacka, Esme (czasem rozumiałem się z nią lepiej niż z własną matką), do tej pory nie otrzęśli się po nokaucie, jakim była dla nich moja decyzja. Od naszego dzieciństwa żywili (niezbyt) potajemną nadzieję, że Zack i ja będziemy razem. Więc kiedy zaczęliśmy umawiać się na randki, nasze matki były zachwycone. A kiedy się rozeszliśmy, chyba przeżyły to bardziej niż my.

Tego ranka Zack i ja próbowaliśmy zachowywać się jak przyjaciele. Zerwałam z nim trochę ponad pół roku wcześniej i musieliśmy uporać się z jego rozczarowaniem i zranionymi uczuciami (zwłaszcza dumą, jak sądzę), żeby dotrzeć do czegoś, co jak miałam nadzieję, okaże się trwałą przyjaźnią. Było to dziwaczne, ale dobrze rokowało.

Stoczyłam się z łóżka i popchnęłam je pod ścianę. Pamiętacie, jak mówiłam, że budynek ma wypaczone podłogi? W podłodze sypialni jest zagłębienie, a łóżko stoi na kółkach, więc czasem, szczególnie po niespokojnej nocy, budzę się i stwierdzam, że wytoczyło się na środek pokoju. To nie jest wielka niewygodą. Ktoś mógłby ją nawet nazwać rozkoszną ekstrawagancją wynikającą z zamieszkania w East Village.

Odkręciłam prysznic i zamknęłam drzwi, żeby napuścić pary do wąskiej, wykładanej czarno-białymi kafelkami łazienki. Przysłuchując się szmerowi deszczu, poczłapałam do kuchni i zaczęłam przygotowywać kawę. Nie byłam jeszcze całkiem przebudzona, kiedy ekspres zaczął syczeć, napełniając powietrze zapachem Café Bustelo. Z oddali dochodził gwar uliczny Pierwszej Alei i woń ciast pieczonych w Veniero's, piekarni na tyłach budynku. Z jej wentylatorów na podwórko wydobywały się zapachy. Popatrzyłam na okna po przeciwnej stronie: story u gitarzysty nadal były zasunięte; para gejów, ubrana do pracy, siedziała przy kuchennym stole z wielkimi, czarnymi kubkami kawy. Blondyn czytał „Village Voice”, a jego ciemnowłosa kochanek „Wall Street Journal”; młoda Azjatka wykonywała poranne ćwiczenia jogi, a jej współlokatorka pewnie czytała na głos skrypt w drugim pokoju. Ze względu na chłód wszystkie okna były zamknięte i sceny docierały do mnie jak obraz z wyciszonego telewizora. Wszyscy oni stanowili część mojego poranka, tak jak ja ich, gdyby wyjrzeli przez okno i zobaczyli, jak czekam, aż zaparzy się kawa.

Jak mówiłam, byłam między zleceniami. Właśnie skończyłam dla „New Yorka” tekst o Rudim Giulianim, za który zapłacili mi całkiem nieźle. Mia-

łam jeszcze parę innych projektów, szkice, które pchnęłam do znajomych redaktorów w „Vanity Fair”, „New Yorkerze” i „New York Timesie”. Pracowałam dla nich regularnie od prawie siedmiu lat i byłam pewna, że któryś z tych pomysłów zaowocuje zamówieniem, ale miałam nadzieję, że trochę z tym poczekają. To by mi odpowiadało. Z początku pisywanie w charakterze wolnego strzelca było trudnym zajęciem. Gdyby rodzice nie wspierali mnie materialnie, to przy skąpych dochodach, po ukończeniu uczelni, musiałabym pewnie zamieszkać z nimi. Ale mam krztynę talentu i jestem profesjonalistką, która dotrzymuje terminów, a poza tym nie kręcę nosem na poprawki, więc zyskałam pozytywną opinię i trochę dobrych kontaktów. Reszta to już tylko kwestia ciężkiej pracy.

Mimo to, gdyby wujek Max nie umarł dwa lata temu, pewnie nie żyłoby mi się tak komfortowo. Max właściwie nie był wujem, tylko najlepszym przyjacielem ojca, z Detroit, gdzie razem dorastali. Obaj byli synami robotników pracujących w przemyśle motoryzacyjnym i przez osiemnaście lat mieszkali na tym samym przedmieściu. Mój ojciec pochodził z porządnego domu, dziadkowie byli ciężko pracującymi ludźmi. Ojciec Maksa był skłonny do przemocy alkoholikiem. Pewnego wieczoru, kiedy Max miał szesnaście lat, awantura wywołana przez jego ojca skończyła się fatalnie. Pobił matkę Maksa tak, że zapadła w śpiączkę, z której już nie wyszła. Moi dziadkowie nie pozwolili, żeby Max trafił do stanowego sierocińca, i wzięli go do siebie. Jakoś udało im się przepchnąć jego i mojego ojca przez college’ę.

Ojciec poszedł na studia medyczne, a później został pediatrą i jest nim do dziś. Max zajął się handlem nieruchomościami i został jednym z największych deweloperów na Wschodnim Wybrzeżu. Nigdy nie ustawał w wysiłkach, żeby odwdziżyć się mojemu ojcu i dziadkom. Ponieważ dziadkowie stanowczo odmawiali przyjęcia pieniędzy, rozpieszczał ich i nas wycieczkami na Karaiby i wspaniałymi prezentami urodzinowymi, od rowerów poczynając, na nowych samochodach kończąc. Oczywiście, ubóstwialiśmy go. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, więc traktował mojego brata Ace’a i mnie, jakbyśmy byli jego potomstwem.

Wszyscy uważali go za człowieka szczęśliwego. Rzadko można było go zobaczyć bez uśmiechu. Ale nawet jako dziecko wyczuwałam w nim głęboki smutek. Widziałam, jak pogrążał się w myślach, kiedy sądził, że nikt go nie widzi. I pamiętam, jakim wzrokiem zawsze patrzył na moją matkę Grace - jakby była wspaniałą nagrodą, którą zgarnął kto inny.

Wujek Max był alkoholikiem, ale wyglądał na szczęśliwego pijanicę, więc nic sobie z tego nie robiliśmy. W poprzednią Wigilię, którą spędziliśmy u moich

rodziców, wyszedł z domu i już nie wrócił. Najprawdopodobniej wstąpił po drodze do baru, a kilka godzin później wsiadł do swojego czarnego mercedesa, zjechał z mostu i runął w zimną wodę. Czy to był wypadek, czy działanie zamierzone, nigdy się nie dowiedzieliśmy, chociaż brak śladów poślizgu wskazywał, że nie naciskał w ostatniej chwili na hamulec. Tamta noc była lodowata. Możliwe, że opony nie znalazły oparcia na śliskiej drodze. A może zemdlął za kierownicą i nie widział, że nadchodzi koniec? Woleliśmy myśleć o tym jak o wypadku, inaczej nie dałoby nam to spokoju.

Cała rodzina poczuła się osierocona, a najbardziej mój ojciec; stracił przyjaciela, z którym dzielił większą część życia. Od tej pory niewesoło świętujemy Wigilię. Ten wieczór zawsze spędzaliśmy wspólnie z Maksem. I w taki wieczór go straciliśmy.

W testamencie zostawił większość pieniędzy moim rodzicom i fundacji Maxweëla Allena Smileya. Stworzył ją na długo przed moim urodzeniem, a jej zadaniem było organizowanie schronisk dla bitych kobiet i maltretowanych dzieci. Zostawił też pokaźne sumy mnie i mojemu bratu Ace'owi. Z pomocą księgowego ulokowałam swoją część w solidnych inwestycjach. Dzięki temu zyskałam wolność, którą tak sobie cenię. Mój brat wstrzyknął sobie te pieniądze w żyły. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale to inna historia.

Tego ranka nie zastanawiałam się nad żadną z tych spraw. Myślałam o wolnym dniu, który mnie czeka, o tym, że będę mogła robić, co chcę. Wzięłam prysznic, wysuszyłam włosy, naciągnęłam czteroletnie, wypłowiałe jak wspomnienie lewisy, jaskrawoczerwoną bluzę Tommy Hilfiger, buty Nike i czapkę Jankesów, a potem poszłam prosto do drzwi. Gdybym wiedziała, zatrzymałabym się w progu, żeby pożegnać się z moją milusią egzystencją, z tym godnym pozazdroszczenia, prostym, przyjemnym, szczęśliwym życiem. Jasne, że nie było bez wad, ale niedaleko mu było do ideału.

W korytarzu zachowywałam się najciszej jak mogłam. Podejrzewałam Victorię, moją leciwą sąsiadkę, że czeka przy drzwiach, żeby wiedzieć, kiedy wchodzę i wychodzę z mieszkania. Dlatego szłam na paluszkach. Nie to, żebym jej nie lubiła. Ale była samotna, a ja jej współczułam, i mogło to skończyć się dwudziestominutową zwłoką. Tego ranka nie zachowywałam się jednak dość cicho. Kiedy zamykałam swoje drzwi, usłyszałam, jak jej się otwierają.

- Przepraszam - wyszeptała. - Kto tam jest?
- Cześć, Victorio, dzień dobry - powiedziałam, idąc do schodów.

Victoria była chudziutka i blada jak papier. Szlafrok w kwiatki zwisał z niej jak z wieszaka. Włosy zastąpiła siwą peruką, która wyglądała tak,



jakby ktoś znęcał się nad nią, używając nożyczek. Twarz miała głęboko pobrużdżoną i obwisłą jak stopiony wosk. Za każdym razem kiedy się spotykaliśmy, twierdziła z dumą, że ma jeszcze własne zęby. Niestety, zostało ich pięć czy sześć. Nie mówiła normalnie, tylko szeptała, jakby się bała, że inni też czatują za swoimi drzwiami, tak jak ona. Lubiłam Victorię, chociaż codziennie prowadziłyśmy tę samą rozmowę i następnego dnia mnie nie rozpoznawała. Opowiadała mi o swoich trzech zmarłych braciach, policjantach. Mówiła, że nie chciała mieszkać z matką, też już nieżyjącą, ale jakoś nie potrafiła się od niej wyprowadzić.

- Och, gdyby moi bracia żyli... - powiedziała tamtego ranka słabym głosem. - Byli policjantami, proszę pani.

- Musieli być bardzo dzielni - odparłam. Podeszłam do niej, choć z tęsknotą zerkałam ku schodom. Ze wszystkich odpowiedzi, których udzielałam jej od lat, ta podobała się jej najbardziej.

- O tak - odparła z szerokim uśmiechem. - Bardzo.

Drzwi uchyliła na kilka centymetrów i widziałam tylko kawałek szlafroka w maleńkie purpurowe kwiatki, nogę w pończosze i szary ortopedyczny but.

Victoria żyła w kapsule czasu zbudowanej ze starych mebli i zaciągniętych żaluzji. W jej mieszkaniu nie znalazłoby się niczego, co byłoby młodsze ode mnie. Wszystko naruszył zab czas i pokrył kurz tak gruby, że prawie nie do starcia: ciężkie dębowe fotele i komody, wyściełane brokatem kanapy i krzesła, lustra w złożonych ramach, fortepian buduarowy zastawiony pożółkłymi fotografiami. Wchodziłam tam tylko wtedy, gdy przynosiłam jej zakupy ze spożywczego albo zmieniałam żarówki. Zabierałam stamtąd zawsze trochę jej smutku i samotności, które okrywały mnie jak płaszcz. Unosił się tam zapach, który kojarzył mi się z gnijącym życiem, zepsutym z braku używania.

Zastanawiałam się, jakich wyborów dokonała w życiu, skoro skończyła na starość w samotności. Myślę o tym teraz częściej niż zwykle. Już mówiłam: rozmyślałam o wyborach. Tych małych, tych wielkich. Może kiedyś, tak jak we mnie, zakochał się w niej jakiś wspaniały mężczyzna i oświadczył się; może, tak jak ja, odmówiła mu z powodów niezbyt jasnych nawet dla niej. Może to jej pierwszy wybór sprawił, że reszta życia wyglądała tak, a nie inaczej.

Miała bratanka na Long Island - który co jakiś czas do niej zaglądał (zwi-chrzone włosy, czerwony, wełniany płaszcz trzy czwarte, porządne buty) - i dochodzącą opiekunkę, trzy razy na tydzień (za każdym razem była to inna osoba, przejawiająca tyle energii i entuzjazmu, ile żałobnik niosący trumnę),

a kilkakrotnie przyszli do niej z firmy dostarczającej posiłki. Mieszkałam w tym domu od ponad dziesięciu lat i nigdy nie widziałam, żeby opuszczała mieszkanie. Wyglądała, jakby nie mogła tego zrobić, bo gdyby wyszła za próg i stanęła na posadzce korytarza, rozsypałaby się w proch.

- Cóż, gdyby żyli, z pewnością zajęliby się tymi hałasami na górze - wyjęczała głosem przypominającym buczenie bączka, który zaraz się przewróci.

Ja też go słyszałam, tego nowego faceta, który wnosił ubiegłego wieczoru swoje rzeczy na górę. Nie byłam nawet na tyle zainteresowana, żeby wystawić głowę za drzwi.

- On się dopiero wprowadził, Victorio. Nie martw się. Na pewno wkrótce się uspokoi.

- A wiesz, że nadal mam swoje wszystkie zęby?

- To wspaniale - powiedziała z uśmiechem.

- Jesteś taką miłą dziewczyną. Jak masz na imię?

- Ridley. Mieszkam tuż obok, gdybyś czegoś potrzebowała.

- To dziwne imię jak na taką śliczną dziewczynę - stwierdziła, obnażając dżiąsła. Pomachałam jej ręką i poszłam.

Szare kamienne schody i ściany, czerwona balustrada i czarno-białe kafelki podłogi sprowadziły mnie na dół. Na pierwszym piętrze jarzeniówka zamruwała i zgasała, żeby znów się zapalić. Tak było z całym oświetleniem w budynku; mieliśmy poważny problem z instalacją elektryczną, ale właścicielka domu, Zelda, nie zamierzała go rozwiązać.

- Co? Myśli pani, że mam pieniądze na nową instalację w tym przekle-tym domu? Chce pani, żebym podniosła czynsz? - powiedziała, kiedy się poskarżyłam.

Na tym sprawa się skończyła, a ja sprawdziłam, czy w moim mieszkaniu nic nie blokuje drogi do schodów pożarowych.

Na parterze, w wąskim korytarzu prowadzącym do holu, na mojej skrzynce pocztowej, której z lenistwa nie opróżniałam od piątku, widniała karteczka. *Za dużo periodyków!* strofowały mnie złe, czerwone kulfony wypisane przez listonosza. Ledwie udało mi się otworzyć skrzynkę, tak była zapchana kopertami, rachunkami, reklamami, katalogami, egzemplarzami „Time'a”, „Newsweeka”, „New Yorka” i „Rolling Stone'a”. Z trudem wyciągnęłam to wszystko i pobiegłam z powrotem, trzy piętra na górę, do mieszkania, otworzyłam drzwi i wrzuciłam wszystko do środka, potem zamknęłam drzwi na klucz i zbiegłam na dół.

Mówicie sobie: „A co nas to wszystko obchodzi, po co ten szczegółowy opis, jak wychodziła z domu?”. Ale to właśnie te dwie chwile, te maleńkie decyzje,

które podjęłam, wychodząc na ulicę, zmieniły wszystko. Gdybym była inna, może nie zatrzymałabym się, żeby porozmawiać z Victorią. Albo może zatrzymałabym się na dłużej. Mogłam przejść obok skrzynki pocztowej i nie zauważyć karteczki od listonosza albo ją zignorować. To właśnie są nasze wybory, sprawy, które mogliśmy załatwić inaczej. Widzimy je z doskonałą jasnością dopiero po upływie jakiegoś czasu. Zaledwie trzydzieści sekund więcej albo mniej i nie byłoby historii, którą wam opowiadam. Byłabym innym człowiekiem.

Kolejne małe decyzje na ulicy. Spóźniałam się, więc zamiast skręcić w prawo i pójść do TriBeCa (dość daleko, ale można się przejść, jeśli ma się czas), podeszłam do krawężnika, żeby przywołać taksówkę. To wtedy ich zobaczyłam. Młoda matka z kasztanowymi włosami ściągniętymi w ciasny koński ogon, niemowlę w wózku i drugi szkrab trzymany za rękę, czekali na światłach. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, to znaczy niczego, co większość by zauważyła. Mnie uderzył kontrast, jaki tworzyli w stosunku do Victorii, piękno i energia tych młodych istot z jednej strony, smutek i samotny zmierzch z drugiej.

Patrzyłam na nią. Kobieta była drobna, ale widziałam w niej siłę, która emanuje ze wszystkich młodych matek, ten potencjał nieodzowny do pchania i dźwignia, trzymania małych rączek i rejestrowania miliona potrzeb i ruchów, spokój zen przy wyjmowaniu paczki cherrios z zamykanej na suwak torby na pieluchy, gdy mała buzia zaczyna się marszczyć, wyraz twarzy przekazujący współczucie i zrozumienie szkrabowi, który ledwie zaczyna mówić. Była w tym muzyka, jakby symfonia, która sprawiła, że przez chwilę stałam jak urzeczona. Potem zwróciłam uwagę na stado zbliżających się taksówek... ósma trzydzieści, deszczowy poniedziałkowy poranek. Nic z tego. Żadna lampka nie świeciła się, wskazując, że taksówka jest wolna, a z wozu stojącego za rogiem chciało skorzystać kilku zdenerwowanych przechodniów. Zrezygnowana, postanowiłam się spóźnić. Na moment odwróciłam wzrok i popatrzyłam na rodzinę po drugiej stronie ulicy. Poczułam dżgnięcie niepokoju. Matka zapatrzyła się w wózek, a szkrab, spuszczone z oka może na sekundę, wyszedł na jezdnię. Była właśnie krótka przerwa w ruchu, ale chłopczyk, w spranych dżinsowych spodenkach, czerwonej bufiastej kurteczce i włóczkowej czarnej czapeczce, znalazł się dokładnie na wprost nadjeżdżającej białej furgonetki. Spojrzenie na furgonetkę: kierowca rozmawiał z ozywieniem przez telefon komórkowy, najwyraźniej nieświadomy tego, co dzieje się na drodze przed nim.

Zawsze się mówi: „To było mgnienie oka”, ale ja pamiętam każdą sekundę. Byłam jak kula wystrzelona z karabinu, bezmyślna, mknąca przed siebie. Wbiegłam na ulicę. Pamiętam, jak młoda matka podniosła wzrok znad wózka,

kiedy ludzie zaczęli krzyżeć. Widziałam, jak zmienia się wyraz jej twarzy: najpierw zmieszanie, potem przerażenie. Widziałam, jak ludzie na chodniku odwracają się, żeby popatrzeć; widziałam nieświadomego niebezpieczeństwa chłopczyka idącego w moją stronę. Czułam twardego beton pod stopami, słyszałam, jak krew pulsuje mi w uszach. Całkowicie skoncentrowałam się na dziecku. Popatrzyło na mnie nagle z wstydlivym uśmiechem, kiedy biegnąc z wyciągniętymi ramionami, nachylałam się do niego. Wszystko, poza mną, zwolniło; czas wypaczył się i ziewnął, ale ja mknęłam jak rakietka. Poczułam ciepło jego ciała, miękkość jego kurteczki, kiedy podnosiłam go jednym ramieniem. Zobaczyłam kratownicę furgonetki i poczułam metal zderzaka na stopie, kiedy robiłam nura, żeby odskoczyć. Patrzyłam, jak furgonetka jedzie dalej Pierwszą Aleją, nie zwalniając, jakby cały dramat, który rozegrał się przed chwilą, umknął uwadze kierowcy. Byłam spięta, z determinacji i strachu zgrzytałam zębami, ale odprężyłam się, kiedy usłyszałam płacz chłopczyka i zobaczyłam, że patrzy na mnie przerażony. Jego matka podbiegła i wyrwała mi go, szlochała w kurteczkę dziecka. Pochlipywanie małego przeszło w ryk, jakby jakiś pierwotny instynkt podpowiedział mu, że właśnie uciekł z wielkiej ciemności. Przynajmniej na razie. Ludzie otoczyli mnie, patrzyli zaaferowani. Pytali, czy dobrze się czuję. Ja odpowiadałam, że tak.

A więc sądzicie, że zrobiłam dobry uczynek. Wszystko szczęśliwie się skończyło. Zgoda. Każdy, kto ma przyzwoity refleks i zdrowe serce, postąpiłby tak samo. Ale tu chodzi o te małe rzeczy, o których mówiłam. Na rogu Pierwszej Alei i Jedenastej ulicy stał za mną fotograf „New York Post”. Wracając po zrobieniu zdjęć jakimś ważnym oprychom w dziewiątym komisariacie. Zajrzał do Pięciu Róż, czy są otwarte. O wpół do dziewiątej, oczywiście, pizzeria była zamknięta. Wstąpił więc do Black Forest Bakery na rogu, żeby kupić kawę i ciastko. Leżały teraz na ziemi, u jego stóp, gdzie rzucił je, w pośpiechu sięgając po aparat. Utrwalił wszystko na kliszy.

## Rozdział 3

To musiał być martwy tydzień, jeśli chodzi o wydarzenia, a zarazem zdjęcia zrobione przez fotoreportera „Posta” były dość sensacyjne. Połączenie obu tych rzeczy sprawiło, że miałam swoje pięć minut. Cóż mam powiedzieć? Weszłam w to. Nie jestem nieśmiała i lubię mówić, więc udzielałam

wywiadów na lewo i prawo: dla „Good Day New York”, „The Today Show”, „Post”, „Daily News”. Mój telefon się urywał i to było całkiem zabawne. Nawet rodzice świecili odbitą chwałą w „Record” z New Jersey. Oni też nie są nieśmiali.

Do piątku moja twarz pojawiła się we wszystkich programach lokalnych telewizji i w każdej gazecie na terenie trzech stanów. Było też trochę sławy ogólnonarodowej, że względu na informację w CNN. Ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, żeby mnie uściskać albo podać mi rękę. Nowy Jork i tak jest trochę dziwnym miejscem, ale kiedy człowiek zostaje „słynnym nowojorkczykiem”, to robi się ono wprost surrealistyczne. Miasto, które jest tak tragicznie samotne, mimo tłumów na ulicach, nagle jakby pokazuje twarz i się uśmiecha. Sądzę, że kiedy ktoś zrobi w Nowym Jorku dobry uczynek, czujemy, że nie jesteśmy samotni, że dostrzegamy siebie wzajemnie mimo dowodów na coś wręcz przeciwnego.

- Nie rozumiem cię, Rid — powiedział Zack przy drinku w NoHoStar.

Gwar rozmów unosił się i odbijał od wysokich sufitów restauracji, a zapachy azjatyckiej kuchni mieszały się z wonią ciepłego pieczywa stojącego w koszyku na naszym stole. Patrzyłam na dobrego przyjaciela z wdzięcznością, bo był nim zawsze.

- Co? Nie sądziłeś, że to we mnie siedzi? - zapytałam z uśmiechem.

Pokręcił głową. Znowu pojawił się ten wyraz twarzy, tęsknota, żal i coś jeszcze, czego nie umiałam określić. Odwróciłam oczy; poczułam się dla niego ciężarem.

- Uwierz mi. Wiem, co w tobie siedzi. Jesteś taka od dzieciństwa: obrończyni słabszych, cheerleaderka upośledzonych. - Czy w jego głosie nie pojawił się aby leciutki ton niechęci?

- Ktoś musiał to zrobić - powiedziałam, podnosząc do ust drinka.

- Ale dlaczego ty? - zapytał. - Ta kobieta powinna lepiej pilnować dziecka. Oboje mogliście zginąć.

Wzruszyłam ramionami. Nie widziałam sensu w osądzaniu i analizowaniu jednej chwili z czyjśóg życia. Po prostu byłam zadowolona, że jestem tutaj. On jednak mówił dalej, jakby dostał słowotoku.

- I te wszystkie twoje zdjęcia... daj spokój. Psychole będą teraz wyłazić ci spod dywanu. Powinnaś była trzymać się od tego z daleka. - Pokręcił głową na znak dezaprobaty, ale widziałam troskę i szacunek, które się za tym kryły. Był dobry, a moje szczęście obchodziło go ponad wszystko.

- O, tak. - Roześmiałam się. -I pozwolić, żeby furgonetka skosiła małego.

- Lepiej żeby jego niż ciebie - uciał, unosząc brwi.

- Ty zachowałbyś się tak samo - powiedziałam z uśmiechem. Pierwszy rzuciłby się przed maskę wozu, żeby ratować to dziecko - przy okazji, chłopiec nazywał się Justin Wheeler i miał trzy lata. Czy już wspominałam, że Zack był pediatrą, tak jak mój ojciec? (I pracowali razem w paru klinikach. Widzicie teraz, jak trudne było zerwanie?) Całe życie poświęcał dzieciom, a ja nie spotkałam nikogo, włączając ojca, kto tak pasjonowałby się pracą.

- Mówię poważnie - odparł, łagodniejąc i odpowiadając na mój uśmiech. - Uważaj na siebie, póki to nie przyschnie.

Stuknęłam się z nim kieliszkiem.

- Za bohaterkę. Za moją bohaterkę - powiedział.

Sprawa, oczywiście, przycichła i moje życie wróciło do normalnego rytmu. Zauważyłam, że w następny poniedziałek, tydzień po tym, jak wyrwałam Justina spod furgonetki, telefon przestał dzwonić w sprawie udzielenia wywiadu. Zadzwoniła do mnie natomiast redaktorka z „Vanity Fair” w sprawie artykułu, który chciałam napisać o Umie Thurman. Umówiłyśmy się na wtorkowe popołudnie. Poszłam spać, nadal podniecona swoimi pięcioma minutami sławy, ale szczęśliwa, że wszystko wróciło do normy.

Następnego dnia ubrałam się jak na dorosłą osobę przystało i pojechałam taksówką na przedmieście, do redakcji „Vanity Fair”. Odbiłam krótkie spotkanie z redaktorką, wiecznie zajęta, nieprawdopodobnie szykowną starszą panią, z którą zdarzało mi się już wcześniej współpracować. Zakładając, że Thurman zgodzi się na ten artykuł, dogadałyśmy się co do honorarium, terminu oddania tekstu do druku, po czym się rozstałyśmy. Do śródmieścia wróciłam pociągiem. Zmitrężyłam trochę czasu w St. Mark's Book i pobawiłam się myślą, żeby zacząć pisać powieść. Do domu poszłam na piechotę, po drodze u ulicznego sprzedawcy kupiłam trociczki o zapachu drzewa sandałowego; westchnęłam, przechodząc obok Luki na rogu Ósmej (to mekka mojej gotyckiej młodości) i Drugiej Alei.

Gdy dotarłam do mieszkania, już się ściemniało, było mi zimno w czarnej gabardynowej garsonce tahari, a stopy protestowały z jękiem przeciwko wspaniałym, ale uciskającym boleśnie skórzanym butom Dolce i Gabbany. Postanowiłam jednak, że będę znosić męki w tych bezwstydnie drogich (ale jakże cudownych) ciuchach. Dla mody trzeba cierpieć. Wyszarpnęłam kolejny plik poczty ze skrzynki, zdjęłam buty i pobiegłam po schodach na górę do mieszkania.

Mieszkanko mam małe - w porządku, miniaturowe - z minimalną przestrzenią na składowanie rzeczy. Właściwie, to jest w nim tylko jedna szafa ścienna w końcu korytarza, który biegnie równoległe do sypialni i prowadzi

donikąd. Podobało mi się jednak, że skąpa przestrzeń ogranicza liczbę gratów, które zebrałam przez całe życie. Miałam poczucie, że byłabym w stanie spakować się i wyprowadzić w jeden dzień, gdybym musiała to zrobić. Dawało mi to wrażenie komfortu. Było to dziwne, bo mieszkłam tu już prawie dziesięć lat i nie myślałam się stąd ruszać. W mieszkanku było coś takiego, co pozwalało mi się czuć zarazem zakorzenioną i wolną. Tego właśnie chciałam, i jeszcze wygodnych, wyściełanych mebli i wykładzin na drewnianej podłodze. Ściany świeżo pomalowano na subtelną, kremową odcień. Było przytulnie, znajomo... moja przestrzeń. A jednocześnie nie byłam przywiązana do niczego, co tutaj miałam.

Tego wieczora przebrałam się w najwygodniejsze, czarne spodnie do uprawiania jogi i bluzę, upięłam wysoko włosy i usiadłam na otomanie, żeby uporządkować pocztę. Zrobiłam stosiki: jeden z czasopismami, jeden na śmieci, jeden z rachunkami. I zaczęłam sortowanie.

Było to relaksujące i nie zaprzętało myśli, prosta czynność układania przedmiotów na właściwych miejscach. Wtedy dotarłam do koperty osiem na dziesięć, z moim nazwiskiem i adresem, nabazgranymi ręcznie, bez adresu zwrotnego. Było w tym coś dziwnego, chociaż koperta wyglądała zupełnie zwyczajnie. Gdy myślę o tym teraz, emanowało z niej ostrzeżenie, drżała od wewnętrznego zła, ale wtedy, oczywiście, zignorowałam to. Rozciąłam ją nożykiem i wyjęłam trzy kawałki papieru. Do tej pory nie mogę się nadziwić, jak takie proste przedmioty mogły zmienić wszystko, co wiedziałam o swoim życiu.

W kopercie był wycinek artykułu zamieszczonego w „Post” wraz z moim zdjęciem. Było też stare, pożółkłe zdjęcie zrobione polaroidem. Przedstawiło młodą kobietę w sukience w kwiatki, trzymającą na biodrze małą dziewczynkę. Kobieta stała sztywno, miała smutną twarz. Dziecko patrzyło na nią jasnymi oczami i uśmiechało się. Za nimi stał mężczyzna, wysoki, barczysty, nieprawdopodobnie przystojny, o pięknych rysach i ostrym, inteligentnym spojrzeniu. Trzymał władczym gestem rękę na ramieniu kobiety. W jego rysach było coś złego, chociaż nie bardzo wiedziałam, co to takiego. Poczulałam ucisk w gardle i nagły przypływ adrenaliny, aż ręce zaczęły mi drżeć. Kobieta z fotografii była tak uderzająco podobna do mnie, jakbym patrzyła na swój portret. Dziecko w jej ramionach mogłoby przypominać mnie z moich własnych zdjęć. Nagle uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam swoich fotografii z tak wczesnego dzieciństwa.

I była tam jeszcze kartka z numerem telefonu i pytaniem.

Było proste: „Czy jesteś moją córką?”.

## Rozdział 4

Potrzebna mi tylko chwila, żebym myślami przeniosła się do krainy dzieciństwa. Zamykam oczy i daję się opanować zmysłowym wspomnieniom. Aromaty z matczynej kuchni, zapach old spice'a i deszczu unoszący się wokół ojca wracającego wieczorem z pracy, moje zimne palce, bo ciało ojca zawsze było gorące, a w konsekwencji wszystko inne w domu zimne. Słyszałam, jak rodzice śmiali się albo śpiewali, czasem się kłócili, a potem wprost wrzeszczeli, kiedy zaczęło się źle dziać z moim bratem Ace'em. Pamiętam swój zielony szmaciany dywanik i tapetę Laury Ashley, maleńkie różyczki z miętowo-zielonymi łądzykami na białym tle. A wśród wszystkich wspomnień, które zostały mi z tamtych lat, tego wieczora, gdy stałam ze zdjęciem w dłoni, jedno odcinało się żywo i przerażająco od niewinnej i szczęśliwej reszty.

Miałam piętnaście lat, wróciłam późno ze szkoły (w liceum miałam mało rozumku). Choć nie pozwalano mi wsiadać z chłopakami do ich samochodów, dałam się podwieźć uczniowi starszej klasy. Nazywał się Frank Alvarez (szerokie ramiona, długie ciemne włosy, trochę patykowaty, ale seksowny). Kiedy znaleźliśmy się pod moim domem, próbował mnie pocałować. Pamiętam, że podkreślił w wozie ogrzewanie, że Van Halen grał w radiu, że z chłopaka emanowała jakaś desperacka seksualna energia i że zanadto skropił się wodą kolońską. Chyba to była woda Polo. Nie bałam się i chociaż się w nim nie „zabujałam”, jak zwykłyśmy mawiać my, słodkie podrostki, było mi przyjemnie i nie mogłam się doczekać, kiedy wysiądę z samochodu i zaczęę wydzwaniać do przyjaciółek.

Gdy weszłam do domu, rodzice siedzieli przy kuchennym stole z ponurymi minami. Ojciec trzymał w dłoniach kubek z kawą, a matka wyglądała, jakby płakała. Było trochę za wcześnie, żeby ojciec już wrócił do domu, i powinien gotować się obiad, ale kuchnia była zimna.

- O, Ridley - powiedziała matka, jakby zapomniała, że się spóźniłam. - Która godzina?

Matka była jak ptaszek, malutka, o delikatnych, regularnych rysach i wspinających kasztanowych włosach. Poruszała się z wdziękiem tancerki, podkreślając minione aspiracje nienaganną, wyprostowaną postawą i podniesioną do góry głową. Wyglądała dziesięć lat młodziej niż inne matki, które znałam, chociaż naprawdę była starsza od większości z nich.

- Idź teraz na górę, dobrze, kochanie? - powiedział ojciec, wstając. - Zaraz przyniesiemy ci coś do jedzenia. - Nie pił, ale już przechodził w wiek, który



potem nazwał etapem Ernesta Hemingwaya. Miał siwiejącą brodę i niewielki (coraz większy) brzuch. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt, miał potężne ramiona i wielkie dłonie. Kiedy mnie obejmował, wszystkie dziecięce troski znikwały. Ale wtedy mnie nie objął, tylko położył mi rękę na ramieniu i zaprowadził mnie do schodów.

Kiedy weszłam i zobaczyłam rodziców przy stole, pomyślałam, że będę miała kłopoty, bo byłam w samochodzie z Frankiem Alvarezem, ale szybko zrozumiałam, że byli zbyt zmartwieni jak na tak małe wykroczenie.

- Co się stało? - zapytałam.

Zanim ojciec zdołał odpowiedzieć, że schodów zbiegł jak burza Ace z wielkim plecakiem zwisającym z ramienia.

Brat i ja, chociaż wychowywali nas ci sami rodzice, w tym samym domu, mieliśmy zupełnie różne dzieciństwo. Jest starszy ode mnie o trzy lata. Lubił to, co ja odrzucałam; buntował się, kiedy ja byłam posłuszna; był smutny i zły, kiedy ja byłam szczęśliwa. Przez długi czas był dla mnie ucieleśnieniem szyku: przystojny jak gwiazdor filmowy, z tymi czarnymi jak smoła włosami, oczami niebieskimi jak lód, widoczną muskulaturą i wydatną szczęką. Wszystkie moje przyjaciółki kochały się w nim, a gdybyście mi powiedzieli, że wstawał pięć minut przede mną i zawieszał słońce na niebie, tobym uwierzyła.

- Dokąd idziesz? - zapytałam, bo nie tylko plecak, ale i nieomal dotykająca aura, która z niego emanowała, świadczyła, że porzuca dom na zawsze. Groził tym milion razy i zawsze przegrywał z rodzicami. Zrobiło mi się niedobrze, że tym razem wygrał. W duszy poczułam strach i smutek, kiedy przepychał się obok mnie.

- Byle, kurwa, dalej stąd - powiedział, patrząc na ojca.

- Ridley, idź na górę - poprosiła matka. - W jej tonie usłyszałam rozpacz. Poszłam powoli, ciągnąc za sobą rękę po balustradzie. Patrzyłam na tych troje ludzi, których kochałam. Byli tak smutni i wściekli na siebie, że ledwie ich rozpoznawałam. Wyglądali szaro, twarze mieli martwe, jak z kamienia.

Nie pamiętam, kiedy między Ace'em, a ojcem panował pokój. Zawsze gdy byli razem, tylko kwestią czasu było rozpoczęcie awantury. W ostatnich miesiącach przed odejściem Ace'a było coraz gorzej.

- Nigdzie nie pójdziesz, synu - powiedział ojciec. - Pomożemy ci.

- Nie chcę waszej pomocy. Już za późno. I nie jesteś moim ojcem, więc nie nazywaj mnie synem.

- Nie mów tak, Ace - zaprotestowała matka, ale mówiła cichym głosem, a w oczach miała łzy.

- Ridley! - ryknął ojciec. - Idź na górę.

Pobiegłam, a serce biło mi w piersi jak werbel. Leżałam na łóżku w ciemności i nasłuchiwałam odgłosów ich wrzasków. Byli daleko, po drugiej stronie domu, więc nie słyszałam słów, ale też nie chciałam ich słyszeć. Kiedy Ace wychodził, trzasnął frontowymi drzwiami tak mocno, że poczułam wibracje w swoim pokoju. Potem nastąpiła cisza, którą przerwał szloch matki. Wreszcie usłyszałam kroki ojca na schodach. Ace nigdy nie przestąpił już progu rodzinnego domu i tego wieczoru zrozumiałam, że nie każde zakończenie musi być szczęśliwe.

Gdzieś tam, z tyłu głowy, znalazłam zablokowane wspomnienie słów, które wypowiedział Ace. Chyba postanowiłam przyjąć, że to tylko jego gniew, uzależnienie od narkotyków, a może obie te rzeczy naraz sprawiły, iż powiedział „nie jesteś moim ojcem”. Kiedy potem zapytałam o to tatę, odparł:

- Ace miał na myśli, że chciałby, żebym nie był jego ojcem. Ale jestem nim i nic tego nie zmieni, bez względu na to, co zaszło pomiędzy nami.

- Hm, ja się cieszę, że jesteś moim ojcem, tato - oświadczyłam, pragnąc samej lepiej się poczuć i jego pocieszyć.

Kiedy tak siedziałam w mieszkaniu z tymi papierami w ręku, znów usłyszałam słowa Ace'a, i tym razem nie potrafiłam ich uciszyć. Były jak klucz otwierający pudełko z nieskończonością pytań, które wisiały na skraju mojej świadomości od lat, a ja nie miałam na żadne z nich odpowiedzi. Były to małe sprawy, które łatwo byłoby objaśnić... chyba że nie dałoby się tego zrobić. Na przykład: dlaczego nie ma zdjęć przedstawiających moją matkę w ciąży? Dlaczego nie ma moich zdjęć, zanim ukończyłam dwa lata? Dlaczego nawet trochę nie jestem podobna do nikogo w mojej rodzinie? Te drobne pytania dążyły teraz ku mnie jak ćmy do światła.

Lekko spanikowałam, poczułam się zaszokowana. Wtedy przypomniałam sobie rozmowę z Zackiem. „I te wszystkie zdjęcia przedstawiające ciebie... zapomnij. Psychole będą teraz wyłazić ci spod dywanu”.

Jasne, miał rację. To jest Nowy Jork; wariatom nie trzeba wiele, żeby przystąpili do akcji. Trzymałam w ręku zdjęcie z polaroidu. Może ta kobieta jednak nie była aż tak do mnie podobna.

Zrobiłam to, co zawsze robię w czasach kryzysu, małego czy wielkiego. Podniosłam słuchawkę, żeby zadzwonić do ojca. Zanim sobie to uświadomiłam, już trzymałam ją w ręku, klawiatura czekała, aż wystukam numer. Ale palec zawisł nad cyferkami, zawahałam się. Krew pulsowała mi w uszach. Gapiłam się na aparat, znieruchomiała. Głupie, prawda? Dzwonić w tak bezsensownej sprawie. Z oddali, spoza sygnału w słuchawce dobiegło mnie uporczywe stukanie.

Dźwięk zaskoczył mnie i potrwało chwilę, zanim zrozumiałam, że ktoś stoi pod drzwiami mojego mieszkania. Wróciłam do rzeczywistości, przeszłam przez pokój i spojrzałam w wizjer. W korytarzu stał obcy mężczyzna, ale uchyliłam nieco drzwi. Wiem, co pomyślicie. Któryż to nowojorczyk otworzyłby drzwi przed obcym, szczególnie w takiej chwili, po otrzymaniu takiego listu?

Nowojorczyki wcale nie są rozumniejsi od innych ludzi. Jesteśmy po prostu trochę bardziej paranoiczni. Ale ja byłam zbyt oszołomiona, żeby myśleć o ostrożności. Poza tym facet, którego zobaczyłam przez wizjer, zainteresował mnie. Był okej. Otworzyłam drzwi i spojrzałam na niego. Marszczył czoło i trzymał ręce na biodrach.

Poczułam tę chemię, rozumiecie. Tę małą wibrację, która mówi, że seks z nim byłby dobry, naprawdę dobry. Czuje się to w płucach i między nogami. To nie ma nic wspólnego z wyglądem, lecz łączy się z rejestracją obrazu: ciemnobrazowe, prawie czarne włosy, krótko ostrzyżone, tak krótkie, że niemal jak meszek, głębokie brązowe oczy, słodkie wargi, które już sobie wyobrażałam między swoim obojczykiem a szyją. On też to poczuł. Domyśliłam się. Przez chwilę wyglądał na mniej podenerwowanego.

- Słuchaj - powiedział, odzyskując kontenans - jeśli przeszkadza ci hałas, to wystarczy, że zapukasz i powiesz mi. Nie musisz od razu biec do właścicielki.

Wszystko w nim pasowało do siebie doskonale i składało się na jeden zwarty, szczupły kontur. Był dobrze zbudowany, ale nie nadmiernie umięśniony, jakby miał w sobie utajoną siłę. Widziałam fragmenty jego tatuażu pod prawym rękawem koszuli.

- Trafiłeś do niewłaściwych drzwi - odparłam, powściągając uśmiech. Czekałam na objawy zakłopotania z jego strony. — Ja nie rozmawiałam z właścicielką.

Informacja wisiała między nami przez sekundę, a potem on powiedział jedyną rzecz w tej sytuacji na miejscu.

- Och! - Skrępowane milczenie, przestępowanie z nogi na nogę. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy - rzuciłam i zamknęłam drzwi.

Był super. Ale ja byłam oszołomiona otrzymanym listem. Logiczna Ridley widziała jasno, że to dziwacznym wybryk pokrętnego umysłu. Ale była też inna Ridley, trochę wystraszona, trochę zaniepokojona, refleksyjna. Pytań pojawiało się zbyt wiele. Należało znaleźć odpowiedzi.

Zamknęłam drzwi i patrzyłam przez wizjer, jak odchodzi. Oparłam się o ścianę przy drzwiach i przez minutę odzyskiwałam równowagę. Wszystko

wokół mnie wydawało się lekkie, a ja czułam tę lekkość w głowie i żołądku. Nie potrafię wam wyjaśnić, dlaczego tak było, może przeżywałam rodzaj szoku. Nie wiem, jak długo tak stałam.

W końcu wróciłam na kanapę i ponownie wzięłam do ręki fotografie i kartkę. Wizyta sprawiła, że nie zadzwoniłam do taty, i teraz nie było to już tak istotne jak chwilę wcześniej. Odłożyłam list i fotografie na stolik i wyciągnęłam się na kanapie, za dużej do tego pokoju, ale uwielbiałam ją, bo była wygodna jak uścisk ramion. Naszedł mnie zniecałkowany gorący, wilgotny smutek. Bardzo płakałam, ale starałam się nie szlochać. Ściany i drzwi były cienie, a ja nie chciałam, żeby ktoś to usłyszał, szczególnie ten apetyczny, wytatuowany, co mieszka piętro wyżej.

## Rozdział 8

**M**ało się o tym wie, ale rodzice są jak supermani. Za pomocą kilku magicznych słów mogą sprawić, że człowiek poczuje się o wiele wyższy i odporny na kule, potrafią zabijać smoki wątpliwości i zmartwień, likwidują kłopoty. Ale umieją to robić, oczywiście, tylko dopóki jest się dzieckiem. Kiedy człowiek dorasta i staje się panem swojego wszechświata, nie są już tak potężni, jak kiedyś. Może właśnie dlatego tak wielu z nas ociąga się z osiągnięciem dorosłości.

Po niespokojnej nocy i bardzo nieproduktywnej środzie, kiedy to największym moim dokonaniem było pranie w automatycznej pralni na dole i zrobienie sobie kanapki z tuńczykiem, wyszłam z domu i skierowałam się na stację przy Christopher Street. Co środę, odkąd zaczęłam studia w tym mieście, jeździłam pociągiem na obiad do rodziców. Często przyjeżdżałam także w weekendy, ale środowa wizyta stała się już rytuałem. Nieraz dołączali do mnie Esme i Zack, ale skończyło się to po zerwaniu zaręczyn. Było mi z tego powodu przykro. Ale jakaś część mojej duszy wstydliwie się z tego cieszyła. Podobało mi się, że mam rodziców wyłącznie dla siebie.

- Ridley, jak ci leci, kochanie? -Wcześniej tego dnia zadzwoniła do mnie Esme. Nadal dość często rozmawialiśmy i było to miłe. Pracowała jako pielęgniarka w rozmaitych gabinetach ojca, zanim jeszcze przyszłam na świat. Była raczej kimś w rodzaju uwielbianej ciotki i bliskiego przyjaciela niż pie-

łęgniarką zatrudnioną u ojca i matką mojego chłopaka. Kiedy zerwałam z Zackiem, najbardziej martwiło mnie, że stracę z nią kontakt.

- Zack twierdzi, że wyglądałaś na lekko zestresowaną- powiedziała niemal szeptem, jakby mówiła o jakimś krępującym kobiecym problemie. - Martwi się o ciebie.

Wiedziałam, że chciała dobrze. Ale nie sądzę, żebym podczas obiadu z Zackiem była zestresowana. Czy to nie dziwaczne, że ktoś ci mówi coś o tobie, co nie jest prawdą? Tacy ludzie są całkowicie pewni swoich racji, a im bardziej usiłujesz ich przekonać, że jest inaczej, tym bardziej się upierają.

- Nie, Ez - starałam się przybrać beztroski ton. - Ze mną wszystko w porządku.

- Naprawdę? - odparła, jakby rozmawiała z chorym umysłowo pacjentem. - To dobrze. Cieszę się, że się mylił.

Nie uwierzyła mi. Zaczęłam się zastanawiać: może rzeczywiście jestem zestresowana i jedyną osobą, która tego nie widzi, jestem ja sama.

I tego w sobie nienawidzę. Poddaję się wpływowi błędnych osądów wygłaszanych przez innych na mój temat. Pewnie wiecie, o co mi chodzi. Podczas rozmowy z Esmę zaczęłam się czuć naprawdę zestresowana. Druga rzecz, której nienawidzę, to myśl, że ludzie rozmawiają o mnie, orzekają, jak bardzo jestem zestresowana, litują się nade mną, a potem mi o tym mówią. Jest w tym kontrola i manipulacja. Tak, jakby chcieli, żebym czuła się nerwowo wyczerpana, a oni żeby mogli poczuć się silni i zjednoczeni, lepsi od biednej Ridley, która dźwiga na sobie taki ciężar stresu.

Gawędziłyśmy przez dłuższą chwilę o moim ostatnim artykule, o jej postępującym artretyzmie, o pomysłach na prezent urodzinowy dla mojej matki. Może to było tylko poczucie winy, ale nadal mi się wydawało, pół roku po fackie, że chodzimy na paluszkach wokół tego, że złamałam serce jej synowi i zniszczyłam jej marzenia o ślubie i wnukach.

W Hoboken przesiadłam się do innego pociągu i po półgodzinie dojechałam do miasta, w którym się wychowałam. Od stacji do domu rodziców był kwadrans marszu. Zbudowany w 1919 roku, ale zaopatrzony w armaturę i zmodernizowany w końcu lat osiemdziesiątych, stał między wielkim dębem a wiązami jak niezłomny bastion amerykańskości. Rozumiecie, było to jedno z tych miasteczek klejnotów ze sklepem wielobranżowym, oryginalnymi lampami gazowymi, wijącymi się uliczkami wysadzonymi rzędami drzew, ślicznymi domami na perfekcyjnie wypielegnowanych trawnikach, prawdziwy obrazek z pocztówki, szczególnie jesienią i na Boże Narodzenie. Było około czwartej, kiedy weszłam przez drzwi frontowe. Doleciał mnie zapach pieczeni.

- Mamo! - krzyknęłam, puszczając drzwi zewnętrzne, które zatrzasnęły się za mną.

- Och, Ridley. - Uśmiechnięta matka wyłoniła się z kuchni. - Jak się masz, kochanie?

Objęła mnie lekko, potem odsunęła na odległość ramion i przyjrzała się dokładnie, szukając śladów jakichkolwiek kłopotów: podkrążonych oczu, zmarszczek na podbródku, przybrania czy utraty wagi i czego tam jeszcze.

- Coś nie tak? - zapytała, mrużąc oczy.

To było zazwyczaj pierwsze pytanie, jakie mi zadawała, kiedy dzwoniłam albo przychodziłam do domu. Jakbym nie widziała ich od wieków. Dzwoniłam codziennie do gabinetu ojca, ale szczerze mówiąc, z matką rozmawiałam rzadko.

- Nie - odparłam, ściskając ją. - Oczywiście, że nie.

Kiwnęła głową, ale spojrzała na mnie w sposób, który przypominał mi, że ona zna mnie lepiej niż ja samą siebie i że kłamstwa są daremne. Czy wszyscy chcą, żeby ze mną coś działo się nie tak?

Była za mała w stosunku do mnie. Tam, gdzie ona była koścista i kancista, szczególnie w ramionach i rękach, ja byłam muskularna i okrągła. Tam, gdzie w biodrach i klatce była chłopięca, ja byłam pełna. Tam, gdzie rysy jej twarzy były drobne, delikatne, wyraziste, moje były łagodne, lekko zaokrąglone. Patrzyłam na jej twarz i nagle pomyślałam o kobiecie na zdjęciu, które otrzymałam ostatniego wieczora. Matka w ogóle nie była do mnie podobna; tamta, obca, była jak skóra zdarta ze mnie.

- Co z tobą Ridley? - zapytała, przechylając głowę na bok i wpatrując się we mnie lodowatoniebieskimi oczami.

- Kiedy tato wraca do domu? - odpowiedziałam pytaniem, odsuwając się od niej.

Poszłam do kuchni i otworzyłam drzwiczki piecyka. Mięso perkotało radośnie w pomidorowym sosie, a wysoka temperatura rozgrzewała mi policzki. Ulżyło mi, że nie muszę patrzeć na matkę.

- Zaraz będzie. - Ponieważ nic nie powiedziałam, zmieniła temat. -A więc skoczyłaś pod koła, żeby uratować jakiegoś brzdąca, rzuciłaś się do płonącego budynku... czy coś równie podniecającego?

- Nie. Tylko jeden dzieciak.

- Dobrze. Nie powinno ci to wejść w zwyczaj. Może ci zabraknąć szczęścia. - Poklepała mnie czule po tyłku.

Siedziałam przy kuchennym stole, a ona szczebiotała o swojej ochotniczej pracy w miejscowej szkole podstawowej, praktyce taty i jego pracy w kli-

nice dla dzieci biedoty, bez wynagrodzenia. Nie słyszałam ani słowa z tego, co mówiła. Nie dlatego, żeby mnie to nie interesowało. Po prostu pilnie nasłuchiwałam warkotu silnika samochodu ojca na podejździe.

- Czy ty mnie słuchasz?

- Oczywiście, mammo.

- Co właśnie powiedziałaś?

- Czyżby to była moja mała łamaczka serc? — zahuczał ojciec, wchodząc tylnymi drzwiami. Zaczął mnie tak nazywać od chwili mojego zerwania z Zakiem.

Wstałam i podeszłam do niego, nie mogąc się doczekać znajomych uścisków.

- Jak się masz, kochanie? - powiedział, przytulając mnie mocno.

- W porządku - odparłam z nosem w jego ramieniu.

- To dobrze - odparł z uśmiechem i poklepał mnie po policzku. - Nieźle wyglądasz.

Cieszyłam się, że przynajmniej on nie myśli, iż ze mną jest coś nie tak.

Coś było jednak nie tak. Przyniosłam z sobą zdjęcie i kartkę z notatką. Zastanawiałam się, czyby nie wyrzucić tego na śmieci, włożyć do kosza, gdzie jest miejsce na takie szpargały, i zapomnieć. Ale z jakiegoś powodu nie mogłam się do tego zmusić. Wyszłam ze swojego mieszkania bez koperaty, w połowie schodów zawróciłam jednak po nią na górę. Chyba chciałam im ją pokazać, żeby powiedzieli mi, że to śmieszne, a potem razem byśmy się pośmiali. Ha! Ha!

Po obiedzie siedzieliśmy najedzeni i spokojni w świetle starej lampy od Tiffany'ego wiszącej nad stołem.

- Wczoraj stało się coś dziwnego - oznajmiłam, wypełniając lukę w rozmowie.

- Wiedziałam, że coś się przydarzyło - odparła matka zadowolona z siebie.

- Mamusi - powiedziałam tonem, który, jak sędzę, precyzyjnie wyrażał, jak przewidywalna i irytująca bywa czasami dla mnie.

- Co takiego, Rid? - zapytał ojciec z zatroskaną twarzą.

Wyjęłam fotografię i notkę i pokazałam im. Przyglądałam się ich twarzom do chwili, kiedy stwierdziłam, że po przyswojeniu informacji za milisekundę zaczną mówić. Ale wyraz ich twarzy nic mi nie powiedział. Ojciec i matka zetknęli się głowami i razem patrzyli na fotografię. Ojciec wyciągnął okulary z kieszeni koszuli. Słyszałam pomruk lodówki i szum krwi w uszach.

Woda w imbryku zaczęła wrzeć, ale matka tego nie zauważyła. Zegar nad zlewem tykał spokojnie.

- Co to jest? - odezwał się w końcu ojciec. Był speszony, ale łagodnie się uśmiechał. - Jakiś żart?

- Nie rozumiem. - Matka szybko potrząsnęła głową. - Co to za ludzie?

Patrzyłam na nich. Ich reakcja była całkowicie niewinna i czekałam na ulgę, a nawet wstyd, że im to przyniosłam. Tego właśnie chciałam. Ale poczułam niewytłumaczalny gniew.

- Nie wiem, kim są. - Głos trochę mi się trząsał i rodzice popatrzyli na mnie. - To przyszło wczoraj z moją pocztą.

- I... co?

- I spójrz na to - powiedziałam, stukając palcem w zdjęcie. - Ta kobieta wygląda zupełnie jak ja.

Ojciec udał, że przygląda się dokładniej.

- No, jest trochę podobna. I co z tego?

Spostrzegłam, że matka popatrzyła na fotografię tylko raz, nie zrobiła tego ponownie. Odchyliła się natomiast do tyłu i spojrzała na mnie. Nie potrafiłam niczego wyczytać z jej oczu.

- Ten człowiek uważa, że jestem jego córką.

- Skąd wiesz, że to ten? - zapytała bez sensu matka.

- Tak po prostu myślę - odparłam słabo. - Charakter pisma jest męski. Nie wiem. - Westchnienie. - Ot, tak jakoś.

W tym momencie ojciec zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Roześmiał się głębokim śmiechem z przepony.

- Kochanie — odezwał się wreszcie. — To śmieszne.

- Doprawdy, Ridley - wtrąciła matka. - To nie jest zabawne.

Popatrzyłam na nich, ściągnęłam łopatki.

- Nie próbuję być zabawna, mamę. Dostałam to wczoraj z pocztą i... to mi nie daje spokoju. Mam pytania.

- Hm. Jakież to pytania? - spytał ojciec; już się nie śmiał. - Niemożliwe, żebyś choć przez chwilę sądziła, że nie jesteś naszą córką. Ten człowiek zrobił sobie żart twoim kosztem, Ridley.

- Jesteś mądrzejsza niż to, prawda? - zapytała matka, kręcąc głową. - Od ponad tygodnia twoja twarz pojawia się we wszystkich dziennikach telewizyjnych i pismach. Jacyś wariaci mogą sądzić, że przypominasz kogoś, kogo znali lub mogli znać. A on albo jest szalony i myśli, że jesteś jego córką... albo chce się z tobą spotkać. To jest strasznie głupie.

Nic nie powiedziałam, miałam coraz więcej wątpliwości.



- Dlaczego nie ma moich zdjęć sprzed okresu, kiedy miałam dwa lata? - zapytałam bardziej dziecinnym tonem, niż chciałam.

- O Chryste - westchnęła matka. - Teraz ty zacznasz mówić jak Ace.

Nie znosiłam, kiedy rodzice porównywali mnie z nim, z dzieckiem, które tak ich rozczarowało i zraniło. Z człowiekiem, który wolał ulicę i życie ępu-na niż ich dom i ich miłość. Człowiekiem, który przysporzył im tyle cierpienia przez wszystkie te lata. Skurczyłam się, ale nic nie powiedziałam. Wpatrywałam się w nią, aż wreszcie odpowiedziała.

- Mówiłam ci, że trzymaliśmy fotografie w szafie, w piwnicy. Piwnica została zalana i zdjęcia uległy zniszczeniu. Wszystkie twoje zdjęcia: i ze szpitala i jak zabieraliśmy cię do domu i z niemowlęctwa i z wczesnego dzieciństwa.

Mówiła mi już o tym, ale zapomniałam. Zaczynałam się czuć trochę niepewnie. Coś jednak sprawiało, że naciskałam mocniej.

- I, jak sądzę, wszystkie twoje zdjęcia z czasu ciąży także były w tamtym albumie.

- Nie - odparła powoli, przeciągając sylabę, jakby mówiła do małego dziecka. - Miałam bardzo wielki brzuch podczas obu ciąży i wstydziłam się przed obiektywem. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale byłam wtedy młoda.

Moja matka była piękną kobietą o kremowej skórze i migdałowych oczach. Miała szerokie usta, które mogły wykrzesać uśmiech zdolny przyćmić gwiazdy na niebie. Ale kiedy wpadała w złość, jej piękno zamieniało się w granit. Była jedną z tych matek, które nie muszą powiedzieć ani słowa, żeby udzielić reprimendy: wystarczy jedno spojrzenie... i zamierasz. Teraz spojrzała na mnie właśnie w ten sposób i musiałam odwołać się do całej swojej głęboko ukrytej odwagi, żeby wytrzymać jej wzrok.

Nachyliłam się ku nim.

- Nie jestem do nikogo podobna.

Matka odwróciła wzrok i odchrząknęła z niesmakiem. Wstała od stołu i poszła do piecyka. Ojciec patrzył za nią z niepokojem. Zawsze ulegał jej nastrojom, a we mnie narastała odwieczna niechęć do tego zachowania, ale siedziałam cicho. Spojrzał znowu na mnie.

- To nieprawda, Ridley - powiedział. - Jesteś bardzo podobna do mojej matki. Wszyscy zawsze tak mówili, nie pamiętasz?

Przypomniałam sobie, kiedy o tym wspomniał. Wokół oczu było jakieś podobieństwo. Odziedziczyłam jej ciemne włosy i wystające kości policzkowe. Na sekundę zaświtało mi, że chyba straciłam rozum. Że cierpiałam na jakiś rodzaj stresu po traumie. Wiecie, ciągle się o tym słyszy w programach

takich jak *Dateline*. O ludziach, których świat traktował jak bohaterów przez kilka dni, a potem zapominał, że cierpią, że są załamani. Może to właśnie działo się ze mną? Może odgrywałam dramat, bo potrzebowałam uwagi, którą darzono mnie przez kilka dni.

- Ale co z Ace'em? - nalegałam. - Z tym, co powiedział tamtego wieczoru.

- Jak możesz chcieć, żebym ci wyjaśnił to, co Ace powiedział? - odparł ze smutkiem ojciec, a ja zrozumiałam, jak zraniło go to wspomnienie. Nagle w powietrzu wokół nas pojawiło się napięcie wywołane jego żalem do syna, który żył, ale postanowił być martwy dla rodziców. - Już go nawet nie znam.

Przez chwilę panowało milczenie; matka stała przy piecyku z założonymi na piersiach rękami i pochyloną głową, ojciec siedział naprzeciwko mnie, przy stole, wbijał we mnie spojrzenie, zarazem błagalne i oskarżające, a ja opierałam się o krzesło i próbowałam sobie wyjaśnić, dlaczego przyszłam z tym do nich i dlaczego z taką pasją naciskałam, żeby odpowiadali na moje pytania, i dlaczego serce mi waliło, a w gardle miałam sucho od nadmiaru adrenaliny.

Ojciec popchnął zdjęcie w moją stronę, podniosłam je i przyjrzałam mu się bliżej. Straciło moc; była na nim po prostu para z dzieckiem. Obcy ludzie.

- Przepraszam - powiedziałam, wsuwając zdjęcie z powrotem do kieszeni. Wstyd palił mi policzki i wyciskał łzy z oczu. - Nie wiem, co myślałam.

Ojciec nachylił się, żeby dotknąć mojego ramienia.

- Byłaś pod wpływem stresu, Ridley, po tym wszystkim, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu. Ktoś to wykorzystuje. Myślę, że powinnaś zadzwonić na policję.

Przewróciłam oczami.

- I co miałabym im powiedzieć? Że jakiś list bardzo mnie wystraszył?

Wzruszył ramionami i popatrzył na mnie ze współczuciem, na które chyba nie zasługiwałam. Matka wróciła do stołu z kubkami herbaty. Usiadła i zaczęła mi się przyglądać. W jej wzroku było coś, czego wcześniej nie widziałam, ale to coś szybko znikło. Myślałam, że to pogarda za mój brak wiary, za moją chęć zranienia ich.

- Przepraszam, mamo.

- W porządku, kochanie. Rozumiem, jak doszło do tego zamieszania. Szczególnie przy całym tym stresie. - Po jej tonie zgadłam, że niczego nie rozumie i że to nie jest w porządku.

Później, kiedy jechałam pociągiem do centrum, patrzyłam, jak za oknem przesuwały się przedmieścia. Siedziałam, trzymając nogi wysoko, a głowę miałam przyciśniętą do szyby. Zjadłam z rodzicami lody czekoladowe na

j

deser, pomogłam matce uprzątnąć kuchnię i wyszłam. Matka zachowywała się wobec mnie zimno i tylko lekko mnie uściśnieła, kiedy się żegnałam. Taka była. Wymagała absolutnej lojalności; jakiegokolwiek uchybienie i mroziła mnie, dopóki nie odprawiłam pokuty.

Wyższego rzędu komunikacja skończyła się między nami przed laty, zaakceptowałam łączność rodzicielską na poziomie komórkowym. Matka była w stanie znieść utratę jednego dziecka i zrzucić z siebie winę na jego uzależnienie. Ale utrata obojga dzieci - a moje pytania uznała za rodzaj straty - spowodowałyby, że musiałyby zacząć szukać winy w sobie. A do tego nie była skłonna. Jako dziecko bałam się jej gniewu i rozczarowania. Jako dorosła potrafiłam je przyjąć, choć z rezerwą. ale się czułam po tej wizycie, nie rozumiałam, dlaczego anonimowy liścik i fotografia obcych ludzi tak mną wstrząsnęły.

Kiedy przedmieścia zamieszkane przez wyższą klasę średnią ustąpiły miejsca ruinom Newark, pomyślałam o bracie. Nienawidziłam go. Nienawidziłam go tak, jak dzieci nienawidzą upadłych herosów. Nienawidziłam go za jego nieograniczony potencjał i porażkę przy jego realizacji. Nienawidziłam go, bo rozumiałam, jaki jest wspaniały, błyskotliwy, piękny i jak odwrócił się plecami do wszystkiego, czym mógłby być, odrzucił to jak garnitur od drogiego krawca, za który zapłacił nieprzyzwoite pieniądze i nigdy go nie włożył. A jednocześnie kochałam go za to wszystko. Litowałam się nad nim, martwiłam się o niego, uwielbiałam go i gardziłam nim. Pamiętałam, jak mnie szczypał, gonił, drażnił, ścisnął, pocieszał. W sercu miałam otwartą ranę, którą mi zadał. Kiedy o nim myślałam, zawsze wzbierało we mnie tsunami uczuć.

Ace zadał rodzicom ból: narkotyki, wykroczenia, aresztowania za posiadanie środków odurzających, wreszcie porzucenie domu po ukończeniu osiemnastu lat. W porównaniu z nim byłam aniołkiem. Robiłam to, co zwykle się robi, kłamałam, czasem trochę wypijałam, dałam się przyłapać z papierosem. Ale poza tym miałam same piątki, pisywałam do szkolnej gazetki, miałam sympatycznych przyjaciół, którzy podobali się moim rodzicom. Żadnych dramatów.

Uważałam, że powinnam być dla nich dobra, że im się to należy. Może w głębi duszy uznałam, że jeśli przysporzę im jeszcze więcej zmartwień, to zniszczę ich. Więc robiłam, co do mnie należało, i wystrzegałam się kłopotów.

Nigdy nie rozmawialiśmy o nim, odkąd opuścił dom. Naprawdę nigdy. Ile razy wymawiałam jego imię, matka wybuchała płaczem i wybiegała z pokoju. Wszyscy udawaliśmy, że nigdy z nami nie mieszkał. Ta cisza sprawiła, że wyrósł w moich myślach na mityczną postać. Piękny buntownik, zbyt inteligentny, zbyt wrażliwy na nasze normalne życie. Wyobrażałam go sobie jako muzyka albo poetę szwendającego się po kafejkach, ze stoickim spokojem

znoszącego ból niezrozumianego geniusza. Po cichu, gdzieś w głębi duszy, żywiłam żal do rodziców, że pozwolili mu odejść.

Po tym strasznym wieczorze, kiedy wyszedł z domu, nie widziałam go, aż do pierwszego roku moich studiów w Uniwersytecie Nowojorskim. Mieszkałam w akademiku przy Trzeciej Alei i Jedenastej ulicy. Nie wiem, w jaki sposób mnie znalazł, ale kiedy pewnego ranka wyszłam z budynku na ćwiczenia, zobaczyłam go na rogu. Skórę pokrywały mu czerwone plamy i nawet na odległość metra czułam smród jego niemytego ciała. Twarz miał zapadniętą. Ogolił długie ciemne włosy, które zawsze tak kochałam, a na czaszce wyrósł mu czarny meszek, spod którego prześwitywały maleńkie blizny. Jego niebieskie oczy, oczy mojej matki, były jasne i głodne.

- Cześć, mała - powiedział.

Musiałam stać zbyt długo z rozdziawionymi ustami, bo skurczył się pod moim spojrzeniem i rzucił:

- Czy aż tak źle wyglądam?

- Nie... - wydusiłam z siebie. Czułam się dziwnie, rozdarta między chęcią ucieczki od tego człowieka, o którym nawet nie wiedziałam, czy jeszcze żyje, a uściśnięciem brata, bohatera, którego utraciłam i opłakiwałam.

Jakając się, wykrztusiłam:

- Jak się masz? - Na więcej się nie zdobyłam.

- Hm... dobrze - odparł, przesuwając wstydliwie dłonią po głowie. I wtedy zauważyłam ślady na jego nadgarstkach. Odsunęłam się o krok. Pamiętacie ten epizod z *Batmana*, kiedy wszyscy myślą, że został przestępcą i przeszedł na ciemną stronę po tylu latach, gdy jako Rycerz w Pelerynie ratował Gotham przed Pingwinem i Jokerem? Tak właśnie myślałam tamtego dnia o moim bracie. Było w tym niedowierzanie, było i przerażenie. Ale przede wszystkim głęboki, dojmujący smutek, że bohater mojego dzieciństwa upadł za sprawą sił zła.

- Słuchaj - powiedział. - Masz jakieś pieniądze? W tym tygodniu dostałem grypy i nie mogłem pracować. Chcę coś zjeść.

Dałam mu wszystko, co miałam w portmonetce. Chyba jakieś dwadzieścia pięć baksów. Rodzice nie dowiedzieli się o tym, ale od tamtego dnia > widywałam go raz na miesiąc. Zazwyczaj spotykaliśmy się u Veselki przy Drugiej Alei. On zawsze brał knysz, a ja zamawiałam placki ziemniaczane. Siedzieliśmy w zatłoczonej knajpie w East Village, w której nikt nie zwracał uwagi na ćpuna i hippisującą (coż, taka jestem) studentkę (później wielkomiejskiego profesjonalistę) siedzących naprzeciw siebie. On opowiadał bzdury, że chce z tego wyjść. Ja dawałam mu pieniądze. Wiedziałam, że nie

powinnam tego robić. Cóż tu powiedzieć? Byłam klasycznym pomagaczem. Ale bardzo go kochałam, a to był jedyny sposób, żeby się ze mną spotykał. I nawet sobie nie chcę wyobrażać, co by zrobił, żeby zdobyć pieniądze, gdybym mu ich nie dawała. A było mnie stać i to był kolejny powód.

Czasem znikał na całe miesiące i nie miałam od niego wieści. Rzadko udawało mi się go odnaleźć. Przez jakiś czas mieszkał w pustostanie, w hiszpańskim Harlemie, a przynajmniej tak twierdził, później był na Lower East Side. Nigdy nie byłam tego pewna. Kiedy nie miałam od niego wiadomości, czułam się chora, nawiedzał mnie strach. Zamieściłam kiedyś ogłoszenie na tylnych stronicach „Villager Voice”, nie wiedząc nawet, czy je przeczyta. Był to akt rozpacz, który nie przyniósł spodziewanych skutków. Ale wreszcie skończyły mu się pieniądze albo poczuł się samotny i znów do mnie zadzwonił. Nie pytałam go, gdzie był, co robił, dlaczego nie dawał znaku życia. Nie pytałam, bo bałam się, że znów odejdzie.

- Kiedy wreszcie zmądrzejesz? - dopytywał się Zachary. - On cię wykorzystuje. I cię nie kocha. Tacy ludzie nawet nie wiedzą, co to miłość.

Tego właśnie Zachary nie rozumiał w miłości. Kiedy się kogoś kocha, to naprawdę nie ma znaczenia, czy z wzajemnością. Miłość w sercu, którą żywi się do kogoś, sama w sobie jest nagrodą. Albo karą, zależnie od okoliczności.

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem w Hoboken i wysiadłam z tłumem zmierzającym do śródmieścia. Musiałam się przepchnąć do pociągu PATH, który całą wieczność włókł się na Manhattan. Christopher Street poszłam do domu. Zimne powietrze i długi spacer sprawiły, że poczułam się lepiej, a wspomnienie rozmowy z rodzicami się oddaliło. Chciałam zapomnieć o fotografii, którą miałam w kieszeni, i wątpliwościach w sercu. Gdy dotarłam do domu, poczułam się prawie normalnie. Przeszłam obok skrzynki na listy, nawet na nią nie spoglądając. Dziś wieczór żadnej poczty. Wbiegłam po schodach i zatrzymałam się przed drzwiami. Przede mną stała butelka merlota i dwie szklanki. Na kartce włożonej do jednej z nich było napisane: *Pozwolisz, że odpowiednio Cię przeproszę? Jake, 4E.*

## Rozdział 6

**P**oszłam piętro wyżej, gdzie mieszkał Jake. Ale u szczytu schodów zawa-  
hałam się. Świetłówki cicho brzęczały i mrugały, rzucając na korytarz

niesamowitąpoświatę. Popatrzyłam na butelkę wina i szklanki w rękach i pomyślałam sobie, kim jest ten facet? Co ja robię? Zanim zdołałam sobie odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i stanął w nich on, w czarnym T-shircie i wypłowiałych lewisach. Sięgnął po wino i szklanki i uśmiechnął się. To był niepewny, nieśmiały uśmiech.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

Powiem wam coś o mnie. Ładny chłopiec może mi zawrócić w głowie jak każdej dziewczynie. Inteligencja robi na mnie wrażenie, siła charakteru robi na mnie wrażenie. Ale przede wszystkim wpływa na mnie dobroć. Uważam, że wynika ona z ciężkiej szkoły życia, z upadków i wzlotów. Z przeżywania strat i porażek. Zawiera się w niej zrozumienie losu człowieka, wybaczona wiele wad i dziwactw. Kiedy widzę ją w kimś, napełnia mnie podziwem. Zobaczyłam ją w nim. Jego oczy, ciemnobrażowe, prawie czarne z ciężkimi, długimi rzęsami sprawiały, że chciałam wyznać wszystkie moje grzechy i sekrety i odbyć pokutę w jego ramionach.

- Nie musisz przeproszać - powiedziałam, wskazując karteczkę nadal tkwiącą w szklance do wina. - Ja też bym się zirytowała.

Odsunął się na bok i przytrzymał drzwi, a ja weszłam do środka. Zamknął cicho drzwi za moimi plecami. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego; musiałam wyglądać na spłoszoną.

- Chcesz, żebym zostawił otwarte? - zapytał, a na jego czole pojawiła się zmarszczka niepokoju.

- Nie - odparłam ze śmiechem.

- Należę wina - powiedział, znikając w kuchni.

Moje mieszkanie wychodziło na tyły budynku, a jego na Pierwszą Aleję. Cienkie szyby nie tłumiły zbyt mocno zgiełku ulicy, a zimny przeciąg sprawiał, że parapety były lodowate. Ogrzewanie miał włączone na całość, ale w pokoju temperatura nadal była nieprzyjemnie niska. Podłogi w jego mieszkaniu były z takiego samego wyszarzałego drewna jak u mnie, lecz na tym kończyły się wszelkie podobieństwa. U siebie dążyłam do osiągnięcia absolutnego luksusu i wygody. Bawełniane prześcieradła, poduszki z pierzem i kołdry, pluszowe wykładziny, ciepłe koce. Lubiłam jasne kolory, świeże kwiaty, świeże zapachy. Nie na dziewczęcy sposób, ale żeby dogodzić zmysłom.

Mieszkanie Jake'a wyglądało jak więzienna cela, chociaż urządzone było na wielkomiejsko-przemysłowy sposób. Rzeźba z blachy o ostrych, nachodzących na siebie, geometrycznych kształtach zdominowała jedną ścianę. Wokół stolika ze szkła i chromowanego metalu stało sześć krzeseł z kutego żelaza. Ascetyczne miejsce do odpoczynku składało się z fotonu i kilku nieregularnie

rozstawionych krzeseł. Na drugim, czarnym stole, w rogu, żarzył się ekran laptopa. Nie było fotografii ani jednego osobistego przedmiotu, nawet kawałka papieru, który leżałby na niewłaściwym miejscu. Spojrzałam na drzwi, które, jak sądziłam, prowadziły do sypialni, i pomyślałam, że gdybym tam zajrzała, to zobaczyłabym wysadzone gwoździami łóże i lampę do przesłuchania.

- Trochę tu spartańsko, wiem - powiedział, wychodząc z winem.
- Troszeczkę - przytaknęłam.
- Niewiele mi potrzeba.

Wręczył mi kieliszek i wzniosł swój. Dźwięk, jaki wydały, kiedy się zetknęły powiedział mi, że są kryształowe.

- Za lepszy początek - powiedział.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i znów poczułam ten błysk. Wywołał rumieńce na moich policzkach. Milczeliśmy, ale tak było dobrze. Światło było przyćmione; płonęło kilka świec, a lampa pod sufitem ledwie się żarzyła.

- A zatem, skąd tu przyjechałeś?
- Z przedmieść. Miałem tanie mieszkanie w okolicach Columbian. Ale zrobiło się tam niespokojnie i miałem wrażenie, że mieszkam w strefie wojny. Strzały dosłownie budziły mnie w nocy.

- Więc przeprowadziłeś się do bezpiecznego East Village?
- Lubię, żeby w okolicy było trochę żuli. Nie jestem znowu takim zwolennikiem luksusu - wyznał i ten jego wstydlawy uśmiech znów się pojawił. Serce zatańczyło mi rumbę.

- Co porabiasz? - zapytałam, chociaż nienawidzę tego pytania.
- Usiądziesz? - zaproponował, prowadząc mnie za ramię do fotonu. Usiadł obok mnie w przyzwoitej odległości, ale i tak blisko. Mogłam wyczuć lekki zapach jego wody kolońskiej. Gdybym troszkę wysunęła rękę, mogłabym dotknąć jego biodra.

- Czy to gra na zwłokę? - zapytałam, a on się roześmiał. Był to ładny śmiech, głęboki i dźwięczny.

- Możliwe. Chodzi o to, że kiedy mówię ludziom, co robię, to długo o tym rozmawiamy. A to wcale nie jest takie fajne, jak się wydaje.

- Kim jesteś... tancerzem w kabarecie?
- Jestem rzeźbiarzem. - Wskazał dzieło na ścianie.

Upiłam trochę wina.

- To jest fajne - stwierdziłam, patrząc na rzeźbę nowym okiem. Ostre linie, ale miały jakiś cień płynności, jak stalowy wodospad. Była w tym dziwna siła, a zarazem jakaś obcość. Metal ma tę właściwość, prawda? Piękny dla oka, lecz zimny w dotyku.

- Tak zarabiasz na życie?
- I jeszcze meble - ruchem głowy wskazał stół. - I parę innych rzeczy tu i tam. Niełatwo jest zarobić na życie ze sztuki.

Przytaknęłam. Rozumiałam go.

Znacie to uczucie, kiedy wstępujecie w czyjaś aurę i macie wrażenie, jak byście tego człowieka znali przez całe życie, jakby jego energia była wam równie znana jak dźwięk waszej lodówki? Nie miałam tego uczucia w kontakcie z Jakiem. Wszystko w nim było nowe i elektryzujące. Był mi zupełnie nieznany, obcy, który zaintrygował mnie jak zagadka do rozwiązania. Każda chwila z Zackiem była jak wspomnienie mojego dawnego życia - mogłam dokładnie przewidzieć, co zajdzie między nami, i zazwyczaj było to całkiem przyjemne. Ale nie chciałam, żeby moje życie było jak zagadka, na którą znam już odpowiedź. Niektórzy ludzie widzą w takiej przewidywalności wygodę. Ja nie.

Rozmowa toczyła się łatwo, gawędziliśmy trochę o mojej pracy, trochę o Zacku, jak zwykle, kiedy ludzie się poznają. Ty odkrywasz się przede mną, ja przed tobą. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że powiedziałam mu znacznie więcej o sobie niż on mnie. Ciągłe dolewał wina, a ja czułam się coraz bardziej zrelaksowana, było mi coraz cieplej. Przysunęliśmy się do siebie. Położył rękę na oparciu sofy. Gdyby ją opuścił, spoczęłaby na moich ramionach. Czułam ciepło jego skóry, widziałam zarost na jego szczęce. Czy już mówiłam, że to, co sexy, nie robi na mnie wrażenia? Hm, może troszeczkę.

- Więc masz za sobą trudny tydzień - powiedział, nalewając jeszcze trochę wina.

- Czy ciągle pijemy z tej pierwszej butelki? - zapytałam. Wstawał kilka razy, żeby dolać do mojego kieliszka, a ja straciłam rachubę, ile już wypijałam.

- Nie - odparł. - Już dawno nie.

Widziałam, że jego skóra się zaczerwieniła. I że był w nim jakiś luz, który bardzo mi się spodobał. Zrozumiałam, że kiedy tu przyszedłam, był zdenerwowany. Spodobało mi się to, sprawiało, że nie był sztuczny. To znaczy, nie był arogancki.

- Słyszałeś o tym?
- Kto nie słyszał? Było we wszystkich gazetach.
- Tak... - Wspomnienie o tym sprawdziło mnie na ziemię, przypomniałam sobie o zdjęciu, o moich rodzicach. Musiało się to odbić na mojej twarzy, nie potrafię dobrze ukrywać uczuć.
- Hej. - Dotknął mojego ramienia. - Co takiego powiedziałem?



Nachylił się ku mnie, a ja zobaczyłam troskę na jego twarzy. Odwróciłam wzrok, bo jego współczucie sprawiało, że chciało mi się płakać.

- Przepraszam, Ridley. - Odstawił kieliszek. - Nie musimy o rym rozmawiać.

Ale było już za późno. Otworzył służę i cała historia wylała się na zewnątrz. Wszystko, od tego, jak wyszłam w tamten poniedziałkowy poranek z mieszkania, do chwili, kiedy spotkałam się z rodzicami. Nikomu poza rodzicami nie opowiedziałam o fotografii. On zachował się jak trzeba, słuchał, zachęcająco pomrukiwał. Był skupiony tylko na mnie.

- No proszę - powiedziała, kiedy skończyłam.

- Jestem pewna, że żałujesz swojego pytania - odparłam, lekko się śmiejąc.

- Nie. Nie żałuję.

Musnął moje włosy, odgarniając mi je z oczu. Był to delikatny, intymny gest. Wytrzymał mój wzrok.

- Więc uwierzyłaś rodzicom. Zostawisz to tak, po prostu?

- A co, miałam im nie uwierzyć? - zapytałam słabym głosem, bez przekonania. - Cała ta sprawa jest śmieszna. Wiem, kim jestem.

Pokiwał głową, patrzył na mnie, jakby coś we mnie zobaczył, coś, o czym wiedziałam, ale zbagatelizowałam to.

- A jednak - odezwał się po chwili. - Jest ci to tak obojętne, że nawet nie zadzwonisz?

To dziwne uczucie, kiedy spotykacie kogoś na pozór innego od was, a jemu udaje się skomunikować was z tą częścią własnej psychiki, którą ignorujecie. Ciekawość płonęła we mnie jak ogień. Przygasł on pod wpływem zapewnień rodziców, ale nadal się żarzył. Jake dmuchnął w niego butanem.

- Nie sędzę - powiedziałam, wstając.

- Przepraszam. - Podniósł się wraz ze mną. - Nie chciałem cię wystraszyć. Uśmiechnęłam się.

- Nie tak łatwo mnie wystraszyć.

Pokiwał głową, wyglądał na niezbyt pewnego siebie. Byłam zadowolona, że nie przekonywał mnie, że bym została, gdyż poszłoby mu to łatwo. Każde zakończenie nerwowe w moim ciele pragnęło go pocałować, poczuć to gładkie, muskularne ciało. Chciałam zobaczyć resztę tego tatuażu, który wystawał mu spod kołnierzyka i spod rękawa. Ale poczułam coś do Jake'a. Coś zbyt potężnego, żeby tylko się z nim przespać, a nawet go pocałować. Chciałam więcej. I nie zamierzałam się spieszyć.

Byłam zmęczona, kiedy kładłam się spać: stres, wino, Jake. Szybko zasnęłam, niemal od razu, gdy przyłożyłam głowę do poduszki. Ale przysnił

mi się Ace. Ściagałam go wśród ciemnego wielkowiejskiego krajobrazu, a cienie przesuwały się szybko po mojej drodze. Drzwi, przez które chciałam wejść, wypaczyły się i znikły. Potem nie ściagałam już Ace'a, to mnie ściagała jakaś mroczna postać. Dotarłam do domu, który przypominał dom moich rodziców, lecz kiedy znalazłam się w środku, stwierdziłam, że jestem w korytarzu mojej kamienicy. Odwróciłam się i zobaczyłam tę postać walącą w drzwi wejściowe, ale nie widziałam jej twarzy. Obudziłam się wystraszona, w ciemności, oddychałam ciężko, usiłując zrozumieć, gdzie jestem, i otrząsnąć się z koszmaru. Wyczułam jakąś złą obecność i usiadłam. Przez chwilę byłam jak sparaliżowana, nasłuchiwałam, czy ktoś nie wtargnął do mieszkania. Spodziewałam się, że w każdej chwili wyłoni się z ciemności. W końcu strach opadł i obrazy ze snu się rozwiały.

Rozbudziłam się. Wstałam z łóżka i przeszukałam kieszenie spodni, aż znalazłam fotografię i liścik. Zmięłam je w dłoniach i wyrzuciłam do kosza. Naciągnęłam dresy, włożyłam trampki i wyszłam z mieszkania z torbą śmieci. Było po trzeciej i cały dom spał, tylko zza czyichś drzwi dochodził słaby głos z telewizora. Zeszłam cichutko po schodach i korytarzem przemknęłam na tyły kamienicy. Otworzyłam jednym pchnięciem zasuwę ciężkich drzwi i włączyłam światło. Szczury uciekły na odgłos kroków, a mnie powitał smród odpadków. Wrzuciłam torbę do najbliższego pojemnika na śmieci.

Wiedziałam, że Zelda przyjdzie przed wschodem słońca i wytoczy pojemniki na chodnik, że śmieci zostaną zabrane wcześniej rano, zanim wstanę z łóżka, a liścik i fotografia znikną, jakby ich nigdy nie było.

Szłam do góry, po schodach, czując, jak mi ulżyło. Byłam w połowie drogi, kiedy zobaczyłam jakiś cień na podeście nade mną, postać tuż na granicy mojego postrzegania. Stałam, a serce zaczęło mi bić mocniej.

- Jest tam kto? - zapytałam. Znałam wszystkich w tym domu i nigdy jeszcze nie czułam się tu zagrożona. Każdy z sąsiadów, który miałby jakiś konkretny cel, żeby być teraz na klatce, odpowiedziałby mi. Usłyszałam szuranie, ktoś przesuwał się wzdłuż ściany. Obejrzałam się za siebie; światło na podeście pode mną zaczęło mrugać i zgasło. Własny oddech brzmiał głośno w moich uszach, adrenalina zaczęła napływać mi do żył, a każdy nerw drżał ze strachu. Nie wiedziałam, czy iść do przodu, czy się cofnąć. - Kto tam? - zapytałam głośniejszej.

Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się obronić, ale niczego nie znalazłam. Potem usłyszałam ciężkie, dudniące kroki - ktoś biegł. Przycisnęłam się do ściany, jakbym chciała się w nią wtopić. Już miałam krzyknąć, kiedy zdałam sobie sprawę, że kroki oddalają się ode mnie. Przykucnęłam

i popatrzyłam przez szczelinę między schodami. Zobaczyłam postać mężczyzny. Był potężnie zbudowany, widziałam jego dłoń w rękawiczce na balustradzie. Wbiegł na ostatnie piętro i wyszedł drzwiami prowadzącymi na dach. Czekałam na alarm przy drzwiach przeciwpożarowych, ale się nie włączył.

Bardzo mi ulżyło. Siedziałam na klatce schodowej i zastanawiałam się, jak zejdzie z dachu. Wtedy usłyszałam skrzypienie schodów przeciwpożarowych. Zastanawiałam się, czy ktoś inny też to usłyszał. Ale po minucie w budynku znów zapadła cisza, jakby nic się nie wydarzyło. Ostrożnie poszłam do mieszkania i zamknęłam drzwi. Sekundę później usłyszałam zgrzyt zamka w innych drzwiach. Nie byłam pewna, na górze, czy na dole.

## Rozdział 7

Niewiele spałam przez drugą część nocy. Sprawdziłam kraty w oknach i zamknęłam drzwi wejściowe na cztery spusty. Potem usiadłam na łóżku z szeroko otwartymi oczami, podskakując na każdy odgłos, aż czarne niebo przybrało kolor węgla drzewnego, a potem szarości. W innej sytuacji mogłabym wezwać Zacka, a nawet ojca, ale skoro wszyscy myśleli, że jestem na skraju załamania nerwowego, nie chciałam utwierdzać ich w tym przekonaniu. W końcu zdrzemnęłam się i spałam jakąś godzinę, aż zadzwonił budzik.

Wstałam i zrobiłam sobie kawy. Słuchałam znajomego syku i bulgotania ekspresu; wdychając zapachy z Veniero's, zaczęłam się znów czuć normalnie. Wszystko, co stało się w nocy, zaczynało wyglądać nierealnie, jakbym śniła od chwili, kiedy wsiadłam do pociągu jadącego do New Jersey. Wyrzuciłam fotografię i postanowiłam uznać całą sprawę za kawał. Stojąc w nasłonecznionej kuchni, prawie uwierzyłam, że wyobraziłam sobie całe to spotkanie na schodach. Wiecie, takie niby-halucynacje wywołane stresem. Tak czy siak, sprawa zakończona. To byłam tylko ja, Ridley, w normalny czwartkowy poranek. Myślę, że umysł czasem wypiera fakty, kiedy ma za dużo spraw naraz do rozwiązania. Potrzebuje trochę odpoczynku.

Poszłam do gabinetu - w istocie, była to mała przestrzeń, którą oddzieliłam orientalnym parawanem od reszty pokoju. Trzymałam tam teczki i laptopa. Poszperałam w papierach na biurku i znalazłam wizytówkę, którą dała

mi rzeczniczka prasowa Umy Thurman. Spotkałyśmy się na zajęciach jogi i zaszłyśmy potem do Starbucks na herbatę. Nazywała się Tama Puma. Była krucha, chuda i pachniała paczuli. Wysoka, o szerokich ramionach, miała szarą cerę i słabe włosy typowe dla ludzi stosujących dietę makrobiotyczną. Mówiła łagodnie, chociaż z wyniosłą świadomością swojej wartości. Pobieżnie omówiliśmy artykuł, który chciałam napisać, i powiedziałam jej, że zadzwonię, jeśli kierownik działu reportażu „Vanity Fair” zaakceptuje mój pomysł. Zostawiłam Tamie wiadomość. Poczułam radość, że wracam do pracy i udało mi się uniknąć katastrofy.

Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam ją na podłodze. To było jak uderzenie w splot słoneczny. Kolejna koperta z moim nazwiskiem nabazgranym w poprzek czarnym markerem, tą samą twardą nieprzywykłą do pióra ręką. Podniosłam ją i wróciłam do mieszkania. Świat zawirował wokół mnie, kiedy rozzerwałam kopertę. Był tam wycinek z gazety, z 27 października 1972 roku. Tytuł brzmiał: *Młoda matka zabita, dziecko zaginęło*. Reszta artykułu została wycięta, ale było tam zdjęcie głowy młodej kobiety z pierwszej fotografii i jeszcze jedno zdjęcie, zdjęcie małej dziewczynki. Patrzyłam znowu na twarz tej kobiety, na raster gazetowego zdjęcia, i miałam wrażenie, jakbym patrzyła w lustro. A spoglądając na dziecko, zauważyłam na jego twarzy coś, czego nie dostrzegłam na pierwszym zdjęciu. Miało małe brązowe znamię pod lewym okiem, identyczne jak to, które ja miałam na twarzy. Był też list.

I proste przesłanie: „Oni kłamali”.

Wypadłam z mieszkania jak raca i zbiegłam po schodach. Popędziłam do pojemników na śmieci. W korytarzu wpadłam na moją gospodynię Zeldę.

- Czy już zabrali śmieci? - zapytałam, biegnąc do drzwi frontowych.

- Ech. - Z niesmakiem uniosła ręce. - Strajk śmieciarzy. Tym leniwym sukinsynom nigdy nie dość pieniędzy. Przekłęte związki zawodowe.

Worek ze śmieciami leżał na wierzchu pojemnika. Łatwo było znaleźć fotografię i numer telefonu. Rozprostowałam zdjęcie i notkę i wbiegłam po schodach. Zajrzałam do mieszkania i wzięłam wycinek. Potem wszystko zaniiosłam na górę, do Jake'a. Dlaczego to robiłam? Ledwie go znałam. Ale myślę, że to właśnie dlatego, że był obcy, całkowicie niezwiązany z ludźmi w moim życiu. Stwierdziłam, że mógłby popatrzeć na sprawę z dystansem.

- Przepraszam - powiedziałam, kiedy otworzył drzwi. - Potrzebna mi niewielka pomoc.

Wręczyłam mu wszystko i przepchnęłam się obok niego bez zaproszenia. Popatrzył na mnie, potem na papiery, które trzymał w ręku.

- To jest to, o czym mówiłaś mi wieczorem?

- Tak. I coś, co znalazłam dziś rano pod drzwiami.

Pokiwał głową, twarz miał nieruchomą i poważną. Nie zapytał, dlaczego to wszystko do niego przyniosłam, czego od niego chcę. Usiadł przy stole i zaczął przeglądać przesyłki. Patrząc na nie, marszczył czoło.

- Ta kobieta mogłaby być tobą - powiedział po chwili. - Wygląda jak ty.

- Wiem - odparłam.

- Możliwe, że ktoś z tobą pogrywa.

- Dlaczego? Co mu to da?

- Niektórzy ludzie lubią się bawić cudzym życiem. Jakiś psychiczny zobaczy twoje zdjęcie w gazecie, przypomnisz mu kogoś, kogo znał, kogoś, kto umarł, i stajesz się jego celem.

- Okej. Wyjaśnij to - powiedziałam, wskazując na maleńki pieprzyk tuż pod kąciem mojego lewego oka.

Popatrzył na fotografię i zobaczył identyczne znamię na twarzy dziecka.

Pokiwał powoli głową i spojrzał na mnie.

- Przyznaję, że to niesamowite.

Było w nim coś, czego nie zauważyłam wcześniej. Coś smutnego rysowało się wokół oczu, zmarszczki - świadectwo tragedii. Widziałam przez biały T-shirt, że tatuaż wystający spod rękawa rozciąga się na pierś i obojczyk. Zauważyłam bliznę na jego szyi, długą na trzy centymetry, grabą i wypukłą, jakby pod skórą coś było.

- Ale czego oczekujesz ode mnie? - zapytał łagodnie, siadając obok.

Popatrzyłam na jego ręce - grube i kwadratowe, z odciskami na kostkach. Pod skórą wyraźnie zaznaczały się niebieskie żyły. Coś w nich jednocześnie podniecało mnie i przerażało. W świetle dnia wyglądał twardziej, mocniej, był większy, niż zapamiętałam z poprzedniego wieczoru.

- Wiesz co? - powiedziałam, wstając. - Zapomnij. Masz rację. Nawet cię nie znam. Przepraszam.

On też wstał i nic nie powiedział. Co za idiotka ze mnie. Zebrałam papiery. Żałowałam, że podłoga nie zapadła się pode mną.

- Reaguję przesadnie. I to nie ma nic wspólnego z tobą - oświadczyłam. Stał, zagrządzając mi drzwi.

- Nie sądzę, żebyś reagowała przesadnie. - Pozwoliłam, żeby wyjął mi papiery z ręki. Odłożył je na bok i podał mi dłoń. - W porządku, Ridley. Jeszcze nie wiem, jak to zrobić, ale jeśli chcesz, pomogę ci się w tym zorientować.

Staliśmy oboje. Podanie ręki jest naprawdę niedoceniane jako czynność intymna. Całuje się znajomych albo kolegów, mimochodem, żeby powiedzieć cześć albo do widzenia. Można nawet pocałować bliskiego przyjaciela

prosto w usta. Szybko objąć kogoś, kogo się zna. Nawet spotkać kogoś na przyjęciu, zabrać go do domu, przespać się z nim i nigdy już go nie zobaczyć. Ale podać sobie ręce i stać, trzymając się za nie, czuć te prądy, które powstają wtedy między dwojgiem ludzi? Czułość takiego aktu, obietnica w nim zawarta to coś, co dzielicie z nielicznymi ludźmi w życiu.

Był przekonujący.

- Naprawdę? - zapytałam, czując przypływ ulgi i wdzięczności.
- Naprawdę.
- Okej.

Czułam skórę jego dłoni, twardą, ale ciepłą. Widziałam wszystkie blaski klejnotów jego oczu. Jego wzrok przenikał mnie na wskroś. Wyczuwałam wiele warstw w tym obcym, który stał przede mną, bałam się, byłam zaintrygowana i głęboko poruszona. Kiedy objął mnie i przytrzymał w ramionach, kontury naszych ciał wtopiły się w siebie. Przytuliłam policzek do jego szyi i poczułam jego puls. Znalazłam się na skraju przepastnej ciemności i cieszyłam się, że mam tego niepewnego sojusznika.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Myślę, że bardzo długo.

Wreszcie się odezwał.

- A zatem, ten facet chce, żebyś do niego zadzwoniła.
- Tak, chyba tak - powiedziałam, zwlekając przez chwilę, zanim się od niego odsunęłam. Usiadłam przy stole.
- Nie wydaje ci się to dziwne?
- Dlaczego?
- Hm, pomyśl tylko. - Usiadł naprzeciwko mnie.
- Po pierwsze, czemu założyłaś, że to mężczyzna? - Też tak myślałam i zastanowiło mnie, dlaczego doszedł do tego samego wniosku.

Milczał przez chwilę.

- Charakter pisma jest męski, to jedno. A w artykule jest mowa, że kobieta na zdjęciu nie żyje, a dziewczynka zaginęła.
- Okej, dlaczego sądzisz, że wysłanie tej koperty to dziwactwo z jego strony?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli ten facet myśli, że jest twoim ojcem, a ty jesteś tą małą dziewczynką na zdjęciu, to znaczy, że szukał cię od bardzo dawna. A to, z kolei, sugeruje, że jego córkę porwano. Gdyby twoje dziecko zaginęło, a ty przez wszystkie te lata byś go szukała i nagle pomyślałabyś, że może żyje i ma się dobrze, czy nie popędziłabyś na policję, czy nie wykonałabyś jakiegoś bardziej radykalnego ruchu niż wysyłanie notki i fotografii?

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Może nie jest pewien. Albo się boi.

Pokręcił powoli głową.

- Może - powiedział. - Albo musi się ukrywać.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odparł, biorąc wycinek z gazety. Chyba o czymś pomyślał, ale to przemilczał.

- I co? Co myślisz? - zapytałam wreszcie.

- Mam przyjaciela. - Spojrzał na mnie. Nagle poczuł się niepewnie i uniół rękę. — Słuchaj. Nie chcę posuwać się wobec ciebie za daleko.

Domyśliłam się, że mówi o ostatniej nocy, kiedy związałam od niego. Pewnie wydaje mu się, że mnie wystraszył.

- Jeśli ktoś tutaj za daleko się posuwa - oświadczyłam - to ja, zrzucając na ciebie wszystkie le sprawy.

Zawahał się przez sekundę.

- Ten mój przyjaciel jest detektywem - wyznał; nie patrzył na mnie, tylko na swoje stopy. - Kimś, z kim dorastałem. Może będzie mógł ci pomóc.

Pewnie dziwicie się, dlaczego postanowił zająć się moimi sprawami. Ja też tego nie wiedziałam. Ale bardziej byłam mu wdzięczna niż ciekawa motywów. Mężczyźni, którym się podobacie, zrobią dla was wiele, prawda? Jasne, że prawda.

## Rozdział 8

Szłam na wschód, w stronę rzeki. W nowej skórce nie przychodziło mi do głowy nic lepszego niż wałęsanie się po mieście. To dla mnie nie nowina. Tyle już się nałaziłam, a Nowy Jork jest świetnym miejscem, żeby na jakiś czas się zagubić - albo na zawsze, jeśli chcecie. Można minąć sto przecznic i tysiąc ludzi i nikt was nawet nie zauważy, choćby pięć minut temu wasza twarz była w telewizji i na pierwszych stronach gazet. Tak szybko można zmienić się w ducha. Gubiłam się, prześlizgiwałam przez pęknięcia, które nagle pojawiły się w fasadzie mojego życia. Byłam jak mgła. Unosiłam się wzdłuż Ósmej w stronę placu Tompkinsa, obok świeżo nobilitowanych kamienic, w których nagromadziła się energia pokoleń konfliktów i biedy. Teraz budynki skanalizowano, odmalowano, wyposażono w panoramiczne okna

na modłę modnych butików East Village. W takim lśniącym oknie spostrzegłam odbicie kobiety, która już nie wiedziała, kim jest, jakie są jej korzenie i skąd pochodzi.

Zatrzymałam się, żeby na nią popatrzeć. Wyglądała dość realnie, istota z krwi i kości. Ale kiedy sięgało się, żeby jej dotknąć, znikająca jak hologram.

Zostawiłam swoje problemy u Jake'a. Powiedział mi, żebym odpuściła, nabrała trochę dystansu i uporządkowała myśli. Zostawiłam więc kwestię mojej tożsamości za jego progiem, jak torbę ze starymi ubraniami w punkcie Armii Zbawienia. Na jakiś czas chciałam oderwać się od tych pytań. Ale kiedy East Village przeszło w Lower East Side, z przykrością stwierdziłam, że każde moje odbicie w lustrze przypomina mi, jak bardzo stałam się sobie obca.

Może sądzicie, że przesadzałam. Czy rzeczywiście miałam wtedy dość informacji? Czy niecałą dobę wcześniej nie czułam się winna i zakłopotana samym faktem, że przychodzą mi do głowy takie myśli? Co mogę powiedzieć? Ten pomysł wgryzł się jak robak w moją świadomość, a teraz rył i rozprzestrzenił się pod skórą. Nie, nie czułam się rozbita. Ale byłam jak jedna z tych kamienic East Village, rozebranych do gołego mura, wybebeszowanych, z obnażonymi starymi rurami z brązu, z drutami zwisającymi jak pajęczyny, jak skorupa własnej tożsamości czekająca na reinkarnację.

Znalazłam się w Alei C. To, doprawdy, miasto alfabetu. Nie była to Aleja A, biegnąca przed placem Tompkinsa, pełna modnych sklepów i kawiarni, spółek wartych miliony dolarów, szykownych poddaszy walczących z nowobogacką wytwornością o nowy wygląd zaniedbanego East Village. Tu pieniądze jeszcze się nie zadomowiły. Wyglądało to tak, jakbyście po przejściu przez park trafili na martwą strefę, którą miasto postanowiło zostawić w spokoju, w poczuciu bezprawia i osamotnienia, znikającym tylko w małych enklawach takich jak Nuyorican Poets Cafe. Opuszczone budynki stały jak kulawi żołnierze zbuntowani przeciwko otaczającemu ich bogactwu, które wkrótce wyrzuci odwiecznych mieszkańców tej okolicy na bruk. Puste działki zasypane były śmieciami, starymi meblami, rozebranymi na części samochodami i beczkami z ogniem, wokół których gromadziły się miejskie szumowiny. Bezdomni, ćpuni, uciekinierzy, ci z nas, którzy zeszli z drogi, zatrzymali się i szukają po omacku powrotu. Szłam czujna, ale ze spuszczoną głową. To nie jest miejsce, w którym chciałoby się przyciągać uwagę. Po prostu idzie się tak, jakby się było stąd. A dzisiaj byłam stąd. Szukałam Ace'a.

W Alei D, przy Piątej, weszłam do budynku, w którym, jak mi mówił, kiedy widziałam się z nim ostatnim razem, zajmował pustostan. Dom wy-



glądał lepiej niż okoliczne rudery. Po drugiej wojnie światowej w East Village budowano domy dla naszych chłopców wracających z frontów. W rezultacie powstało mnóstwo tandetnych budowli i obecnie wiele domów, takich jak mój, zapadało się od środka, fasady kruszyły się, a ich kawałki spadały na chodniki. Ten wyglądał całkiem solidnie. Ciężkie, białe schody prowadziły do wejścia z doryckimi kolumnami. Przy drzwiach siedział na straży czarnoskóry mężczyzna o rozmiarach lodówki. Jego olbrzymia tusza przelewała się przez krzesło, co sprawiało wrażenie, jakby lewitował. Ubrany był w kurtkę New York Rangersów, czerwoną czapkę baseballową odwróconą daszkiem do tyłu, wypłowiałe džinsy starannie wyprane i uprasowane. Sięgające do kostek trampki mieniły się od kolorów. Wystukiwał stopą jakiś rytm. Stałam u podnóża schodów i popatrzyłam na niego. Natychmiast spojrział na mnie. Widziałam, że mnie ocenia. Skinął mi głową, a jego trzy czarne podbródki uderzyły o siebie leniwie. Oczywiście miał żółte i puste.

Kiedyś osądzałabym tego człowieka, odźwiernego piekiel, które rozciągały się za nim, tkwiły w jego kieszeniach albo kryły się gdzieś w pobliżu pod postacią kokainy, heroiny albo czegośkolwiek, co sprzedawał. Czuję, że nienawiść podchodzi mi do gardła jak żółć. Ale związki między uzależnionym a dealerem są tak skomplikowane, tak delikatne. Kto jest gorszy, ludzie, którzy biorą, czy ludzie, którzy ich zaopatrują? A co z innymi? Zła opieka rodzicielska, zła socjalizacja, rasizm, bieda, która rodzi ból, a ten z kolei rodzi ćpunów i ich dealerów. Nawet ja miałam swoje miejsce w łańcuchu, bo umożliwiałam zakup; czy dając pieniądze Ace'owi, nie brałam w tym jakiegoś udziału? Rozumiecie mnie? To było moje miejsce.

- Czego chcesz, dziewczyno? - zapytał całkiem przyjaźnie. Zmrużył oczy i uśmiechnął się, co raczej przypominało niechętnie uniesienie w górę kącików ust wypuczające policzki.

- Szukam mojego brata Ace'a. - Zabrzmiało to głupio i naiwnie nawet w moich uszach.

Zachichotał, aż cały się zatrząsł.

- Jeśli mieszka tutaj, to już nie jest twoim bratem.

W tych słowach było doświadczenie, które mnie zaskoczyło i zabolowało. Czułam, że się czerwienię. Wszłam na schody. Mina dealera wyrażała rozbowienie i zdumienie, jakby spodziewał się, że zawrócę. Popatrzyłam na niego, kiedy dotarłam do szczytu, a on wzruszył ramionami. Apatia wygładzała rysy jego twarzy.

Nie po raz pierwszy wchodziłam do takiego budynku, szukając brata; kiedyś w przypływie niepokoju wsiałam do pociągu jadącego do hiszpańskiego

Harlemu. Ulice powyżej Dziewięćdziesiątej Szóstej były „twardsze”, gniew i rozpacz zdawały się pełzać po chodnikach, zwiśać jak nogi ze schodów pożarowych. Ludzie byli na ulicach, prowadzili głośne samochody, wyglądali z okien, wrzeszczeli. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu jak wilgoć przed burzą. Nie było wątpliwości, że niebo wybuchnie, pytanie tylko kiedy i jak, i kto ocaleje. Powietrze w East Village zdawało się mniej nasycone elektrycznością, przemoc była tu bardziej leniwa, wolniej eksplodowała. Ale i tak czułam strach, kiedy wchodziłam ze światła do ciemnej sieni. Powietrze było stęchłe, przesycone odorami ludzkich odchodów, zbyt wielu ciał w słabo wietrzonych przestrzeniach i wszędobylskiej woni spalenizny, czegoś chemicznego i trującego. Za ścianami słyszałam pomruki, niskie porykiwania, gdzieś dźwięk telewizora albo radioodbiornika, z którego miarowym, profesjonalnym głosem płynęły wiadomości. Weszłam w półmrok i skierowałam się ku klatce schodowej.

Gdy byliśmy dziećmi, ściana dzieląca nasze sypialnie była tak cienka, że słyszałam, jak Ace obraca się albo wzdycha we śnie. Sypialnie były kiedyś większym pokojem, który, wyremontowany, został podzielony na dwa mniejsze pokoiki z przylegającą do nich łazienką. Był to wszechświat oddzielony od reszty domu i głównej sypialni rodziców wychodzącej na ogród matki. Monitor nadzorujący dzieci pozostawiony z czasów mojego niemowlęstwa służył jako interkom na wypadek, gdybym potrzebowała rodziców w nocy. Gdyby tak było, mogłam go włączyć i zawołać. Ale kiedy budziłam się, wystraszona snami albo spragniona, albo po prostu samotna, potrzebowałam tylko Ace'a.

Wyślizgiwałam się z łóżka, po cichu, w ciemności szłam po dywanie, przez łazienkę przylegającą do naszych pokoi. Widziałam cień wielkiego dębu tańczący przed oknem brata, słyszałam jego regularny oddech w głębokim śnie, widziałam zarysy stojących na półce figurek z *Gwiazdnych wojen*, stos książek na biurku; czułam zapach szamponu dla niemowląt, którego oboje używaliśmy, chociaż już dawno nie byliśmy niemowlętami. Gramoliłam się na jego łóżko, wpychałam w zagłębienie ciała i zawsze go tym budziłam.

- Ridley - mówił, a w jego rozespianym głosie była irytacja, rezygnacja i miłość. - Wracaj do swojego łóżka.

- Wróć - mówiłam, kiedy obejmował mnie ramieniem i znów zasypiał. - Za minutę.

Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek później tak dobrze spałam. Człowiek robi się za stary na takie wygody, prawda? To była niewinna fizyczna bliskość i niczego więcej nie chciało się od ciał innych ludzi niż ich przy-

jemnego, łagodnego ciepła, jakby się było szczeniakiem w koszyku. Kiedy człowiek zbliża się do wieku dojrzałego i rozwija seksualną świadomość własnego ciała, kontakt z innymi staje się naelektryzowany. Oczywiście, najpierw stało się to z Ace'em. Zaczął zamykać drzwi do łazienki, kiedy wstawialiśmy w nocy na siusiu. Gdy po raz pierwszy usłyszałam, że to robi, zrozumiałam instynktownie, że już nie mogę wpełzać do jego łóżka. W ciągu jednej nocy straciliśmy się.

Na drugim piętrze budynku podłoga tak trzeszczała mi pod nogami, że poczułam się zagrożona. Uginała się lekko pod moim ciężarem. Z każdym krokiem półświadomie czekałam, że spadnę z hukiem przez sufit i wyląduję w kupie gruzu piętro niżej. Ace powiedział mi, że mieszka na drugim piętrze z dziewczyną i że jest tam okno od ulicy. Podeszłam do drzwi z tej strony budynku, która wychodziła na ulicę, i zapukałam.

- Ace! - krzyknęłam. - To ja, Ridley.

Odpowiedziała mi tylko cisza. Światło słoneczne wpadało do środka przez brudne okno na korytarzu. Krata na nim była tak przerdzewiała, że chyba jedno dotknięcie mogło ją zamienić w pył. Jakiś samochód krążył na zewnątrz, a głęboki bas jego głośników wibrował mi w piersi i w opuszkach palców. Pomruki, które słyszałam po wejściu do budynku, umilkły, kiedy zawołałam. Miałam wrażenie, że ściany i drzwi wokół mnie wstrzymały oddech. Usłyszałam szuranie za drzwiami i wyczułam, że po drugiej stronie stoi ktoś i nasłuchuje tak jak ja. Z drugiego końca korytarza dotarły do mnie charakterystyczne piski i drapanie w kupie śmieci, którą ledwie widziałam w słabym świetle. Udawałam, że nie dostrzegam rozbiegających się szczurów. Zapukałam ponownie do drzwi. Tym razem głośniej.

- Ace. - Byłam zdenerwowana i rozpaczona. - Proszę.

Drgnęłam, kiedy drzwi otworzyły się i wielkie błękitne oczy wyjrzały przez szparę długości łańcucha. Strąki brudnych włosów wisiały nad tymi oczami, kobiecymi oczami, które kiedyś mogły być piękne. Ale teraz podbiegły krwią i były podkrążone ze zmęczenia.

- Poszedł - powiedziała.

- Dokąd?

- A co, wyglądałam na jego żonę?

Wzruszyłam ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Oczy zamrugały powoli.

- Czy ja cię znam? Wyglądasz znajomo.

Znów wzruszyłam ramionami, czując, że brakuje mi słów. Lekko pokręciłam głową, żeby pokazać, że nie wiem, czy widziała mnie już kiedyś. Oko

obejrzało mnie od stóp do głów. Widziałam coś żywego w tych rzęsach, w zmarszczkach pod nimi. To był głód.

- To ty uratowałaś tamtego dzieciaka.
- Zgadza się. Słuchaj, nie wiesz, gdzie jest mój brat?
- Ty jesteś Ridley. To drań. Nie powiedział mi, że jesteś jego siostrą.

Wolałam znów wzruszyć ramionami. To użyteczny, niezobowiązujący gest.

- Gada o tobie bez przerwy. - Usłyszałam nutkę zawiści. Byłam po dziecięcemu szczęśliwa, gdy dowiedziałam się, że o mnie myśli, że powiedział o mnie tej obcej kobiecie.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie może być?

Zamknęła drzwi i usłyszałam, jak zdejmuje łańcuch. Potem znów otworzyła, ale nie całkiem. Zobaczyłam chorobliwie cienką nogę, ostrą kość biodrową sterczącą pod szarymi spodniami od dresów, które przycięto do rozmiarów szortów, jedną pierś, płaską i twardą, pod lawendową, wełnianą kamizelą, obojczyk, który wyglądał tak, jakby można go złamać w palcach, i połowę wymizerowanej, poszarzałej twarzy, kwadratową szczękę i to jedno, szeroko rozwarłe, niebieskie oko. Mogłam pomyśleć, że chciała, żebym zobaczyła tylko połowę jej ciała i zgadywała, jak wygląda druga. Opuszki palców, z obgryzionymi paznokciami, wędrowały wzdłuż drzwi. W porównaniu z tą kobietą, całą z kątów prostych, z wypisaną na pokrytym bliznami ciele historią ciężkiego życia, czułam się różowa, pulchna i podejrzenie zdrowa. Szukałam w pamięci jej imienia. Czy Ace mi o niej mówił?

- Nie widziałam go od tygodnia - powiedziała.

Słuchałam jej głosu, szukałam w nim smutku albo niepokoju. Ale był zwyczajny, bez emocji. Przyjrzałam się połowie jej twarzy. Nie wiem po co. Chyba szukałam czegoś, do czego mogłabym się odnieść. Ale jej twarz była maską braku zaufania, zmrużyła teraz oczy, a jej spojrzenie stwardniało. Widać było, że spodziewa się po każdym, z kim się zetknie, że ją skrzywdzi; nie wiadomo tylko w jaki sposób i jak bardzo.

- Jak ci na imię? - zapytałam.

Zawahała się.

- Ruby. - Coś w niej jakby złagodniało, otworzyła drzwi trochę szerzej. Zajrzałam przez jej ramię do mieszkania, ale było w nim ciemno.

- Miło cię poznać - powiedziałam i zabrzmiało to śmiesznie.
- Tak. Ciebie też.

Stałyśmy w tej niezręcznej sytuacji przez jakąś minutę, przypatrując się sobie.

- Gdybyś go zobaczyła?...

- Powiem, że go szukałaś.

Walczyłam z pomysłem, żeby dać jej trochę pieniędzy. W kieszeni miałam złożone kilka dwudziestek. Ale coś w niej powiedziało mi, że mogłabym ją obrazić, mimo że potrzebowała wsparcia. Kiwnęłam więc głową i odwróciłam się; zesłam ze schodów z nieprzyjemnym uczuciem winy, jakbym oddalała się z miejsca wypadku. Usłyszałam, jak cicho zamyka drzwi, zbiegłam ze schodów - w kierunku światła. Na zewnątrz tłuścioch zszedł ze swojej grzędę i stał na rogu z paroma opryszkami. Wszyscy odwrócili się, żeby na mnie popatrzeć. Wyszczerył się, okrutnie, jak wilk, jakby zobaczył coś, co potwierdzało jego osąd. Odwróciłam się od niego i poszłam w stronę swojego domu. Krzywiłam się w jaskrawym słońcu. Widziałam głodne i zmęczone oczy Ruby.

## Rozdział 9

Było zimno, więc wstąpiłam do Pięciu Róż, pizzerii w moim domu, której właścicielką była gospodyni. Gorąco dobrze zrobiło zaczerwienionej, mrowiącej skórze mojej twarzy. Przy stole w rogu siedziało dwóch gliniarzy i jadło kanapki z parmezanem i mielonym mięsem, sos kapał, kawałki mięsa spadały na papierowe talerzyki. Ten widok sprawił, że kiszki zagrały mi marsza. Chodziłam od wielu godzin, a dzień już miał się ku końcowi.

W restauracji panował domowy nastrój, wewnątrz było urządzone byle jak, ale zapachy dolatujące z magicznej kuchni Zeldy czyniły je czymś fantastycznym. Ściany wyłożono koszmarną boazerią ze sztucznego drewna, ciemnego i pełnego dziur. Światłówki mrugały na opadającym, poplamionym przeciekającą wodą suficie, rzucając nieprzyjemne, białe światło. Wokół kulawych stołów pokrytych odwiecznymi obrusami w czerwono-białą kratę stały brązowe, winylowe krzesła, z poszarpanymi obiciami, spod których wystawały kłębki pianki. Nad drzwiami wisiał przekrzywiony zegar reklamowy Pepsi-Cołi, a na ścianie za kasą mnóstwo popękanych, pożółkłych fotografii. Na mojej ulubionej Zeldy uśmiechała się promiennie do Roberta De Niro, który leniwie obejmował ją ramieniem. Uśmiechał się jak w filmie *Przyłodek strachu* i wyciągał kawałek ciasta do aparatu. Nad swoim podpisem nabazgrał: NAJLEPSZA PIZZA W NOWYM JORKU. Zelda była na tych fotografiach znacznie młodsza, miała jaśniejsze i bardziej miękkie rysy. Jasnoczerwona bluzka

podkreślała rumieńce na jej policzkach. Uśmiech miała szeroki, ale zawstydzony, jakby brakowało jej pewności siebie. Przez siedem lat ani razu nie widziałam, żeby się uśmiechnęła albo ubrała się w coś innego niż czarne spodnie i czarny golf obsypane mąką.

Podeszłam do lady, a krzątająca się za nią Zelda nie przywitała mnie na zbyt wylewnie. Wyjęła z pieca pizzę jedną z tych wielkich, drewnianych łopat i bez wysiłku, perfekcyjnym ruchem zsunęła ją do przygotowanego pudełka. Potem, z tą samą zręcznością, wycięła dwa kawałki ciasta z pizzy sycylijskiej leżącej pod szklanym kloszem i włożyła je do pieca. Byłam stałą klientką i nie musiałam składać zamówienia. Kiedy pizza już się upiekła, podniosła na mnie wzrok.

- Coś jeszcze? - zapytała.

- Nie, dziękuję - powiedziałam i wręczyłam jej piątkę. Nacisnęła numerki na starej kasie i szuflada otworzyła się z ekscytującym dźwiękiem sprzężyny. Był to odgłos radosnego oczekiwania.

Zelda była małą kruchą kobietką, o pochylonych ramionach i drobnych, jastrzębich rysach twarzy. Cały niegdysiejszy blask, poświadczany przez fotografię, minał, sprawiając, że podupadła na duchu i poszarzała. Poruszała się z rezygnacją, jakby całe jej życie polegało na zmuszaniu się do stawiania jednej stopy przed drugą. Zawsze wyobrażałam sobie, że gdyby była to tylko kwestia siły woli, potrafiłaby podźwignąć blok betonu i nieść go tak daleko, jak byłoby trzeba. Robiła na mnie wrażenie człowieka, który postrzega swoje życie jako więzienie, ale klucz do niego nosi na łańcuszku na własnej szyi.

Próbowałam nawiązywać z nią rozmowę, ale parę lat temu zrezygnowałam, nie żywiąc do niej urazy. Czekałam zatem na swój kawałek pizzy, gapiąc się w przestrzeń. I wtedy zaskoczyła mnie, bo przemówiła.

- Jakiś mężczyzna pytał o ciebie. - Jej paciorkowate, brązowe oczy podkreślone były niebieskimi cieniami zmęczenia i milionem cieniutkich zmarszczek. Usta miała wąskie i zaciśnięte w linię prostą

- Kto taki? - zagadnęłam i chociaż żołądek podszedł mi do gardła, starałam się, żeby moje słowa zabrzmiały zwyczajnie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Co powiedziała?

- Żebyś zadzwoniła. Mówił, że masz numer.

Stłumiłam odruch, żeby odwrócić się na pięcie i przyjrzeć twarzom ludzi na ulicy. Kiedy zobaczyłam, że gliniarze wyszli, ogarnął mnie strach. Zelda wręczyła mi pizzę w białej papierowej torbie.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Niedobry człowiek - powiedziała, kręcąc głową. - To był niedobry człowiek.

Jej słowa sprawiły, że przeszył mnie chłód. Gdy wyszłam z pizzerii na ulicę, czułam się narażona na atak i wyobcowana. Ludzie przechodzili obok mnie, niosąc ubrania z pralni, teczki i plecaki. Ktoś przejechał na rolnikach, jakiś bezdomny leżał na ganku po drugiej stronie ulicy. Pierwsza Aleja była jak morze ruchu ulicznego z trąbiącymi klaksonami i krótkimi piskami gumy trącej o beton podczas szybkiego hamowania. Błysnęły światła: NIE PRZECHODZIĆ. Wszystko wyglądało normalnie, jak zawsze. Tylko ja byłam inna. Trochę ponad półtora tygodnia temu, kiedy stałam na tym rogu i widziałam, jak Justin pakuje się pod koła, wszystko w moim życiu uległo zmianie, wszystko, co mnie dotyczyło zaczęło być inne. Tych kilkanaście metrów od pizzerii do drzwi mojego domu przechodziłam miliony razy i nigdy nie byłam tak świadoma scen, które się wokół rozgrywały. Patrzyłam na twarze obcych ludzi i zazdrościłam im, że tak sobie dają radę w życiu, że wiedzą, kim są i dokąd zmierzają... a przynajmniej, skąd przyszli. Wyczuwałam zagrożenie pod powierzchnią ulicznego hałasu, jakby pod fasadą niewinnej scenerii przede mną czaiło się coś mrocznego. Miałam wrażenie, że jestem obserwowana. Poszłam szybko do drzwi mojego domu, otworzyłam je kluczem i weszłam do środka, czując na plecach oddech niebezpieczeństwa. Metalowy trzask zamykających się drzwi wywołał we mnie dreszcz, jakby ktoś chodził po moim grobie.

Znacznie później, w nocy, telefon wyrwał mnie z niespokojnego snu. Widziałam, że to Ace, zanim odebrałam.

- Podobno mnie szukałaś. - Jego głos brzmiał obco i odlegle, jakby dzwonił z zagranicy. - Zły pomysł, Ridley.

Nic nie powiedziałam, tylko trzymałam słuchawkę. Pomyślałam, że to śmieszne, chociaż niewesołe, że mój starszy brat, ćpun, lepiej ode mnie wie, jak żyć.

- Coś nie tak? - powiedział może po minucie.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Więc mów.

Nie, musiałabym zobaczyć jego twarz, spojrzeć mu w oczy. Przez telefon nie mogłam wyczuć, co myśli i czuje. Nie chcę powiedzieć, że mi się to udawało, kiedy widywałam się z nim osobiście.

- Chcę się z tobą zobaczyć.

Znów cisza. Słyszałam, jak oddycha. Słyszałam hałas ulicy, który mi powiedział, że Ace dzwoni z budki. Popatrzyłam na wyświetlacz numerów,

jarzył się tam napis: NUMER NIEZNANY. Te słowa sprawiły, że poczułam się bardzo samotna, odizolowana od wszystkich ludzi. Czekałam. Nasze rozmowy telefoniczne z reguły pełne były ciężkiego milczenia.

- Spotkajmy się w tej jadłodajni przy Zachodniej Czwartej - powiedział wreszcie, jakby jego rozsądek został przyciśnięty do maty po długiej walce zapaśniczej z sumieniem.

- Kiedy? - zapytałam, patrząc na zegarek: wpół do drugiej w nocy.
- Przyjdź teraz.
- Okej.

Ubrałam się i wyszłam w mniej niż dziesięć minut. Zatrzymałam taksówkę na Pierwszej, a kierowca skręcił w lewo, w Dwunastą. Jechaliśmy Drugą na południe; była spokojna i prawie pusta. Przypomniałam sobie, co Truman Capote pisał o Drugiej Alei: że jest opustoszała. Zawsze się z tym zgadzałam. Przemknęliśmy obok kościoła św. Marka i baru Telefonicznego. Ludzie, którzy nie wiedzą, co mówią, nazywają Nowy Jork miastem, które nigdy nie śpi. Ale ono śpi. Hm, przynajmniej drzemie. Okna ciemnieją, bramy się zamykają.

Na świątłach przyglądałam się mężczyźnie w średnim wieku, ubranemu w tweedową marynarkę. Szedł aleją. Owinął się ciasno marynarką i zdawał się bronić przed wyimaginowanym wiatrem. Maszerował szybko, lekko pochylony do przodu, twarz miał bez wyrazu, oczy utkwione przed siebie. Samotni ludzie na ulicy, po pewnej godzinie, zawsze wydają się zagubieni, zmęczeni albo pijani i pędzą do swojego miejsca przeznaczenia, pełni niepokoju. Wyjawszy studentów i grupki uczestników imprez, zawsze myślałam o nich jako o ludziach prześlizgujących się przez życie, zamieszkujących zewnętrzne rubieże, bez trosk spowodowanych porannym budzeniem, planami, terminami i obowiązkami. Zawsze zastanawiałam się, co sprawia, że ludzie samotnie chodzą ulicami po nocy. I oto ja byłam równie zagubiona jak oni, chociaż jechałam taksówką. Trochę bolała mnie głowa. Przypisywałam ten głuchy ból za oczami butelce wina, którą wypijałam sama prawie do końca.

Nie powiedziałam nikomu, poza rodzicami i Jakiem, o fotografiach i liściku, ale po ostrzeżeniu Zeldy nie byłam w stanie samotnie dźwigać tego ciężaru. Myślałam intensywnie, idąc po schodach do mieszkania. Ten mężczyzna na klatce, poprzedniej nocy... czy to był ten sam, który szukał mnie dziś po południu? Myślałam o liściku, który znalazłam rano. „Oni kłamali”. Czy to znaczy, że jakoś się dowiedział o mojej wizycie u rodziców? A jeśli tak, to czy mógł się dowiedzieć, o czym rozmawialiśmy? A może to był przypadek, że się domyślił? A jeśli znaczyło to coś zupełnie innego? Pomyślałam chwilę o rozmowie z Jakiem. Może powinnam mu powiedzieć, że ktoś o mnie



pytał w pizzerii. Ale chciałam być sama, otoczona przez moje przedmioty, moją przestrzeń, znajomą i bezpieczną.

Byłam zagubiona w myślach i nie wiedziałam, jak długo taksówkarz stał przed jadłodajnią. Stukanie w okno przywróciło mi poczucie rzeczywistości. Zobaczyłam twarz Ace'a za szybą. Otworzył mi drzwi, kiedy płaciłam kierowcy. Wyszłam na ulicę.

Wyglądał nieźle, prawie zdrowo, z lekka tylko wymizerowany i szarawy. Wypłowiałe dżinsy wisiały na jego chudej sylwetce, ale były czyste. Na czarnym golfie nosił starą kurtkę motocyklisty. Pocałował mnie, a ja poczułam ostry zarost na jego twarzy; pachniał miętą. Uznałam to minimum higieny osobistej za dobry znak, bo, wiercie mi, nie zawsze pachniał miętą.

W knajpce było pełno ludzi, którzy wpadli tu po wizytach w klubach i barach na późnego cheeseburgera albo placki. Usadowiliśmy się w winylowym boksie. Obrotowa taca z ciastkami flirtowała ze mną, oferując babkę piaskową, ciastko z serem, tiramisu. Dym z papierosów, zapachy palonej kawy, przysmażonego tłuszczu i syropu klonowego mieszały się w powietrzu. Rozlegał się pomruk rozmów, sztuce pobrzękiwały o ceramiczne talerze.

Ace nie lubił, kiedy za długo mu się przypatrywałam. Mówił mi, że czuje się jak poddany inspekcji, i może miał rację. Szukałam znaków poprawy albo pogorszenia jego stanu zdrowia. Sprawdzałam, czy nie wraca do świata, mojego świata, albo czy nie opada jeszcze niżej w stronę dna. Zawsze myślałam o nim jako o człowieku żyjącym poniżej mnie, w jakiejś tajemnej, podziemnej krainie, do której musiałam schodzić po schodach jak do lochu i szukać go w ciemnych korytarzach, wołając jego imię. Spoglądałam więc na niego ukradkiem, sprawdzając, czy nie ma nowych blizn, siniaków, wyprysków. Jak długo jeszcze przetrwa? Chodzi mi o to, jak długo żyje narkoman. Nie wiem.

- O co chodzi, Ridley? Wyglądasz na zmęczoną.

Opowiedziałam mu całą historię. Kilka razy przerywała mi kelnerka, przyjmując zamówienia, a potem przynosząc cheeseburgery, frytki i koktajl mlecznoczekoladowy. Ace nie odezwał się przez cały czas ani słowem, tylko spoglądał w dół, najpierw na szary, nakrapiany złotem blat stołu, potem najedzenie, które dziobał i przesuwiał po talerzu.

- Co, dokładnie, powiedzieli ci tata i mama? - zapytał ostrożnie, kiedy doszłam do wizyty u rodziców.

Zrelacjonowałam rozmowę niemal dosłownie, tak jak ją zapamiętałam.

- Uwierzyłam im. Czułam się głupio i trochę nieswojo.

Parsknął i pokiwał głową.

- Mają sposoby, żeby ludzie się tak czuli. - W jego tonie była gorycz. - Co się zmieniło?

Opowiedziałam mu o drugim liście i wycinkach z gazety. Kiedy znów podniosłam na niego wzrok, kręcił głową.

- Co?

- Ridley... - Popatrzył w bok, przez okno, na ruch na Szóstej Alei. - Po co mi to opowiadasz?

- Bo... nie wiem. Boję się.

Westchnął ciężko i popatrzył na swoje palce. Próbowалаm nie zauważać śladów na zewnętrznej stronie jego dłoni. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak wygląda reszta jego ciała, jeśli postanowił wkłuwać się także tam w żyły.

- Nie chciałybyś znać odpowiedzi na te pytania. Wierz mi.

Kiedy przez ostatnie dwa dni wpadałam w rozpacz, jakaś część we mnie wierzyła, że to musi być pomyłka. Jak w chwilę po kraksie samochodowej, kiedy uderzenie wstrząsa wami, a wy przez kilka sekund nie jesteście w stanie uwierzyć w to, co się stało. Ja nadal tkwiłam w takim zawieszeniu. Poczulałam nagłą chęć odnalezienia brata z nadzieją, że nie będzie miał zielonego pojęcia, o czym mówię. Chciałam, żeby mi powiedział, że zwariowałam, i poprosił mnie o pieniądze. To był mój ostatni, nieudany, wysiłek, żeby utrzymać iluzję dotychczasowego życia.

- Ace... - powiedziałałam.

Ale powstrzymał mnie, unosząc dłoń.

- Zapytaj tatę o naszego wujka Maksa - słowo „naszego” wypełnił zjadliwą goryczą. Przypomniał mi, że zawsze był ten szczególny fluid pomiędzy nim a Maksem. I jakaś dziwna zazdrość o mój związek z nim, której nigdy nie rozumiałam.

- Zapytaj go, Ridley, o wujka Maksa i jego „fundację piesszczoszków”. Tyle mam ci na ten temat do powiedzenia.

- Ale...

- Muszę iść, dzieciaku.

Serce mi zadrżało, kiedy wstał. Moje życie ogarnął chaos, byłam przerażona, że kiedy odejdzie, już nigdy go nie zobaczę. I rozgniewana, że zostawił mnie samą wobec czegoś, czego jeszcze nie znam.

- Ace. - Mój głos zabrzmiał rozpaczliwie, dziecinnie nawet w moich uszach. - Nie możesz tak po prostu mnie zostawić.

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową. Oczy miał puste, zmęczone, ze śladami - strach mi było pomyśleć - apatii.

- Ridley, ja jestem widmem. Nawet mnie tu nie ma.

Dwie dziewczyny w boksie za nami przerwały rozmowę, wyczuwałam, że się nam przysłuchują. Cieszyłam się, że ich nie widzę, bo nie powstrzymałabym łez. Ta znajoma alchemia uwielbienia i nienawiści zawrzała, przekształcając ułomnego człowieka, który stał przede mną w mitycznego bohatera mojej wyobraźni. Supermana, który mógł zmienić kierunek obrotów Ziemi, żeby uratować Lois Lane, ale nie zrobił tego; Prometeusza, który przestraszył się ognia; Atlasa, który odrzucił nieboskłon.

- Jeśli jesteś mądra, zapomnisz o tym. Po prostu będziesz żyć dalej. Przeprowadź się, żeby człowiek, który ci to zrobił, nie mógł cię odnaleźć.

Kiwnęłam głową, nie ufając swemu głosowi. Sięgnęłam do kieszeni i wręczyłam mu gotówkę, którą dla niego przyniosłam. Wziął pieniądze, zawstydzony, i popatrzył tęsknie na drzwi. Stał przez moment, walcząc z czymś, ale potem odszedł.

- Kocham cię - powiedziałam, nie patrząc w jego stronę.

- Wiem - odparł. - Tylko nie rozumiem dlaczego.

Siedziałam w boksie i patrzyłam, jak idzie Czwartą do rogu i skręca w lewo. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął mi z oczu, a potem dalej wpatrywałam się w noc z nadzieją, że może wróci. Ale nie wrócił. Wtuliłam głowę w ramiona i pozwoliłam łzom wsiąkać w materiał żakietu.

- Hej.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Jake'a, jak wślizgnął się do boks po drugiej stronie stołu. Przyglądałam mu się przez sekundę. Ubrany był w czarną dżinsową kurtkę i szary T-shirt. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Szybko otarłam oczy, zażenowana, że widział mnie płaczącą.

- Czy to przypadek? - zapytałam go roztrzęsionym głosem. Byłam pewna, że mam zaczerwienione oczy.

- Nie.

Przemyślałam te słowa.

- Śledziłeś mnie.

- Bałem się, że zrobisz coś nieodpowiedzialnego i odwiedzisz swojego domniemanego ojca w środku nocy.

Kiedy nic nie powiedziałam, dodał:

- Myślałem, że przyda ci się jakieś wsparcie.

- Śledziłeś mnie - powtórzyłam. Nie byłam pewna, czy mam być wystraszona, zachwycona czy wkurzona. Było we mnie wszystko to naraz, z przewagą złości.

- Kto to był? - zapytał. Wyrzał przez okno, jakby mógł jeszcze zobaczyć Ace'a.

Nikt mnie jeszcze nigdy nie śledził i nie wiedziałam, jakie wystawia mu to świadectwo. Nie byłam jedną z tych głupich, beznadziejnych kobiet, które myślą, że kontrolowane zachowanie jest sexy. W rzeczywistości jest zupełnie przeciwnie. Kiedy wyczuwam coś takiego u siebie, wyłączam się. Byłam zakłopotana, bo chociaż miałam teraz powód, żeby podejrzewać go, że za mną chodzi, to jakaś część mnie myślała o zrzuceniu koktajli mlecznych ze stołu i zrobieniu tego z nim w tej chwili.

- Nie twój interes - powiedziałam. Moje słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzałam.

W knajpce zrobiło się nagle cicho. Rozejrzałam się, zawstydzona. Tłumek, który zebrał się tu wcześniej, wydatnie zmalał, słyszałam brzęczenie świetlówek. W boksie przy drzwiach siedziała jakaś parka. Dwoje punków jadło jedną porcję frytek, ich pomarańczowe irokezy trochę oklapły. Stary mężczyzna popijał kawę, a jedyna kelnerka, młoda dziewczyna bez biustu, z mysimi włosami i tragiczną wysypką udawała, że czyta jakiś romans, ale naprawdę przysłuchiwała się naszej rozmowie.

- To prawda - odparł, rzucił mi szybkie spojrzenie i opuścił wzrok. I znów nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy.

- Pójdę - powiedział, wstając. - To był zły pomysł. - Podeszedł do drzwi, a potem wrócił i znów stanął przy stole. - Ja nie prześladowuję kobiet, okej? Nie chciałem cię przestraszyć. Ja tylko... zacząłem o tobie myśleć jako przyjacielu; nie bardzo wiem dlaczego. Niełatwo się zaprzyjaźniam.

Patrzyłam na niego, starając się dociec, czy rewolucja w moim brzuchu to sprawa nerwów, pożądania czy tego świństwa, które właśnie zjadłam.

- Więc jestem nim? - zapytałam.

- Kim? - zdziwił się, rozkładając ręce.

- Twoim przyjacielem?

Wzruszył ramionami, lekko pokręcił głową i wtedy popatrzył na mnie z tak jawnym pożądaniem, że, słowo daję, prawie sapnęłam. To było dzikie, zupełnie nieudawane odbicie mojego serca. Położyłam na stoliku dwadzieścia pięć dolarów i wyszłam za nim na ulicę.

Na zimnie ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie łagodnie, ledwie dotykając moich warg swoimi. Rozpaliło mnie to, jakby nasaczył mnie benzyną i podpalił. Czułam się jak nastolatka. Udało mu się zatrzymać taksówkę; usiedliśmy z tyłu i obściskiwaliśmy się jak dzieciaki na studniówce.

Przy naszym domu pocałował mnie w kark, kiedy próbowałam otworzyć drzwi wejściowe. Wepchnął mnie do środka i przycisnął do ściany. Był wygłodniały, ale czuły, całował mnie prawie z szacunkiem. Nie zamknął oczu,

lecz wpatrywał się w moje. Nie chciałam przestać na niego patrzeć. Nie mogłam. Nie wiem, jak weszliśmy na drugie piętro, do mojego mieszkania, ale jakoś nam się to udało.

Na łóżku usiadłam nad nim okrakiem i rozpięłam mu koszulę. Jego klatkę i ramiona pokrywał tatuaż: lejący smok z rozwiniętymi skrzydłami, otwartym pyskiem pełnym ostrych zębów i węzowym, rozwidlonym językiem. Było to dzieło sztuki, każdy szczegół został precyzyjnie oddany. Smok był rozgniewany, ale silny i dobry, mądry i sprawiedliwy. To, co zauważyłam pod spodem, przypominało blizny. Długie na dziesięć centymetrów zagłębienie w boku i coś w ramieniu, co wyglądało jak rana od kuli. Leżał spokojnie, kiedy na niego patrzyłam, przebiegając palcami wzdłuż linii tatuażu i po bliznach. Uniósł dłoń i pogłaskał mnie łagodnie po policzku i podbródku. Nie wiem, co on widział w mojej twarzy.

- Nie bój się, Ridley.

Nachyliłam się, żeby go pocałować. Bałam się, ale nie jego, tylko potężnych wirów strachu i pożądania, chaosu, który wdzierał się w moje kiedyś tak poukładane życie. Rozpięłam swoją koszulę i pozwoliłam, żeby spadła mi z ramion.

- Nie boję się - powiedziałam.

- Naprawdę tego chcesz? - zapytał, podnosząc się na łokciach i patrząc na mnie. - Ostrzegam cię, nie jestem pierwszy z brzegu. Od dawna byłem samotny, Ridley. Niełatwo wchodzić w związki.

Poczułam, jaki jest ciężki. Usiadł i objął mnie ramionami. Wyszepiałam mu do ucha.

- Nie bój się, Jake. - Jęknął i przyciągnął mnie bliżej.

- Słusznie, które powinnaś o mnie wiedzieć - powiedział w moje włosy.

- Chcę o nich od ciebie usłyszeć. Chcę wiedzieć wszystko. Ale nie teraz.

Światło z korytarza wślizgiwało się do sypialni i lizało zagłębienia jego ciała; obojczyk, którego dotykałam ustami, był jak wypukły górski grzbiet, tatuaż na ciele świadczył o ogromnym wysiłku i uwadze. Każdy mięsień był twardy jak skała pod jedwabiem skóry. Drżał pod szeptem moich ust. Czułam, jak robi się twardy, i świadomość jego potrzeb burzyła we mnie krew.

W półmroku widziałam tylko część jego twarzy. Patrzył na mnie otwartymi oczami, kiedy popchnęłam go na łóżko. Szczękę miał kwadratową, usta ponure. Dla kogoś, kto nie wie, jak patrzeć na twarz, mógł się wydawać twardy, prawie zły. Ale ja wiedziałam, że o wszystkim świadczą kąci ust i oczu. Był w nich ten smutek, który już wcześniej odkryłam, było potężne

pożądanie, wyczuwałam je ciałem, ale tym, co poruszało mnie najbardziej, była wrażliwość człowieka, który nie dopuszcza do siebie innych ludzi, bo nie jest pewien, czy wytrzyma przyjemność lub ból takiego zbliżenia.

Pozwolił mi odkrywać swoje ciało ustami i czubkami palców. Chciałam przewędrować krajobraz jego fizyczności wijącą się ścieżką. Część mnie chciała pochłonąć go szybko, całkowicie, ale przede wszystkim chciałam poczuć jego smak na języku. Był cierpliwy, lecz gdy jego niskie jęki stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, wiedziałam, że ta powściągliwość długo nie potrwa. Kiedy rozpinałam guziki jego dżinsów, przewrócił mnie. Był taki szybki, taki silny, otoczył mnie ramionami. Poczułam się przez chwilę pokonana, przemknęła mi przez głowę myśl o tym, że śledził mnie do jadłodajni.

- Dręczysz mnie - wyszeptał, pożądanie sprawiało, że mówił gardłowym, »  
nerwowym głosem.

Uśmiechnęłam się i objęłam go ramionami.

Byłam zagubiona w morzu jego ciała, pływałam w jego oczach, czułam jego silne ręce błędzące po mnie. Nigdy nie dawałam z siebie tyle w miłosnym akcie, nigdy aż tak nie rozkoszowałam się każdą chwilą. Koszmary, które od niedawna wypełniały moje życie, odeszły jak aktorzy schodzący ze sceny i nie zostało nic poza naszymi ciałami. Może jakiś tydzień temu, kiedy jeszcze sądziłam, że wiem, kim jestem, nie oddałabym się aż tak. Ale skoro nagle uwolniłam się od spraw, które mnie określały, pozbyłam się też granic, których mogłabym bronić. Zatonęłam w przyjemności naszego złączenia i całkowicie odkryłam się przez Jakiem. W tym miejscu, o tym czasie byłam bardziej rzeczywista niż kiedykolwiek gdzie indziej, a ten człowiek, który tak niedawno wszedł w moje życie, prawdopodobnie poznał mnie lepiej niż ktokolwiek na ziemi.

## Rozdział 10

Nie prosiłam Zacka, żeby oddał mi klucze. Nie wiem dlaczego; chyba pomyślałam, że do rany dodałabym obelgę. Zresztą, nadal byliśmy blisko, pozostawaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Ale uznałam za oczywiste, że bez mojej zgody nie ma już prawa z nich korzystać. Piątkowy poranek dowiódł, że się myliłam.

Serce prawie mi zamarło, kiedy wyszłam z sypialni do saloniku i mój rozszepany umysł zarejestrował jakąś postać na kanapie. W opuszkach palców poczułam przypływ strachu, a w gardle zaczął mi narastać krzyk. Minęło kilka sekund, zanim zorientowałam się, że to Zack. Patrzył na mnie z miną, której nigdy jeszcze u niego nie widziałam. Była w niej troska, ale także gniew przyćmiony niechęcią.

- Zack - powiedziałam cicho, unosząc rękę do piersi. Strach wyparował, pozostała irytacja. - Co tu robisz?

- Co ja tu robię? - spytał z niedowierzaniem. - Ridley, ludzie się martwią o ciebie.

- Ludzie? - rzekłam, marszcząc brwi. - Ajacy?

- A tacy, jak twoi rodzice, na litość boską. Co się z tobą dzieje?

- Zaledwie przedwczoraj widziałam swoich rodziców.

- O tak, bredziłaś jak wariatka, że nie są twoimi prawdziwymi rodzicami. A potem nawet do nich nie zadzwoniłaś, żeby powiedzieć, że z tobą wszystko w porządku.

- Zack, a jaki to ma związek z tobą?

Dotykałam tutaj czegoś, czego zawsze nienawidziłam w moich relacjach z Zackiem - albo, powinnam powiedzieć, w relacjach Zacka z moimi rodzicami. Często miałam wrażenie, że jest ich klonem, którego stworzyli w jednym celu: żeby się ze mną ożenił i opiekował się mną, bo oni już nie mogą. Irytowało mnie to bardzo, nawet kiedy byliśmy razem. A teraz, po rozstaniu, było to wprost wkurzające. Poczułam, że robi mi się gorąco, a w gardle zasycha.

- Zack, musisz wyjść. Natychmiast - powiedziałam, przechodząc do kuchni.

- Ridley, porozmawiaj ze mną. Co się dzieje?

Zignorowałam go, gdy poszedł za mną do kuchni. Zauważyłam, że nie ma na nogach butów, i miarka się przebrała. Jak mógł zdjąć buty? Co dawało mu prawo, żeby przychodzić do mojego mieszkania i czuć się jak u siebie w domu?

- Zack, nie słyszałeś? - Odwróciłam się, żeby spojrzeć mu w oczy. - Wyjdź.

Wyglądała na zranionego, jakbym uderzyła go w twarz. Co się ze mną dzieje? Dlaczego jestem dla niego taka podła? Mój przyjaciel z dzieciństwa, mój były chłopak, syn kobiety, którą kochałam jak matkę, oto kim jest Zack. Dlaczego traktuję go jak intruza, którego muszę usuwać z domu?

- Przepraszam - powiedział, kręcąc głową. - Masz rację. To był błąd, nie powinienem tu przychodzić. Byłem... - Urwał i popatrzył na swoje stopy w skarpetkach.

Westchnęłam, czułam się jak ostatnia zdzira.

- Wiem, że się po prostu niepokoiłeś, - Zdobyłam się na łagodny ton i podeszłam do niego. - Ale to nie był dobry pomysł. - Położyłam ręce na jego ramionach.

- Ridley - szepnął, odpowiadając mi spojrzeniem swoich lodowatobłękitnych oczu. W sylabach swojego imienia usłyszałam wszystkie odcienie krzywdy i rozczarowania, jakich mu nie szczędziłam, i całą nadzieję, którą nadal żywił w stosunku do nas obojga. Jestem pewna, że rozdmuchiwali ją moi rodzice i jego matka: „Dajmy Ridley trochę czasu. Dojdzie do siebie”.

- Zack, przepraszam. - Nie jestem pewna, dlaczego przepraszałam.

Przyciągnął mnie do siebie, a japoczułam jego znajomy zapach i na chwilę oparłam się o niego, zatapiając się we wspomnieniach. „Jesteś głupia, że pozwoliłaś odejść temu chłopcu”, narzekała moja matka. Może miała rację, jak w wielu innych sprawach. Ale ja nie kochałam Zacka.

- Co się dzieje, Ridley? - zapytał Jake, wyłaniając się z sypialni.

Zack szybko odsunął się ode mnie, jakbym ugryzła go mocno w szyję, i popatrzył na mnie z zaskoczeniem i bólem. Przez sekundę stali, a kontrast między nimi był tak wielki, że aż śmieszny. Zack: blondyn, perfekcyjnie zaprasowane spodnie, biała koszula, modna kurtka zarzucona na oparcie mojej kanapy, drogie buty pod moim stolikiem na kawę. Jake: ciemny, z wielkim smokiem wytatuowanym na wypukłej klatce, wypłowiałe dżinsy, gołe stopy.

Zackowi zrzędała mina, a ja poczułam się jak dziecko przyłapanie na wagarach, w złym towarzystwie. Żołądek mi się wywracał na myśl, jak mu jest smutno, ale w zadziornym sercu była szczypta satysfakcji. Nie zapominajcie, że naszedł mnie w moim królestwie i w imieniu rodziców sprawdzał, co robię. To nie było w porządku.

- Kto to jest? - zapytał Zack.

- Zack, to Jake. Jake, Zack.

- Miło mi pana poznać. - Jake wyciągnął rękę.

Zack tylko na niego popatrzył i Jake po sekundzie cofnął dłoń z pełnym zrozumieniem skinieniem głowy. Zack, ocierając się o niego, schwytał kurtkę i buty. Poczucie winy i smutek sprawiły, że gorąco rozlało mi się po policzkach. Nie jestem pewna dlaczego, ale są to uczucia, które dobrze pasują do moich stosunków z Zackiem. Nic nie powiedziałam, kiedy szedł do drzwi, niosąc swoje rzeczy.

- Oddaj klucze, Zack. To nie było w porządku.

Wyciągnął klucze z kieszeni i wręczył mi je z uśmiechem, którego nie umiałam zinterpretować. Dziwna myśl zaświtała mi w głowie: zrobić kopię.



- Nawet nie jestem pewien, kim teraz jesteś, Ridley - powiedział.

- A ja nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wiedziałeś, Zack - odparłam. Te słowa miałam na języku. Nie wiem dlaczego, bo wcześniej nie myślałam o tym świadomie. Ale kiedy to powiedziałam, wiedziałam, że to prawda. Wiedziałam, że zerwałam ten związek, bo w nim nigdy nie mogłam być sobą nie czując się winna. Jak dziecko, postępujące wbrew wszechwładnym rodzicom, kiedy każde niezależne działanie sprawia im ból i przynosi karę; subtelną, niejawną, tak żeby ludzie nie widzieli. Nikt nie zauważy... z wyjątkiem mnie.

Stanął, nadal w samych skarpetkach. Domyślałam się, że akt wkładania butów w obecności Jake'a byłby dla niego nie do zniesienia. Wyjrzałam przez wizjer, gdy już zamknęłam za nim drzwi, i zobaczyłam, jak siedzi na schodach i sznuruje buty. W moim gardle jak kula narastał gniew i poczucie winy.

- Wszystko w porządku, Ridley? - zapytał Jake stojący za mną. Spodobał mi się sposób, w jaki to powiedział, z troską, ale ze świadomością, że sama potrafię sprostać wyzwaniom życia. Nie był zazdrosny ani zły. To też mi się spodobało. Doceniałam także, że nie musiałam niańczyć jego uczuć, kiedy moje szalały we mnie jak tornado.

- W porządku. Trochę było mi trudno.

Skinał głową i podszedł do mnie.

- Ale nie ostatniej nocy, prawda? Nie zapominaj o moim delikatnym ego - powiedział z szerokim, zaraźliwym uśmiechem, który sprawił, że kąciki ust wygięły mi się do góry. Poczułam ciepło w brzuchu, a jego dłonie znalazły się na moich ramionach.

- To nie takie straszne - powiedziałam, przytulając twarz do jego piersi. Pozwoliłam, żeby mocno mnie przycisnął. Nie minęła minuta i znów to robiliśmy.

Zdrzemnęłam się trochę po kolejnym zbliżeniu. Kiedy się obudziłam, nie otworzyłam od razu oczu, bo bałam się, że nie ma go w łóżku obok mnie. Gdybym otworzyła oczy, a jego by nie było, to pomyślałabym ze strachem, że to, co między nami zaszło, było tylko wytworem mojej wyobraźni. I czułabym się głupio. Ale po sekundzie poczułam jego wodę kolońską. Po następnej sekundzie - jego dłoń na moim brzuchu, i znów przeszedł mnie prąd.

- Obudziłaś się - powiedział.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że patrzy na mnie.

- Skąd wiedziałeś?

- Oddech ci się zmienił.

- Słuchałeś, jak oddycham?

Kiwnął głową, usta wygięły mu się w seksowny, leniwy uśmiech. Myślałam, że powie coś pikantnego, ale milczał. Z każdą minutą lubiłam go coraz bardziej. Poczułam niepokój, gdy zdałam sobie sprawę ze swoich uczuć. Wyluzuj, dziewczyno.

- Która godzina? - zapytałam, siadając i patrząc na zegar. Było po dziesiątej.

- Masz robotę - powiedział po prostu. Spodobało mi się, że o tym wie i że to dla niego nie problem. Zack nigdy nie uważał mojej pracy za prawdziwe zajęcie i kiedy on był w pobliżu, uważał ją, za niepotrzebny wtęt w wspólne spędzane chwile. Jake postawił nogi na ziemi i wstał z łóżka. Zrobił mi małe, przyjemne show, kiedy wkładał dzinsy i podnosił koszulę z podłogi. Bardzo ładnie.

Moje studio jest przy rogu Dziesiątej i A - powiedział, siadając na łóżku i biorąc mnie za rękę. Przytknął ją do warg. - Wpadnij później, jeśli chcesz zobaczyć parę moich prac. Pierwsze drzwi po wschodniej stronie A, naprzeciwko parku. Są czerwone, na pewno znajdziesz.

- Chętnie wpadnę. - Chciałam westchnąć, ale uśmiechnęłam się. - Około czwartej.

Nachylił się, żeby mnie pocałować. Zrobił to lekko, ale pocałunek trwał dłużej, słodką minutę. Potem wyszedł bez słowa.

## Rozdział 11

**K**iedy Jake wyszedł, zrobiłam sobie kawę i podkrecona kofeiną przetrwałam resztę poranka. Rozmawiałam z Tamą Pumą.

- Panna Thurman będzie uszczęśliwiona rozmową z panią - powiedziała, a głos miała jak ciepły, radosny pomruk. „Uszczęśliwiona”? Kto używa takich słów w rzeczywistym świecie? Wyobraziłam ją sobie w boa z piór, z długa firkana papierosa między palcami. Chociaż, rzecz jasna, pani Puma wolałaby umrzeć, niż włożyć papierosa w usta.

Skontaktowałam się z księgowością magazynu „New York” w sprawie pieniędzy, które byli mi winni. Powiedzieli, że czek wysłali pocztą. Do południa kofeina przestała działać i nie mogłam dłużej ignorować myśli, które mi ciążyły. Czułam znajome szarpnięcia winy - powinnam zadzwonić do

rodziców i powiedzieć im, że ze mną wszystko w porządku. Ale nie chciałam. Nie chciałam słuchać ich głosów, bo wtedy nie byłabym w stanie usłyszeć własnego.

Spędziłam jakiś czas w Internecie, wyszukując informacji o zaginionym dziecku i zamordowanej matce w początku lat siedemdziesiątych, ale pozycji było zbyt wiele. Zawęziłam poszukiwania do obszaru trzech stanów, lecz nadal było ponad dziesięć tysięcy trafień. Przeszył mnie chłód. Myślałam o swoim idyllicznym dzieciństwie, o tym, jak zawsze czułam się bezpieczna i kochana, jak jedynymi rzeczami, których się bałam, były złe oceny i wstyd, że mam trudności z wspięciem się na tę głupią linię podczas zajęć z wychowania fizycznego.

Przewinęłam archiwum, zaczynając od starych gazet i czasopism. Były to witryny z tymi strasznymi, poźółkłymi fotografiami mówiącymi, że ktoś stracił dziecko, którego nigdy nie odnaleziono. Że musiał sobie wyobrażać, jak niemowlę będzie wyglądać, kiedy skończy pięć lat, dziesięć lat, o ile w ogóle żyje. I wtedy zrozumiałam, że jest taki świat, okropne miejsce bólu i przemocy, do którego zesłano niektórych ludzi, a reszta z nas nie może ich odwiedzić, nawet gdyby chciała. Nie znalazłam niczego, co odnosiłoby się do wycinków, które mi przysłano, nie zobaczyłam zdjęć, które pasowałyby do leżących na moim biurku. Ale muszę przyznać, że szukałam trochę bez przekonania. Rozumiecie, wtedy jeszcze nie wiedziałam, czy naprawdę chcę się dowiedzieć.

Na biurku miałam zdjęcie brata i moje, kiedy byliśmy dziećmi. Wzięłam je do ręki i przyjrzałam mu się. Siedziałam na huśtawce w parku przy naszym domu, brat stał za mną, z rękami tuż nad moimi na łańcuchach podtrzymujących deskę. Oparł podbródek na czubku mojej głowy i oboje uśmiechaliśmy się do aparatu. Czerwone, złote, brązowe i pomarańczowe liście tańczyły wokół nas na chłodnym, silnym wietrze, który wiał tamtego dnia. Kosmyk moich włosów uniósł się do góry i wyglądał na jego twarzy jak wąsy. Pamiętam takie wesołe dni, kiedy oboje byliśmy dziećmi, dopóki byliśmy z Ace'em. Pamiętam przechadzki i przyjęcia, wakacje i zjazdy rodzinne, którym nie towarzyszyło czarne widmo nieobecności brata, przesłaniające nam radość.

Matka lubi opowiadać o nas historyjki. A raczej lubiła, kiedy jeszcze chciała mówić o moim bracie, kiedy nadal uznawała go za swojego syna. Byliśmy mali, nie jestem pewna, ile mieliśmy lat, może około czterech i siedmiu. Pamiętam złote światło sobotniego poranka wpadające w szczeliny między zasłonami i mnie, budzącą się z podnieceniem, gdyż wiedziałam, że Ace nie

musi iść do szkoły i że czeka mnie cały ranek leżenia na podłodze przed telewizorem i oglądania kreskówki. Była jesień i było chłodno, bosymi stopami tupałam po zimnej podłodze ze swojego pokoju przez łazienkę na tę stronę poddasza, która należała do Ace'a. Wczołgałam się na jego łóżko, położyłam obok niego i bardzo ostrożnie uniosłam jego powiekę. On, oczywiście już nie spał, tylko udawał, że śpi. Po zwyczajowym narzekaniu i burczeniu pozwolił sprowadzić się ze schodów.

Zazwyczaj zaczynaliśmy sobotnie poranki od zjedzenia ogromnych mis kakaowych chrupków. Moi rodzice nadal spali i mieli zostać w łóżku jeszcze przez godzinę, kuchnia należała więc do nas - nikogo nie było, żeby mówić nam, co mamy jeść i żebyśmy ściszyli telewizor albo odsunęli się od ekranu. To była krótka chwila złotej wolności, kiedy to wraz z Ace'em zdecydowaliśmy o wszystkim, zjadaliśmy cukrowe płatki z mlekiem czekoladowym, skakaliśmy po meblach i walczyliśmy na łaskotki, co czasem kończyło się tak, że moczyłam swoją piżamę.

Z jakichś powodów tamtego ranka Ace postanowił, że na śniadanie będą ciasteczka. Znalazł paczkę w spiżarni i zabraliśmy ją stamtąd razem z dwoma szklankami mleka na nasze wygodne miejsce przed telewizorem.

Byliśmy chyba w połowie paczki, kiedy zeszła matka.

- Ace, Ridley, a co wy tu wyprawiacie?

Oboje przestaliśmy przeżuwać, a następnego ciasteczka już nie zdążyliśmy włożyć do usmarowanych czekoladą ust.

- Natychmiast dajcie mi te ciasteczka.

Wyciągnęłam rękę, żeby oddać ciastko matce, i zaczęłam płakać. Ale Ace włożył rękę do paczki i wepchnął tyle ciasteczek do ust, ile tylko zdołał, zanim matka nas dopadła.

Matka zawsze opowiadała tę historyjkę zdumiona, że już wtedy byliśmy tak różnymi dziećmi, mimo że byliśmy rodzeństwem i wychowaliśmy się w tym samym domu. Pamiętam ten płacz. Płakałam nie dlatego, że chciałam zjeść więcej ciasteczek - prawdę mówiąc, raczej mnie już mdliło - ale dlatego, że nadejście matki gwałtownie zakończyło nasz magiczny czas.

Zapamiętałam to również jako linię uskoku, dzielącą wspomnienia z dzieciństwa mojego i Ace'a. Matka i Ace wdali się w zażartą bitwę o ciasteczka - brat wyrwał się i uciekł z paczką na schody i do swojego pokoju. Trzasnął drzwiami i zamknął je na klucz, a matka, rozwścieczona, dobijała się do nich jak wariatka.

- Na litość boską, uspokój się, Grace. Tu chodzi tylko o ciasteczka - powiedział ojciec, wchodząc za nimi po schodach.

Ale, oczywiście, nie chodziło o ciasteczka. Chodziło o władzę. Ona bardzo chciała ją mieć, ja łatwo ulegałam, lecz Ace się zbuntował. Każde z nas wyrosło na innego człowieka, a dorastając, zdobywaliśmy różne doświadczenia. Ja skuliłam się w ramionach ojca; Ace zasłużył sobie na kamienne milczenie matki, które z zasady następowało po napadach wściekłości związanych z menopauzą.

Matka jednak zamieniła ten incydent w czarującą i zabawną anegdotkę, pozbawiając ją dramatyzmu chwili, żeby móc pokazać, jak zabawne i śmieszne mogą być małe dzieci. Zawsze zrymałam się, kiedy ją opowiadała, nie dlatego, żebym uznała to przeżycie za traumatyczne (choć Ace z pewnością tak to zapamiętał), ale dlatego, że nie byłam pewna, co chce przez to na mój temat powiedzieć. Czy chodziło jej o to, że byłam słaba, podczas gdy mój brat był odważny? Posłuszna, a Ace zbuntowany? Czy miałam się wstydzić, czy być dumna? W jej tonie był jakiś zrzędlawy rodzaj szacunku, kiedy mówiła o nim, jakby uwielbiała go za to, że się przeciw niej zbuntował. Potem, oczywiście, w ogóle przestała o nim mówić. To dziwne, jak pamięć wypacza się, kiedy opowiada się o przeszłości, jak konkretne wydarzenie może znaczyć coś innego dla każdej z osób w nim uczestniczących.

Gdy tak siedziałam, trzymając w ręce zdjęcie z huśtawką, wspomnienia maszerowały mi przez pamięć jak żołnierze. Były to sprawy, o których nie myślałam od lat, późniejsze wydarzenia nadały im kolor sepii. I nie byłam pewna, czy teraz pamięć mam wyraźniejszą niż w przeszłości, czy też tracę głowę, a wszystko - dawne wspomnienia oraz odbiór teraźniejszości - zostało wypaczone tym, co teraz mi się przytrafiło.

Wujek Max był jak góra, jak spadająca gwiazda, wielki jak niedźwiedź, był tym, który zawsze chętnie nosił mnie na barana, miał kieszenie pełne cukierków, a potem pieniędzy, czy czego tam jeszcze, co stanowiło walutę naszego dzieciństwa i młodości. Był koncertem rocka, rozgrywkami w baseball, był „tak”, podczas gdy rodzice byli „nie”, był lekarstwem na wszystkie rozczarowania, ucieleśnieniem zabawy, a te tygodnie, które spędzałam z nim, kiedy rodzice wyjeżdżali, pozostawiły mi najszcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Ace i ja uwielbialiśmy go, oczywiście. Jakżeby inaczej? Łatwo zdobyć sympatię dzieci, kiedy nie ustanawia się reguł, kiedy jedyną rolą, jaką odgrywa się w ich życiu, jest pokazywanie, jak zabawny może być świat.

Z wujkiem Maksem zawsze była jakaś kobieta, ale nigdy ta sama. Wszystkie one zlewają się jakoś w mojej pamięci, żadna nie wyróżnia się na tle parady farbowanych fryzur i silikonu, opalonej skóry, prostych, jedwabistych

włosów i wysokich obcasów. Zawsze wysokie obcasy, bez względu na to, w co się ubierały - sukienki, niebieskie dżinsy, bikini. Ale jedną z tych kobiet pamiętam; to chyba było w urodziny Ace'a. Sufitu w jadalni nie było widać, całkowicie przykrywały go balony z helem - czerwone, pomarańczowe, niebieskie, zielone, purpurowe. Pamiętam muzykę, a w mojej pamięci rozbrzmiewa ona jak muzyczka z lunaparku. Śmiech, ktoś rozlewa wodę sodowana biały dywan, przekłuty balon, radosne krzyki i klaun pokazujący magiczne sztuczki. Pamiętam, jak za szybko wybiegłam z za rogu i wpadłam na obleczone w dżins nogi jednej z przyjaciółek wujka Maksa.

- Przepraszam - powiedziałam, podnosząc na nią wzrok. Zobaczyłam tylko niebieski cień do powiek, natapirowane blond włosy i błyszczący do warg.

- W porządku, Ridley - odparła słodziutko i odeszła. I zobaczyłam, że nosi bajeczne, czerwone skórzane czółenka, „candies”, jeśli się nie mylę, niezwykle sexy. Zabrakło mi tchu z podziwu i zastanawiałam się, jakby tu dorosnąć, żeby być taką panią.

- Doprawdy, Max - usłyszałam matkę z kuchni, dokąd biegłam. Znałam ten ton, ciężki jak wór pełen kamieni jej dezaprobaty. - Jak mogłeś przyprowadzić jedną z nich tutaj, na urodziny Ace'a?

- Nie chciałem przychodzić sam - odparł. W jego tonie było coś, czego nie rozpoznawałam.

- Bzdura, Max.

- Czego ty ode mnie chcesz, Grace, hę? Przestań być taką cholerną cnotką.

Nie zdążyłam doznać szoku, że matka i wuj Max rozmawiają w taki sposób, bo nagle pojawił się ojciec.

- Tu jest moja dziewczynka! - zawołał, podnosząc mnie, chociaż oboje wiedzieliśmy, że robię się już dla niego za ciężka. Wniósł mnie do kuchni. Może nie dostrzegł, jak matka i Max szybko odwrócili od siebie wzrok i starannie ukryli gniewne miny pod maskami wesołości.

- Co ty tu wyprawiasz? - zapytał jowialnie ojciec. - Chyba nie podrywasz znowu mojej żony, co, Max?

Wszyscy roześmieli się z absurdalności tej uwagi. A potem przyszedł czas na ciasto, które całkowicie zatarło tę scenę w pamięci siedmiolatki.

Kiedy ściany mieszkania zaczęły mnie przytłaczać, wzięłam prysznic, ubrałam się i wyszłam z domu. Wiem, co ludzie sądzą o Nowym Jorku, ale ja nigdy nie czułam się tutaj zagrożona, nawet przez chwilę, aż do tamtego dnia. Przypomniały mi się ostrzegawcze słowa Zeldy o mężczyźnie, który mnie szukał. Uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam o nim ani Ace'owi

ani Jake'owi. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam. Czasami mam skłonność do traktowania kłopotliwych spraw jak brzęczących much, na zasadzie: jeśli sieje zignoruje, to odleca. Gdybym przywiązała większą wagę do faktu, że ktoś osobiście mnie szukał, zamiast wysłać maila, nie mogłabym dłużej ignorować problemu. To wydobyłoby i wzmocniło świadomość niebezpieczeństwa, a ja nie byłam gotowa na przyjęcie wynikających z tego konsekwencji, z których pierwszą byłoby ograniczenie mojej wolności. Wiecie, co o tym sędzę.

Przepchnęłam się przez drzwi jednej z klinik, w których ojciec i Zachary pracowali jako wolontariusze. Ta, do której poszłam, znajdowała się w centrum, druga była w New Jersey. Ojciec poświęcał tym miejscom coraz więcej czasu. Zazwyczaj na początku tygodnia był w Jersey, a pod koniec w śródmieściu, więc wpadłam na doskonały pomysł, żeby poszukać go dziś tutaj. Wiem, co myślicie: czy ona dopiero nie powiedziała, że nie chce widzieć się z rodzicami? To prawda, nie chciałam. Ale w okresach kryzysów ojciec przyciąga mnie jak magnes. Mogłabym się zaklinać, że nie zadzwonię do niego ani nie pójdę się z nim spotkać, kiedy mnie coś gryzie, on i tak wie o tym, naciska guzik gdzieś we wszechświecie i swoją magią zmusza mnie, żebym podniosła słuchawkę albo pojawiła się w jego gabinecie.

- Szukam doktora Jonesa. Czy jest dzisiaj? - zapytałam młodą kobietę siedzącą za biurkiem. Miała połyskliwą skórę koloru kawy z mlekiem i głębokie, czarne oczy otoczone gęstymi rzęsami. Nie widziałam jej wcześniej, chociaż wiele razy byłam w klinice, żeby odwiedzić ojca albo Zacka. Ale nie byłam zaskoczona, tu często pracownicy się zmieniali.

- Czy była pani umówiona? - zapytała, nie podnosząc wzroku znad otwartej teczki.

- Jestem jego córką.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Och, to pani jest narzeczoną Zacka? - powiedziała z radosnym rozpoznanem w głosie.

Zirykowało mnie to. Zerwaliśmy nasz związek ponad pół roku temu, a przy tym nigdy nie przyjął jego oświadczyn. Zatem, teoretycznie, nigdy nie byłam narzeczoną Zacka. A ona, zanim zdążyłam odpowiedzieć:

- I czy to nie pani uratowała to dziecko parę tygodni temu? Widziałam pani zdjęcie w gazecie.

- Hm, tak. To ja.

Popatrzyła na mnie z uwielbieniem w oczach.

- Miło panią spotkać. Jestem Ava.  
- Mnie również miło - odparłam, czując się bardzo niezręcznie. Za późno było, żeby powiedzieć: „A przy okazji, nie jestem zaręczona z Zackiem. A tak naprawdę, to nigdy nie byłam... to długa opowieść”. Zamilkłam więc po prostu i odwróciłam od niej wzrok.

- Chwileczkę - powiedziała, nadal patrząc na mnie. - Wywołam go pagerem. Proszę usiąść.

Znalazłam krzesło między płaczącymi niemowlętami i dręczonymi kaszlem szkrabami o cieknących noskach. Miałam nadzieję, że mój system odpornościowy jakoś to wytrzyma. Obok mnie ciężko oddychała jakaś kobieta, jakby miała gazę w płucach.

- Ridley! - zawołała po kilku minutach Ava. - Może pani iść. Jest w ostatnim gabinecie.

- Dziękuję.

- Wie pani - powiedziała Ava, zdalnie otwierając przede mną drzwi - nie jest pani podobna do taty.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Słyszałam już to.

„Wasz ojciec to święty. Wiecie? Wy, dzieciaki, macie szczęście, cholerne szczęście. Nie mówcie mamie, że przeklinam przy was, okej?”

Wujek Max powtarzał te słowa tyle razy, że straciły znaczenie.

„Wy nie wiecie - mawiał - wy nie wiecie, jak to jest, kiedy ma się ojca, który was nie kocha”. - I robił taką minę, jak wtedy, gdy w pobliżu była moja matka. Jakby świat był studniówką, a on jedyny przyszedł bez pary.

Domyślałam się, że wujek Max był najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego znałam, nie licząc Ace'a. Kiedy byłam dzieckiem, wyczuwałam to, zupełnie nie rozumiejąc w czym problem. Gdy podrosłam, pojęłam, że widzi siebie jako człowieka samotnego, który nie ma nikogo na tym świecie. Ale nadal nie wiedziałam, dlaczego tak myślał; miał moich rodziców, miał Ace'a i mnie. Miał swoją kolekcję lalek Barbie. Dopiero teraz zrozumiałam. Samotność to stan, to choroba. Nosi ją w sobie, a ona zakazała jego życie. Leczył ją, rozpieszczając nas, kochając moich rodziców, wiążąc się z „przyjaciółkami”, pijąc alkohol. Ale na to nie ma kuracji. Choroba jest śmiertelna.

- Ridley - powiedział ojciec i westchnął. Spojrzał na mnie z bólem, z ukosa. - Bardzo nas zaniepokoiłaś.

- Przepraszam. - Zamknęłam za sobą drzwi.



To był gabinet lekarski. Czuć tu było - znacie ten zapach - środki dezynfekcyjne i lekarstwa. Migające świetlówki, bylejaka podłoga upstrzona koszmarną mieszanką kolorów: musztardowym, oliwkowym, łososiowym. Szklane stoje z wacikami i drewnianymi łożatkami do badania gardła.

Ojciec objął mnie, mimo że domyślałam się, jak bardzo się na mnie gniewa. Kochałam go za to. Matka, kiedy jest wściekła, nawet nie spojrzy człowiekowi w oczy, jakby przestała przyjmować do wiadomości, że ten ktoś istnieje, i tak jest, dopóki nie przebaczy. Oderwałam się od niego po sekundzie i usiadłam na kozetce. Pomarszczona bibuła, którą była pokryta, świadczyła o tysiącach wizyt, które odbywają się w gabinetach takich jak ten. A wszystkie takie pokoje wyglądają tak samo. No, niezupełnie tak samo. Mimo czystości wyglądał na zapuszczony. Typowy gabinet lekarski w biednej klinice, tak różny od luksusowych prywatnych gabinetów, w których bywałam. Robił na mnie przygnębiające wrażenie. Był sterylny i czysty, ale obrzydliwy, wystrój przestarzały, farba na ścianach popękana, sufit z zaciekami. Jakby biedacy nie zasługiwali na ładne i nowoczesne otoczenie. Do ściany przylepiony był żółty plakat o wystrzępionych rogach: przedstawiał układ mięśni człowieka. Śliczny. Twarz faceta była spokojna jak na kogoś obdartego ze skóry.

- Dlaczego wysłałeś Zacka na przeszpiegi? - zapytałam.

Ojciec przybrał niewinny wyraz twarzy.

- Nie wysłałem, Ridley. Nie zrobiłbym tego.

Siedziałam cicho i nie spuszczałam z niego oczu.

- Poprosiłem, żeby zadzwonił - powiedział wreszcie. - Tylko tyle. Pomyślałem, że może z nim porozmawiasz.

- Cóż, zjawił się u mnie i sam sobie wszedł do środka. Nie byłam z tego szczególnie zadowolona, tato.

- Cóż, dostał nauczkę - odparł ojciec, odwracając oczy. Usiadł na zielonym winylowym krześle z metalowymi nóżkami. Oparł się i położył ręce na brzuchu. Westchnął ciężko.

- Boże - powiedziałam, wkurzona i z lekka zażenowana. - I co, przybiegł i wszystko ci opowiedział, jak jakiś szpiczek?

Czy zdawałam sobie sprawę, że zachowuję się jak dwunastolatka? Owszem, i nie podobało mi się to. Ale myślę, że problem poniekąd zawierał się w tym, że właśnie zaczęłam to rozumieć. Kiedy byłam z rodzicami, stawiałam się dwunastolatką. I wiecie co? Im się to podobało.

- Czy spotykasz się z kimś, Ridley? - zapytał ojciec, robiąc wszystko, żeby w jego głosie pojawił się ton niefrasobliwego zainteresowania.

- Tato. Nie o tym chcę porozmawiać.
- Nie?
- Nie, tato. Chcę porozmawiać o wujku Maksie.

Nikt nie mógłby nazwać mojego ojca przystojnym. Nie w tradycyjnym sensie. Ale nawet będąc jego córką, widziałam, jaką władzę miał nad kobietami. Jeszcze nie widziałam takiej, która nie uśmiechnęłaby się pod wpływem jego spojrzenia. Jego atrakcyjność wykraczała poza sprawy zewnętrzne. Krajobraz jego twarzy zawierał subtelne znaki, że ten mężczyzna kryje się głębiej. Jego niezgrabny nos szeptał o twardych, proletariackich korzeniach. Kwadratowa szczęka mówiła o zdecydowaniu. Jasnobłękitne oczy były jak galerie przedstawiające każdy jego nastrój. Widziałam, jak promieniowały współczuciem, płonęły miłością i zrozumieniem. Widziałam, jak ciemniały pod wpływem smutku albo niepokoju. Widziałam, jak mrużył je z gniewu albo rozczarowania. Ale nigdy nie patrzyły na mnie tak, jak teraz. Były całkowicie puste, nie do odczytania. Milczenie, które nastąpiło po moim pytaniu, było jakby trzecią osobą w tym pokoju, duchem, który wślizgnął się przez szparę pod drzwiami.

- Czy nie dość cię kochaliśmy, Ridley? - powiedział po chwili. - Czy nie daliśmy ci wszystkiego, czego potrzebowałeś: pieniędzy, uczuć, żebyś dobrze żyła na tym świecie jako dorosła?

- Tak, tato - odparłam i natychmiast poczułam, jak gryzą mnie wyrzuty sumienia.

- Więc o co ci chodzi? Czy doszłaś w życiu do punktu, w którym oskarża się rodziców o wszystkie błędy wychowawcze? Nie spodziewałem się tego po tobie, Ridley. Po twoim bracie tak, ale nie po tobie.

I znów pojawiło się to upokarzające porównanie. Odkąd Ace opuścił dom, stał się - nie zawsze wyrażano to słowami, ale za pomocą jakiejś emocjonalnej osmozy - obiektem pogardy w mojej rodzinie, symbolem porażki i niewdzięczności. Każde porównanie z nim zapalało race w mojej piersi. Wybuchowa mieszanina wstydu, nienawiści i gniewu wywoływała mi rumieńce na policzkach.

- A cóż moje pytanie ma z tym wspólnego? - spytałam po cichu.

Zaskoczenie pojawiło się na jego twarzy, jakby nie spodziewał się, że zauważę, jakiego kalibru armaty wytoczył, żeby rozprawić się z moimi wątpliwościami.

- Chcesz mi powiedzieć, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą, o której mówiliśmy tamtego wieczoru? - rzucił z chyba udawanym oburzeniem. - Twoja matka do tej pory jest z tego powodu wściekła.

- Tato!

Wytrzymał mój wzrok przez chwilę, spojrzał w bok i znów na mnie.

- Co chcesz wiedzieć?

Co chciałam wiedzieć? Ace powiedział mi, żebym zapytała tatę o wujka Maksa i jego „fundację piesszczoszków”. Cała ta sprawa wydawała się bardzo niejasna i dziwna.

- Czy było coś, co dotyczyłoby Maksa, a ja o tym nie wiem?

Pokręcił głową i popatrzył na mnie ponuro.

- Dlaczego mnie o to pytasz? Skąd się to bierze?

Nie odpowiedziałam. Oparłam się o ścianę i patrzyłam na podłogę. Słyszałam, jak ojciec wzdycha i podchodzi do okna.

- A więc od jak dawna rozmawiasz z Ace'em?

Patrzyłam na niego. Teraz jego oczy wyrażały smutek. Nie był to przyjemny dla mnie widok, ale lepszy niż martwe, bezduszne spojrzenie, którym obrzucił mnie chwilę wcześniej, kiedy zapytałam go o wujka Maksa.

- Od dawna - odparłam - ale chyba o tym wiedziałeś.

Światłówki świeciły jakby jaśniej, ostrzej. Słyszałam miękkie kroki pielęgniarek za drzwiami. Paplanina, trochę śmiechu. Dotarło do mnie wreszcie, że Zack informował ojca o mnie, odkąd się znaliśmy. Ta myśl sprawiała, że byłam wściekła i robiło mi się niedobrze.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Lepiej, żeby on z tobą rozmawiał niż z kimkolwiek z nas. Mnie od lat nie udało się do niego zbliżyć. Ale dlaczego mi nie powiedziałeś?

Poczułam ukłucie gniewu.

- Powiedzieć tobie? Nie wolno mi było wymawiać jego imienia, odkąd opuścił dom - wyrzuciłam z siebie i zaskoczył mnie fakt, że podniosłam głos. Ręce mi drżały.

Skinął głową. Podszedł do mnie i położył ręce na moich ramionach. Czulałam zapach jego old spice'a i przypomniałam sobie, jak pachniał deszczem i wodą kolońską, kiedy wracał wieczorem z pracy.

- Przepraszam, Ridley - powiedział, zmuszając mnie, żebym spojrzała mu w oczy. - \*le to rozegraliśmy, wiem, że tak.

- Teraz to nie ma znaczenia, tato - powiedziałam, ześlizgując się z kozetki i odsuwając się od niego. - Chodzi mi o to, że ty wiesz, że wszystko jest w porządku. Rozumiem. - Czulałam magnetyzm jego miłości rodzicielskiej. Łagodnie przyciągała mnie do niego i odsuwała od przyczyny, dla której tutaj przyszedłam.

- Czuliśmy się dotknięci do żywego, Ridley. Zdruzgotani, naprawdę... szczególnie twoja matka. Nie wiedzieliśmy, co z tym zrobić. I nie pomyśleliśmy,

jaki to może mieć wpływ na ciebie. To było samolubne z naszej strony. I przepraszamy cię, oboje.

Dobił mnie, sprawił, że znów poczułam się winna. Usiadłam na krześle, na którym on przed chwilą siedział, i oparłam głowę na rękach. Spojrzałam w dół. Rozbolała mnie głowa, poczułam się zmieszana. Nie, takiego przebiegu spotkania się nie spodziewałam.

- Cieszę się, że rozmawia z tobą, Ridley - powtórzył ojciec po chwili. - O ile słuchasz wybiórczo tego, co ma ci do powiedzenia.

- O co ci chodzi?

- Hm, Ace ma jakieś dziwne pomysły, odkąd zaczął brać. Jest w nim dużo złości do Makska. Wielka zazdrość o związek, który cię łączył z wujem. Nie pozwól, żeby jego gniew znów zatruł twój umysł i nastawił przeciwko człowiekowi, który cię kochał.

- Myślisz, że to Ace wbił mi to wszystko do głowy? Pokazałam ci fotografię. - Mogłam mu powiedzieć, że jest tego więcej: kolejna koperta i że ktoś szukał mnie w pizzerii. Ale nie powiedziałam.

- Wiem, wiem. Ale myślałem, że już załatwiliśmy tę sprawę. To jest tak, że kiedy ty rozmawiasz z Ace'em, on korzysta z okazji, żeby wstrzyknąć ci trochę swojej trucizny.

- Dlaczego miałyby sądzić, że Max miał z tym cokolwiek wspólnego? Dlaczego powiedział, żebym porozmawiała z tobą o wujku Maksie i jego „fundacji pieszczoszków”, jak to nazwał?

Ojciec ostentacyjnie wzruszył ramionami, rozkładając ręce w geście bezsilności.

- Jakże ja mogę wiedzieć, skąd Ace czerpie te swoje pomysły? On jest chory, Ridley. Nie możesz wierzyć w to, co mówi.

Trudno się było z tym nie zgodzić. Bo kto weźmie za dobrą monetę słowa ćpuna? Wierzyłam Ace'owi, bo wiedziałam, że jest w nim coś więcej niż uzależnienie. Mam nadzieję, że jesteśmy czymś więcej niż sumą części, z których się składamy. Mój ojciec chyba też w to wierzy. Ale domyślałam się, że Ace od wielu lat jest dla niego stracony.

- Nie masz jakiegoś pomysłu, tato?

Westchnął.

- Jedyną rzeczą, w którą zaangażowany był Max, poza pracą zawodową, było niesienie pomocy tysiącom maltretowanych dzieci i bitych kobiet, którym pomagał stanąć na nogach.

- Masz na myśli tę fundację?

- Pamiętasz, prawda?

Otworzył szufladę i wyciągnął kilka broszur. Podał mi je.

Przeczytałam jedną z nich:

Pomóżcie wprowadzić ustawę o bezpiecznym schronieniu w stanie Nowy Jork. Wasze dolary ratują życie

Fundacja Maxwella Allena Smileya, organizacja nienastawiona na zysk, której celem jest dobro maltretowanych dzieci i bitych kobiet.

Kiedy miałam szesnaście lat, rodzice zabrali mnie na bal dobroczynny w hotelu Waldorf-Astoria. Była to luksusowa, w pozytywnym znaczeniu, impreza, na którą stawiała się cała nowojorska elita - lśniące suknie i doskonale skrojone smokingi. Były tam ogromne dekoracje z kwiatów, legiony butelek szampana, roziskrzona rzeźby z lodu i wielka orkiestra jazzowa. Ubrana w różową jedwabną suknię, na nogach miałam pierwszą w życiu parę szpilek. W uszach błyszcząły mi diamentowe kolczyki, które dostałam na szesnaste urodziny (przez całą wieczór przeglądałam się ukradkiem w lustrach), a diamentowa bransoleta matki wyglądała na moim przegubie, jakby to było właściwe jej miejsce. Oczywiście, czułam się jak gwiazda rocka, supermodelka i księżniczka zarazem; byłam zaczerwieniona i kręciło mi się w głowie z podniecenia.

Moim partnerem był wuj Max. Chodził ze mną pod ramię i przedstawiał mnie jako swoją „wspaniałą, młodą bratanicę” ludziom, takim jak Ed Koch, Tom Brokaw, Leslie Stahl. Ścisnęłam rękę Donalda Trampa, Mary McFadden, Very Wang. Na balu zbierano fundusze dla Fundacji Maxwella Allena Smileya na rzecz Maltretowanych Kobiet i Dzieci. Przy cenie pięciu tysięcy dolarów za miejsce Max był w stanie zebrać w ciągu jednego wieczoru ogromne pieniądze na różne organizacje charytatywne wspierane przez fundację.

- Twój wujek Max zainicjował powstanie fundacji, żeby dopomóc w uchwaleniu w stanie Nowy Jork ustawy o bezpiecznym schronieniu - mówił mi teraz ojciec. - Pozwala ona, żeby kobiety zostawiały niemowlęta w schroniskach dla bezdomnych, szpitalach, remizach strażackich albo na komisariatach bez obawy, że wszczęte zostanie przeciwko nim postępowanie karne, i ze świadomością, że niemowlę znajdzie opiekę i zostanie oddane do adopcji.

Spojrzałam na broszurkę, którą trzymałam w ręku, przekartkowałam ją. Na początku były dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało wysypisko śmieci, drugie pielęgniarkę kołyszącą w ramionach śpiącego oseska. „Dokonajcie właściwego wyboru dla swojego dziecka. Nie zadajemy żadnych pytań”, brzmiał podpis. Było tam też objaśnienie, co to jest ustawa o bezpiecznym schronieniu, i wezwanie do matek, żeby nie porzucały swoich dzieci na śmietniku

albo w toalecie, jak wiele z nich robiło, ale żeby przynosiły je do jednego z wymienionych schronisk. Zwyczajnym, nieoceniającym stylem, broszura informowała matki, że dziecko znajdzie opiekę, a po sześćdziesięciu dniach, jeśli nie wróca po nie, wszystkie prawa rodzicielskie ulegną unieważnieniu, a niemowlę zostanie oddane do adopcji i umieszczone w domu, w którym znajdzie miłość.

- Nigdy nie słyszałam, żeby mówił o ustawie o bezpiecznym schronieniu.

- Była kontrowersyjna - wyjaśnił ojciec, znów siadając. Wyglądał na zmęczonego. - Jej krytycy twierdzili, że zachęca młode dziewczęta do oddawania dzieci. Te dziewczęta, które w innym przypadku, jak sądzono, mogły je zatrzymać. Ale zwolennicy ustawy, tacy jak Max i ja, uważali, że skoro matka chce zostawić dziecko, z jakichkolwiek powodów, to będzie mu się lepiej żyło tam, gdzie znajdzie miłość i opiekę. A wystraszona, zrozpaczona kobieta mogłaby nawet zabić dziecko. Ustawa została przyjęta w 2000 roku. Teraz organizacja działa pod auspicjami stanu.

Kiedy o tym wspomniał, przypomniałam sobie plakaty kampanii rozlepione w pociągach i na autobusach. Słyszałam też kilka ogłoszeń radiowych. Głęboki, spokojny głos rozlegał się ponad płaczem dziecka: „Żyjesz w stresie? Nie możesz sobie dać rady z trudami wychowania? Zanim skrupi się to na twoim dziecku, zadzwoń do nas”. Nawet nie miałam pojęcia, że ojciec i wujek Max mieli z tym coś wspólnego. Wydało mi się dziwne, że nic nie wiedziałam. Miałam dobry kontakt z ojcem i często opowiadał o swojej pracy.

- Dlaczego nawet o tym nie wspomniałeś w rozmowach ze mną? - zapytałam.

- Nie? Jestem pewien, że było inaczej. Może po prostu nie słuchasz, co ci mówi stary ojciec. - Próbował się uśmiechnąć, ale uśmiech zgasł na jego twarzy, gdy go nie odwzajemniłam. Przez sekundę milczeliśmy. Patrzyłam na broszurkę i zastanawiałam się, czy to miał na myśli Ace.

- Dzieciństwo wuja Maksa nie jest dla ciebie tajemnicą. Był maltretowany do tego stopnia, że nawet ja, jako lekarz, rzadko spotykam się z czymś takim w swojej praktyce, to o czymś świadczy. Zamiast wykorzystać ten fakt jako pretekst do zmarnowania sobie życia, spalił to jak paliwo, które doniosło go do sukcesu. A ten sukces pozwolił mu wpłynąć na życie dzieci maltretowanych, tak jak on był maltretowany w swoich wczesnych latach... i na życie kobiet bitych, tak jak jego matka.

Już słyszałam tę przemowę. Nie wiem, dlaczego wysłuchałam jej ponownie. Ale pozwoliłam mu kontynuować.

- Wprowadzenie tej ustawy było dla niego szczególnie ważne - mówił ojciec. - Uważał, że dzięki niej dzieci narażone na maltretowanie albo zaniedbanie trafią do ludzi, którzy rozpaczliwie pragną dziecka, zanim stanie im się krzywda. A nie dopiero po fakcie, jak to najczęściej bywało. Było to dla niego ważne, bo z wieloma sprawami nie mógł sobie poradzić. Aż do śmierci.

Pomyślałam o Maksie, o jego głęboko ukrytym smutku, którego nic nie potrafiło rozwiać nawet w naszych najszcześniejszych chwilach, które spędziliśmy razem.

- To chciałaś wiedzieć, Ridley? - zapytał ojciec.

Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam.

- Wierz mi, dzieciaku, nie ma mrocznych tajemnic, które musiałybyś odkrywać. On cię kochał. Bardziej niż ci się wydaje.

Usłyszałam coś w jego głosie, ale kiedy spojrzałam na niego, zobaczyłam tylko słodki uśmiech, który tak lubiłam.

- Ace'a też kochał - powiedziałam, źle myśląc o bracie. Zastanawiałam się, dlaczego zawsze uważał się za odrzuconego.

- Oczywiście - ojciec kiwnął głową. - Ale między wami dwojgiem istniała szczególna więź. Może Ace to wyczuwał i był zazdrosny. - Zamyślił się chwilę, wyjrzał przez okno i szybko wypuścił powietrze. Kiedy znów się odezwał, brzmiało to tak, jakby mówił do siebie. - Nie wiem. Żadnemu z was nie brakowało miłości ani uwagi. Zawsze było tego pod dostatkiem. Pod dostatkiem wszystkiego dla was obojga.

Skinęłam głową.

- Wiem, tato.

- Ale, oczywiście, pojawia się kwestia pieniędzy. Może być rozgoryczony.

- Jakich pieniędzy?

- Tych, które Max zostawił tobie, kiedy umarł.

- Jak to?

- Hm - westchnął ojciec. - Wobec Ace'a postąpił trochę inaczej.

Pokręciłam głową.

- Nie rozumiem. — Zawsze zakładałam, że Ace dostał tyle samo, co ja, chociaż nigdy naprawdę nie zastanawiałam się, w jakiej formie zostało to przekazane. Ace zniknął na długo mniej więcej w tym czasie, kiedy ja spotkałam się z adwokatem Maksa, żeby omówić sprawy spadku; myślałam, że załatwił tę kwestię w innym terminie. Nigdy nie rozmawialiśmy o śmierci Maksa, o jego pieniądzach ani o tym, gdzie Ace był przez te wszystkie miesiące, kiedy nie mieliśmy kontaktu. Prawdę mówiąc, niewiele w ogóle

rozmawialiśmy, sprowadzało się to do monologu Ace'a o sobie i jego rejestrze własnych żalów i krzywd. Smutne, wiem.

- Twój udział był bezwarunkowy. Miałaś dostać pieniądze po śmierci Maksa. Udział Ace'a był obwarowany warunkiem, że pomyślnie zakończy leczenie odwykowe i przez pięć lat będzie żył bez narkotyków. Nadal może być zły z tego powodu.

Nie mogłam winić o to Maksa. Był to racjonalny warunek i został wprowadzony w najlepszym interesie Ace'a.

- Co to ma wspólnego ze mną?

Wzruszył ramionami

- Rozgniewani zazdrośnicy czynią złe rzeczy.

- Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem Ace jest w to zamieszany?

- Mówię, że nie jest to niemożliwe.

- Nie - odparłam stanowczo.

Ojciec spojrział na mnie tak, jak patrzy się na dziecko, które nadal wierzy w Świętego Mikołaja: ze smutnym pobłażaniem.

- Niemożliwe.

Położył mi dłoń na ramieniu.

- Do przemyślenia?

Szybko skinęłam głową.

- Muszę iść - powiedziałam, wstając. Wyglądał, jakby chciał mnie zatrzymać. Zobaczyłam, jak unosi ręce, a potem je opuszcza, jakby chciał mnie dotknąć, ale się rozmyślił.

- Zadzwoń do mnie wieczorem, jeśli będziesz chciała o tym jeszcze porozmawiać

- A jest jeszcze o czym rozmawiać? - zapytałam, patrząc na niego.

- Nie wiem. — Wzruszył ramionami. - Ty mi powiesz.

Objęłam go, ale tylko przez chwilę, bo nie chciałam znów poczuć się bezpiecznie i komfortowo. Na myśl o tym coś się we mnie burzyło. Wychodząc z gabinetu, czułam się mniej pewna siebie, niż kiedy do mego wchodziłam. Odpowiedzi ojca prowadziły tylko do kolejnych pytań. Wyszłam z budynku na popołudniowe zimno.

- Ridley, poczekaj.

Odwróciłam się i zobaczyłam Zacka przed drzwiami kliniki.

- Poczekaj - powtórzył. - Możemy porozmawiać?

Pokręciłam głową. Jego widok napełnił mnie gniewem; myśl, że zdradzał ojcu moje poufne zwierzenia, nieporządek w moim mieszkaniu tamtego ranka... nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.



- Proszę, Rid - powiedział, podchodząc do mnie.

Przez drzwi, za nim, zobaczyłam jego matkę Esme. Była malutką kobietą o różowej cerze, złote blond włosy układała w stylowy kok. Przyciskała do piersi teczkę, zerkając z zaniepokojeniem w naszą stronę, potem znikła w korytarzu, obdarzając mnie smutnym uśmiechem.

Nie odezwałam się słowem do Zacka, kiedy stanął obok mnie.

- Przepraszam - powiedział. - Za to, co było rano. Głupio się zachowałem, wiem.

Skinęłam głową, ale głos uwiązał mi w gardle. Oczywiście miał koloru najbledszego błękitu; lekki blond zarost ocieniał jego mocną szczękę. Trzymał dłoń na moim ramieniu. Przypomniałam sobie, że jeszcze nie tak dawno sądziłam, że go kocham. Ciągnęło mnie do niego, tak jak do ojca, jakby w jego ramionach wszystko miało zakończyć się pomyślnie, a życie okazałoby się przewidywalne i bezpieczne. On zaś wielbiłby mnie i kochał, dopóki robiłabym to, czego się po mnie spodziewali, dopóki byłabym tą Ridley, którą akceptowali.

- W porządku - odparłam. Ale to nie była prawda. Powiedziałam tak, żebyśmy oboje poczuli się lepiej. -Później się spotkamy.

Odeszłam od niego szybko, a on nie zawołał, żeby wróciła. Skrawek nieba między budynkami wyglądał jak twardy beton pod stopami. Ruch uliczny śpiewał kakofonią klaksonów i warkotu silników. Poczulałam, jak wraz z zimnym powietrzem przenikającym przez kurtkę aż do żołądka, ogarnia mnie samotność.

## Rozdział 12

Nacisnęłam dzwonek przy czerwonych drzwiach, ale nie było odpowiedzi. Czekając, dałam dolara bezdomnemu, który pchał wózek sklepowy wypełniony korpusami lalek i puszek po konserwach, zamachałam do policjanta, którego znałam z Pięciu Róż. Szedł właśnie z partnerem Aleją A. Kilkoro dzieci krzyczało na placu zabaw po drugiej stronie ulicy w Tompkins Square Park. Pomyślałam o Justinie Wheelerze i zaczęłam się zastanawiać, gdzie teraz jest. Jeszcze raz nacisnęłam dzwonek i poruszyłam klamką. Byłam zaskoczona, gdy drzwi się otworzyły.

- Halo?! - zawołałam, zanim weszłam na maleńki podest przed stromymi schodami prowadzącymi w ciemność. Odpowiedzi nie było, więc wyszłam na

ulicę i zaczęłam się rozglądać za jakimiś innymi czerwonymi drzwiami, ale były tylko te. Zajrzałam do środka.

- Jake?

Usłyszałam wtedy walenie, uderzenie metalu o metal. Znów weszłam do środka i pozwoliłam, żeby drzwi zamknęły się za mną. Wymacałam drogę na ciemnych schodach. Otynkowana ściana była chłodna w dotyku, wysokie schody takie wąskie, że gdybym tylko trochę wystawiła łokcie, mogłabym dotknąć obu ścian. Dotarłam do ogromnego ciemnego strychu. Tylko róg po drugiej stronie był zalany jaskrawym światłem z lamp fotograficznych na wielkich trójnogach. Stał tam, nieświadom tego, że weszłam, i spuszczał ogromny młot na gładki łuk metalu dwa razy wyższy i szerszy od niego.

Pisarze są najbystrzejszymi obserwatorami. Patrzymy. Zatracamy się w patrzeniu, a potem w opowiadaniu świata, który odkryliśmy. Często wyczuwamy kontury marginesu życia. Sami tam jesteśmy. Bo nie można obserwować środowiska, którego częścią jest się samemu. Zatraciłam się w obserwowaniu tego obcego, z którym spałam poprzedniej nocy. Patrzyłam, jak naprężone, wyraźnie zarysowane mięśnie jego pleców napinają się i kurczą za każdym uderzeniem młota, jak warstwa potu na jego ciele odbija ostre światło umieszczonych wysoko lamp. Przyglądałam się, jak jego palce obejmują drewniany uchwyt młota, jak bieleją jego kostki, a żyły nabrzmiwiają. Czułam drżenie, ciężki dźwięk wypełniający wielką przestrzeń za każdym ciosem. Rozejrzałam się i w ciemności dostrzegłam czające się cienie. Czułam w powietrzu elektryczność rozchodzącą się od niego falami. Gniew. On karał ten kawał metalu. Karał siebie. Coś poczułam w brzuchu, jakąś mieszankę strachu i pożądania.

Uniósł młot i zamarł w połowie ruchu, opuścił go i odwrócił się. Twarz miał zaczerwienioną i skupioną. Była to twarz człowieka, któremu przerwało jakąś ważną czynność, jakbym przyłapała go na uprawianiu miłości.

- Ridley - powiedział, chociaż nie byłam pewna, skąd wie, że to ja.

Przez sekundę milczałam, czułam się zmieszana, że tak stałam i patrzyłam na niego.

- Cześć - odezwałam się wreszcie, idąc ku niemu. Moje kroki odbijały się głośnym echem od ścian i sufitu.

Przedramieniem wytarł pot z czoła i odłożył młot na podłogę.

- Co u ciebie? W porządku? - zapytał.

- Jasne - zapewniłam, wchodząc w światło.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że dzwonek nie działa. Zostawiłem drzwi otwarte, bo miałem nadzieję, że sama wejdiesz.

Skinęłam głową.

- Tak też zrobiłam.

- Coś mi mówiło, że tak będzie.

Wyglądał teraz inaczej. Twarz miał jakby bardziej surową. W ostrym świetle dokładnie było widać ślady na jego ciele. Blizna prowadząca od szyi do obojczyka najwyraźniej była pozostałością po czymś ostrym i złym, a rozprysk okaleczonego ciała na ramieniu wyglądał na ranę postrzałową, chociaż przyznaję, że wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Kim był ten facet? Dlaczego tak bardzo się odkryłam przed tym obcym?

Nieświadomie cofnęłam się o krok, ale on wyciągnął rękę i łagodnie wziął mnie za nadgarstek.

- W porządku - powiedział, jakby odczytał w moich oczach tę nagłą niepewność. — Kiedy pracuję, bujam bardzo wysoko w obłokach. Cały jestem zatopiony w myślach.

Kiwnęłam głową. Rozumiałam to, rzecz jasna. Sięgnęłam ręką do blizny na jego szyi i stwierdziłam, że lekko drgnął. Zawahałam się, spojrzałam mu w oczy i jednak jej dotknęłam. Przebiegłam palcem po gładkiej, białej linii. Była bardziej miękka niż skóra w innych miejscach, jak delikatna gaza. Czulałam, jak drży pod moim dotknięciem. Zamknął oczy. Położyłam rękę na grubej bliznie na jego ramieniu, była jak gumowa piłka pod skórą. W myślach pojawiło mi się tylko jedno słowo. Ból.

Przylgnęłam do niego, nie zważając, że cały pokryty jest potem. Nie pytałam, skąd te blizny. Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć, i wyczuwałam, że nie jest gotów, żeby mi o tym powiedzieć. Pytanie byłoby natrętne, pogwałciłoby niewypowiedzianą umowę, że z czasem opowie mi to, co powinnam wiedzieć. Czy to możliwe, żeby jednocześnie mieć się przed kimś na baczności i ufać mu? Objął mnie mocno i przycisnął, potem puścił i zaczął zdejmować ze mnie ubranie, z ustami na mojej szyi.

Przed ostrym światłem nie było schronienia. Każda wada, każda niedoskonałość zostanie ujawniona. Ale czyż nie pragniemy tego równie mocno, jak się tego boimy? Odsłonić się i być mimo to kochanym. Wziął mnie na podłódze, na stercie naszych ubrań. Zamek błyskawiczny mojej kurtki wpiął mi się w plecy. To było trzęsienie ziemi.

Leżeliśmy przez jakiś czas, patrząc na siebie. Słowa zdawały się pospolite, niepotrzebne. Słyszałam przytłumiony hałas z ulicy, widziałam niebiesko żarzący się ekran jego komputera w małym pokoiku przy strychu, który, jak się domyślałam, był jego biurem. Zaczynało mi być trochę zimno, mimo że

leżał obok mnie. Spojrzałam w jego twarz; łagodność, życzliwość, którą nie widziałam, wróciła po akcie miłosnym. Byłam z tego zadowolona.

- Słuchaj - powiedział, biorąc mnie za rękę. - Musimy porozmawiać.

Nienawidzę, kiedy ludzie tak mówią. To nie wróży niczego dobrego.

- O czym? - zapytałam, śmiejąc się nerwowo. - Czekaj, wiem... jesteś mormońskim fundamentalistą i chcesz wziąć mnie za swoją trzecią duchową żonę.

- Hm, nie.

- Pracujesz dla CIA, rozpoczynasz ściśle tajną misję i nie wiesz, kiedy znów się zobaczymy?

- Znów nie trafiłaś.

- Naprawdę jesteś tancerzem w kabarecie?

- Bądźmy poważni, Ridley. - Podparł się łokciem. - O twoim problemie, pamiętasz? Powiedziałem, że znam kogoś, kto mógłby ci pomóc.

Skinęłam głową.

- Chciałem ci powiedzieć, jak tylko tu weszłaś, ale...

- Włożyłam ci język w usta?

- Właśnie. - Roześmiał się. Odsunął mi z oczu kosmyk włosów. Robił to już wcześniej i bardzo mi się to spodobało, jakbyśmy od dawna się znali. Odwróciłam od niego wzrok. Prawie mi się udało wyrzucić cały ten galimatias z głowy, a teraz fale strachu i smutku wracały ze zdwojoną siłą. Zalewały mnie i w sekundę cała byłam przesiąknięta obawami.

- Cóż... powiedz.

- Lepiej ci pokażę. Ubierzmy się i chodźmy do mnie.

## Rozdział 13

„New Jersey Record”

ZNALEZIONO ZWŁOKI MŁODEJ MATKI; DZIECKO ZAGINĘŁO.

Margana Popick.

27 października 1972, Hackettstown, NJ.

Teresę Elizabeth Stone, 25 lat, znaleziono dzisiaj martwą w jej małym mieszkaniu w kompleksie mieszkalnym Oak Groves przy Jefferson Avenue. Policja została powiadomiona, kiedy sąsiedzi denatki zgłosili, że jej telewizor przez prawie całą dobę ma głośność nastawioną na

maksimum. Nie byto to normalne w przypadku młodej, pracującej, samotnej matki, recepcjonistki w manhattańskim biurze nieruchomości, gdzie zarabiała na utrzymanie półtorarocznej córki, Jessie Amelii Stone. Jessie zaginęła.

Pani Stone została brutalnie pobita na śmierć na podłodze swojej kuchni. Nie było śladów włamania, jej sąsiedzi powiedzieli, że jej związek z ojcem Jessie był burzliwy. Na początku roku policja kilka razy interweniowała po zgłoszeniach przemocy domowej. W ubiegłym miesiącu sąd zabronił, by przyjaciel pani Stone zbliżał się do niej.

Sąsiedzi opisali panią Stone jako cichą, zapracowaną i kochającą matkę. Maria Cacciatore, sąsiadka pani Stone, często za darmo zajmowała się Jessie, kiedy pani Stone była w pracy.

- Jesteśmy wstrząśnięci. Nawet nie sądziłam, że coś takiego może się zdarzyć - powiedziała. - Kochała tę małą jak szalona. Jak szalona.

Policja poszukuje Christiana Luny, przyjaciela pani Stone, u którego, zdaniem funkcjonariuszy, może być Jessie. Uważa się go za człowieka bardzo niebezpiecznego i policja wzywa, aby każdy, kto go zobaczy, natychmiast skontaktował się z najbliższym komisariatem lub patroliem.

- Jak to znalazłeś? - zapytałam, patrząc na leżącą przede mną fotokopię. Artykuł ilustrowany był zdjęciem, takim samym jak w wycinku, który dotarł do mnie pocztą. Poczulałam odruch wymiotny, zaschło mi w gardle.

- Mój przyjaciel, detektyw, rozpoznał twarz w innym artykule, odwiedził archiwum elektroniczne gazety i wyśledził sprawę.

- Jak to możliwe? - zapytałam, przerywając mu. Patrzyłam na artykuł, który trzymałam w ręku. - To czcionka typu Times New Roman, używana w tysiącu innych gazet.

- Hej - powiedział lekkim tonem. - Nie możesz podważać wyników śledztwa. Zajął mu to kilka godzin, ale się udało.

- Chyba to jednak zbyt łatwe - powiedziałam z powątpiewaniem i złością, jakbym nie wierzyła własnym oczom.

Może was zastanawia, dlaczego zrobiłam się taka wojownicza? Dobre pytanie. Czy nie prosiłam go o tę właśnie przysługę? Ale byłam wściekła, czułam się, jakby mnie ktoś napadł, i przybrałam postawę obronną. Byłam na niego zła, że tak szybko znalazł ten artykuł. Może miałam nadzieję, że niczego nie odszuka? Pamiętałam listę z Internetu i jak zabrakło mi energii, żeby ją przejrzeć. Może gdybym bardziej się starała, też bym to znalazła.

Podeszłam do okna i spójrzałam w dół, na Pierwszą Aleję, perfumerię po drugiej stronie ulicy, włoską piekarnię, ale nie Veniero's. Były to dla mnie najbardziej swojskie widoki, ale ja czułam się tak, jakbym znalazła się na innej planecie, odległej i zimnej. Paru opryszków w obwisłych dzinsach czaiło się przed klatką domu. Przypomniało mi to budynek, w którym mieszkał mój brat. Pomyślałam o tej dziewczynie, Ruby, którą tam poznałam.

- Co to znaczy? - zapytałam wreszcie. Siedział na kanapie i czekał cierpliwie, aż dam sobie radę z uczuciami.

- Nie wiem - powiedział. - Może nic.

Cisza.

- Ale to nie koniec.

Odwrociłam się, żeby na niego popatrzeć, potem podeszłam do stołu. Usiadłam i pochyliłam się do przodu, jakbym miała ostre bóle brzucha. Żałowałam, że ich nie mam. Żałowałam, że tu, na miejscu, nie przewróciłam się i nie zemdlałam z powodu pękniętego wyrostka, bo wtedy uniknęłabym całej sprawy.

- Mój przyjaciel ma kontakty w komisariacie policji w Hackettstown, więc tam zadzwonił. Sprawa nie została rozwiązana. Nie wytropiono Christiana Luny, nie przesłuchano go i nie oskarżono. Ta dziewczynka, Jessie, nie została odnaleziona.

- Jak się nazywa? - zapytałam.

- Kto?

- Twój przyjaciel, który to zrobił dla ciebie.

Wahał się zaledwie przez milisekundę.

- Harley. Dorastałem z nim. Jest mi winien kilka przysług. Przez wiele lat bardzo mu pomagałem.

- Jest detektywem? W policji?

- Nie. To prywatny detektyw.

Skinęłam głową. Dlaczego mnie to interesowało? Nie wiem. Może po prostu próbowałam grać na zwłokę, znaleźć pretekst, żeby udowodnić, że przyjacielowi Jake'a brakuje kwalifikacji, rzucić cień na jego wiarygodność. Nie zadziało. Nie można przeczyć prostym faktom. Hm, właściwie to można, ale wychodzi się na frajera.

Znów spójrzałam na papiery leżące na stole. Artykuł patrzył na mnie. Kobieta i dziecko na zdjęciu byli tak wyprani z koloru, że wyglądali jak duchy. Obok leżał pożółkły wycinek z gazety, który dostałam pocztą. Ktoś zachował go przez ponad trzydzieści lat. Kilka dni temu postanowił się z nim rozstać i wysłał go mnie. Zastanawiałam się, co mnie skłoniłoby do oddania

czegoś, do czego byłam przywiązana od trzydziestu lat. Jediną możliwą motywacją byłyby zwrot rzeczy zagubionej, którą okazałyby się ulubiony przedmiot. Z jakich powodów przywiązujemy się do przedmiotów, starych fotografii, pokrytej patyną biżuterii, pożółkłych listów? To amulety, maleńkie kawałki magii. Kiedy się ich dotyka, odzyskuje się na chwilę utracony albo skradziony czas.

- Christian Luna urodził się w Bronksie w 1941 roku - powiedział Jake, zaglądając do notatek w małym czarnym notesie. - Chodził do szkoły średniej w Yonkers, ukończył ją w 1960 roku i wstąpił do wojska. Po osiemnastu miesiącach służby przeszedł do rezerwy. Na ten temat nie ma więcej informacji. Przeprowadził się do Hackettstown, New Jersey, w 1962 roku i pracował w różnych miejscach. Nie ożenił się. Jedną córkę, Jessie Amelia Stone. Zatrzymano go w 1968 roku za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu; przepracował trzysta godzin na rzecz gminy. W 1970 roku trzy razy wsadzano go do aresztu po zawiadomieniach o domowych awanturach. Nie został nigdy oskarżony. We wrześniu 1972 roku otrzymał sądowy zakaz zbliżania się do Teresy Stone. I to wszystko. Po jej śmierci zniknął. Jego prawo jazdy straciło ważność w 1974 roku; nie zostało odnowione. Nie ma go w spisach wyborców, na listach pośredniaków, nie był więcej zatrzymywany. Nie wygląda na kogoś na tyle sprytnego albo ustosunkowanego, żeby zmienić tożsamość, więc albo wyjechał z kraju, prawdopodobnie do Kanady albo do Meksyku, gdyż nie ma danych, żeby wyrabiał sobie paszport, albo gdzieś zmarł i nie znaleziono zwłok.

- Jaki to ma związek ze sprawą? - zapytałam głupio. Nadal byłam zła, nadal szukałam dziury w całym.

Jake wzruszył ramieniem i cierpliwie się uśmiechnął. Albo nie zauważał mojego paskudnego nastroju, albo bardzo dobrze mnie rozumiał.

- Słuchaj - powiedział, wstając i podchodząc do stołu. Wyciągnął krzesło, postawił je oparciem do mnie i usiadł na nim okrakiem. - Chcesz tego albo nie. Przecież prosiłaś, żebym to dla ciebie zrobił.

Kiwnęłam głową, czując, że za moim lewym uchem zaczyna kiełkować ból głowy. Położył rękę na moim ramieniu.

- Nadal jesteś pewna, że chcesz wiedzieć, co to wszystko znaczy? - zapytał, wskazując głową papiery leżące na stole. - Bo jeśli nie, możemy cię chronić i nie pozwolić, żeby ci się naprzykrzano. Tylko że wtedy nie dotarlibyśmy do sedna sprawy. Wybór należy do ciebie, Ridley. To twoje życie; jeśli chcesz, możesz je przewrócić do góry nogami. Nie sądzę, żeby było za późno, jeszcze dasz radę o tym zapomnieć.

Był spokojny i łagodny. Ale w jego oczach coś się żarzyło. Dawał mi ostatnią szansę, żebym zachowała złudzenia, i chyba miał nadzieję, że względu na mnie, że wybiorę zaprzeczenie, nawet jeśli nie byłby to aprobowany przez niego wybór. Kto to powiedział, że jeśli umysł raz dozna oświecenia, nigdy już nie będzie ciemny?

- Chcę wiedzieć, co się dzieje. Tego właśnie chcę.

- Okej - powiedział powoli, patrząc na mnie twardym wzrokiem. Dopiero gdy mnie puścił, poczułam, że coraz mocniej zaciskał dłoń na moim ramieniu.

- Skoro więc mamy sprawdzić, kto mógł wysłać te listy i fotografie, przyjrzyjmy się temu, co już mamy. Mamy ten artykuł. Mamy nazwisko Christian Luna.

- I mamy ten numer - powiedziałam, podnosząc liścik.

Zapadła cisza. Twarz Jake'a miała nieodgadniony wyraz.

- Sądysz, że to on? - zapytałam. - Że to zrobił Christian Luna?

Jake wzruszył ramieniem.

- Hm, na tym etapie to tylko domysły.

- Ale sądzisz, że to możliwe?

- Jest wzorcowym podejrzanym. Ale pojawia się tu kilka poważnych pytań.

- Na przykład?

- Na przykład, na początek, gdzie się podziewał przez ostatnie trzydzieści lat? I co się stało z Jessie? Jeśli Christian Luna zabił Teresę Stone, a nie twierdzą, że to zrobił, czy nie wiedziałyby, co się stało z dziewczynką? Ale jeśli nie zabił Teresy i nie porwał Jessie... to kto to zrobił?

- A co z tym numerem? Czy można go sprawdzić?

Jake pokiwał głową.

- Można. Podłączyłem się pod niego.

Podszedł do komputera i przesunął mysz. Czarny ekran ożył i Jake załogował się na stronę o nazwie net-cop.com. Wpisał numer w jedno z okienek. Wskoczyło nazwisko i adres razem z mapką. Amelia Mira, 606172 Broadway, Bronx, Nowy Jork.

- Ten, kto to robi, nie jest zawodowcem - stwierdził Jake - i nie ma pojęcia o komputerach. Inaczej nie udałooby się nam znaleźć go tak szybko.

- Czy drugie imię Jessie nie brzmiało Amelia? - zapytałam.

Jake uśmiechnął się.

- Bystrzak z ciebie. Jesteś pewna, że nigdy tego jeszcze nie robiłaś?

- Tak, Ridley Jones, za dnia pisarka, w nocy prywatny szpicel - zakpiłam. Nie byłam w nastroju do żartów. - Okej, więc kim ona jest?



- Nie wiem. Nie byłem w stanie znaleźć żadnych informacji na jej temat. Westchnęłam, wstałam i przespacerowałam się tam i z powrotem po pokoju. Popatrzyłam na Jake'a i znów zauważyłam jego duże ręce i kwadratowe, nabrzmiałe mięśnie rozsadzające T-shirt. Zaintrygowało mnie coś jeszcze.

- Jake. Nie rozumiem, jak udało ci się zebrać wszystkie te informacje. Skąd tak wiele o tym wiesz?

- Mówiłem ci - odpowiedział.

- Tak, ale robisz to jak profesjonalista.

Uśmiechnął się.

- Zawsze w skrytości ducha chciałem być detektywem. I znam mnóstwo gliniarzy. Jeśli się człowiek wokół nich kręci, to przesiąka tym stylem. - Wzruszył ramieniem i pokazał na notatki. - Poza tym, to nie ja. To mój kumpel znalazł dla ciebie wszystkie te informacje.

W oddali coś dzwoniło, coś, czego nie chciałam do siebie dopuścić. Doświadczyłam jego łagodności, jego czułości. Zaufałam mu, czułam się na tyle bezpieczna, że obdarzyłam go swoim ciałem. Ale coś w nim było, nawet w jego mieszkaniu, co sprawiało, że robił wrażenie niestałości, jakby w każdej chwili mógł stąd wyjść i porzucić mnie, nawet się nie oglądając. Rozejrzałam się po pomieszczeniu, szukając czegoś, co mogłoby go zakotwiczyć, czegoś, co uczyniłoby go bardziej rzeczywistym, stabilnym. Jakaś fotografia, książka z adresami, cokolwiek, co przytwierdzałoby go do tej przestrzeni. Ale nic takiego nie było, brakowało rzeczy, które czynią z mieszkania dom.

Pamiętałam, jak powiedział: „Są dotyczące mnie sprawy, o których powinnaś wiedzieć”. Powiedział to ostatniej nocy, a ja go uspokoiłam, a potem pieprzyliśmy się aż do zatracenia. Zapomnieliśmy o przeszłości, o teraźniejszości. Moje ciało naelektryzowane pożądaniem nie troszczyło się o przyszłość. Dziś znowu pozwoliłam namiętności sprowadzić wszystkie moje problemy do parteru.

- Ridley - powiedział, podchodząc do mnie. Oprzytomniałam.

Położył ręce na moich ramionach i zajął mi w oczy. Zobaczyłam to coś, co sprawiało, że mu zaufałam. Objął mnie ramionami i pocałował w czubek głowy. Jego zapach rozpełtał reakcję chemiczną w moim mózgu. Japończycy wierzą w piąty zmysł smaku, zwany *unami*. Kiedy rozpalą go pewne rodzaje pożywienia, sprawia, że pojawia się intensywne łaknienie i je się wtedy więcej niż trzeba, żeby zaspokoić głód. Doświadczałam emocjonalnego odpowiednika tego fenomenu. Nie zapytałam, o co chodziło mu ostatniej nocy.

- Więc... co teraz? - zapytałam, odsuwając się od niego. Usiadłam na jego kanapie tak twardej, jakby ją zrobiono z granitu.

- Hm, widzę to tak, że masz wybór. Zadzwoń pod ten numer i sprawdź, kto odpowie, przekonaj się, jak to rozegrają, i podejmij na tej podstawie decyzję, co robić dalej. Albo może ja pójde do Bronksu i pokręcę się wokół tego domu. Zobaczymy, co mi się uda wypatrzeć. Jeśli zadzwonisz, oddasz im kawał pola. Będą wiedzieli, że do ciebie dotarli, że się boisz, że jesteś zaciekawiona, czy co tam jeszcze. Będą mieli przewagę.

Ogarnął mnie swego rodzaju umysłowy paraliż. Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, jakbym wybierała metodę samobójstwa. Skoczyć z Mostu Brooklyńskiego, czy strzelić sobie w łeb? Podciąć sobie żyły w wannie, czy zażyć butelkę pigułek na sen? Każda metoda ma swoje wady i zalety, ale kończy się śmiercią.

- Dlaczego ty? - powiedziałam po chwili. Nagle poczułam się tak wyčerpana, że wypowiedzenie tych słów kosztowało mnie sporo wysiłku.

Wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie ja?

- Masz jakieś doświadczenie w tego rodzaju sprawach?

Pokręcił głową.

- A ty?

Położyłam się na plecach i popatrzyłam na niego przelotnie, potem zakryłam oczy przedramieniem. Była to moja pozycja „biada mi”.

- Zapomnij - powiedziałam, wstając nagle. - Zapomnij o całej tej sprawie.

Zostawiłam go, tak jak siedział, i wyszłam, trzasnąwszy drzwiami.

## Rozdział 14

Wiem, co pomyślicie: ale baba!

Oto piękny mężczyzna nie szczędził sił, żeby mi pomóc, chociaż ledwie się poznaliśmy, był skłonny pojechać do Bronksu (tego Bronksu!), żeby sprawdzić, co się stało. Troszczył się o mnie; czułam to, że się troszczył w bardzo rzeczywisty i niespotykany sposób. Więc, oczywiście, zachowałam się jak smarkata i wypadłam z jego mieszkania jak burza. Moje zachowanie nie zdziwiłoby jednak nikogo, kto mnie znał - wystarczy zapytać Zacka. Mogę tylko powiedzieć, że byłam wystraszona i zmieszana. Mój mózg (a może serce?) rozkazał: „Uciekaj! Uciekaj!”, a ja posłuchałam.

Ilu ludzi troszczy się o was tak naprawdę? I chodzi mi nie o tych, z którymi miło jest przebywać, a także nie o tych, których kochacie i którym wierzyacie. Ale ludzi, którzy dobrze się czują, kiedy jesteście szczęśliwi i odnosicie sukcesy, a źle, kiedy wam się nie układa albo przechodzicie trudny okres, ludzi, którzy na chwilę zбочą ze swojego szlaku życiowego, żeby wam pomóc. Niewielu jest takich. Wyczuwałam to u Jake'a i nie byłam pewna, jak do tego podejść. Bo ma to swoją drugą stronę. Kiedy ktoś zaangażuje się w wasze sprawy - jak rodzice na przykład - zaczynacie w pewien sposób być za niego odpowiedzialni. Wszystko, co szkodzi wam, szkodzi także jemu. Było już zbyt wielu ludzi, wobec których czułam się odpowiedzialna na tej zasadzie. Nie jest się prawdziwie wolnym, kiedy ktoś się o was troszczy.

Pogmerałam przy zamku w moich drzwiach i usłyszałam, jak Jake schodzi na dół. Usiadł na stopniu i popatrzył na mnie przez balustradę.

- Hej - powiedział. W jego głosie był uśmiech, który mówił mi, że uważa mnie za zabawną osobkę. - Spokojnie.

Oparłam głowę o drzwi i uśmiechnęłam się do siebie.

- Chcesz gdzieś ze mną wyjść? - zapytałam.

- Jasne.

Na długo zanim poślubiłam miasto Nowy Jork, miałam szalony romans z tym miejscem. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek chciałabym mieszkać gdzie indziej. Te wspaniałe budynki, muzyka ruchu ulicznego, eleganccy mieszkańcy Manhattanu - wszystko mówiło mi: „Dorośnij”. Zawsze wyobrażałam sobie siebie, spacerując tymi ulicami, jako kobietę fantastycznego sukcesu, kobietę wspaniałą. Mieszkanie wujka Maksa było ucieleśnieniem wszystkiego, co kochałam w Nowym Jorku, każdego snu o tym mieście. Jego luksusowy apartament mieścił się na szczycie wieżowca przy Pięćdziesiątej Siódmej. Smukłe linie, elegancko ubrani portierzy, marmurowe podłogi, wykładane lustrami windy, dywany na korytarzach. Oczywiście, wtedy nie miałam pojęcia, ile może kosztować takie mieszkanie. Myślałam, że każdy na Manhattanie ma taki wielki apartament z panoramicznymi widokami miasta.

W korytarzu portier Dutch powitał mnie poważnym skinieniem głowy. Wstał, jakby chciał nacisnąć dla mnie guzik windy, ale przyjaźnie uniosłam dłoń i uśmiechnęłam się. Spoglądał spoza dwuogniskowych okularów szarymi oczami emerytowanego funkcjonariusza policji. Chłodno. Uważnie. Niczego nie przepuszczając.

- Dobry wieczór, panno Jones. Ma pani swój klucz? - Obrzucił Jake'a długim spojrzeniem.

- Tak, Dutch. Dziękuję. - Mój głos odbijał się od czarnej marmurowej podłogi i niebotycznego sufitu.

- Był tu wcześniej pani ojciec - powiedział, spoglądając na papier leżący przed nim na wysokim biurku.

- Tak?

Naprawdę byłam zdziwiona. Wszyscy tu przychodziliśmy o różnym czasie, z różnych powodów. Przychodziliśmy do mieszkania Maksa, tak jak niektórzy ludzie odwiedzają groby, żeby poczuć bliskość. Prosił, żeby jego popioły zostały rozsypane z Mostu Brooklyńskiego, i spełniliśmy jego wolę. Kiedy to, co z niego zostało, rozwiewało się na wietrze i spadało do wody, wszyscy poczuliliśmy, że popełniony został koszmarny błąd. To było tak, jakbyśmy go wyrzucili, niczego dla siebie nie zostawiając. Ale to była tylko chwila. Wiciecie przecież, że nie powinniśmy przywiązywać się z nadto do nikogo i niczego. Stracimy wszystko poza tym, co mamy w sobie.

Prawnik Maksa ciągle mi przypominał, ile warte jest to mieszkanie, ile kosztuje samo jego utrzymanie. Ale półtora roku po śmierci Maksa zachowaliśmy je w takim stanie, w jakim je zostawił.

- Słodkie wspomnienia - powiedział Jake, kiedy podeszliśmy do drzwi, a ja wystukałam kod alarmowy: 5, 6, 8, 3. Na tonowej klawiaturze brzmiało to jak wyznanie miłości; był to kod do prawie wszystkiego - prawie wszystkiego, do czego miałam dostęp.

Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy panoramę miasta. Byliśmy na czterdziestym piątym piętrze, a okna wychodziły na Pierwszą Aleję. Widok rozciągał się aż do New Jersey. W nocy miasto było jakby okryte kocem z gwiazd.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Jake.

- To mieszkanie wujka Maksa - wyjaśniłam, włączając światło.

- Po co tu przyszliśmy?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie jestem pewna.

Poszłam do gabinetu Maksa, a Jake wszedł za mną przyglądając się galerii zdjęć na ścianach. Fotografie przedstawiały mnie, Ace'a, mamę i tatę, moich dziadków. Ogarnęłam je tylko przelotnym spojrzeniem, kiedy szłam do biurka. Włączyłam halogenową lampę i otworzyłam jedną z szuflad. Nie było w niej teczek, które wcześniej tu leżały. Otworzyłam kolejne dwie szuflady. Także były puste. Odwróciłam się na krześle i popatrzyłam na długie szereg niskich, dębowych szuflad pod wysokimi regałami wypełnionymi książkami i przedmiotami z Afryki i krajów Wschodu, które wujek zebrał podczas swoich podróży, oraz kolejnymi naszymi zdjęciami. Stąd, gdzie sie-

działam, zauważyłam, że jedna z szuflad jest wysunięta zaledwie o włos. Podeszłam i powoli ją wyciągnęłam. Pusta. Sprawdziłam resztę, jedną po drugiej. Wszystkie były puste.

Opadłam na brązową kanapę. Gdzie są teczki?

- Coś nie tak? - zapytał Jake, siadając obok mnie.

- Wszystkie jego teczki znikły.

Zmarszczył czoło.

- Kiedy?

Pokręciłam głową. Nie wiedziałam. Kiedy tu przychodziłam po śmierci wuja, nie miałam powodu, żeby przeglądać jego dokumenty. Zjawiałam się tylko po to, żeby położyć się na jego kanapie, poczuć zapach ubrań wiszących w szafie, popatrzeć na zdjęcia, na których byliśmy razem. Tak samo robiła moja matka i mój ojciec. I Esme. Plotka głosiła, że Max i Esme mieli kiedyś gorący romans.

- Długo trwało, zanim zmądrzałam - powiedziała mi. - Nie wyciśniesz krwi z kamienia. Możesz próbować, ale tylko ty zaczniesz krwawić.

Nie miała pojęcia, że wiem, iż mówi o Maksie.

- Zrobiłabym wszystko dla tego człowieka - wyznała, gdy zapytałam, czy była kiedyś zakochana w kimś innym niż ojciec Zacka, prawnik, który umarł młodo na zawał serca; Zack miał wtedy dziewięć lat.

Matka powiedziała, że Esme chciała poślubić Maksa.

- Ale twój wujek nie potrafił nikogo w ten sposób pokochać. Bez wyjątków. Był zbyt... - Przerwała, szukając właściwego słowa. - Poraniony - dokończyła.

I był na tyle mądry, żeby to wiedzieć. Miała złamane serce, ale w końcu spotkała Russa i wyszła za niego za męża. Mieli Zacka. Było dobrze. A raczej, byłoby, gdyby nie umarł młodo. Tragedia. Biedna Esme.

Biedna Esme. Biedny Zack. Ja i wujek Max... łamacze serc.

- Czy twój ojciec mógł je zabrać? - zapytał Jake. Trwało sekundę, zanim jego słowa dotarły do mnie; zatopiłam się głęboko w myślach o Esme i Maksie.

- Teczki? Dlaczego?

- Portier powiedział, że był tutaj wcześniej. Nie rozmawiałaś z nim po południu?

Przez chwilę o tym myślałam. Rozmawiałam z ojcem, a potem on przyszedł tutaj i wyniósł wszystkie teczki Maksa? Nie. Bardziej prawdopodobne jest, że skłoniłam go do rozmyślań o Maksie, a on tutaj przyszedł, żeby po prostu pobyć. Zresztą było tu mnóstwo szuflad z teczkami; potrzebowałyby pudeł i wózka. Powiedziałam to Jake'owi.

- Zatem mógł je zabrać jego prawnik - stwierdził Jake.
- Tak - powiedziałam, zdając sobie sprawę, że tak mogło być. - Oczywiście.
- O czym teraz myślałaś? - zapytał, obejmując mnie ramieniem.
- O Maksie. Szkoda, że go nie poznałaś.

Przez jego twarz przebiegł skurcz. Pożałowałam, że to powiedziałam. Za bardzo się odkryłam. Ale on uratował sytuację.

- Tak. - Pocałował mnie w czoło. - Ja też żałuję. -A po chwili: - Musiał cię bardzo kochać, Ridley.

Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się.

- Dlaczego tak mówisz?
- Popatrz na to mieszkanie. To kaplica poświęcona tobie.
- Nie mnie. - Roześmiałam się. - Na m, naszej rodzinie.
- Tak, na pewno. Wszędzie sądjęcia was wszystkich. Ale ty jesteś w centrum.

- Nie - zaprzeczyłam. Mój wzrok padł na zdjęcie stojące na jego biurku. To byłam ja, kiedy miałam trzy albo cztery lata. Siedziałam mu na ramionach, rękami obejmowałam go za czoło, a głowę odrzuciłam z zachwytu do tyłu.

Wstałam i przeszłam do korytarza, żeby obejrzeć wiszącą tam galerię zdjęć. Tyle razy tamtędy przechodziłam i oglądałam te fotografie, że przestałam je widzieć, przestałam na nie patrzeć. Były to pięknie wykonane odbitki, niektóre czarno-białe, inne kolorowe, wszystkie profesjonalnie retuszowane i oprawione w drewniane ramy, pomalowane złotą albo srebrną farbą. Patrząc na nie teraz, zobaczyłam siebie na każdym, dosłownie, etapie życia. W waniencie, jako małą dziewczynkę, kiedy mama myła mi włosy. Mój pierwszy dzień na rowerku, na plaży, na śniegu, na studniówce, podczas uroczystości odbierania świadectw ukończenia szkoły. Jasne, na większości wokół mnie była rodzina: Ace i ja na kolanach Świętego Mikołaja, ojciec i ja w wielkich filiżankach w Disneylandzie, wszyscy razem na przedstawieniu szkolnym. Ale Jake miał rację. Nie spostrzegłam tego.

„Między wami był szczególny związek”, powiedział mój ojciec. Pewnie, wiedziałam, że to prawda. Ale uważałam to, po prostu, za coś oczywistego, jak wiele innych rzeczy z mojego życia. Tak było i tyle.

- Nic dziwnego, że Ace był zazdrosny - powiedziałam na głos.
- A był? - zapytał Jake, podchodząc od tyłu.
- Hm - westchnęłam, patrząc na fotografię przedstawiającą Ace'a i mnie jeżdżących razem ze zjeżdżalni na basenie. Ręce miał oplecione wokół mojego pasa. Pamiętałam, że sekundę po zrobieniu tego zdjęcia zderzyliśmy

się głowami, wpadając do wody. Zawodziłam, kiedy Ace holował mnie do brzegu basenu.

- W porządku, Ridley, przepraszam - powiedział. - Nie płacz, bo każą nam wracać.

Kilka sekund później wujek Max wyciągnął mnie z basenu. Kiedy niósł mnie do domu, zamoczyłam wilgotnym kostiumem i wodą ociekającą z rąk i nóg jego niebieską koszulę.

- Nie baw się z nią tak ostro, koleś - powiedział do brata, ale łagodnie, bez gniewu. - To tylko mała dziewczynka.

Pamiętam Ace'a, który stał przy basenie i patrzył, jak odchodzimy. Starałam się przypomnieć sobie jego twarz. Czy był zły, smutny, czy czuł się winny? Czy był zazdrosny? Nie pamiętałam.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy - odpowiedziałam Jake'owi. - Ale mój ojciec chyba tak uważa. - Znow zaczynała mnie boleć głowa.

- Jak sądzisz, bardzo jest zazdrosny? - zapytał.

- Nie na tyle, żeby to zrobić, jeśli o tym mówisz - powiedziałam, wyciągając z kieszeni artykuł. Rozłożyłam go i znow popatrzyłam na fotografię. Duchy kobiety i dziewczynki odpowiedziały mi spojrzeniem.

Jake tego nie skomentował. Podszedł do drzwi. Widziałam, że czuje się nieswojo w mieszkaniu Maksa, że chce wyjść. Nie pytałam dlaczego. Myślę, że ten apartament onieśmielał swoim bogactwem. Jako artysta Jake musiał wiedzieć, że Miro na jednej ścianie i szkic Dalego na drugiej były oryginałami. Zack powiedział mi kiedyś, że gdy jesteśmy u Maksa, ma wrażenie, jakby był w muzeum, że zaraz może nadejść strażnik i kazać mu zdjąć stopy z kanapy.

- Ale może na tyle zazdrosny, żeby rozdmuchać płomień, żeby cię zaniepokoić?

Popatrzyłam na niego. Dlaczego wszyscy podejrzewają Ace'a o najgorsze? To, że jest uzależniony, nie czyni z niego psychopaty i kłamcy. Prawda? Jake uniósł ręce, domyślałam się, że była to reakcja na mój wyraz twarzy.

- Ja tylko pytam - powiedział. Było to ważne pytanie. Gdybym nie broniła tak bardzo brata, może po całych latach usprawiedliwiania go przed Zackiem sama bym to zauważyła. Ale w tej chwili miałam ochotę trochę odsunąć się od Jake'a. Nikt nie lubi ludzi głoszących prawdy, na które nie jest się przygotowanym.

W drodze powrotnej zapytałam Dutcha, czy ojciec zabrał coś, wychodząc, czy Dutch pomagał mu nieść pudła. Dutch powiedział, że nie, że ojciec wpadł tylko na chwilę i wyszedł, niczego nie zabierając.

- A co? Coś zginęło? - zapytał, marszcząc brwi.

Nie, doprawdy nic. Tylko mała dziewczynka o imieniu Jessie. Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

W pociągu i kiedy szliśmy ze stacji do domu nic nie mówiłam. Jeśli Jake'owi było to nie w smak, nie okazał tego.

Podjęłam decyzję. Sytuacja sprawiała, że czułam się jak łódka rzucana na wzburzonych falach, i miałam już tego dosyć. Jak do tej pory dysponowałam tylko informacjami, których udzielili mi inni. Tajemniczy dziwak przysłał mi listy, potem byli rodzice, brat, nawet Jake. Każdy opowiadał mi swoją wersję prawdy, a każda była inna. Jedynym sposobem, żeby znaleźć jakiś sens w tym, co się działo, było osobiste zajęcie się odkrywaniem prawdy. Uznałam więc, że nadszedł czas, żeby wybrać się do Bronksu. Powiedziałam o tym Jake'owi. Nie był to, według niego, dobry pomysł, ale starał się zachować dyplomatycznie.

- To był twój pomysł - powiedziałam, kiedy staliśmy przy drzwiach do jego mieszkania.

- Tak. Ale to ja miałem iść. Nie ty, nie my. Ja.

- Dlaczego się tym zajmujesz? - zapytałam. - Dlaczego tak cię to wciągnęło?

Odwrócił się i popatrzył na mnie. Położył mi dłonie na ramionach. Mało się nie roztopiłam pod wpływem napięcia, które zobaczyłam na jego twarzy.

- Nie tym się zajmuję. Tobą się zajmuję. Chyba bardziej niż powinienem na tym etapie znajomości. - Przerwał, westchnął i popatrzył na podłogę. Zobaczyłam, że na policzkach pojawia mu się rumieniec. - I nie mogę pozwolić, żebyś podjęła jakieś niebezpieczne działania, i chociaż nie powieździeć ci, co o tym sędzę. Na litość boską, Ridley, ktoś cię obserwuje. Już zapomniałaś? Był w pizzerii, był w domu.

- Zgadza się. Więc nawet w domu nie jestem bezpieczna. Co za różnica, czy pójdę do Bronksu, czy nie? Możesz pójść ze mną.

Czy moja logika nie wydaje się trochę pokrętna? Chyba tak. Ale me miałam wiele doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Niespodziewanie zapragnęłam dowiedzieć się, co się ze mną dzieje, sama znaleźć prawdę, nie pozwolić się oszukiwać ani manipulować ludziom, którzy mogli kłamać. Mniej więcej to mu powiedziałam.

- Ridley, bądź rozsądna.

Rozzłościło mnie to. Nie lubię, jak zwracają się do mnie niczym do dziecka. Bądź rozsądna? Czy to, że się z nim nie zgadzam, oznacza, że on jest rozsądny, a ja nie? Typowe.



- Nie, chrzań się. Nie traktuj mnie protekcyjnie - powiedziałam. Spokojnie. Spokojnie.

Westchnął.

- Okej.

Wszedł do swojego mieszkania, a ja za nim. Zamknęłam drzwi. Zdjął skórzaną kurtkę i rzucił ją na kanapę. Starałam się nie patrzeć, jak czarna koszula przylega do każdego mięśnia jego klatki piersiowej. Usiadł.

- Zrobisz zatem, co zechcesz - powiedział i popatrzył na mnie. - Idę sam albo w ogóle nie idę.

Blefował.

- To tak? A niby dlaczego?

- Nie chcę stawiać cię w sytuacji, która moim zdaniem będzie dla ciebie niebezpieczna. Jeśli sama chcesz się narażać, doskonale. Ale ja nie wezmę w tym udziału.

Czy to nie typowe dla mężczyzn, że próbując nad wami panować, udają, że was chronią?

Zacisnął zęby, zobaczyłam, jak drżą mu mięśnie szczęk. Blefował. Byłam tego pewna. A tak, na marginesie, wcale nie miałam ochoty pójść tam sama.

- Świetnie. Doskonale. Na razie. - Tym razem ja blefowałam.

Ale on się nie ruszył, tylko patrzył na mnie, jakby czekał, kiedy odzyskam rozsądek. Wyszłam z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami. Przez cały czas, gdy schodziłam na swoje piętro, miałam nadzieję, że za mną wyjdzie, ale nie zrobił tego. Znowu byłam na ulicy. Skręciłam w lewo, w Czternastą, i złapałam autobus do West Side. Z oślego uporu wybrałam się do Bronksu. Jechałam godzinę pociągiem i myślałam, co u diabła zrobię, kiedy tam się znajdę.

System nowojorskiego metra jest cokolwiek mistyczny. Zgodzicie się ze mną? Jeśli nawet nim nie jechaliście, musicie mieć w głowie jego obraz. I nie jest to prawdopodobnie śliczny widoczek. Kiedy zamykacie oczy, widzicie zapewne te stare czerwone wagony, trzęsące się i grzechoczące pod ulicami Manhattanu, pokrywane je graffiti, ich lampy, które mrugają gasną na zakrętach. W waszej wyobraźni są domeną gwałcicieli, rabusiów, morderców, członków gangów i seryjnych zabójców z pięciu dzielnic. Starzy nowojorczy, ludzie, którzy znali te pociągi od dziecka, mówili mi, że kiedyś, jeszcze nie tak dawno, ten opis niezbyt był odległy od rzeczywistości. Ale w moim Nowym Jorku metro jest po prostu środkiem transportu i to prawdopodobnie zazwyczaj najszybszym. Nowe wagony są odporne na graffiti i regularnie przeglądane. Najbardziej razi w nich zestaw kolorów: beżowy i pomarańczowy. Bezdomni, tłok w godzinach szczytu, dziwne, niewytłumaczalne

opóźnienia i brak klimatyzacji na stacjach (co latem czyni z nich pierwszą warstwę piekieł) sprawiają, że tunele metra stanowią prawdopodobnie jedno z najmniej gościnnych miejsc na naszej planecie. Ale w pociągach nigdy nie czułam się zagrożona.

Zazwyczaj można liczyć na pomoc współpasażerów, bez względu na porę dnia, ale kiedy pociąg nr 1/9 przejechał pod Dziewięćdziesiątą Szóstą i pełził do Bronksu, w moim wagonie było tylko kilkoro ludzi. Młody chłopak w mundurku prywatnej szkoły, z wypchanym plecakiem, słuchał walkmana, kołysząc się do rytmu, którego nie słyszałam, ogłuszona łomotem pociągu. Stara kobieta w wełnianej kurtce i kolorowej spódnicy czytała jakiś romans. Łysy (ogolony, nie po wypadnięciu włosów) facet w skórzanej kurtce i spłowiałych dzinsach drzemał z odrzuconą do tyłu głową i otwartymi szeroko ustami. Przy Sto Szesnastej sama zaczęłam trochę się kiwać, ale nie spałam, tylko marzyłam. Myślałam o wujku Maksie.

Przy całej swojej jowialności wujek Max był potęgą w Nowym Jorku, ale nie była to rzecz, która robiłaby wrażenie na dziecku. Kiedy ma się dwanaście lat, fakt, że ktoś gra w golfa z senatorami i kongresmanami albo że pojawia się na zdjęciu w „Forbesie” pod rękę z Donaldem Trumpem i Arthurem Zeckendorfem nie jest czymś istotnym. Może gdyby zaglądał do garderób Bono albo Simona LeBon, bardziej by mnie to zainteresowało. Ale handel nieruchomościami nie jest sexy, o ile rozumiecie, o co mi chodzi.

Potem, po moim pierwszym balu charytatywnym, zaczęłam mieć pojęcie, jakie wpływy ma wujek i jakich zna ludzi. Był głównym sponsorem kampanii dla sław, takich jak Al D'Amato, George Pataki i Rudolph Giuliani. Ten facet miał naprawdę ważne kontakty. Musiał je mieć, żeby utrzymać się w swojej branży. Trzeba znać sposoby, żeby przebrnąć przez morze biurokracji, ominąć zakazy budowlane - a jeśli się nie uda, to doprowadzić do ich odwołania. Szeptano także o innych, bardziej mrocznych koneksjach. Ale jeśli to przemyślicie, to zrozumiecie, że deweloper na Wschodnim Wybrzeżu nie może wykonywać swojego zawodu, nie mając związków z ludźmi kontrolującymi budownictwo. Zawsze spychałam na brzeg świadomości myśl, że interesy biznesowe wujka czasem stykały się z interesami biznesowymi ciemnych typów. Chodzi mi o to, że prawnikiem wujka był Alexander Harri-man, znany z podejrzanej klienteli. Ale nigdy poważnie się nad tym nie zastanawiałam. Aż do tej pory.

To śmieszne, że zawsze myślałam o nim jak o moim wujku Maksie, a nie jak o człowieku, który nie należał do naszej rodziny. Ten potężny przedsiębiorca był bogaty, wpływowy i samotny, a jedyne kobiety wokół niego -jak

by to powiedzieć, były tymczasowe. Cali girls? Myślałam teraz o tym. A może naciągaczki spędzające z nim czas dla prezentów, które im kupował, miejsc, do których je zabierał, innych ludzi, których znał? Wujku Maksie, powiedziałam, na wypadek, gdyby mnie słyszał, przykro mi, ale chyba cię nie znam. W naszym życiu występują tytani, którzy mają ogromny wpływ na nasze dzieciństwo i na to, kim się stajemy. Oni nie są jak zwyczajni ludzie ze swoimi słabościami. Są jak archetypy, Matka, Ojciec, Dobry Wujek. Istnieją tylko jako postacie w filmie naszego bytowania. Kiedy wychodzą na jaw inne rysy ich osobowości i elementy ich życia, doznajemy szoku, jakby nagle zdarli maskę i ukazali inną twarz. Czy i wam się tak wydaje? Hm, może to tylko moje głędzenie.

Pociąg szarpał i kołysał. Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że jestem w wagonie sama ze śpiącym mężczyzną w skórzanej kurtce i wypłowiałych dżinsach. Wiedziałam, że jeszcze przystanek i pociąg wyjedzie z podziemia na estakadę. Znów zamknęłam oczy. A potem przemknęło mi przez głowę, czy tego faceta po drugiej stronie wagonu nie widziałam już wcześniej. Ta myśl sprawiła, że poczułam ściskanie w żołądku i suchość w gardle. Otworzyłam lekko oczy i zobaczyłam, że mężczyzna zupełnie się już rozbudził i gapi się na mnie z dziwnym półśmieszkiem. Zaczęłam głębiej oddychać, ledwie powstrzymywałam pierś od falowania. Zauważyłam długą skrzynkę pod jego nogami. Wyglądała, jakby był w niej jakiś instrument. Trochę mi ulżyło na ten widok. Hołdowałam teorii, że nie należy się obawiać ludzi, którzy coś niosą. Morderca, rabuś, gwałcieciel, a nawet przypadkowo napotkany seryjny zabójca nie będzie miał przy sobie niczego podczas swoich niecnych eskapad. Uważam, że potrzebne im są dwie wolne ręce. Nawet plecak by ich spowalniał.

Ale uczucie ulgi minęło, kiedy zobaczyłam, że facet przesuwają się w moją stronę. Wyjechaliśmy na powierzchnię i pociąg zalało nagle światło lamp ulicznych. Odchrząknęłam, usiadłam prosto i otworzyłam oczy. Natychmiast opuścił głowę na ramię i udawał, że śpi.

Gapiłam się na niego, nie wiedząc, jak się zachować. Nogi miałam ciężkie, jak z łowiu, a serce biło mi jak podczas aerobiku. Wstałam z trudem i poszłam na przód wagonu. Tam otworzyłam drzwi i przeszłam do następnego. Potem odwróciłam się i spojrzałam za siebie. Mężczyzna siedział, patrząc na mnie z tym samym półśmieszkiem, ale w jego oczach zdawała się czaić groźba. Stałam zapatrzona w niego i myślałam, że dopóki mam otwarte oczy, nie podejdzie do mnie. Przypomniałam sobie Zeldę, to, co mi powiedziała - Boże, to było zaledwie wczoraj! - o kimś, kto mnie szukał

i nie wyglądała na dobrego człowieka. Czy to tego mężczyznę widziała? Czy on mnie śledził? Nie wiedziałam. W końcu w tym mieście nie brakuje dziwaków i pomyleńców.

Pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji, a my nadal patrzyliśmy na siebie. Ale kiedy drzwi się otworzyły, wstał nagle, schwycił skrzynkę i wysiadł. Gdyby wszedł do mojego wagonu, byłam gotowa uciekać na peron i biec do przedniego wagonu, gdzie był konduktor. Czekałam, zdawało mi się, godzinę, aż przyjdzie po mnie. Byłam całkiem sama. Nie widziałam też nikogo w wagonach i nikogo na peronie. Ale wtedy rozbrzmiał sygnał i konduktor powiedział przez interkom:

- Odsunąć się, drzwi się zamykają. - Drzwi się zamknęły, potem z szarpnięciem otworzyły się znowu.

- Ręce i torby trzymać z dala od drzwi — powiedział konduktor przez system wewnętrznego nagłośnienia. Był nieco zirytowany.

Przesunęłam się, żeby wyrzec na peron, ale nie było widać, czy tamten został, czy poszedł sobie. Podeszłam znowu do okna i popatrzyłam wzdłuż pociągu na inne wagony, ale tam też go nie było. Gdzie się podział? Pomyślałam, że zobaczyłabym go na peronie, gdyby wysiadł. Adrenalina tak mi podskoczyła, że ręce zaczęły mi się trząść. Znowu rozbrzmiał sygnał, drzwi się zamknęły i w ostatniej sekundzie ponownie otworzyły. Zaczęłam iść wzdłuż pociągu w stronę wagonu z konduktorem. Było tak cicho, że słyszałam tylko, jak ciężkie drzwi otwierają się przede mną i zamykają z trzaskiem. Ciagle się oglądałam, spodziewając się, że zobaczę, jak ten mężczyzna mnie goni.

- Odsuń się od zamykających się drzwi, palancie - powiedział głośno konduktor. Zatrzymałam się i wyrzałam przez okno. Wtedy go zobaczyłam. Stał na peronie, jakby wyszedł zza filara. Drzwi się wreszcie zamknęły i pociąg powoli ruszył. Poczułam ulgę. Opadłam na ławkę, odchyliłam głowę.

- Wpadam w paranoję - powiedziałam na głos do siebie.

Potem otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak stoi, gapiąc się na mnie, kiedy pociąg przejeżdżał obok niego. Jedną rękę uniesioną miał na znak pożegnania, a do twarzy przyklejony ten sam uśmiezek. Nie odpowiedziałam mu machaniem.

Wysiadłam na ostatnim przystanku, nadal trochę rozdygotana, i wyszłam z peronu. Było ciemno, ale w świetle lamp ulicznych Van Cortlandt Park mienił się kolorami, hektary drzew błyszczały złotem i czerwienią na tle zielonej trawy terenów defiladowych po mojej prawej ręce. Jakieś dzieci grały

w piłkę ręczną na podwórku obok klatki schodowej. Schodząc na ulicę, słyszałam ich unoszące się w powietrzu wiwaty i krzyki. Riverdale to ostatnia ładna dzielnica w Bronksie, a tamtego wieczoru wyglądała bezpiecznie i idyllicznie.

U dołu schodów stał na jałowym biegu czarny firebird '69. Silnik mruczał i łomotał, dając pokaz siły jak pies obnazający zęby. Za kierownicą siedział Jake. Starałam się nie uśmiechnąć z ulgą i patrząc przed siebie, przeszłam obok niego.

- Hej! - zawołał. - Myślałem, że blefujesz.

Jechał powoli obok mnie, a kierowcy sunący z tyłu naciskali klaksony, zanim go wyprzedzili, ciskając przekleństwa.

- Daj spokój, Ridley - powiedział, kiedy minęliśmy kilka przecznic. - Wygrałaś.

To właśnie chciałam usłyszeć. Usiadłam na miejscu dla pasażera, a on przyspieszył. Samochód był w środku utrzymany, w kolorze wiśniowym, skóra wypolerowana, bez jednej plamki, pachniała środkiem konserwującym. Pod schowkiem zamontowany był odtwarzacz kompaktów. Klamki i dźwignia zmiany biegów były nowe, z matowego chromu. Właśnie taki samochód pasował w moich oczach do niego: silny, zarazem delikatny.

Zauważyłam, że przejechaliśmy obok domu Amelii Miry. Jake zawrócił na ulicy dopiero za przecznicą i podjechał bliżej, żebyśmy mogli obejrzeć z samochodu rząd domów. Zatrzymał się pod wielkimi, starymi gałęziami drzew rosnących w parku, po czym podał mi starą czapkę baseballową i okulary słoneczne - na mnie za duże, ale zmusił mnie, żebym je włożyła.

- Nie chcesz chyba, żeby ktoś cię rozpoznał - powiedział. - To by pokrzyżowało nasze plany.

Nadal nic nie mówiłam i domyślałam się, że zaczyna mu to działać na nerwy. Siedzieliśmy tak przez kilka minut. Wreszcie się odezwał.

- Chryste. Czy zawsze jesteś taka uparta?

- Tak - odparłam. - Taka właśnie jestem.

Potem spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się. Dotknął mojej dłoni.

- Ridley, naprawdę nie sądziłem, że wybierzesz się tutaj sama. Nie pozwoliłbym ci wyjść, gdyby wpadło mi to do głowy.

- Przepraszam - powiedziałam.

I naprawdę było mi przykro, bo teraz, gdy na niego patrzyłam, zrozumiałam, że go wystraszyłam. Ulgą na jego twarzy była autentyczna, a w oczach mogłam wyczytać troskę. Głupio się czułam, że postępowałam jak smarkata. Znowu.

- Wiesz co, Jake? Po prostu czuję się manipulowana. Każdy ma inną wersję tego, co się dzieje, a ja nie wiem, w co wierzyć. Nie podołam temu sama, ale uporządkować sprawy muszę osobiście. Chwytasz?

Kiwnął głową, że rozumie.

- Chwytam. - Zobaczyłam dziwny wyraz na jego twarzy, ale zniknął, zanim zdążyłam go określić.

- Więc co teraz robimy? - zapytałam.

- Siedzimy i patrzemy - odparł, rozglądając się.

Był zimny, ale piękny jesienny wieczór, dzieciaki nadal grały w piłkę w parku, dorośli uprawiali jogging, spacerowali z psami. Był to trochę dziwny wieczór na prowadzenie obserwacji pośród wszystkich tych ludzi wiodących spokojne, szczęśliwe życie. Powinno było padać, a od czasu do czasu grzmieć i błyskać. Park powinien roić się od opryszków i gangów gotowych do rozróby.

- Na co patrzemy?

- Mam nadzieję - odparł, wzruszając ramionami - że dowiemy się, jak to zobaczymy.

Zastanawiałam się, czy będziemy całymi godzinami siedzieli w samochodzie. Czasem postawienie na swoim nie jest tak przyjemne jak być powinno. Uśmiechał się do mnie, jakby czytał mi w myślach. W żołądku mi burczało i chciało mi się sikać.

Namówiłam Jake'a, żebyśmy podjechali do Burger Kinga, którego mijaliśmy wcześniej. Mogłam zamówić sobie whoppera i opróżnić bolący pęcherz. Potem zaparkowaliśmy naprzeciwko numeru 6061 1/2 i patrzyliśmy, jak ludzie wchodzi i wychodzi. Ciemne domy ożywały, zaczynały się zapalać światła w jednych mieszkaniach, w innych zaś gasły. Numer 6061 1/2 nadal był ciemny i spokojny.

Niewiele rozmawialiśmy, ale cisza nam nie ciążyła. Mniej więcej co pół godziny Jake włączał na krótko silnik, żeby ogrzać samochód. Trochę się bałam i czułam się niepewnie, nie wiedziałam, czego szukamy ani co robimy, kiedy to znajdziemy. Ale nie chciałam dać mu satysfakcji i zacząć narzekać. Po paru godzinach przeszedłam na tylne siedzenie i położyłam się na brzuchu. Stamtąd wyglądałam przez boczne okno. Widziałam czubek głowy Jake'a.

- O co ci chodziło ostatniej nocy, Jake? Kiedy powiedziałeś, że są rzeczy, które powinnam o tobie wiedzieć.

Nie odpowiedział od razu, pomyślałam, że może zasnął.

- Nie wiem, od czego zacząć - odparł w końcu.

Zdałam sobie sprawę, że we wszystkich rozmowach, jakie prowadziliśmy w ciągu ostatnich paru dni, dziewięćdziesiąt procent poświęcone było mnie. Ja dowiedziałam się tylko troszeczkę o jego działalności artystycznej. O tym, gdzie mieszkał, zanim przeprowadził się do East Village. I to właściwie było wszystko. Poczułam, że muszę spojrzeć mu w twarz, ale może to, że nie odwrócił się, kiedy odpowiadał na moje pytanie, dało mi do zrozumienia, że wolałby tego uniknąć. Myślałam o bliznach na jego ciele i poczułam, jak coś się we mnie zacina. Ten człowiek, mimo że byliśmy tak blisko, nadal był dla mnie obcy. Ciągle o tym zapominałam. Miałam wrażenie, że znam go inaczej niż wszystkich innych.

Usiadłam i wyciągnęłam ręce nad fotelem, by objąć go za szyję. Przytuliłam moją twarz do jego twarzy. Widziałam jego profil, czułam zarost na jego szczęce, zapach jego skóry mieszający się z zapachem polerowanej skóry na siedzeniach. Uniósł dłoń i położył na moim ramieniu.

- Zaczynaj, po prostu, od początku - powiedziałam mu łagodnie do ucha. - Opowiedz mi wszystko.

- Naprawdę chciałbym.

W jego głosie było coś mrocznego, prawie gniew. Nie miałam okazji, żeby go zapytać, co chciał przez to powiedzieć, bo oboje zobaczyliśmy mężczyznę idącego chodnikiem. Tego wieczoru widzieliśmy mnóstwo ludzi, ale jakoś oboje odgadliśmy, że to na niego czekamy.

Patrzyliśmy, jak idzie szybkim krokiem, z przygarbionymi ramionami, w czapce baseballowej nasuniętej tak nisko, że zakrywała twarz. Ręce trzymał w kieszeniach cienkiej czarnej kurtki, która nie mogła chronić przed chłodem. Nie było w nim niczego, co skłoniłoby kogokolwiek, żeby się za nim obejrzał: przeciętny wzrost, przeciętna budowa ciała. Ale oboje śledziliśmy go wzrokiem, zapominając o naszej rozmowie. Odwrócił się i wbiegł na schodki prowadzące do numeru 6061 1/2 Broadway.

Odczekaliśmy jeszcze dziesięć minut w pełnej napięcia ciszy. W domu nadal było ciemno.

- To on? To ten człowiek, który przysłał mi list? - Wyobrażałam sobie, że jest większy, groźniejszy. W końcu przetoczył się przez moje życie jak walec.

- Możliwe.

- Co teraz robimy? — zapytałam.

- Ty zostaniesz tutaj i będziesz obserwować drzwi frontowe. A ja się rozejrzę z tyłu.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, wysiadł po cichu z samochodu i poszedł w stronę domu. Widziałam w lusterku wstecznym, jak przechodzi przez Broadway i zbliża się do domu z przeciwnego kierunku, a potem znika w zaułku. Serce biło mi tak mocno, że bałam się ataku paniki. Czekałam, wsłuchując się we własny oddech. Nie wiedziałam, czy minęła godzina, czy dziesięć minut. Nie miałam zegarka, więc nie mogłam sprawdzić. Wreszcie nie wytrzymałam, wysiadłam z samochodu i poszłam za Jakiem.

Po mojej prawej ręce rozpościerała się ciemna cisza parku, na ulicy nie było nikogo. Lampy rzucały pomarańczową poświatę. Przeszłam na drugą, nieoświetloną stronę. Między sklepem a pierwszym domem rozciągał się zadrzewiony skwer. Było to straszne miejsce, śliskie od mokrych liści. Ciemność i cisza wypływały spośród drzew.

Poszłam do zaułka, w którym zniknął Jake, i spojrzałam w ciemność. Na końcu uliczki żarzyło się światło. Ruszyłam w jego kierunku, mijałam cuchnące pojemniki ze śmieciami i groźne, ciemne przestrzenie, w których mógł się czaić ktoś albo coś.

Walnęłam kolaniem w pojemnik na śmieci i metalowa pokrywa z brzękiem spadła na ziemię. Gdzieś w pobliżu zaczął szczekać pies, a ja poczułam przyływ adrenaliny. Przebiegłam resztę alejki prowadzącej - zgadnijcie - do następnej uliczki za domami.

Niektóre z nich były z tyłu oświetlone. Wyżej widziałam światła w oknach i niebieski poblask ekranów telewizyjnych. Słyszałam cichą muzykę: *Money* Pink Floydów. Ktoś gotował jakąś mięsną potrawę, od zapachu kiszki zagrały mi marsza (tak, znowu). Tutaj też było ciemno, ale przynajmniej, gdybym krzyknęła, ktoś mógłby mnie usłyszeć. Byłam pewna, że dom z ciemnymi oknami w samym środku to numer 6061 1/2. Ale nie widziałam Jake'a. Dalej posuwałam się już trochę ostrożniej i udało mi się na nic nie wpaść. Zobaczyłam wąską, metalową klatkę schodową; prowadziła do balkonu biegnącego wzdłuż tyłu domu. Wydało mi się, że w jednym z okien dostrzegłam jakieś światło. Wspięłam się na schody i zajrzałam do środka. Mężczyzna z ulicy siedział tam, na podłodze, przy jednej z tych latarni na baterię, które można kupić w supermarkecie. Opierał się o ścianę, nogi miał wyciągnięte, skrzyżowane w kostkach. Zdjął czapkę, ale został w kurtce. Nie widziałam dokładnie jego twarzy i nie mogłam stwierdzić z całą pewnością, że to człowiek z fotografii. Światło było przyćmione, a na niego padał cień. Obok stał stary, zielony telefon z tarczką. Mężczyzna plastikowym widelcem jadł ravioli z puszki. Wpatrywał się w nią i zdawał się długo trzymać każdy kęs



w ustach, zanim przełknął. Widziałam zarys jego ust, pełne wargi z opadającymi kącikami. Smutek, gniew, niesmak... trudno powiedzieć. Ale wyglądał jak uosobienie samotności. Kimkolwiek był, cokolwiek się stało, że nasze drogi życiowe przecięły się w tak dziwny sposób, jego samotność okazała się zaraźliwa, bo poczułam, że przepełnia i mnie. Łzy stanęły mi w oczach. Nie wiem dlaczego. Patrzyłam przez to okno prowadzące w pustkę i ten widok zapadał mi w serce. Nagle poczułam wokół siebie gorące ramiona i dłoń na moich ustach. To Jake?

- Co ty wyczyniasz? Zwariowałaś? - syknął mi do ucha. Puścił mnie i wziął za rękę. Razem poszliśmy do samochodu.

- Po co my to robimy? - zapytałam, kiedy byliśmy już w wozie.

- Chciałem zobaczyć, z czym mamy do czynienia.

- I co?

- Z tego, co widziałem? Samotny facet siedzi przy telefonie w pustym domu bez elektryczności.

- I co to znaczy?

- Że uporam się z każdym niebezpieczeństwem, na jakie chciałby cię narażać.

Moja twarz musiała wyrażać kompletny brak zrozumienia.

- Słuchaj - powiedział cicho, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Prosiłaś, żebym pomógł ci sprawdzić, o co chodzi, zgadza się? Zebrałem trochę informacji, adres pasujący do tego numeru telefonu. Zanim zadzwonisz, chciałem wiedzieć, w co się pchamy, do kogo dzwoniemy.

- I do kogo dzwoniemy?

- Co obstawiam? Ten facet to Christian Luna. Czego on chce, dlaczego uważa cię za swoją córkę, gdzie się podziewał przez te wszystkie lata? Nie sądzę, żebyśmy do tego doszli, jeśli z nim nie porozmawiamy. Więc jest to następny, logiczny krok.

- Telefon?

Wyjął z kieszeni komórkę, podał mi ją i numer telefonu.

- Dzwoni.

Zamarłam.

- Ridley, zrób to, jeśli naprawdę chcesz. W przeciwnym wypadku wpadną tam, nastraszą gościa, aż narobi w portki i się odczepi. Gwarantuję, że nigdy o nim nie usłyszysz. Facet ciągle ucieka. Boi się i ukrywa przed kimś albo przed czymś, prawdopodobnie przed policją. Wlezie z powrotem pod kamień, spod którego wpełzł. A ty będziesz udawała, że nic się nie wydarzyło.

Ale teraz było już za późno i oboje o tym wiedzieliśmy. Dopiero po kilku minutach siedzenia w ciemności włączyłam telefon i wystukałam numer. Ręce mi się trzęsły i czułam pot na czole, chociaż w samochodzie było tak zimno, że para buchała mi z ust.

Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. Głos miał głęboki i mówił z lekkim akcentem, którego nie potrafiłam rozpoznać.

- Jessie? - zapytał.

Mogłam sobie go wyobrazić siedzącego na podłodze. Słyszałam w jego głosie głęboki smutek łągadzony niepewną nadzieją.

- Mówi Ridley. Jestem Ridley. - Musiałam powiedzieć chociaż tyle. Chciałam się trzymać tej jedynej rzeczy, która pomagała mi wierzyć, że żyję własnym życiem.

- Ridley - powtórzył. - Oczywiście, Ridley.

- Chciałabym się z panem spotkać.

- Tak - zabrzmiało to jak błaganie.

„Ławki u wejścia do Van Cortlandt Park, za godzinę”. Jake napisał to na kawałku papieru. Powtórzyłam to przez telefon. Milczał. Zastanawiałam się, czy bliskość jego miejsca zamieszkania nie wzbudziła w nim podejrzeń, ale po sekundzie się zgodził.

- Przyjdiesz sama? - zapytał. Przytaknęłam, chociaż nieprzyjemnie było mi kłamać nawet obcemu, który rujnował mi życie.

- Jak się pan nazywa?

- Jestem twoim ojcem - powiedział po kolejnej pauzie.

- Jak się pan nazywa? - powtórzyłam.

- Zobaczymy się za godzinę - odparł i odłożył słuchawkę.

Wyłączyłam telefon i wręczyłam go Jake'owi.

- Podał ci nazwisko?

- Nie.

Jake poprawił się na fotelu.

- Ja chyba też bym nie podał.

Popatrzyłam na niego, zaskoczona.

- Gdybym był zbiegiem? Podałbym ci nazwisko, a ty mogłabyś zadzwonić po policję i już by na mnie czekało sto radiowozów. W sprawach o morderstwo nie ma przedawnienia.

Wzruszyłam ramionami.

- Więc po co on tak ryzykuje?

- O to będziesz musiała go sama zapytać.

## Rozdział 15

Czekaliśmy, aż wyjdzie z domu, a potem patrzyliśmy, jak zmierza ku wejściu do parku. Jake powiedział, że chce się upewnić, czy wyjdzie sam. Nie mogłam wiedzieć, czy jeszcze ktoś mógł być w to zamieszany, ale nie chciałam pytać. Jake'owi dziwnie odpowiadało takie czekanie i obserwowanie, układanie planów, upewnianie się, czy jesteśmy bezpieczni. Dla mnie było to surrealistyczne, tak dziwne, że parę razy zastanawiałam się, czy aby mi się to nie śni. Może powinnam się obudzić.

Minęło kilka minut i pojechaliśmy za nim samochodem. Był przygarbiony, ale szedł szybko. Kilka razy oglądał się przez ramię, ale chyba nie patrzył na nas.

- Wygląda na samotnego. Samotnego i smutnego - powiedziałam.

Po długiej chwili Jake się odezwał:

- Tego się nie dowiesz, tylko patrząc na niego. Widzisz to, co on chce, żebyś widziała.

Pomyślałam, że to bardzo dziwne słowa, i odwróciłam się, żeby zobaczyć twarz Jake'a. Ale on był całkowicie skoncentrowany na ciemnej postaci przed nami, oczy miał utkwione w tym człowieku jak polująca sowa w myszy, w dole, na ziemi.

- Można wiele powiedzieć o człowieku na podstawie jego sylwetki, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. A ja widziałam w nim smutek.

- Nie wydaje mi się. Myślę, że dokonujemy projekcji naszych uczuć na ludzi, których widzimy. Jeśli jesteś nieuczciwa, widzisz w ludziach nieuczciwość. Jeśli jesteś dobra, w czyjejs twarzy widzisz tylko dobroć. Wskazówki fizyczne mogą ci powiedzieć, czy ktoś kłamie albo się denerwuje, ale nie sądzę, żebyś mogła dowiedzieć się wiele o człowieku, tylko patrząc na niego.

Zastanawiałam się przez chwilę nad jego słowami.

- Więc sądzisz, że to ja jestem smutna i samotna?

Znów milczenie. Ciemność była jak fizyczna substancja rozciągająca się między nami. Nie pozwalała mi zająrzeć mu w oczy.

- A nie jesteś?

Już miałam zaprzeczyć, z oburzenia ściągnęłam łopatki. Ale zanim otworzyłam usta, zrozumiałam, że ma rację. Właśnie tak się czułam. Od chwili, w której dostałam kopertę z poranną pocztą. A na jakimś głębokim, podświadomym poziomie, jeśli mam być uczciwa wobec siebie, samotna i smutna byłam nawet wcześniej. Nic więc nie powiedziałam. Kiedy podjeżdżaliśmy

do wejścia do parku, poczułam, że ogarnia mnie jakaś drętwość. Jake chwycił mnie w ciemności za rękę i mocno ścisnął. Odwzajemniłam uścisk i zrobiło mi się przykro, że mnie puścił.

Przejechał obok wejścia, jeszcze raz zakręcił na ulicy i zaparkował samochód. Oboje wysiedliśmy. Tym razem dobrze przyjrzałam się wozowi. Był naprawdę jak spod igły; potężna, szybka maszyna o lśniącym lakierze. Rzucała się w oczy.

- Podoba ci się? - zapytał, kiedy spostrzegł, że przyglądam się samochodowi.

Uśmiechnęłam się.

- Wiesz, co mówią o facetach, którzy muszą jeździć takimi brykami?

- Co takiego? - zapytał, podchodząc do mnie.

- Że potrzebują kompensacji.

- Hm - powiedział, przyciągając mnie do siebie. - Wiesz, że jest inaczej. Poczuję, jak policzki robią mi się gorące.

- Chyba tak.

Przycisnął swoje wargi do moich i pocałował mnie długo i łagodnie, rozświetlając moje wnętrze. Odsunął się i dotknął ręką mojego policzka. Wyraz twarzy zmienił mu się z żartobliwego na poważny.

- Będzie dobrze - powiedział.

- Tak - odparłam i kiwnęłam głową, choć byłam zupełnie przeciwnego zdania. — Wiem.

- Nie, ty nie wiesz. Ale ja wiem. Chodźmy.

Weszliśmy do parku dwie przecznice od miejsca, w którym umówiłam się z Christianem Luną- czy kim tam był. Jake ukrył się między drzewami jakieś trzydzieści metrów ode mnie, a ja poszłam ścieżką do ławki, na której siedział ten mężczyzna. Odwrócił się zaniepokojony odgłosem moich kroków i wstał. Zatrzymałam się, a on zaczął iść w moją stronę.

- Nie podchodź bliżej - powiedziałam, kiedy był dwa metry ode mnie. Bałam się.

Był starszy i niższy, niż go sobie wyobrażałam, ale me miałam wątpliwości, że to mężczyzna ze zdjęcia. Te same ciemne oczy, szerokie brwi i pełne wargi. Patrzyliśmy na siebie, jakby dzieliła nas szyba, w której mogliśmy widzieć tylko własne odbicia. Przez chwilę myślałam, że widzę w nim coś, czego nigdy w nikim nie widziałam. Cień moich własnych rysów. Coś wokół oczu, coś w kształcie szczęki. Pomyślałam, że to pewnie gra mojej wyobraźni. Może zobaczyłam to, co chciałam zobaczyć... albo to, czego najbardziej się obawiałam.

- Jessie - powiedział.

W jego tonie ulga łączyła się z wielkim smutkiem i radością. Zbliżył się o krok, a ja zrobiłam krok do tyłu. Wyciągnął ręce, jalcby chciał mnie objąć. Ale ja znów się cofnęłam. Nagle go znenawidziłam za to, że wygląda tak jak ja.

- Czy to pan ją zabił? - zapytałam. Głos miałam mocny i nieustępliwy.

Drgnął jakby dostał w twarz.

- Co? - zapytał po cichu, prawie szeptem.

- Czy zabił pan Teresę Elisabeth Stone.

- Twoją matkę - powiedział i usiadł na ławce, jakby opuścili go siły. - Nie.

Podparł głowę rękami i rozpłakał się. To było krępujące, taka intensywność uczucia, taka głębia nieszczęścia. Usiadłam na ławce obok niego i czekałam, aż przestanie płakać. Nie potrafiłam spojrzeć na niego ani go pocieszyć, ale nienawiść, którą przez chwilę czułam, ze mnie wyparowała. Oparłam się o ławkę i spojrzałam w niebo na mrugające gwiazdy. Wsunęłam zgrabiałe dłonie do kieszeni kurtki.

- Czy jest pan Christianem Luną? - zapytałam, gdy płacz ucichł.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Nieważne.

Myślicie, że byłam zimna? Owszem. Twarda. Zimna. Zimniejsza niż ciekły azot. Zaczęłam tego żałować. Może należało mu się trochę współczucia, ale nie mogłam się na nie zdobyć. Byłam rozbita. Sprawiała to jego twarz.

- Czego pan ode mnie chce? - odezwałam się po chwili, kiedy wydawał się walczyć z myślami, żeby coś powiedzieć.

Zobaczyłam rozczarowanie i niedowierzenie w jego oczach. Cokolwiek sobie wyobrażał o chwili spotkania, jego marzenia się nie spełniły. A ja, w stanie, w którym się znajdowałam, poczułam satysfakcję z małego, ponurego zwycięstwa: ze zniszczenia jego snów o spotkaniu po latach.

- Czego chcę? Jesteś moją córką - powiedział z niedowierzaniem. - Moja Jessie. - W głosie i oczach miał błaganie, ale bardziej by się mu poszczęściło, gdyby spróbował wzruszyć Statuę Wolności.

- Nie może pan tego wiedzieć na pewno - powiedziałam z uporem. Ręce miałam skrzyżowane na piersi jak sędzia. Osąd to taka użyteczna osłona, prawda? Możemy się za nim schować.

Roześmiał się lekko.

- Popatrz na mnie, Jessie. Przecież to widać, prawda?

Nie odpowiedziałam. Odwrócił się do mnie, a ja spojrzałam na niego. Tym razem nie odsunęłam się, a on nie próbował mnie dotknąć.

- Jeśli ja jestem Jessie, to co się stało z Teresą Stone? - zapytałam. - Jeśli to nie panją zabił, to kto to zrobił?

Westchnął.

- Od trzydziestu lat zadaję sobie codziennie to pytanie.

- Znów cisza. On patrzył na mnie, a ja w przestrzeń. Przejechał samochód; w zimnym nocnym powietrzu rozległy się dźwięki muzyki tanecznej z odtwarzacza.

- Byłem złym ojcem. I źle traktowałem twoją matkę. Ale nikogo nie zabiłem.

Młodzieńcze oburzenie i ledwie tłumiona wściekłość, które usłyszałam w jego głosie, sprawiły, że odwróciłam się, żeby przyjrzeć się jego twarzy. Miał grubo ponad pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt lat. Skórę brązową, zniszczoną słońcem, pooraną grubymi zmarszczkami. Widać było po nim, że wiódł trudne życie - marne jedzenie, złe wybory, ich fatalne skutki. Zdawał się uginać pod brzemieniem tego wszystkiego, ale wyczuwało się też w nim determinację, że jednak będzie dźwigać swój krzyż. Spodziewałam się, że w Christianie Lunie zobaczę drania, kogoś złego i groźnego, kogoś silnego, kto chciałby mnie skrzywdzić i mógł to uczynić. Zobaczyłam jednak człowieka zmęczonego i przegranego.

- Wiesz, starałem się, na swój sposób, postępować właściwie - powiedział z wyrażającym rezygnację śmiechem. - Ale byłem młody. No i wszystko spieprzyłem. Nie miałem ojca, więc nie wiedziałem, co to znaczy być mężczyzną. - Potrząsnął głową na te wspomnienia i spojrzał w ciemności parku.

Było to interesujące wyznanie i sprawiło, że zaczęłam mu się uważniej przyglądać. Zobaczyłam człowieka, który żył żalem. Który za późno dostał naukę.

To chyba straszna kara, w końcu zmadrzeć tylko po to, żeby zrozumieć, że skutki własnych działań są nieodwołalne.

- Spotkałem Teresę w pracy; była sekretarką w biurze obrotu nieruchomości, a ja złotą rączką w tym budynku. Oboje mieszkaliśmy w Jersey i jeździliśmy do pracy tym samym pociągiem. Tam zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Od pierwszej sekundy, kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że to dobra dziewczyna. Słodka. Śliczna. Poszliśmy parę razy na randkę. Powiedziałem, że ją kocham - ale nie o to mi chodziło.

Próbowałam sobie ich wyobrazić na podstawie tamtej fotografii. Jak wyglądała, kiedy się śmiała, jak się ubierała. Może była w nim zakochana, myślała, że on ją naprawdę kocha. Jestem pisarką chciałam, żeby opowiedział mi to wszystko tak, jak ja bym to opowiedziała. Ale pomyślałam, że za dużo wymagam.

- Po para randkach pozwoliła mi się z sobą przespać kilka razy. Potem straciłem zainteresowanie. Przestałem dzwonić. Wiesz, jak to jest.

Wiesz, jak to jest. Chyba wiem; myślę, że większość z nas wie. Ufasz komuś, oddajesz mu się. Myślisz, że chce dzielić z tobą życie, że bliskość fizyczna to tylko początek. Ale dla tej drugiej osoby cel ostateczny został już osiągnięty i sprawa jest zakończona. Płakała za nim? Była samotna i nienawidziła siebie, kiedy odszedł? Żałowała, że go spotkała?

Przez chwilę siedział w milczeniu, chyba czekał na jakąś zachętę. Ale ja nic nie powiedziałam. Nie chciałam mu niczego ułatwiać, nawet tej opowieści. Nie wiem, dlaczego byłam taka samolubna i zła, ale taka właśnie byłam.

- Zagadnęła mnie pewnego wieczoru, kiedy kończyłem zmianę. Było późno, po nadgodzinach. Przez jakiś czas nie widziałem jej w pracy. Kiedy tylko ją zobaczyłem, jak czekała w ciemności, wiedziałem, że przyjechała, żeby ze mną porozmawiać. Powiedziała mi, że jest w ciąży.

Znów spróbowałam wyobrazić sobie tę scenę. Może było zimno, mżył deszcz, a półksiężyc wyglądał zza chmur. Czy bała się, płakała?

- Był pan dla niej miły? - zapytałam z nadzieją.

- Nie. - Pochylił głowę i włożył ręce do kieszeni. - Nie byłem.

- Bała się?

Powoli pokręcił głową.

- Była silna. Zapytałem, wstyd mi o tym mówić, skąd wie, że to moje dziecko. Powiedziała, że nie była z nikim innym. Uwierzyłem jej, ale udawałem, że nie wierzę. - Zamilkł i zaczął mi się przyglądać, aż spojrzałam na niego. Wstyd był tak widoczny na jego twarzy, że z zażenowania odwróciłam wzrok. - Zasugerowałem jej... - zaczął.

- Aborcję? - dokończyłam, zmuszając się, żeby znów na niego spojrzeć. Zabrzmiało to obrzydliwie, ale pokiwał głową.

- Odmówiła. A potem powiedziała coś, czego nigdy nie zapomnę: „Nie potrzebujemy od ciebie niczego. Po prostu daję ci szansę, żebyś został ojcem, żebyś i ty miał z tego radość”.

Znów westchnął, a oczy zaczęły mu lśnić.

- Chociaż byłem główniarzem i źle ją traktowałem, chciała mi dać szansę na poznanie ciebie. Nie skorzystałem. Wiesz? Przerastało mnie to wtedy. Ale zaproponowałem jej małżeństwo. Odmówiła.

- Chyba pan kpi. Po tak romantycznych chwilach?

Odchrząknął.

- Tak. Był ze mnie niezły typ.

- Pewnie tak. Widać to na zdjęciu. Wezwania policji do awantur domowych. Sądowy zakaz zbliżania się.

- Co, wynajęłaś prywatnego detektywa?

Nie odpowiedziałam. Skinał i rozejrzał się.

- Nie wzywałam policji - powiedziałam. - Nie ma się pan czego obawiać.

Uśmiechnął się wtedy do mnie, ale jakoś dziwnie. Tak uśmiechamy się do kogoś, kto ma tak niewielkie pojęcie o sprawie, że szkoda marnować czas na wyjaśnienia. Nie zwróciłam wtedy na to uwagi, ale później przypomniałam sobie jego minę.

- Przychodziłem i odchodziłem. Kiedy mogłem, dawałem pieniądze. Ale gdy przychodziłem, żeby zobaczyć ciebie, zawsze była kłótnia. Zachowywałem się jak dupek. Prosiła, żebym wyszedł, a ja zaczynałem się drzeć. Przyjeżdżali gliniarze i zabierali mnie. Nie wiem, ale chyba miałem bzika na twoim punkcie. Kochałem cię, cholera. Nie uwierzysz, jaka byłaś piękna, jak podnosił mnie na duchu widok twojej twarzy. Ale odpowiedzialność mnie przerażała... Byłem tchórzem. To znaczy...

Przerwał, potrząsnął głową, jakby dziwił się czyjejs głupocie. Tyle lat minęło, to musiało być dla niego jak inne życie. Może był już innym człowiekiem? Nie wyglądał na mężczyznę, o którym mówił, wystraszonego i niedojrzałego, który tak potraktował matkę swojego dziecka.

- Pewnego dnia zostawiła cię ze mną. To była wyjątkowa sytuacja, musiała iść do pracy, a sąsiadka, która zazwyczaj pilnowała cię, zachorowała. Więc zostałem z tobą, byłaś malutka, nie miałaś nawet dwóch latek. Nie zajmowałem się tobą i kiedy nie patrzyłem, ściągnęłaś z blatu szklankę piwa, która roztrzaskała się na podłodze. Podbiegłem i szarpnąłem cię za ramię. Byłem wściekły, tak, ale chciałem też odciągnąć cię od szkła, żebyś się nie pokaleczyła. Zaczęłaś płakać, a ja nie mogłem cię uspokoić. Przestraszyłem się, nie wiedziałem, co robić. Więc zamknąłem cię w pokoju. Sąsiadka kilka razy dzwoniła, zostawiła nawet wiadomość w automatycznej sekretarce: „Co się dzieje z Jessie? Jeszcze nie słyszałam, żeby dziecko tak krzyczało”.

Zaczął płakać. Cicho, bezdźwięcznie, tak jak wcześniej.

- Kiedy godzinę później przyszła Teresa, ty wciąż krzyczałaś. Sąsiadka zadzwoniła do niej, do pracy, więc popędziła do domu. Natychmiast zorientowała się, że z twoim ramieniem jest coś nie tak. Zawiozła cię do kliniki, no i okazało się, że złamałem ci rękę. Wtedy dostałem zakaz zbliżania się do niej. I zakaz widywania ciebie.

Robiło się coraz zimniej. Wytarł oczy rękawem kurtki. Mogłam już zdobyć się na odrobinę współczucia, chociaż z tego, co mówił, gdyby to od



niego zależało, nie byłoby mnie dziś na świecie. Maltretował Jessie jako dziecko, a teraz niszczył moje dorosłe życie. A jednak miałam dla niego trochę litości.

- Kilka tygodni później upiłem się i poszedłem do niej. Waliłem w drzwi, żeby mnie wpuściła i pozwoliła cię zobaczyć, czy wszystko z tobą w porządku. Pohałasowałem trochę, ale mnie nie wpuściła. Powiedziała przez drzwi, że zawiadomiła policję i że już jadą. Usłyszałem syreny i zwałem. Wypiłem jeszcze i wróciłem za kilka godzin. Tym razem drzwi były otwarte.

Oddychał teraz ciężko, łzy kapały mu z oczu, jakby przez całe życie zbierał je na ten moment.

- W mieszkaniu było ciemno i domyśliłem się, że coś jest nie tak. Zobaczyłem jeden jej trampek na podłodze, w kałuży krwi. W ciemnościach miała czarny kolor. Była gęsta, jakby sztuczna. Włączyłem światło i zobaczyłem ją. Leżała, oczy miała otwarte, krew na ustach, szyję koszmarnie wykręconą. Patrzyła na mnie tak, jakby to była moja wina... To była moja wina; gdybym był lepszym człowiekiem, żyłaby. Może bylibyśmy rodziną.

Znów przerwał, oddech miał nierówny. Zakrył twarz rękami i mówił przez palce.

- Szukałem ciebie, ale cię nie było. Więc uciekłem. Tego wieczoru wziąłem zaoszczędzone pieniądze, które trzymałem pod łóżkiem. Pojechałem autobusem do El Paso, a potem do Ciudad Juarez w Meksyku. Tam złapałem lot do Puerto Rico. Nigdy tam nie byłem, ale moi dziadkowie pochodzili stamtąd i miałem tam dalekiego kuzyna. Zostałem u niego i pracowałem przez te wszystkie lata jako mechanik samochodowy w jego warsztacie.

Potrząsnęłam głową. Opowieść była w sam raz prosta i w sam raz skomplikowana. I chyba prawdziwa. Ale co ja miałam z tym zrobić?

- Więc co się stało, panie Luna? Co pan myślał o mnie? Dlaczego pan wrócił?

- Myślałem o tobie codziennie. - Wyciągnął do mnie rękę, ale się odsunęłam. - Codziennie. Nie wierzysz, prawda? Ale tak było.

Znów spojrział na mnie tym błagalnym wzrokiem, ale nie byłam w stanie okazać mu współczucia ani spojrzeniem ani dotykiem. Po prostu nie byłam w stanie.

- Okej - powiedziałam. - Więc po co pan wrócił?

- Zobaczyłem cię w CNN. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Widziałem twoje zdjęcie, kiedy ratowałaś tego dzieciaka na ulicy. Twoja piękna twarz... od razu wiedziałem. Taka podobna do matki, taka podobna do niej. Zdawało mi się, że widzę ducha. Przez wszystkie te lata nie wiedziałem,

czy żyjesz. I nagle cię zobaczyłem. To było jak odpowiedź na wszystkie moje modlitwy. Musiałem przyjechać i odnaleźć cię, zobaczyć, że żyjesz, że jesteś zdrowa.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ogarnęła mnie drętwość. Był dla mnie obcy. Ja byłam dla siebie obca. Co moglibyśmy sobie ofiarować? Co dobrego wynikłoby z tego?

- W czym domu pan zamieszkał? - zapytałam. - Kto to jest Amelia Mira?

Popatrzył na mnie dziwnie. Domyślałam się, że pytanie zabrzmiało dziwacznie, jeśli wziąć pod uwagę to, o co jeszcze mogłabym go zapytać. Ale chciałam wiedzieć. Jessie nadano jej imię i chciałam wiedzieć, kim ona jest.

- Należał do mojej matki, twojej babki. Umarła w ubiegłym roku i zostawiła mi go w testamencie. Pewnie wkrótce przejmie go miasto. Nie stać mnie na płacenie podatku.

- Wiedziała, gdzie pan był?

Skinął głową.

Jessie Amelia Stone nosiła drugie imię po babce, której nigdy nie widziała, a nadał jej to imię ojciec, który nie chciał, żeby się urodziła, potem zabił ją i być może zabił jej matkę. Biedna Jessie, pomyślałam, i zdałam sobie sprawę, że płaczę.

Wtedy zrobił coś okropnego. Ześlizgnął się z ławki, uklęknął przede mną i wziął mnie za rękę. Nigdy jeszcze nie czułam się tak zawstydzona i nigdy nie byłam w tak niezręcznej sytuacji.

- Panie Luna... proszę. - Nachyliłam się i wzięłam go za ramię. Próbowaliśmy zmusić go, żeby wstał.

- Jessie, ja niczego od ciebie nie chcę. Chciałem tylko, żebyś mnie poznała, "Chciałem cię zobaczyć.

- Proszę - powtórzyłam i umilkłam; nie wiedziałam, co robić. Było w nim tyle uczucia do mnie; widziałam, że jest szczerzy, że naprawdę uważa mnie za swoją Jessie. Tylko nie byłam pewna, czy ja w to wierzę.

- Po prostu nie rozumiem tego, panie Luna. — Wstałam, zostawiając go, klęczącego na ziemi. - Dlaczego pan uciekł? Dlaczego nie szukał pan Jessie?

Uniósł dłonie w geście kapitulacji.

- Nie miałbym najmniejszej szansy. Wszystkie te areszty, zakaz sądowy... kto by uwierzył, że to nie ja ją zabiłem.

Westchnęłam i znowu potrzęsęłam głową.

- Nie wierzysz mi, prawda? - zapytał cicho.

- Nie wiem, w co wierzyć.

Wstał, podszedł nagle do mnie i z rozpaczą chwycił mnie za ramiona.

- Proszę, Jessie. Powiedz, że mi wierzysz. Ja nie zabiłem twojej matki.

Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Jak mógł sądzić, że wchłonę wszystkie te informacje, a potem wydam osąd? Zdałam sobie sprawę, że po to przyszedł, po rozgrzeszenie. Ale nie byłam pewna, czy to ja miałam mu go udzielić. Nie dla mnie wrócił, on to zrobił dla siebie. Może zrozumiał swoje błędy, może nawet za nie odpokutował na swój sposób, ale był tym samym samolubnym mężczyzną, który maltretował Teresę Stone i jej córkę Jessie. Możliwe, że był nawet mordercą; uciekł jak tchórz, kiedy pomyślał, że zostanie oskarżony. Teraz wrócił, żeby zrujnować mi życie, bo chciał uzyskać wybaczenie po tych wszystkich latach. Co miałam o tym myśleć? Dlaczego miałabym w ogóle uwierzyć w to, co mówił?

Znów usiadłam na ławce, a on usiadł przy mnie. Czekałam na jakieś uczucie, jakby moje DNA mogło rozpoznać swoje pochodzenie i wysłać sygnał do mózgu i serca. Ale niczego nie byłam pewna. Czułam się jak latawiec spuszczonej ze sznurka; odlatywałam coraz wyżej, coraz dalej od ziemi, nie trzymając się żadnego kierunku. Zaświtało mi w głowie, że wolność, której zawsze pragnęłam, nie była prawdziwą wolnością, ale... nazwijmy to zakotwiczoną niezależnością. Dopiero teraz poznałam wolność podszytą niebezpieczeństwem.

Otworzyłam usta, lecz nawet teraz nie jestem pewna, co chciałam powiedzieć. Bo w jednej sekundzie patrzyłam na niego, a w następnej osunął się obok mnie, jakby jego kości zamieniły się w galaretę. Chwyciłam go za ramię, żeby nie upadł mi na kolana. Kiedy udało mi się go odepchnąć na ławkę, jego głowa poleciała na bok, a ja zobaczyłam regularne kółko między jego oczami.

Przemoc jest cicha i łagodna. Albo może taka być. Na filmach strzały rozbrzmiewają głośno, a ciosy padają z hukiem. Ludzie umierają z wrzaskiem albo jękiem. Ale śmierć Christiana Luny była cicha.

Potrząsnęłam nim.

- Panie Luna? Co panu jest?

Było to bardzo głupie pytanie, ale co miałam powiedzieć? Szok jest siostrą przyrodnią zaprzeczenia. Łagodzi ciosy zadawane psychice, kiedy dzieją się naprawdę koszmarnie rzeczy. Wtedy poczułam na sobie czyjeś ręce.

- Ridley, cholera jasna. Co tu się, kurwa, stało?

- Co? - zapytałam, obracając się. Zobaczyłam Jake'a. - Nie wiem.

Chwycił mnie, ale ja trzymałam się Christiana Luny. Mojego ojca. Być może. Jake oderwał moje ręce od niego, przez cały czas się rozglądając. Chyba próbował zgadnąć, skąd padł strzał. Potem zaciągnął mnie do samochodu. Odwróciłam się, zobaczyłam, jak Christian Luna przewraca się na

bok, nie spadając z ławki. Świadomość tego, co się stało, powoli zaczęła do mnie docierać. Czułam, jak żółć podchodzi mi do gardła.

- Powinniśmy... - Chciałam powiedzieć: „wezwać policję”, ale nie jestem nawet pewna, czy wydusiłam te słowa, bo w następnej sekundzie wisiałam na balustradzie otaczającej park i rzygałam na trawę. Czułam, że Jake osłania mnie, jakby obawiał się kolejnych strzałów. Ciągnął mnie, oglądając się za siebie. Udało mi się ruszyć.

- Wezwać policję? - wyrzuciłam wreszcie z siebie. Zabrzmiało to jak pytanie.

- Musimy stąd, kurwa, spieprzać i to zaraz. - Jake przyciągnął mnie do siebie. - Idź szybko. Ale spróbuj wyglądać normalnie.

Wydało mi się to śmieszne i zaczęłam się śmiać. Też się uśmiechnąłem, ale sztucznie, wymuszenie. On też usiłował wyglądać normalnie i nie wychodziło mu to. Wreszcie śmiałam się tak głośno, że pomyślałam, że zsikam się w majtki. Potem napad minął. Na szczęście byliśmy już w samochodzie. Jake zapinał mi pas bezpieczeństwa, a ja nagle tak się rozszlochałam, że zgięłam się w pół i rozboleło mnie gardło. Nigdy przedtem ani potem nie czułam się tak bezsilna jak wobec tego szloch. Wstrząsał mną i dusił mnie.

- Ridley - powiedział Jake, patrząc na drogę, w głosie miał rozpacz. - Już w porządku, w porządku.

Powtarzał to w kółko, jakby dzięki temu naprawdę wszystko miało być dobrze. Przy Sto Osiemdziesiątej Szóstej ulicy zjechał z autostrady i skręcił na pas wiodący do Fort Tyron Park. Było już zamknięte, ale zajechaliśmy na parking; Jake przycisnął mnie do siebie, a ja ukryłam twarz w jego ramieniu. Trzymał mnie tak i szeptał słowa pocieszenia do ucha. W końcu szloch ustał. Byłam osłabiona i miałam tak obrzmiałe zatoki, że nie mogłam oddychać przez nos. Oparłam się o niego.

- Co tam się stało, Ridley? - zapytał, kiedy się uspokoiłam. - Widziałaś, skąd strzelano?

Nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Miałam wrażenie, że jego głos dociera do mnie z głębin.

- Nie wiem - odparłam wreszcie. - Nie wiem, co się stało.

Mówił, że widział cień na dachu budynku po drugiej stronie ulicy. Ale ja wpadłam w jakąś umyślową pętlę i ciągle widziałam, jak głowa Christiana Luny przechyliła się w bok, a w jego czole pojawia się doskonale okrągła czerwona dziurka. To wspomnienie wciąż wracało.

Pojakimś czasie Jake ruszył i zawrócił do śródmieścia. Patrzyłam na mrużące światła miasta, na białe i czerwone smugi reflektorów i światła tyl-

nych śmigających obok nas wozów. Czułam drętwotę, jakby wszystkie kończyny mi obumarły, a szyja nie miała siły, żeby podeprzeć głowę.

- Co się ze mną dzieje? - zapytałam.

- Przepraszam, Ridley - odparł dziwnie. - Bardzo przepraszam.

Nawet nie pomyślałam, żeby zapytać, o co mu chodzi i dlaczego przeprasza.

- Powinienem bardziej się o ciebie troszczyć, lepiej cię chronić.

Chciałam mu powiedzieć, że to nie była jego wina, ale słowa nie wydobyły mi się z ust.

Wróciliśmy do East Village, do mieszkania Jake'a. Położył mnie do łóżka, a sam wyciągnął się obok i zaczął głaskać mnie po głowie. Kiedy pomyślałam, że zasnęłam, wyszedł z pokoju. Słyszałam, że ogląda wiadomości telewizyjne i czeka na informację o Christianie Lunie. Zasnęłam zdziwiona, że nie chciał zadzwonić na policję.

## Rozdział 16

Kiedy się obudziłam, Jake spał obok mnie, z nagim torsem, ale w dżinsach. Ramię zarzucił mi na brzuch, a czoło lekko zmarszczył, jakby śnił o czymś niepokojącym. Uśmiechnęłam się, nadal unosiłam się w półmroku między snem a jawą. Poruszył się we śnie i rysy twarzy mu złagodniały, fałdy znikły z czoła. W przyćmionym świetle wyglądał przez chwilę spokojnie. Uświadomiłam sobie, jaki to kontrast z tym wyrazem mrocznego skupienia goszczącym zazwyczaj na jego twarzy. Ta myśl przypomniała mi, że nadal mam wiele pytań o jego przeszłość. Wydarzenia ostatniego wieczoru zaczęły napływać mi do głowy i rozbłyśkiwać przed oczami. Poczucie winy, żal i strach toczyły walkę w moim żołądku; ogarnęły mnie mdłości, leżałam, trzymając się za brzuch, i próbowałam znaleźć jakiś sens w tym, co wydarzyło się w parku.

Wymknęłam się z łóżka i poszłam do saloniku. Słońce ledwie wyłoniło się ponad horyzont i światło wpadające przez okno było mlecznoszare. Włączyłam telewizor i ściszyłam głos. Nadal był nastawiony na stację nowojorską, lokalny kanał informacyjny nadający przez okrągłą dobę. Obejrzałam pełen cykl newsów. Na Drugiej Alei pies wpadł pod samochód, policjant strzelił do niego z litości, chcąc skrócić mu męki. Psa włożono do zamrażarki, a on przeżył. No, to mu się udało. Paulie „Piącha” Umbruglia

został aresztowany pod zarzutem oszustwa i niepłacenia podatków. Patrzyłam, jak szedł z radiowozu w kajdankach, eskortowany przez dwóch krzepkich policjantów w mundurach. Zobaczyłam też znajomego. Za Umbraglią stał adwokat wujka Maksa, Alexander Harriman. Przyprószona siwizną gęsta czupryna, opalenizna z weekendów na Bahamach, lśniący rolex, garnitur za pięć tysięcy, czarujący uśmiech, który jednak w mgnieniu oka mógł zmienić się w groźną minę. Wujek Max uwielbiał tego człowieka. Mawiał: „Ridley, twój prawnik powinien, kiedy trzeba, chować pazury, mieć kręgosłup z tytanu i giętką moralność”.

Spotykałam Harrimana wielokrotnie podczas przyjęć charytatywnych, obiadków u wujka Maksa, a raz nawet na balu noworocznym wydanym przez moich rodziców. Jak już wspomniałam, Harriman miał barwnych klientów, ale jak w wielu innych sprawach dotyczących szarych stref mojego życia, nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałam. W końcu rozmawiałam z nim tylko raz, kiedy chodziło o pieniądze zostawione przez wujka. Było to krótkie, przyjacielskie spotkanie, podczas którego przekazał mi czek i zaoferował pomoc w zarządzaniu kapitałem. Powiedziałam mu, że dziękuję, już się o to zatroszczyłam.

Było w nim coś, co mnie bulwersowało: może sposób, w jaki opisał go Max, kojarząc z Terminatorem, a może niesmak, który czuli do niego rodzice, chociaż o tym nie mówili. Kiedy byłam w jego towarzystwie, serce szybciej mi biło i czułam się skrępowana, gdy na mnie patrzył. Kiedy wychodziłam tamtego dnia z jego biura, powiedział: „Ridley, twój wujek Max bardzo cię kochał. Chciał być pewien, że gdyby mu się coś stało, będziesz zawsze mogła zwrócić się do mnie o pomoc. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, mieć jakieś pytania w kwestiach prawnych, jakieś sprawy sądowe czy cokolwiek, nie wahaj się, Ridley”. Uścisnęłam mu rękę i podziękowałam za zaangażowanie, zastanawiając się, jak nisko trzeba upaść, żeby dzwonić do Alexandra Harrimana po pomoc. Siedząc na kanapie Jake'a, zastanawiałam się, czy nadal mam wizytówkę Harrimana w swoim notesie. Czułam się okropnie i myślałam, że kręgosłup z tytanu i wysuwane szpony mogą się przydać, kiedy tak jak my uciekło się z miejsca zbrodni.

Lokalne newsy szły dalej, nie było wzmianki o Christianie Lunie, a ja zastanawiałam się, dlaczego właściwie uciekliśmy. Gdyby chodziło tylko o ratunek przed niebezpieczeństwem, powinniśmy zatrzymać się i wezwać policję, jak tylko znaleźlibyśmy się w bezpiecznej okolicy. Ale tego nie zrobiliśmy. Widzieliśmy, jak zastrzelono człowieka, a potem zostawiliśmy go na ławce w parku.

Przyjrzałam się zimmemu, odczłowieczonemu pokojowi, w którym brakowało osobistych drobiazgów. Myślałam o mężczyźnie śpiącym obok. Jak już mówiłam, czułam się tak, jakbym znała Jake'a na jakimś instynktownym poziomie, ale na poziomie świadomości nie znałam historii tego człowieka. Kiedy siedziałam na futonie i rozglądałam się po pokoju, żeby jakoś określić Jake'a, zaczynałam odczuwać coraz większy niepokój. Pomyślcie o tym, jak wygląda wasz salonik. Wyobraźcie sobie, że przychodzi do was obcy człowiek i siada na waszej kanapie. Jak zdefiniowałby was na podstawie tego, co zobaczył? Czy nie znajdzie chociaż kilku wskazówek co do waszych upodobań? Mogą to być zdjęcia ludzi, których kochacie i cenicie, czasopismo na stolicku... cokolwiek. W saloniku Jake'a nie było niczego takiego. Był bezosobowy jak pokój w hotelu, czuło się w nim tymczasowość. Jakby Jake mógł w każdej chwili opuścić to miejsce, już nie wrócić i nawet nie pomyśleć o tym, co tu zostawił. Z jakichś powodów nagle mnie to zaniepokoiło. I zrozumiałam, że chociaż uważam Jake'a za uczciwego człowieka, to ukrywa on przede mną coś ważnego.

Na wąskim biurku w rogu pokoju stał jego laptop. Nie było stosów papierzyisk, szuflad do przeszukania, więc ośmieliło mnie to do otwarcia wieka i włączenia komputera. Zawsze byłam śmiała, a teraz czułam się wyjątkowo pewnie. Komputer włączył się z szumem, wydając przy tym kilka nieprzyjemnie głośnych pisków. Na ekranie pojawiło się pytanie o hasło. Cholera. Zastanowiłam się nad tym, co wiem o Jake'u, i doszłam do wniosku, że hasła łatwo nie odgadnę. Chyba bardzo zależało mu na zabezpieczeniach. Tak bywa z ludźmi, którzy mają coś do ukrycia.

- *Quidam.*

Określiłam się na pięcie i zobaczyłam Jake'a stojącego w drzwiach.

- Co?

- Hasło brzmi *quidam*.

Patrzył na mnie, a ja próbowałam odczytać coś z wyrazu jego twarzy. Nie wyglądał na urażonego ani nawet zaskoczonego, że myszkowałam po jego mieszkaniu i próbowałam włamać się do komputera. Dziwne, ale wcale nie czułam się skrzępowana, że mnie na tym przyłapał.

- Co to znaczy? - zapytałam.

- To z Cypriana Kamila Norwida, polskiego poety romantycznego. Pochodzi od łacińskiego słowa, które znaczy „ktoś, jakiś człowiek”. Ale bohaterem Norwidowskiego *Quidam* jest człowiek szukający swojego miejsca w życiu, ktoś, kto szuka też dobra i prawdy. „Że bez nazwiska był, bez nazwy - zgoła Sierota, *quidam*...”

Odeszłam od laptopa i wróciłam na futon, na którym przedtem siedziałam. Podciągnęłam kolana do piersi.

- Czy tak widzisz siebie?

Wzruszył ramionami.

- Chyba tak. W pewnym sensie.

Usiadł obok mnie. Ten sam cień smutku, który widziałam na jego twarzy, zagościł na sekundę w jego oczach. Czułam, że chce mnie dotknąć, ale nie jest pewien, czyja tego chce. Coś zawisło w powietrzu między nami. Chyba moje podejrzenia. To one powstrzymały mnie przed objęciem go i szałowaniem z niego całego tego smutku, chociaż serce się do tego rwało.

- Dlaczego nie chciałeś wezwać policji ubiegłego wieczoru? - zapytałam. Przemysłał pytanie.

- Chyba nie mam na to dobrej odpowiedzi poza tym, że wplątaliśmy się w coś, co nie skończyłoby się dla nas dobrze.

- Tak zwyczajnie go tam zostawiliśmy. - Z zaskoczeniem stwierdziłam, że głos mi się trzęsie, a łzy napływają do oczu. Zaczęłam masować bolące miejsce na skroni.

- On nie żył - powiedział Jake i chyba zauważył, że zabrzmiało to zimno i bezwzględnie. - Przepraszam, Ridley. - Nachylił się ku mnie. - Przykro mi, że się to zdarzyło. Przykro mi, że musiałś to widzieć. I przepraszam, że nie chroniłem cię lepiej. Ale nie sądzę, żebyśmy mogli mu wtedy pomóc. Gdybyśmy wezwali policję, musielibyśmy tylko odpowiedzieć na mnóstwo pytań. Po prostu chciałem cię stamtąd zabrać.

Zobaczyłam, że koncentruje wzrok na czymś za moim ramieniem i odwróciłam się, żeby spojrzeć w ekran telewizora. Młoda reporterka z krótkimi blond włosami stała przed Van Cortlandt Parkiem, a za nią kręcili się policjanci.

- Zwłoki zamordowanego, niezidentyfikowanego mężczyzny zostały znalezione dzisiaj rano w Van Cortlandt Parku w Riverdale, w Bronksie. Znaleźli go ludzie uprawiający jogging. Mężczyzna zmarł od postrzału w głowę - powiedziała reporterka z dziwną radością w głosie, jakby komentowała jakąś paradę.

Za nią stała flota radiowozów, a miejsce, gdzie wtedy siedziałam, odgrodzono żółtą, policyjną taśmą. Furgonetka kononera blokowała wejście do parku. Zastanawiałam się, ilu ludzi przeszło obok ciała Christiana Luny na ławce, zanim ktoś domyślił się, że on nie żyje. Ilu ludzi przebiegło, myśląc, że to kolejny pijanica, który ucina sobie drzemkę w parku? Zostawiliśmy go tak, żeby go odnaleziono. Człowieka, który mógł być moim ojcem. Bez względu na to, co zrobił, nie zasługiwał na taki los. Prawda?



Reportierka kontynuowała:

- Policjanci twierdzą, że chociaż nie mogą być całkowicie tego pewni, dopóki nie zostaną przeprowadzone testy balistyczne, kula prawdopodobnie pochodzi z karabinu, a trajektoria wskazuje, że została wystrzelona z dachu domu po drugiej stronie ulicy. - Kamera przesunęła się na budynki naprzeciwko parku, szeregowe domki, przed którymi siedzieliśmy kilka godzin. - Są to, powtarzam, ustalenia początkowe i nie mogą zostać zweryfikowane bez dalszego dochodzenia. Świadkowie mówią, że wkrótce po północy widziano, jak z parku wychodzą mężczyzna i kobieta, ale jak do tej pory nikt nie podał ich rysopisu. Policja twierdzi, że na razie nie są oni podejrzanymi, ale poszukuje się ich, żeby spisać zeznania. Relacjonowała Angela Martinez, „New York One News”.

Wstałam i wyłączyłam telewizor; gapiłam się na pusty ekran.

- Psiakrew - wyszeptalam do siebie. - Nie mogę w to uwierzyć. Co się dzieje z moim życiem?

Odwrociłam się, żeby popatrzeć na Jake'a. Siedział bez ruchu, wyglądał na niewiarygodnie spokojnego.

- Słyszałeś? - zapytałam. - Policja nas poszukuje.

Zaczęłam chodzić po pokoju.

- Żeby nas przesłuchać - powiedział, jakby to nie było nic wielkiego. Może dla niego to było nic, ale dla kogoś, kto wcześniej zarobił najwyżej mandat za parkowanie, sprawa wydawała się poważna.

- Jake - powiedziałam, zatrzymując się przed nim. - Musimy zgłosić się na policję.

Pokręcił głową.

- Zapomnij. To nie jest dobry pomysł. A przy okazji, policja to najmniejsze z naszych zmartwień.

- O czym ty mówisz?

- Pomyśl, Ridley. Kto zabił Christiana Lunę? I dlaczego?

Właściwie, wiercie w to albo nie, w swoim samolubstwie nawet nie zastanawiałam się, kto zabił pana Lunę. Nadal nie mogłam się uporać z faktem, że zabito człowieka na moich oczach. Nawet nie zaczęłam jeszcze zastanawiać się nad przyczynami zbrodni.

- Nikt nie wiedział, że mamy się z nim spotkać - ciągnął Jake. - Nawet my nie wiedzieliśmy, na godzinę przed telefonem.

- Więc może to był tylko przypadek, coś nieplanowanego? - Nie chciałam nawet rozpatrywać innych możliwości.

- Taki strzał? - Jake zaświstał. - Nie ma mowy.

- Więc co? Ktoś go śledził? Albo założył mu podsłuch w telefonie.
- Może. Albo ktoś śledził ciebie.
- Mnie? - zapytałam i roześmiałam się lekko. - Dlaczego ktoś miałby mnie śledzić?

Pewnie myślicie: Odbiło jej? Człowiek w moim domu, człowiek w pizzerii, człowiek, którego widziałam w pociągu. W moim rozstrojonym umyśle wszystkie te sprawy występowały mgliście i z osobna. Ale pomyślałam o człowieku z pociągu. Przypomniałam sobie jego martwe oczy i skrzynkę, którą niósł. Czy mnie śledził? A może był przypadkowym wariatem? Kto to wie?

- Wygląda to tak, że jeśli ktoś go śledził, żeby go zabić, to mógł to zrobić wcześniej. Na przykład, kiedy Luna szedł ulicą do domu. Jeśli on był celem, to łatwiej i z mniejszym ryzykiem byłoby go sprzątnąć, gdy był sam. Ale może strzelec, kimkolwiek by był, nie wiedział, kto jest celem, dopóki go do niego nie doprowadziłaś.

- Widziałam kogoś w pociągu. Mógł mnie śledzić, ale wysiadł przede mną. - Zastanawiałam się ze skurczonym żołądkiem, czy to ja nieświadomie doprowadziłam zabójcę do Christiana Luny.

- Jak to? - zapytał Jake, zaniepokojony. - Dlaczego sądzisz, że cię śledził?

- Gapił się. Uśmiechał się do mnie. - Niezdarnie opisałam, jak zbliżał się, kiedy myślał, że mam zamknięte oczy. I jak machał, kiedy pociąg odjeżdżał ze stacji.

- Ale wysiadł z pociągu przed tobą?

- Tak.

Jake wzruszył ramionami.

- Może to był jakiś dziwak. Trudno powiedzieć.

Znów usiadłam obok niego i próbowałam przeanalizować informacje, żeby wyciągnąć wnioski, ale nie potrafiłam się skupić. Znów zaczęłam wspominać scenę, kiedy Christian Luna osuwał się na mnie. Ukryłam twarz w dłoniach.

- Ridley... - zaczął Jake, kładąc mi dłoń na plecach. Ale wstałam, zanim dokończył.

Poszłam do sypialni, włożyłam dzinsy i skarpetki, chwyciłam buty. Jake siedział na fotonie i patrzył na mnie z niepokojem.

- Nie mogę teraz tego zrobić - powiedziałam.

Skinał głową i wbił wzrok w podłogę. Odwróciłam od niego oczy; nie chciałam podziwiać jego urody. Nie chciałam, żeby narastające uczucie zaćmiło mi rozum.

- Muszę pomyśleć.
- Czekaj, Ridley. - Wstał. - Musisz być ostrożna.
- Będę. Idę na jakiś czas na dół.

Kiwnął głową i usiadł. Wyraz jego twarzy - trochę współczujący i zaniepokojony, trochę urażony - sprawił, że poczułam się jak suka. Mimo to wyszłam.

Gdyby do mnie podszedł, objął mnie, wtopiłabym się w niego. Byłaby to całkiem atrakcyjna perspektywa, ale właśnie zaczynałam widzieć moje rzeczywiste ja przez pęknięcia, które zarysowały się na fikcyjnym frontonie mojego życia. Gdybym wróciła teraz do niego, wystraszona i słaba, to skąd miałabym wiedzieć, czy to, co do niego czuję, jest miłością, czy tylko potrzebą? A gdybym wróciła do niego z potrzeby, jak stawiałabym czoło temu, co przede mną ukrywał? Oczywiście, żadna z tych myśli nie była do końca sformułowana w tamtej chwili. Wiedziałam tylko, że muszę uciec od niego i od tego koszmaru tak szybko i tak daleko, jak tylko się da.

Wróciłam do swojego mieszkania. Gdy tylko zamknęłam drzwi, strach, który obleciał mnie u Jake'a, i wszystko, co przydarzyło się ostatniej nocy, przesłoniła jakby kuloodporna szyba. Znajoma przestrzeń otuliła mnie i przez kilka litościwych minut byłam znów po prostu Ridley.

Gniewne „5” mrugało na moim telefonie. Kiedy to ostatnim razem sprawdziłam pocztę głosową? We wtorek rano? W środę? Była sobota, a ja się czułam, jakbym oddaliła się od swojego życia na miesiąc. Najpierw była miła, a potem ostra informacja od rzeczniczki Urny Thurman. Redaktor „Vanity Fair” chciała wiedzieć, czy będę w stanie skontaktować się z Umą i czy napiszę artykuł. Była błagalna prośba Zachary'ego: czy nie mogłabym łaskawie zadzwonić, żebyśmy wyjaśnili parę spraw? Ostatnie zgłoszenie było głuche. Ktoś odwiesił słuchawkę.

Kilka dni wcześniej natychmiast odpowiedziałabym na te telefony, z obawy, że wypadłam z kursu, że sprawy wyślizgująmi się z ręki. Ale tego ranka tylko leżałam na kanapie i słuchałam głosów w moim mieszkaniu. Wpadłam w coś w rodzaju emocjonalnego letargu. Czułam się tak, jakbym zostawiła część siebie w parku, gdzie zginął Christian Luna. Tę część, która wiedziała, jak radzić sobie z prostymi czynnościami, takimi jak odpowiadanie na telefony. Długo leżałam, myśli kłębiły mi się w głowie tak szybko, że prawie ich nie rozumiałam. Doszłam do wniosku, że dobrym pomysłem byłaby kawa.

Kiedy się już dobrze nasyciłam kofeiną, zadzwoniłam do redaktor „Vanity Fair”, zadowolona, że to sobota, i zostawiłam informację, że miałam pilną

sprawę rodzinną i będę musiała prosić o przełożenie terminu oddania tekstu. Wiedziałam, że to się jej nie spodoba, i nie cieszyło mnie, że zawodzę przy tak dobrym zleceniu, ale co miałam zrobić? Zadzwoiłam do Tamy Pumy (a tak na marginesie, cóż to za nazwisko?) i zostawiłam jej podobną informację. W każdym razie nie było to kłamstwo. Moje życie znalazło się oficjalnie w stanie wyższej konieczności; sprawa rodzinna lub nie, tak czy inaczej toczyło się śledztwo. Zmówiłam krótką modlitwę, żeby moja kariera zawodowa nie spłynęła z wodą w toalecie. Pisywanie w charakterze wolnego strzelca to stresująca praca. Nie wolno zmieniać terminów oddania tekstów dla „Vanity Fair” bez ważnej przyczyny. Zaczyna wtedy krążyć opinia, że nie można na człowieka liczyć, bo się spóźnia, i nagle wszystkie zamówienia trafiają do kogoś innego. Nigdy wcześniej się nie spóźniłam; uważałam to za naruszenie osobistego kodeksu. Zmówiłam kolejną krótką modlitwę, żeby moje życie nie spłynęło z wodą w toalecie.

Co do Zacka, hm, z nim nie dam rady. Wyczerpana, położyłam się na kanapie.

Może wam się wydawać, że wraz ze śmiercią Christiana Luny mój problem znikł. Teraz nie było, o ile wiem, nikogo, kto mógłby twierdzić, że nie jestem tą osobą za którą się uważam. Ale nie mogłam zapomnieć tego, czego dowiedziałam się od Christiana Luny, i żyć dalej spokojnie. Nic z tego. Pojawiły się kolejne pytania, które nie dawały mi spokoju, najbardziej palące: kto zabił Teresę Stone? Pewnie uważacie, że nie ten problem był najważniejszy, ale wczujcie się w moje położenie. Młoda kobieta, znękana samotna matka, która ciężko pracuje i kocha swoją małą córeczkę, musi jeszcze zmagać się z tym dupkiem Christianem Luną. I oto pewnej nocy ktoś ją morduje w jej własnym domu, i porywa córkę. Tak było, jeśli wierzyć Christianowi Lunie, a ja mu uwierzyłam, przynajmniej w tej kwestii, że to nie on zabił Teresę i że morderca, który porwał Jessie, nigdy nie został złapany. Jeśli Teresa była moją matką a ja byłam Jessie, to winnam jej i sobie rozwikłanie tej zagadki. Czułam to pod skórą. A znalezienie odpowiedzi na to pytanie mogłoby przynieść rozwiązanie dwóch kolejnych zagadek: kto zabił Christiana Lunę i kim, do diabła, jestem ja sama.

Rozległo się pukanie do moich drzwi. Westchnęłam. Nie chciałam się teraz spotykać z Jakiem. Nie chciałam zajmować się jego zagadką skoro miałam własną. Otworzyłam drzwi. Stała w nich Zelda, a za nią trzech gliniarzy, dwóch w mundurach, jeden po cywilnemu.

- Panna Jones? Ridley Jones? - zapytał tajniak.
- Tak.

Pozwólcie mi teraz napomknąć, że bardzo słaby ze mnie łgarz. Nie wychodzi mi to. Czerwienię się. Jąkam. Odwracam oczy. W szkole parę razy za karę musiałam zostawać po lekcjach, ale z tego powodu nie miałam większych kłopotów. Widok policjantów u moich drzwi sprawił, że prawie zemdlałam ze zdenerwowania.

- Mamy do pani kilka pytań. Możemy wejść?

- Oczywiście - powiedziałam tak lekkim głosem, na jaki tylko mogłam się zdobyć.

Odsunęłam się i pozwoliłam im wejść. Zelda została na korytarzu, patrząc na mnie surowo.

- Jesteś dobrą dziewczyną, Ridley. Ja nie chcę tutaj kłopotów.

- Wiem, Zeldo. W porządku.

- Policja - szepnęła, cmokając językiem, co chyba miało oznaczać pogardę. - Gorsze niż ci źli mężczyźni, którzy cię szukali. Za dużo kłopotów, Ridley.

Zeszła ze schodów, potrząsając głową. Poczułam na sobie czyjś wzrok, spojrzałam w prawo i zobaczyłam, jak Victoria wygląda przez szparkę w uchylonych lekko drzwiach. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, zamknęła drzwi z trzaskiem. Czy Zelda powiedziała „mężczyźni”?

- Panno Jones?

Zamknęłam drzwi i weszłam do saloniku.

- Napiją się panowie kawy? - zapytałam, siadając na kanapie i podwijając pod siebie nogi.

- Nie, dziękujemy - powiedział gliniarz w cywilu. - Panno Jones, jestem detektywem, nazywam się Gus Salvo. Powiem od razu, o co chodzi. Ostatniej nocy, w Van Cortlandt Park, w Bronksie został zamordowany mężczyzna, a świadkowie mówią, że widzieli, jak pani z nim rozmawiała, kiedy został zastrzelony, i wraz z innym mężczyzną uciekła zaraz potem z miejsca zbrodni. Co może mi pani o tym powiedzieć? - Zauważyłam, że nie powiedział o kimś do mnie podobnym, on mówił o mnie.

- Nasz świadek rozpoznał panią ze zdjęcia w gazecie sprzed paru tygodni - wyjaśnił, zanim zdążyłam zapytać. - Z tego, na którym pokazane jest, jak ratuje pani dziecko.

Detektyw był szczupłym mężczyzną. Nie wyglądał na dobrze umięśnionego. Ale było w nim coś, co świadczyło o sile. Twarz miał pociągłą, a oczy szeroko otwarte, ciemne i głębokie jak studnie. Wyglądał na człowieka, który wysłuchał tysiąca głupich kłamstw i widział świat w ostrych kontrastach: czarnym i białym, prawa i bezprawia, dobra i zła. Szarości dla Gusa Salvo nie istniały.

Przez sekundę milczałam. Zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, nadal tam był.

- Niech pani posłucha - powiedział łagodnym tonem. - Wiem, że pani tam była. Pani wie, że tam była. Dlaczego nie powie pani, po prostu, co się stało?

Ta sugestia wydała mi się tak logiczna, że opowiedziałam mu wszystko, poczynając od dnia, kiedy uratowałam chłopca, a kończąc na śmierci Christiana Luny na ławce w parku. Nawijałam, śpiewałam jak kanarek, czy jak to nazywają w tych czarno-białych filmach gangsterskich. Owszem, nie o wszystkim powiedziałam. Na przykład o Jake'u; żywiłam wobec niego opiekuńcze uczucia i nie chciałam, żeby przeze mnie miał kłopoty. Nie powiedziałam o moim bracie. Powiedziałam natomiast, że zadzwoniłam do Christiana Luny po kilku dniach przemyśleń na temat jego liścików i umówiłam się z nim na spotkanie w parku. Okej, więc jednak nie śpiewałam jak kanarek. Właściwie to opuściłam całkiem sporo.

Detektyw Salvo nie reagował zbyt żywo, tylko spisywał notatkę w moim, oprawnym w skórę notesie.

- Czy rozmawiała pani z kimś o tym, panno Jones?

- Nie - odparłam, czując, jak policzki mi płoną. - Z nikim.

Spojrzał na mnie i przez chwilę oceniał mnie chłodnym wzrokiem.

- A zatem - przekrzywił lekko głowę - pani, po prostu, postanowiła spotkać się z tym człowiekiem w ciemnym parku, w Bronksie, w środku nocy i do tego sama. Nikomu pani nie powiedziała, dokąd pani wyrusza. Nie pomyślała pani, że dobrze byłoby zabrać z sobą przyjaciela.

Wzruszyłam ramionami, pokręciłam głową.

- Wygląda pani na inteligentną kobietę. A to trudno uznać za inteligentne postępowanie. - Uśmiechnął się półgębkiem, zdziwiony.

Znów wzruszyłam ramionami. Ten gest bardzo mi odpowiadał.

- Czasem niezwykle okoliczności sprawiają, że działa się w niezwykle sposób - stwierdziłam.

- Hm. - Pokiwał głową. Popatrzył na mnie. Myślę, że był ode mnie starszy o jakieś dziesięć lat, sądzić tak można było po głębokich zmarszczkach wokół oczu. Przerzucał kartki w notesie, aż znalazł tę, której szukał.

- Świadkowie mówią, że kilka chwil po strzale widzieli mężczyznę, który wyłonił się spośród drzew. Odeszliście razem.

- Nie - zaprzeczyłam. - Sama wyszłam z parku i wsiałam do pociągu. Przyjechałam do domu. - Byłam z siebie dumna. Nawet się nie zająknęłam. Nic nie powiedział, tylko popatrzył na mnie badawczo. Wiedział, że kłamię,

a ja wiedziałam, że on wie. To sprawiło, że poczułam się odprężona, jakbyśmy byli tylko aktorami odgrywającymi skecz, a wszystko, co mówiliśmy - tylko tekstem dla nas napisanym.

- Dlaczego uciekła pani z miejsca przestępstwa?

Potrząsnęłam głową.

- Byłam w szoku. Bardzo się bałam. Ledwie pamiętam, jak stamtąd się wydostałam.

- Zobaczmy, czy uda mi się pomóc pani pamięci. Świadkowie mówią, że widzieli, jak pani wychodziła z parku z mężczyzną. I wyglądało na to, że panią prowadzi. A potem wsiedliście do czarnego pontiaca firebirda.

Chryste. Było ciemno. Kto mógł to wszystko widzieć? I czy w wiadomościach nie powiedziano, że zwłoki zostały odkryte przez ludzi uprawiających jogging dopiero dziś rano? Jeśli ktoś to widział zeszłej nocy, to dlaczego nie zadzwonił na policję?

- Powiedziałam już, że wsiałam do pociągu.

Przez chwilę pomyślałam o samochodzie. Czy Jake zaparkował go na ulicy przed budynkiem? Nie, był na parkingu przy Dziesiątej.

- Panno Jones. - Detektyw Salvo perswadował łagodnie. Widziała panią więcej niż jedna osoba.

- Czy odpowiadam za to, co ludziom się wydaje, że widzą? - zapytałam. Zmienił taktykę.

- Okej, panno Jones. Wróćmy do początku. Czy widziała pani, skąd padł strzał?

- Nie.

- Ale powiedziała pani, że siedzieliście na tej samej ławce, pani twarzą do budynków po drugiej stronie ulicy, a on zwrócony do pani, twarzą do parku. Zgadza się?

- Tak, zgadza się. - I wtedy przypomniało mi się, że Jake mówił coś o cieńcu na dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy. A reporterka także wspomniała, że strzał mógł paść z dachu. Nie jestem ekspertem od balistyki, ale gdy teraz o tym pomyślałam, zrozumiałam, że strzał, który trafił Christiana Lunę między oczy, nie mógł być oddany z dachu po drugiej stronie ulicy. Musiał paść spomiędzy drzew... gdzie był Jake. Zobaczyłam uśmiezek na ustach detektywa. Potem uśmiezek znikł. Myślę, że moja twarz była dla niego jak ekran w kinie, na którym mógł obserwować moje myśli wyrażone mimiką.

- Samochód, czarny pontiac firebird, numery RTX 658, zarejestrowany na Harleya Jacobsena zamieszkałego przy 258 West 110 ulicy. - Patrzył na mnie, a ja starałam się zachować obojętną twarz.

Potrząsnęłam głową. Harley? - pytał ktoś w moich myślach. Czy nie miał tak na imię przyjaciel Jake'a, prywatny detektyw? Czyżby nosili to samo nazwisko?

- Trzy oskarżenia o napaść, posiadanie nielicencjonowanej broni palnej, włamanie i naruszenie spokoju domowego - ciągnął detektyw.

Zaczynało mi być niedobrze. Ale nic nie mówiłam.

- Uważam się za dobrego znawcę charakterów, panno Jones, a to nie jest człowiek, z którym, jak sądzę, chętnie spędzałaby pani czas.

- Ma pan rację - odparłam po sekundzie. - Nie jest. Nigdy nie słyszałam o tym człowieku.

Znów ten ulotny uśmiezek.

- Mogę do pani mówić Ridley?

Kiwnęłam głową.

- Ridley, nie chcę patrzeć, jak wplątujesz się w kłopoty, chroniąc kogoś, kto na to nie zasługuje.

Jego słowa trochę mnie zabolowały. Odniosłam wrażenie, że stanęłam twarzą w twarz z mistrzem. Detektyw Salvo wiedział, jak subtelnie nakłaniać ludzi do mówienia prawdy. Zastanawiałam się, czy to ten dar sprawił, że został policjantem, czy też odkrył go już w pracy.

- Nie wiem, kim jest ten mężczyzna. I właściwie była to prawda. Nie miałam pojęcia, kim jest Harley Jacobsen. Wyglądało jednak na to, że większą część ostatniej nocy spędziłam, jeżdżąc jego samochodem. Detektyw znów spojrzął w swoje notatki i przeczytał listę faktów z życia Harleya Jacobsena.

- Ten facet został porzucony, kiedy miał pięć lat. Dziecko z problemami. Zmieniał domy opieki i aż do czternastego roku życia nie został adoptowany. Poszedł do sierocińca w New Jersey i przebywał tam do osiemnastego roku życia. Wstąpił do marines. Miał tam jakieś problemy: bójki, niewłaściwe zachowanie i tak dalej. Służba skończyła mu się w 1996 roku i nie zaciągnął się ponownie. W 1997 otrzymał licencję prywatnego detektywa w stanie Nowy Jork.

W moim prawym uchu rozległo się głośnie walenie. Ten dziwny dźwięk słyszę czasem, kiedy jestem pod wpływem stresu. Mój umysł starał się nadążyć za tym, co mówił policjant. Czy Jake skłamał, podając mi inne nazwisko? Czy to on był tym Harleyem? Czy może Harley był jego przyjacielem, jak mi powiedział, i po prostu pożyczylimy samochód?

Gus Salvo podał mi kawałek papieru. Była to kopia licencji prywatnego detektywa Harleya Jacobsena, ze zdjęciem złej jakości, ciemnym i zamazanym, ale nie można było zaprzeczyć: to był Jake. Serce rozpadło mi się na milion kawałków i spłynęło do brzucha.



Jake skłamał, nie podał mi swojego prawdziwego nazwiska. To mnie wystraszyło. Jake miał licencję prywatnego detektywa, co wyjaśniało mnóstwo spraw, o które nie zapytałam. To też mnie wystraszyło. Ale jeśli chodzi o resztę, to były rzeczy, o których próbował mi powiedzieć od tej nocy, kiedy go spotkałam.

- Coś ci dzwoni, Ridley?

- Nie. Ani trochę.

Detektyw popatrzył na mnie długo, twardym, przenikliwym wzrokiem.

- Wygląda na to, że miał ciężkie życie - dodałam, zwijając się w środku pod wpływem tego spojrzenia.

- To nie usprawiedliwia łamania prawa.

Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć detektywowi Salvo. Z jakichś powodów stałam się znacznie bardziej opiekuńcza wobec Jake'a - czy jak tam miał na imię - niż zwykle. Jasne, skłamał co do tego, jak się nazywa. Ale okłamywałam mnie w ważniejszych sprawach. Uczciwie opowiedziałam o szczegółach śmierci Christiana Luny. Naprawdę nie wiedziałam, kto i dlaczego go zabił.

- Nie mogę panu pomóc. Powiedziałam wszystko, co wiem na temat wydarzeń ostatniej nocy.

- Ridley. - Westchnął. - Nie jestem pewien, czy mogę ci wierzyć.

Uśmiechnęłam się do niego, ale nie przemądrzałam, tylko tak, żeby wiedział, że już nic więcej nie powiem. Domyślałam się, że gdyby chciał postawić na swoim, zatrzymałby mnie za ucieczkę z miejsca zabójstwa, ale nie wyczuwałam w nim takiego nastawienia. Nie sądziłam jednak, żeby dał za wygraną. Zamknął notatnik i wstał. Powiedziałam mu wtedy o kuzynie Christiana Luny w Puerto Rico, żeby można było odesłać ciało rodzinie. Nie znałam nazwiska, ale czułam, że detektyw Salvo je znajdzie. Dwaj policjanci w mundurach, którzy stali bez słowa podczas całej rozmowy, ruszyli w stronę drzwi. Podniosłam się i poszłam za nimi do progu. Kiedy stanęłam obok detektywa, stwierdziłam, że jest trochę niższy ode mnie, ale jego osobowość sprawiała, że wydawał się wyższy.

- I co odkryłaś? Czy to był twój ojciec?

- On chyba tak myślał - odparłam.

- Jakiś pomysł, kto chciał się go pozbyć?

Pokręciłam głową.

- Nie znałam go. Przed kimś się ukrywał. Myślałam, że przed policją. Ale może musiał się obawiać także innych ludzi.

- To chyba słuszne przypuszczenie. Przemysł to, Ridley, dobrze? - poprosił, wręczając mi wizytówkę.

Skinęłam głową.

- Zidentyfikować i odnaleźć ciebie przyszło mi bardzo łatwo. Byłem tu w niecałe dwanaście godzin po śmierci Luny. - Nic nie powiedziałam, ale poczułam chłód i skurcz żołądka. - Jestem z tych dobrych chłopaków, okej? Byłem tu i mogłaś mieć kłopoty, ale nikt by cię nie skrzywdził. Słyszysz mnie? Chwytasz, o co mi chodzi, Ridley?

Gdzieś czytałam, że gliny często posługują się twoim imieniem, kiedy z tobą rozmawiają, że to tworzy poczucie intymności. Działo.

- Jesteś świadkiem morderstwa. Jeśli ktoś pomyśli, że coś widziałaś albo zechce wyeliminować taką możliwość... - Zamilkł, żebym sama dokończyła. - Uważaj na siebie. Wdepnęłaś w to po czubek głowy.

Znow przytaknęłam. Nie ufałam własnemu głosowi. Jeśli próbował mnie nastraszyć, to mu się udało. Przypomniałam sobie, co Jake mówił o glinach, że są najmniejszym z naszych problemów. Oni chyba też tak sądzili.

- Będę w kontakcie, Ridley. - Położył mi rękę na ramieniu. - Dzwon w dzień czy w nocy, jeśli coś sobie przypomnisz. Dzwon, jeśli będziesz miała kłopoty.

- Okej. Dziękuję.

- Nie musisz ci chyba przypominać, żebyś nie utrudniała mi kontaktu z sobą. - Spojrzał na mnie wzrokiem, który był zarazem protekcyjny i ojcowski. Potem wraz z mundurowymi zszedł po schodach.

Poczekałam, dopóki nie usłyszałam, jak otwierają się zakratowane drzwi, a później zamykają z hukiem. Dopiero wtedy pobiegłam do mieszkania Jake'a. Zapukałam do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Nacisnęłam klamkę i popchnęłam drzwi, ale były zamknięte. Zapukałam raz jeszcze - odpowiedzią była cisza.

## Rozdział 17

**B**iuro Alexandra Harrimana - odezwał się jasny, twardy głos. Pomyślałam, że taki człowiek jak Alexander Harriman nie ma wolnych sobót. I miałam rację.

- Tu Ridley Jones. Jest w biurze?

Na moment zapadła cisza.

- Chwileczkę.

Zęby w ścianę. Dopiero patrzyłam, jak zamordowano człowieka, a potem uciekałam z miejsca przestępstwa. Mężczyzna, z którym sypiałam, nagle okazał się obcym, który skłamał albo nie powiedział mi najważniejszych rzeczy o sobie. Policja była w moim mieszkaniu i żądała, żebym „nie utrudniała kontaktu”. Te chowane pazury - nieźle to brzmiało.

- Ridley - powiedział Alexander Harriman ciepłym głosem, jakbym była mu bliska przez całe życie, które pewnie znał z opowieści. - Czym mogę ci służyć?

- Chyba mam kłopoty.

Cisza.

- Jakiego rodzaju? — Głos zmienił mu się z lekkiego na poważny.

- Byłam świadkiem przestępstwa.

- Muszę ci przerwać. Nie mów już ani słowa.

- Co?

- Nie chcę takiej rozmowy prowadzić przez telefon. Możesz przyjść do mojego biura?

Wzięłam prysznic i zmobilizowałam się. Nie licząc czarnych podkówek pod oczami i zmarszczonego czoła, w łazienkowym lustrze wyglądałam całkiem normalnie. Wsiadłam do taksówki na Pierwszej Alei i pojechałam do Central Park West, żeby spotkać się z prawnikiem wujka.

Biuro w kamienicy było wykwintnie, ale dyskretnie urządzone. Dąb i skóra, orientalne dywany i taka sama sztuka azjatycka i afrykańska, jaka podobała się mojemu wujkowi. Wielki czerwony Budda patrzył na mnie wesoło ze swojego miejsca w kącie. Maską plemienną wyrzeźbiona z kory, zwieńczona ogromnymi czerwonymi piórami, zdawała się rozumieć powagę sytuacji, w jakiej się znalazłam, i przyglądała mi się poważnie znad regałów z prawniczymi książkami.

To dziwne, tkwiłam w kłopotach po uszy, a moich rodziców nie było przy mnie. Chyba nie zdarzyło mi się dostać złej oceny, żebym nie zadzwoniła z płaczem do ojca. Miałam takie uczucie, jakbym zerwała się z uwięzi i mogła odpluć, coraz mniejsza i mniejsza, aż zniknę na dobre.

- Żałuję, że ta rozmowa nie odbyła się, zanim przesłuchała cię policja - oświadczył Harriman, kiedy opowiedziałam mu całą historię, poczynając od pierwszego liściku, na wizycie detektywa Salvo kończąc.

Wzruszyłam ramionami.

- Powinnaś była zadzwonić do mnie natychmiast, jak tylko zaczęło się to nagabywanie.

- Nie mam doświadczenia w tego rodzaju sprawach. - Przyłożyłam dłoń do skroni i próbowałam rozetrzeć zmęczenie.

- Oczywiście, że nie - powiedział, nachylając się w krześle. Oparł łokcie na wielkim dębowym biurku.

- Więc co muszę wiedzieć?

- Porada? Spokojnie. Wracaj do domu i pobądź trochę z rodzicami. Zadzwoń do detektywa Salvo i od tej pory wszelkie z nim kontakty odbędą się za moim pośrednictwem. Zajmę się tym, a jeśli będziesz chciała znowu porozmawiać z policją, pójdę z tobą. Nie zrobiłaś niczego złego. Nie jesteś niczemu winna.

Zabrzmiało to pociesząco. Prawdę powiedział, kusząco. Wczołgał się pod kołdrę i każ za sobą zamknąć drzwi. Zapomnij o wszystkim.

- Wydaje mi się, że źródło twoich problemów zostało wyeliminowane - powiedział Harriman. - Jeśli zechcesz, wszystko to może po prostu zniknąć.

Wstałam i podeszłam do półki z fotografiami po prawej stronie jego biurka. Z okna rozciągał się panoramiczny widok na Central Park i Piątą Aleję. „Wyeliminowane”. Dziwny dobór słów w przypadku śmierci człowieka, który być może był moim ojcem.

- Myślał, że jestem jego córką. Wrócił, żeby mnie znaleźć, i ktoś go zabił - mówiłam, patrząc na ruch uliczny w dole. - Czy to może po prostu zniknąć? Nic nie powiedział, ale czułam na sobie jego wzrok.

- Ten człowiek, kimkolwiek był, nie był twoim ojcem. Gwarantuję ci to.

Jego głos brzmiał bardzo pewnie. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

- Daj spokój. Nie rozmieszaj mnie. Ten facet pokazał się po trzydziestu latach i twierdził, że jest twoim ojcem? A ty mu uwierzyłaś? Jesteś mądrą dziewczyną Ridley. Zbyt mądrą na ten nonsens.

Milczałam, po prostu na niego patrzyłam. Starałam się znaleźć dowody na to, że był to tylko jakiś zwariowany żart. I nie mogłam znaleźć ani jednego.

- Okej. Pozwól, że coś zrobię. Postaram się o nakaz sądowy na pobranie próbki tkanek. Zrobimy testy DNA.

Ta myśl sprawiła, że żołądek podszedł mi do gardła. Dlaczego o tym nie pomyślałam? Może nie chciałam wiedzieć? Może pytać było bezpieczniej niż uzyskać odpowiedź?

- Rozumiesz? - zapytał, kiedy nie odpowiadałam. - Ty chyba nie chcesz wiedzieć, prawda?

Popatrzyłam na zdjęcia na półce. Jedno z nich szczególnie przyciągnęło moją uwagę. Był to Harriman, wujek Max, Esme, ojciec i mężczyzna, którego nie rozpoznawałam. Stali pod transparentem z napisem: PROJEKT „NA RA-TUNEK”. DAJMY CIEPŁO PORZUCONYM DZIECIOM.

Wzięłam je i przyjrzałam się dokładnie. Wszyscy wyglądali bardzo młodo; Max obejmował Esme ramieniem, a jej ramię otaczało jego talię.

- Kiedy zostało zrobione?

Podszedł i stanął obok. Czułam zapach jego drogiej wody kolońskiej. Zegarek, który nosił, sfinansowałyby prawdopodobnie studia dwójce dzieciaków. Dłonie miał tak opalone, jakby nosił skórzane rękawice. Wziął ode mnie zdjęcie i popatrzył na nie z uśmiechem.

- Dawno temu. Zanim się urodziłaś - powiedział.

- Co to jest projekt „Na ratunek”?

- Było to jedno z przedsięwzięć Fundacji Maxwella Allena Smiley'a. Pamiętasz, jak twój wujek lobbował za przyjęciem ustawy o bezpiecznym schronieniu?

Skinęłam głową, wspominając rozmowę z ojcem.

- Projekt „Na ratunek” to była grupa ludzi, którzy zajmowali się lobbowaniem, nagłaśnianiem opinii publicznej, zdobywaniem funduszy i poparciem znanych osobistości - wyjaśnił. - Kiedy ustawa została uchwalona, obsługiwali telefon zaufania i działali jako biuro public relations, dostarczali informacyjnych nalepek do szpitali, klinik, komisariatów i remiz strażackich, żeby naklejać je na oknach. Ludzie dowiadywaliby się z nich, że tam można zostawić niemowlę. Wydawali obiady na cześć lekarzy zasłużonych w niesieniu pomocy potrzebującym dzieciom. Nieruchomości Maksa nieustannie dostarczały funduszy.

Odstawił zdjęcie na półkę i odwrócił mnie od ściany, kładąc mi dłonie na ramionach.

- Tak czy inaczej, to prehistoria - orzekł.

Usiadłam na kanapie przed biurkiem. Miałam wrażenie, że mnie wciąga, taka była miękka. On siedział na wielkim, ozdobnym fotelu, który wyglądał jak tron, z tym brokatem wyściełającym siedzenie oraz oparcie i poręczami z czarnego drewna, zakończonymi głowami rozgniewanych lwów.

- Może wezwę samochód, żeby zawiózł cię do twoich rodziców? — zaproponował, sięgając po telefon. - Powinnaś trochę odpocząć. Ja wezmę na siebie kontakty z policją. Za tydzień będzie ci się zdawało, że tego nigdy nie było.

Popatrzyłam na niego. Potrafił sprawić, żeby tego nie było, dobrze to wiedziałam. Wyglądał na człowieka, który mógł włożyć waszym problemom parę betonowych butów i utopić je w East River. Tylko nie należało wypytywać o jego metody. Po co to wiedzieć?

- Nie. Pojadę pociągiem.

- Nie bądź niemądra. - Podniósł słuchawkę.

- Nie, naprawdę. Muszę mieć czas, żeby wszystko przemyśleć.

Znieruchomiał, trzymając słuchawkę w ręku. Patrzył na mnie sceptycznym wzrokiem.

- Ale pojedziesz do domu, do Bena i Grace?

Skinęłam głową.

- A dokąd mogę teraz pojechać? Masz rację. Potrzebny mi odpoczynek. Odłożył słuchawkę, a ja wstałam.

- Moi rodzice nie mogą o tym wszystkim wiedzieć, Alex. Jeszcze nie. To ich tylko przerazi.

- Przywilej adwokata wobec klienta, dzieciaku - odparł, wstając. - Wszystko, o czym rozmawialiśmy, zostaje tutaj. Poinformuję cię, kiedy porozmawiam z tym detektywem. Odsłuchujesz wiadomości? Rób to.

- Zrobię.

- Zaufaj mi. - Objął mnie ramieniem. - O tej porze, w przyszłym tygodniu? Dobrze zrobiłaś, przychodząc tutaj. Wujek Max chciał, żeby zawsze się tobą opiekować, wiesz?

Kiwnęłam głową, odwróciłam się i ucisnęłam wyciągniętą rękę.

- Dziękuję, panie Harriman.

Nie jestem najlepszym kierowcą. Po części ze względu na brak doświadczenia, po części dlatego, że mam skłonność do bujania w obłokach. Jako nastolatka spowodowałam niejednego wypadek. Małe sprawy, zawsze z mojej winy, doprowadzały mojego ojca do rozpacz. „Ridley, czy zdarzyło ci się kiedy wyjechać z domu i w nic nie uderzyć?”. Ubezpieczenie wzrosło, rachunki za naprawę były niemałe. Ale myślę, że naprawdę to zamartwiali się, żeby nie było gorzej. Każde wgniecenie było napomnieniem o kruchości mojego życia i o tym, że gdy zyskam niezależność, nie będą mogli więcej strzec mnie przed niebezpieczeństwami. Tracili kontrolę.

Tego samego dnia, nieco później, wynajęłam czarnego dżipa grand cherokee (niewiarygodnie drogiego) w West Village i wyjechałam z centrum. Posuwałam się w ślimaczym tempie wzdłuż Henry Hudson między dwoma szeregi placów budów (przysięgam, że rozpoczęto je ponad piętnaście lat temu) i wreszcie wyrwałam się z miejskiej płataniny przy wjeździe na most Waszyngtona. Jechałam w kierunku Jersey. Ale nie do rodziców, jak obiecałam Harrimanowi. Nie. Nie mogłabym. Teraz nie wróciłabym do domu.

Nie jestem detektywem amatorem, jestem pisarką. To znaczy, że podążałam kilkoma tropami, ściagałam przez te lata kilkoro ludzi. Przekonałam też paru niechętnych, żeby ze mną porozmawiali. Po wyjściu od Harrimana wróciłam do siebie i usiadłam na kanapie z wielką filiżanką kawy. Patrzyłam

przez okno na betonową ścianę i ciemne okna - moją panoramę. Myślałam o całej tej sprawie. I zadawałam sobie pytanie, które często sobie stawiam, kiedy piszę artykuł: Gdybym to czytała, co chciałabym nadal wiedzieć? Na jakie wielkie pytania nie ma, jak dotąd, odpowiedzi?

Nie miałam ochoty jechać do moich rodziców i udawać, że nic się nie stało. Bez sensu. Minęłam punkt bezpiecznego powrotu, kiedy zgodziłam się na spotkanie z Christianem Luną w parku. Ścieżka wiodąca do mojego starego życia była zamknięta i mogłam tylko posuwać się naprzód.

Czułam niewiarygodny spokój. Pewnie będziecie myśleć, że byłam jednym kłębkim nerwów, ale przypominałam sobie, co powiedziała mi kiedyś pewna psycholog, którą odwiedziliśmy z rodzicami po śmierci wujka Maksa, kiedy ojciec uznał, że wszyscy potrzebujemy porady w żałobie. Powiedziała, że smutek nie jest linearny. Nie ma w nim powolnego postępu w kierunku zdrowienia, to zygzak, straszne szarpnięcia w tę i z powrotem, od nieszczęścia do spokoju, aż w końcu więcej jest miejsc spokoju niż miejsc nieszczęścia. Umysł nie potrafi przez dłuższy czas radzić sobie z emocjami takimi jak smutek i strach, więc je wygasza. Nie jestem pewna, czy byłam smutna, ale może tak. Christian Luna, człowiek, który uważał się za mojego ojca, nie żył. Jake był obcym, który mnie okłamał. A ja nie byłam już pewna, kim jestem. Ale jakoś dawałam sobie radę ze zwalczaniem strachu i mogłam postawić pytania, które pozwoliłyby mi ogarnąć historię mojego życia, gdybym znalazła na nie odpowiedzi.

Już wspominałam, jakie sprawy uznałam za najważniejsze: kto zabił Teresę Stone? Jak mówiłam, w moim odczuciu, odpowiedź na to pytanie mogła wyjaśnić wiele zawiłości. Ale widziałam też parę innych poważnych pytań. Powiedzcie, czy się zgadzacie. Pierwsze: Kim, do diabła, jest Jake? Nie mogę na to odpowiedzieć, dopóki z nim nie porozmawiam, więc pytanie będzie musiało poczekać. Drugie: Kto zabił Christiana Lunę i dlaczego? I znów w tej sprawie znalazłam się w ślepych zaułku. Jak się tego dowiedzieć? Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. I ostatnie: Czy Christian Luna mówił prawdę? Czy byłam jego córką? I czy naprawdę nie odpowiadał za śmierć Teresy Elizabeth Stone?

Przeczytałam dokładnie artykuł, który Jake/Harley znalazł w „New Jersey Record”. Maria Cacciatore była sąsiadką Teresy i zajmowała się Jessie, kiedy Teresa pracowała. Włączyłam komputer, połączyłam się z Internetem i znalazłam stronę LexisNexis. W ciągu trzech sekund dysponowałam numerami telefonów i adresami trzech pań Cacciatore z Hackettstown w New Jersey. Znalazłam również numer spółki zarządzającej kompleksem mieszkalnym Oak

Groves. „Czyste, bezpieczne, niedrogie mieszkania!” - tak brzmiało ogłoszenie. Nigdy nie sądziłam, że słowa „czysty” i „bezpieczny” mogą być używane jako superlatywy w reklamach, ale domyśliłam się, że przedsiębiorcy robili, co mogli, żeby zachęcić ludzi. Sądząc po zdjęciach, chodziło o mieszkania dla mało zarabiających, co miało sens, jeśli wziąć pod uwagę sytuację Teresy. Pomyślałam, że jeśli nie uda mi się odnaleźć Marii Cacciatore, to ktoś ze spółki zarządzającej osiedlem odeśle mnie do kogoś, kto mieszkał tam w latach siedemdziesiątych.

Pomyślicie, że mogłam wykonać te telefony, zanim pojechałam do Jersey, ale wysiadywanie przy aparacie i dzwonienie bez gwarancji sukcesu zupełnie mi nie odpowiadało. Wiem, miałam być ostrożna, ale pomyślałam, że skoro Jake/Harley skłamał w sprawie swojego nazwiska, zawodu i kto wie czego jeszcze, to jestem zwolniona z obietnicy, którą mu złożyłam, że będę na siebie uważać. Pojechałam więc do New Jersey.

Byłam chyba jedyną osobą w Nowym Jorku bez telefonu komórkowego. Nie była to decyzja natury filozoficznej. Po prostu pracowałam w domu i łatwo było się ze mną skontaktować. Nie jeździłam często samochodem, więc komórka nie przydałaby mi się w przypadku awarii. Telefony komórkowe nie działają w metrze, a to jedyne miejsce, w którym mogłyby mi się przydać, na przykład: „Utknęłam w metrze, będę później” itd. A szczerze, jeśli nie możesz się ze mną skontaktować, to znaczy, że ja tego nie chcę. Rodzina i przyjaciele utyskiwali nieustannie. Oczywiście (chyba zdażyliście mnie już poznać) powodowało to, że tym bardziej nie chciałam mieć komórki. Ale zatrzymałam się przy trasie 80 i w Rockaway Mall kupiłam ją sobie na użytek tej wyprawy. Trafiła mi się czerwona nokia niewiele większa od paczki dropsów. Wzięłam też torebkę cukierków i oranżadę - pochłonęłam je na parking, oglądając nową zabawkę. Boże, błogostaw Amerykę.

Wiem, to brzmi, jakbym była bardzo poważna i miała jasną głowę, choć może trochę się spieszyłam i byłam nieostrożna. Pewnie tak. Bałam się, nadal trzęsłam się po ubiegłej nocy, którą wspominałam przeraźliwie jasno. Ale czułam się, może niesłusznie, panią sytuacji. Maria Cacciatore była jedynym ogniwem łączącym mnie z przeszłością, o której jeszcze kilka dni temu niczego nie wiedziałam. Jeśli żyła i udałoby mi się ją znaleźć, to może prawda nie zginęła ostatniej nocy wraz z Christianem Luną. Przepęłniała mnie nadzieja i poczucie misji. Chciałam się dowiedzieć, kto zabił Teresę Stone, co się stało z Jessie i jaki to ma związek ze mną.

Wiedziałam, że moje poszukiwania mogą się zakończyć porażką, ale jednocześnie przeczuwałam, że znajdę tę kobietę. Wszechświat spiskuje wraz



z wami i ujawnia wam swoje ścieżki, jeśli macie odwagę, żeby iść za znakami. A tego dnia miałam dużo odwagi. Być może mało przezorności, ale odwagi dużo.

Kiedy dotarłam do Hackettstown, zajęchałam na parking przy 7-Jedena-  
stej i zaczęłam wydzwaniać.

Pierwsze dwa telefony niczego nie dały. Może to nasze wyalienowane, post-modernistyczne czasy, może sprzedawcy z telemarketingu, którzy dzwonili przede mną i ich zbyto, a może, po prostu, Cacciatore to bardzo nieprzyjazny klan. Martino Cacciatore zasugerował, żebym wyjęła sobie głowę z zadka i przestała dzwonić do ludzi, których nie interesują moje sprawy. Przerwałam mu oglądanie telewizji i teraz nie będzie wiedział, ile kosztuje wycieczka na Karaiby. Margaret Cacciatore miała słaby słuch i po dziesięciu minutach przekrzykiwania się gniewnie chrząknęła i rozłączyła się, a potem nie podniosła słuchawki, kiedy znów zadzwoniłam. Wystukałam ostatni numer.

- Halo? - odezwał się głos starszej kobiety
- Cześć. Szukam Marii Cacciatore - powiedziałam niepewnym głosem.
- Nie jestem zainteresowana - odparła i rozłączyła się.

Ponownie wystukałam ten numer.

- Halo? - zapytała zirytowanym głosem.
- Pani Cacciatore, nie jestem z telemarketingu.
- Wiem, wiem. Wygrałam dwudniowy, darmowy pobyt w Orlando, zgadza się? Niczego nie muszę kupować, prawda?
- Nie, proszę pani. Naprawdę niczego nie sprzedaję ani nie proponuję.
- Hm - mruknęła. - Czego więc pani chce?
- Czy pani Maria Cacciatore? - zapytałam.
- Tak - odparła z westchnieniem. - O co chodzi?
- Czy znała pani Teresę Elizabeth Stone i jej córkę Jessie?

Zaległa cisza; myślałam, że odłożyła słuchawkę. Potem usłyszałam jej oddech.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Dawno temu. Teresa... ona umarła. Niech spoczywa w pokoju.

- Wiem. Pani Cacciatore, mam do pani kilka pytań na jej temat. I na temat Christiana Luny. Mogłaby mi pani pomóc?

- A kim pani jest? - Wydawała się zdenerwowana, jakbym zmuszała ją do przypominania sobie czegoś, o czym wolałaby zapomnieć.

- Nazywam się Ridley Jones. Jestem pisarką i zbieram materiał do publikacji o zaginionych dzieciach. Natrafiłam na pani nazwisko w artykule

z „New Jersey Record” z 1972 roku. - Okej, może jestem lepszym kłamcą, niż mówiłam. Nabierałam praktyki. Skądinał, to tylko po części była nieprawda.

- Dla kogo pani pisze? - zapytała przytomnie.

- Jestem wolnym strzelcem, proszę pani. Jeszcze nie sprzedałam artykułu. Zdawała się rozważać to przez chwilę. Pomyślałam, że pewnie mi odmówi. Ale potem powiedziała.

- Może pani przyjść do mnie, jeśli pani chce. Nie lubię rozmawiać przez telefon.

Powiedziała mi, jak do niej trafić, i że mogę przyjść o czwartej.

- To było dawno temu - dodała, zanim się rozłączyłyśmy - Nie wiem, co z tego zapamiętałam.

- Niech pani się postara jak najwięcej sobie przypomnieć, pani Cacciatore. Tylko o to proszę.

Miałam trochę czasu i widziałam, jak stróż w budce przy 7-Jedenaście patrzy na mnie podejrzliwie przez okno. Wyjechałam z parkingu w stronę Barnes & Noble'a. Czy ktoś kiedy badał ile kilometrów można jechać w dowolnym kierunku, zanim się trafi do Barnes & Noble'a albo do Starbucks, albo do obu? Tak czy inaczej, byłam zadowolona z mrożonej herbaty i wygodnego skórzanego krzesła. Czekałam i przeglądałam egzemplarz „New York Timesa”.

Minęło kilka minut, zanim nieprzyjemne uczucie, które zaczynało mnie ogarniać, zaabsorbowało całą moją uwagę. Poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Zmieniłam pozycję w fotelu, ale nie podniosłam wzroku znad gazety. Po sekundzie odłożyłam ją na bok i przeciągnęłam się, niedbale się rozglądając. Po mojej lewej stronie, w dziale „Tajemnicze opowieści” stał jakiś mężczyzna i czytał tylną okładkę książki w miękkiej oprawie. Był to krzepki facet w okularach, wielki i solidny jak kamienny blok. Na ogolonej głowie nosił czapkę baseballową, miał na sobie oliwkową, skózaną kurtkę lotniczą, wyprane, uprasowane džinsy i ciężkie, czarne buciory. Spojrzał na mnie i zobaczył, że patrzę na niego. Czyżby lekko się uśmiechnął? Odłożył książkę na półkę, odwrócił się i odszedł. W twarzy miał coś obrzydliwego. W otaczającej go aurze była jakaś niegodziwość.

To nie był jakiś tam facecik, co się lubi gapić. Problem w tym, że wydawał mi się znajomy. Musiałam go wcześniej widzieć. Och, cholera, czy to nie ten gość z pociągu?

Serce mi trzepotało. Wzięłam napój i opuściłam sklep prawie biegiem. Czapka baseballowa i okulary utrudniały rozpoznanie, czy to ten sam facet.

Kiedy byłam już w dziupie, usiadłam, ciężko oddychając, i obserwowałam drzwi w lusterku wstecznym. Czekałam, czy wyjdzie za mną. Coś przypomniało mi rozmowę z Zeldą o człowieku, który mnie szukał. Przemknęło mi przez myśl także to, co mówił Jake i policyjny detektyw, że ktoś mógł mnie śledzić, żeby dotrzeć do Christiana Luny - i że nadal mogę być śledzona. Wyciągnęłam komórkę z kieszeni i zadzwoniłam do Zeldy.

- Pięć Róż, czym mogę służyć? - Głos miała jak zwykle szorstki i przytłumiony.

- Tu Ridley.

- Chcesz porcję?

- Nie. Zeldo, pamiętasz, jak mi mówiłaś, że ktoś mnie szukał? Jak on wyglądał? - W tle słyszałam odgłosy z restauracji i trzaskanie kasy. Nie spuszczałam oczu z lusterka wstecznego. Obserwowałam drzwi.

- Ach - powiedziała. - Skąd mam pamiętać? Einstein jestem czy co?

- Zeldo, to ważne. - Wiedziałam, że była w stanie zapamiętać każdy szczegół, jeśli tylko chciała. Po prostu nie lubiła gadać i nie chciała, żeby jej przeszkadzano.

- Wyglądał na gościa, który przynosi same kłopoty. Tak właśnie wyglądał.

- Czy był to średniego wzrostu starszy mężczyzna, ciemne włosy, ciemne oczy, czapka baseballowa? - zapytałam z nadzieją, że powie tak, a ja będę znów mogła myśleć, że to Christian Luna pytał o mnie, zapomnieć o tym skinheadzie i nazwać swoje lęki paranoją.

- Nie, nie. To nie on. - Czekałam na rozwinięcie, ale nie nastąpiło. - Dwanaście pięćdziesiąt pięć. Pańska reszta, zycząc miłego dnia.

- Zeldo - naciskałam.

Westchnęła.

- Duży facet. Łysy, no, wiesz, ogolona głowa. Punk, mówię ci. Ridley, w jakie ty bagno wdepnęłaś?

- Nie wiem - odparłam zrezygnowana.

Skończyłam rozmowę i skuliłam się na fotelu kierowcy, ciągle obserwując drzwi. Jeśli wyjdzie za mną, wtedy... Nie wiem, co wtedy. Wtedy chyba mam przeczulapanie. Zobaczyłam swoje odbicie w lusterku bocznym, gdyż nie ustawiałam go prawidłowo. Wyglądałam śmiesznie, miałam szeroko otwarte oczy, jak wystraszony koń.

- Jesteś paranoiczką- powiedziałam do odbicia. Ale kiedy już miałam się z siebie pośmiać, zobaczyłam, jak wychodzi z podwójnych drzwi i rozgląda się po parkingu, jakby czegoś szukał. Nie byłam pewna, czy to ten facet z pociągu. Wyglądali podobnie, ale o niczym to nie świadczyło.

Odwrócił się i zaczął oddalać od dżipa. Zniknął w tłumie ludzi wchodzących i wychodzących ze sklepu. Zanim się obejrzałam, szybko ruszyłam i wyjechałam z parkingu. Trochę pojeździłam po okolicy, roztrzęsiona od przyływu adrenaliny. Ucieszyłam się, że nikt za mną nie jedzie. Pojechałam na spotkanie z Marią Cacciatore.

## Rozdział 18

**M**yszę, że to było idiotyczne, ale kiedy jechałam z sercem rozdartym między nadzieją a obawą, ciągle rozglądałam się za firebirdem. Fantazjowałam na temat metod, które zastosowałby Jake, żeby mnie śledzić. Mógł wziąć inny wóz, nie firebirda, żeby chronić mnie przed kimś, kto za mną jechał. Może miał sposób, żeby wytropić, gdzie korzystałam ze swoich kart kredytowych; wiedziałby, że wynajęłam samochód, że kupiłam telefon komórkowy w New Jersey, zamówiłam coś u Barnes & Noble'a. Prywatni detektywi mają na to swoje sposoby, prawda? Ale, oczywiście, robiłam z siebie idiotkę.

Miałam w głowie obraz Jake'a. Wspomnienie wspólnie spędzonych nocy dominowało w mojej pamięci. Mógł sobie łącać albo coś pominąć, ale tamto było prawdziwe. Nie można udawać w tak intymnym związku. Prawda? A może sama się nabieram? Zazwyczaj na najmniejszy przejaw podłości odchodziłam. Lecz w moim nowym świecie czułam się jak Alicja w krainie czarów. Wszystko tu było dziwne, a zwyczajne reguły nie miały zastosowania.

Kiedy dojechałam pod adres, który Maria podała mi przez telefon, zaparkowałam samochód i spoglądałam nerwowo w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy nie ma gdzieś tamtego psychola. Nikogo nie zobaczyłam i roześmiałam się do siebie. Naprawdę wpadałam w paranoję. Są miliony dobrze zbudowanych facetów o ogolonych na łyso głowach i nie miałam absolutnie żadnego powodu, żeby podejrzewać, iż Zelda mówiła o tym samym człowieku, którego widziałam w pociągu i w sklepie. Były to przecież całkowicie niedorzeczne myśli. Prawda?

Poszłam balkonem wychodzącym na ulicę, patrząc na numery na drzwiach. Kiedy doszłam do mieszkania numer 4, zapukałam. Wewnątrz długo panowała cisza i już zaczęłam się zastanawiać, czy Maria Cacciatore nie zmieniła czasem zdania. Zapukałam ponownie.

- Już idę - dobiegł mnie stłumiony głos.

Usłyszałam odgłos splukiwania toalety, potem wodę leącą z kranu, wreszcie ciężkie kroki. Drzwi otworzyły się nagle i stanęła przede mną zagniewana pulchna kobieta w jaskrawo niebieskim szlafroku i takim samym turbanie.

- Pani Cacciatore?

Spojrzała na mnie i jej twarz się rozpuściła.

- Słodki Jezu, Mario, Józefie! - zawołała, cofając się.

Spojrzałam za siebie, żeby zobaczyć to, co ona zobaczyła, ale gdy znów odwróciłam się do niej, gapiła się tylko na mnie.

- Dobrze, że najpierw do mnie zadzwoniłaś - oznajmiła. - Dostałabym przez ciebie ataku serca.

Odsunęła się na bok, a ja weszłam. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Nie rozumiem - powiedziałam, chociaż doskonale wiedziałam, o czym mówi.

- Musisz zrozumieć. Wyglądasz tak jak ona, skóra zdarta z Teresy.

Kiedy zamknęła drzwi, w pokoju zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Na oknach zaciągnięte były welwetowe zasłony i światło, które przez nie przenikało, barwiło pomieszczenie na kolor krwi. Wszędzie stały świece w szklanych świecznikach z wymalowanymi wizerunkami świętych - wiecie, takie, jakie można znaleźć w każdym latynoskim sklepiku spożywczym w mieście - a w rogu stolik ze świeczką pokryty ciemnym obrusem, także zabarwiony na czerwono. Wszystko w pokoju było takie, nawet moje ręce. Po obu stronach stolika stały krzesła. Na nim leżała talia kart do tarota. Z sufitu zwisały dzwonki, ale nie poruszały się w zatęchłym, nagrzanym powietrzu. Płonęło kadzidło; czułam, jak zatoki nabrzmiewają mi od intensywnego zapachu.

- Chcesz, żebym zgasiła kadzidło? Niektórym z moich klientów to przeszkadza.

- Nie. Nie trzeba - powiedziałam, nadal się rozglądając. - Pani Cacciatore...

- Mów mi madame Maria, kochanie. Wszyscy tak mówią. Albo tylko krótko madame.

- W porządku.

- A zatem. - Usiadła z ciężkim westchnieniem na kanapie. Szlafrok powiewał wokół niej. Poprawiła sobie turban. Wzrok dostosował mi się do przyćmionego światła i stwierdziłam, że nie przestała mi się przyglądać.

- Dlaczego mnie okłamałaś, Jessie? Dlaczego skłamałaś starszej pani, która zmieniała ci pieluszki? - Poklepała kanapę obok siebie, więc usiadłam.

- Nie kłamałam. Nie w sprawie swojego nazwiska. Nie jestem Jessie. Nazywam się Ridley Jones.

Pokiwała głową.

- Przyszłaś, żeby się dowiedzieć o matce. Chcesz wiedzieć, co się z nią stało - oświadczyła, jakbym rozmawiała z wyrocznią, chociaż już jej o tym mówiłam.

- Przyszłam, żeby dowiedzieć się o Teresie Elizabeth Stone - powiedziałam z uporem. Ciężko jest człowiekowi, kiedy ludzie myślą, że jest kim innym niż sobą. Nazywają cię nie twoim nazwiskiem, mówią o rodzicach, których nawet nie znałaś. Są pewni swoich wiadomości, równie pewni jak ty twoich. A to sprawia, że w głowie ci się mąci. To krępujące. Nadal nie było niezbitego dowodu, że ja to Jessie Stone, a szczerze, nawet gdybym była nią kiedyś, to teraz już nie jestem. Nazywam się Ridley Jones. To moja tożsamość i mam zamiar się jej trzymać.

- Okej - powiedziała matczynym, wyrozumiiałym tonem. - Ridley. Okej. Powiedz, o co chodzi.

Rozejrzałam się.

- Nie wie pani, madame?

- Hej, daj mi chwilę. - Uśmiechnęła się. Starsza pani musi zajrzeć w gwiazdy. A przy okazji, dopiero czytałam z kart. Ludziom potrzebne na tym świecie przewodnictwo, ktoś, z kim porozmawiają o swoich problemach, ktoś kto im powie, że wszystko będzie w porządku. Czyż nie dlatego przyszłaś?

Nie odpowiedziałam, myślałam o tym, żeby wstać i pójść sobie. Ale w starszej pani było coś, co mi się spodobało pomimo jej nieszczerzego mistycyzmu (a może dzięki niemu). Miała zdecydowaną twarz pobrużdżoną zmarszczkami i ciężką od fałdów skóry wokół szczęki i pod oczami. Jej ciało było miękkie i przyjazne, wielu ludzi znalazłoby pocieszenie w jej ramionach. Czułam się bezpieczna w jej dziwnym mieszkanku. Opowiedziałam jej więc swoją historię. Inaczej niż w przypadku detektywa Salvo niczego nie pominęłam. Jak widzicie, niewiele trzeba, żebym się otworzyła. Nigdy nie byłam dobra w zachowywaniu tajemnicy.

Kiedy skończyłam, ciężko westchnęła.

- Musisz się napić herbaty.

Wstała i poszła do kuchenki, tuż naprzeciwko kanapy. Nalała do filiżanki wody z kranu, wrzuciła do niej torebkę z herbatą i wstawiła do mikrofalówki. Wróciła i położyła mi dłoń na policzku.

- Ridley, pewnie czujesz się tak, jakby głowa miała ci eksplodować. - Jej współczucie skłaniało mnie do płaczu, ale jakoś się trzymałam. Naprawdę doceniałam, że powiedziała Ridley, a nie Jessie.

Mikrofalówka zapiszcziała, madame wyjęła filiżankę, dodała trochę mleka i miodu, a potem mi ją podała.

- Twoja matka, przepraszam, Teresa, była dobrą dziewczyną. Po prostu popełniła błąd, zadając się z tym nieudacznikiem Christianem Luną. Od chwili, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, byłam pewna, że nie będzie dla niej dobry. Ale to była jej karma, że zawsze wiązała się z niewłaściwym mężczyzną. Niektórzy byli bogaci, niektórzy biedni, niektórzy przystojni, niektórzy brzydzy. Ale wszyscy mieli jedną wspólną cechę: nie pasowali do niej. - Popatrzyła na mnie, jakby się bała, że uraziła mnie tym stwierdzeniem. Potrząsnęłam głową na znak, że wszystko w porządku i żeby zachęcić ją do mówienia.

- Tak czy inaczej, może nie powinnam tak ostro wyrażać się o Christianie Lunie - powiedziała z zamyślonym uśmiechem. Znów dotknęła mojej twarzy. - Bez niego może nie byłoby żadnej Jessie. A ta dziewczyna była miłością życia Teresy. Słońce wschodziło i zachodziło dla tego dziecka. - Zamilkła na chwilę i przyłożyła dłoń do piersi. - Mówisz, że nie żyje. Nie powinnam źle mówić o zmarłych.

- Powiedział, że nie zabił Teresy. Wierzy pani w to?

- Nigdy nie uważałam, że to on ją zabił. Wiem, że to tak wyglądało. Był tu tamtej nocy, szalał, wrzeszczał. Wszyscy byli pewni, że to on zrobił. A szczególnie, kiedy się ulotnił, a Jessie została porwana. Ale Christian Luna był tchórzem. Trzeba mieć odwagę, żeby zabić kobietę i ukraść jej dziecko. A poza tym, nie chciał odpowiadać za wychowanie Jessie. Nigdy nie chciał. Po co miałby ją zabierać?

- Tak, ale w tego rodzaju przestępstwach chodzi o władzę, prawda? Chcesz czegoś, czego nie masz tylko dlatego, że ktoś mówi, że to nie jest już twoje.

Wzruszyła ramionami.

- Może, ale ja tego w nim nie widziałam. Wrzeszczał, może trochę dołożył Teresie. Złamał Jessie rączkę, ale to był wypadek. To inna osobowość niż mordercy, który zabija matkę swojego dziecka. - Pokręciła głową. - Nie. Nigdy nie uważałam, że to on.

- Więc kto?

- Nie wiem. Ale wiem jedno: Jessie nie była jedynym dzieckiem w okolicy, które zaginęło tamtego roku.

Popatrzyłam na nią.

- Właśnie tak. W wiadomościach słyszałam o co najmniej trojgu w ciągu kilku następnych miesięcy. I kolejnych w ciągu kilku lat.

- Czy ich rodzice zostali zamordowani? - zapytałam.

Spojrzała przed siebie.

- Nie sędzę. Nie przypominam sobie.

- Więc co się stało? - naciskałam. - Media musiały się tym zajmować.

- Nie. To było inaczej niż dzisiaj. Wtedy nie słyszało się takich historii. Historie z pedofilami uprowadzającymi dzieci, seryjnymi zabójcami... ludzie naprawdę niewiele o tym wiedzieli. Nie chcieli wiedzieć. Tak jak i o tych wszystkich biednych dzieciach z przytułków i mieszkań dla biedoty. Nie zdarzało się, żeby porwano dziecko z bogatego domu.

- Ach, tak - powiedziałam, nie wiedząc, co dodać.

Ta informacja mocno mnie zastanowiła z kilku powodów. Po pierwsze, dodawała wiarygodności opowieści Christiana Luny, a jeśli mówił prawdę, że nie zabił Teresy, więc mógł mówić prawdę także o mnie. Po drugie, jeśli Jessie była jednym z kilkorga dzieci uprowadzonych w okolicy, a Jessie to ja, w takim razie, co było dalej? Jak przeszłam drogę od Jessie do Ridley?

Nagle dzwonki zaczęły dzwonić. Było ich parę zestawów, każdy nastrojony na inną nutę. Dźwięk był zarazem niesamowity i irytujący. Madame Maria zerwała się z kanapy.

- Nie denerwuj się - powiedziała, przechodząc za blat, który oddzielał kuchnię od reszty pokoju. - Mam wentylator, który uruchamia się co godzina. Daje mi znać, kiedy kończy się sesja.

Znikła na chwilę i wentylator, zamontowany w rogu sufitu, zwolnił obroty. Dźwięk dzwonek zrobił się łagodniejszy. Byłam rozdrażniona, poirytowana, więc wstałam, żeby wyjść. Wyjęłam z kieszeni wizytówkę i wręczyłam ją madame Marii.

- Przykro mi. - Wzięła ją i schowała w fałdach szlafroka.

- Dlaczego?

- Ze względu na to, co przeszłaś. To nie było w porządku. - Posmutniała, wyglądała na starszą, niż kiedy tu przyszłam.

- Życie nie jest w porządku. - Wzruszyłam ramionami. Ale to nie były moje słowa. To słowa mojej matki. Słyszałam je od niej niezliczoną ilość razy przez wszystkie te lata. Ja sama uważam, że życie jest w porządku. Hm, może niezupełnie w porządku, ale wyważone. *Tin* i *yang*. Dobro i zło. Prawda i fałsz. Gorycz i słodycz. Jedno nie istnieje bez drugiego. Kiedy życie jest pod psem, wiadomo, że się polepszy. Kiedy życie jest dobre, wiadomo, że się pogorszy. Jeśli to nie jest w porządku, to co jest?

Pokiwała głową.

- Hej, chcesz, żeby ci powróżyć z kart, zanim wyjdiesz?



- Nie, dziękuję. - Uśmiechnęłam się. Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć to, co powiedzą mi karty. Proszę zadzwonić, dobrze? Jeśli sobie pani coś przypomni.

Znów pokiwała głową. Wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć. Cze-kałam.

- Wiesz - powiedziała z wahaniem. - Teresa zwykła prowadzić Jessie do przychodni na Drew Street. Mieli tam jej ubezpieczenie, a ona lubiła tamtejszych lekarzy. Może nadal mającej historię choroby. Przychodnia nazywa się Aniołki. Nadal się tam mieści.

Popatrzyłam na nią pytająco.

- Jeśli chcesz mieć pewność. Może majątam dokumentację dentyścyczną albo odciski palców.

Chodziło jej o to, że skoro chciałabym z całą pewnością wiedzieć, czy jestem Jessie, czy nie, a oboje rodziców Jessie nie żyje, to nie ma innego sposobu na stwierdzenie tożsamości. Potem wyciągnęła ręce i objęła mnie. Miała ciepłe i miękkie ramiona, tak jak sobie wyobrażałam.

- Dziękuję - powiedziałam, odsunęłam się i odwróciłam, żeby wyjść.

- Uważaj, Jessie - szepnęła, zamykając drzwi. Myślę, że nie chciała, żebym to usłyszała. Żałuję, że tak się stało.

## Rozdział 19

Czy wiedział pan, że w tej okolicy w 1972 roku, wprowadzono jeszcze troje dzieci? — zapytałam detektywa Salvo.

Siedziałam w wynajętym dżipie na parkingu biblioteki publicznej Hackettstown. Przeglądałam ponad dwie godziny mikrofilmy, aż wreszcie wyprosiła mnie bibliotekarka, która chciała już iść do domu. Wpuściła mnie na kilka minut przed zamknięciem, a potem pozwoliła mi zostać, bo kończyła jakieś swoje prace. Wreszcie wyłączyła światła i oświadczyła, że czas już iść. Teraz bolała mnie głowa (tak, znowu) - prawdopodobnie od przemęczenia wzroku. Było ciemno, a ja byłam zmęczona, ale podkreściłam się kawą. Bardzo się ochłodziło, a w samochodzie włączenie ogrzewania nie dało od razu rezultatów. Widziałam swój oddech.

- Chodzi mi, dosłownie, o okolicę w promieniu ośmiu kilometrów - dodałam dla podkreślenia wagi sprawy, kiedy nie odpowiadał.

Długo milczał. Potem się odezwał:

- Nie widzę związku z moją sprawą, Ridley. Rozmawiamy o czymś, co działo się przed trzydziestu laty. Ten stan wyglądał wtedy inaczej.

Teraz ja zamilkłam. To, co odkryłam, wydawało mi się ważne, kiedy siedziałam w bibliotece. Czworo dzieci, w tym Jessie Stone, zaginęło tamtego roku z mieszkań dla biedoty w okolicach Hackettstown. Dwóch chłopców, trzylatków; dwie dziewczynki; jedna - dziewięciomiesięczne niemowlę, druga, Jessie, niespełna dwuletnia. O jasnej skórze, jedno blond, jedno rude, dwoje ciemnowłosych. Żadnej ze spraw nie zakończono wykryciem sprawców. Zrobiłam wyczerpujące notatki. Teraz zastanawiałam się, po co do niego zadzwoniłam. Może dlatego, że nie miałam komu o tym powiedzieć...

- Wiesz, co bardziej irytuje policjantów niż prywatni detektywi? Cywile, którzy udają, że są prywatnymi detektywami.

- Może wiąże się to z tym, co stało się z Christianem Luną - powiedziałam. Brzmiało to teraz słabo, po amatorsku, nawet w moich uszach.

- Że niby mógł coś o tym wiedzieć?

- Właśnie.

- Ridley, nie sądzisz, że gdyby wiedział coś, co zdejmowałoby z niego podejrzenie o zamordowanie Teresy, to zgłosiłby to na policji trzydzieści lat temu, zamiast spędzić resztę życia na wygnaniu?

Nic nie powiedziałam. Trafił w sedno.

- Gdzie jesteś?

- W Jersey.

- Wracaj do domu, dobrze? - mówił teraz łagodniejszym tonem. - Przyjrę się temu. Obiecuję. - Nie wiedziałam, czy traktuje mnie protekcyjnie, czy po prostu ma już taki głos.

- Och! Jeszcze jedno. Ten twój przyjaciel? Przepraszam, facet, o którym nigdy nie słyszałaś?

- Tak?

- Okazuje się, że mieszka pod nowym adresem. Zgadniesz gdzie? W twoim domu.

- I co w związku z tym? - zapytałam. Chyba zabrzmiało to chłodno. Ale w żołądku czułam ten okropny strach, jaki czują dzieci, kiedy przyłapie się je na kłamstwie. Byłam wystraszona, ogłupiała, zaskoczona. Bardzo skłonna do kolejnego kłamstwa, jeśliby mnie przycisnęło.

- Wiesz co jeszcze? - W jego głosie prawie słychać było uśmiech. - Facet mówi, że ostatniej nocy był w Riverdale, w barze, w którym lubi przesiadywać: Jimmy's Bronx Cafe. Po drodze do domu zatrzymał się, żeby coś

przekąsić w pizzerii w Riverdale. Ale w parku niczego nie widział ani nie słyszał. O tobie też nie słyszał.

- Hm. Cóż, wie pan, jak to jest w wielkim mieście. Można z kimś sąsiadować przez lata i nawet nie poznać jego nazwiska.

- Co za przypadek, prawda?

- Z pewnością przypadek.

- Tylko że ja nie wierzę w przypadki - oświadczył. - Wracaj do miasta, Ridley. Może myślisz, że Alexander Harriman mnie wystraszy. Pozwól, że cię zapewnię: jesteś w błędzie. Po prostu wracaj do domu.

Wróciłam do miasta i zaparkowałam dżipa w tym samym garażu, w którym Jake trzymał swój samochód. Zauważyłam, że firebirda nie było.

Miałam mnóstwo nowych informacji i głowa mi od nich pękała. Dziwnie się czułam, wracając do swojego mieszkania, jakby już nie było moje. Wszystkie związane z nim wspomnienia były jakby widmami z życia kogoś innego, głupiutkiego i lekkomyślnego. Przez sekundę myślałam, żeby odwrócić się na pięcie i pójść z powrotem do dżipa albo gdziekolwiek, byle tutaj nie wracać. Byłam jednak zbyt zmęczona. Pizzeria była zamknięta, a na ulicy panował spokój. Powlokłam się po schodach do mieszkania.

Był tam, czekał na mnie. Oczywiście, że był. Gdzieś w głębi serca wiedziałam, że będzie. Byłabym rozczarowana, gdyby nie przyszedł. Zapalił światło przy kanapie i leżał na niej, gapiąc się w sufit. Wstał, kiedy weszłam. Wyglądał, jakby bardzo mu ulżyło na mój widok.

- Jak się tu dostałeś? - zapytałam.

- Rano zostawiłaś klucze. - To była prawda. Kiedy wychodziłam, chwyciłam te, które kazałam zwrócić Zackowi, bo nie mogłam znaleźć swoich.

Każda kobieta o zdrowym rozsądku utrzymywałaby dystans, poprosiłaby, żeby wyszedł, ale myślę, że już dostatecznie dowiodłam, jak bardzo brakowało mi zdrowego rozsądku. Podszedł do mnie szybko i przyciągnął do siebie. Objęłam go ramionami i mocno się przytuliłam. Był taki silny. Cieszyło mnie to, bo nagle zabrakło mi sił i chwiałam się na nogach. Czułam jego twarde bicepsy i uda. Serce łomotało mi w piersi jak silnik.

- Kurczę - wydyszał mi we włosy. - Nie wiem, czy bardziej się o kogoś martwiłem niż dziś wieczór o ciebie.

Spojrzałam na niego. Był w nim smutek, który wcześniej widziałam. Przypomniałam sobie, co powiedział mi detektyw Salvo. W twarzy Jake'a widać było dziwną bezbronność, jakby nie był przyzwyczajony do poddawania się uczuciom i trochę się tego obawiał. Przyłożył rękę do mojej twarzy. Miał czuły dotyk, chociaż jego dłonie pokryte były zgrubieniami.

- Jest mnóstwo rzeczy, które powinnaś o mnie wiedzieć - powiedział łagodnie już drugi raz, odkąd się spotkaliśmy. Tym razem byłam gotowa go wysłuchać.

- Wiem. Zacznijmy od twojego imienia.

Jedyne, co można dać drugiej osobie, wysłuchując opowieści takiej, jaką przedstawił mi Jake, jest milczenie. I całkowicie skupiona uwaga. Siedzieliśmy na kanapie, nogi ułożyłam mu na kolanach. Mówił bardzo cicho, krótkimi, urywanymi zdaniem, jakby nie opowiadał zbyt często tej historii. Prawie nie patrzył na mnie. Czasem tylko rzucał szybkie, zawstydzone spojrzenia. Kiedy skończył, czułam się tak, jakby mnie czymś obdarował. Czymś, co mam zatrzymać i chronić. To nas wiązało.

- Najśmieszniejsze, że ją pamiętam. Pamiętam swoją matkę. A może po prostu śniłem o niej. Ale pamiętam, jak to jest, kiedy można się czuć kochanym, bezpiecznym, zadbanym. Może to dlatego nie jestem jeszcze bardziej zwariowany.

Harley Jacobsen zaczął nazywać siebie Jakiem w swoim pierwszym przybranym domu. Harley był dzieckiem, małym chłopczykiem, który czasem moczył łóżko i nosił obszarpanego Kubusia Puchatka, ostatnią pozostałość poprzedniego życia, w którym naprawdę był dzieckiem. Harley był kimś, kto nie umiał obronić się przed dwoma przybranymi braćmi, większymi od niego i gorszymi z charakteru od wilków. Jake natomiast walczył tam, gdzie Harley płakałby i tchórzył. Jake nie bał się, był rozwścieczony. I walczył z pasją, wykorzystując całą swoją siłę fizyczną i moralną. Musiał, bo był mały, bo stawiał czoło większym od siebie. Toteż pewnego dnia, kiedy przyrodni bracia zaczęli go dręczyć na małym podwórku ich domu w New Jersey, po miesiącach bicia i znęcania się psychicznego, Harley odszedł, a Jake wziął duży kij. Kiedy starszy z dwóch chłopców zamierzył się na niego, Jake podniósł kij i wbił mu go w oko.

- Nadal słyszę, jak wrzeszczy - powiedział Jake. - Teraz to dla mnie smutne. Ale wtedy to był dźwięk zwycięstwa. Dźwięk, który mówił mi, że już nigdy nie będę ofiarą.

Oczywiście, zabrano go od tej rodziny zastępczej i przyczepiono mu etykietkę trudnego, zaburzonego dziecka. Pewien psycholog zapisał w jego aktach, do których Jake później miał dostęp, że cierpi na zaburzenie dysocjacyjne, gdyż zaczął mówić o sobie Jake.

- Ale to nie było to. Wiedziałem, kim jestem. Miałem tylko poczucie, że muszę być naprawdę twardy i naprawdę szybki, żeby przeżyć. Harley, dla

mojego siedmioletniego umysłu, było to imię małego dziecka. Jake, od pierwszej sylaby nazwiska, było imieniem mężczyzny. Wiedziałem, że muszę się nim stać.

Reszta dzieciństwa była prawdziwym pasmem udręek. W jednym z domów kazano mi sypiać w śpiworze pod łóżkiem innego dziecka.

- Nazywali to łóżkiem piętrowym. - Rozeźmiał się szorstko, krótko. W tym domu jadał kanapki z serem na każdy posiłek przez prawie trzy miesiące. - Nie było tam źle. Jeśli spojrzeć z perspektywy, miałem tam chyba najlejiej. Nikt mi nie dokuczał.

W końcu oddali go stanowi, bo ciągle moczył łóżko i często chorował. Często był przeziębiony. Udręki, które przeżył w kolejnych przybranych domach, mieściły się w skali od zaniedbania po przemoc fizyczną, co mógł dowieść bliznami na całym ciele. Pewna przybrana matka kazała mu kłęczeć na szkle z szyby, którą stłukł, grając w piłkę na podwórku. Opiekun przypalił go papierosem, kiedy odkrył, że Jake wypił ostatni karton mleka. Prawie co tydzień były też bójkę na noże i pięści w szkole.

- Moja „podróż” po rodzinach zastępczych skończyła się, kiedy miałem czternaście lat. - Spojrzał na mnie. Wytrzymałam jego wzrok przez kilka sekund, a on znalazł w moich oczach to, czego szukał. Byłam wstrząśnięta, zszokowana tym, co mi opowiedział. Chciałam wejść w jego skórę i pocieszyć go na poziomie komórkowym, zetrzeć pamięć o cierpieniach. Ale oczywiście tego nie da się zrobić i szaleństwem jest wyobrazić sobie, że to możliwe. Wyglądał na człowieka opanowanego, solidnego, na mężczyznę, który przeszedł przez ciężkie próby, przetrwał je i zaleczył własne rany. Był silny.

- Postrzelił mnie przybrany ojciec Ben Wright. Z początku wydawał się w porządku, naprawdę fajny facet. Zabrał mnie na parę rozgrywek baseballowych na stadionie Jankesów. Jego żona Janet była ładna, naprawdę śliczna. Byłem ich jedynym przybranym dzieckiem. Przez jakiś czas wszystko się układało.

- Byłem już wtedy naprawdę duży. Codziennie ćwiczyłem. Służyło to kilku celom, myślę, że nie zdając sobie z tego sprawy, kanalizowałem swoją wściekłość. Wyglądałem na twardziela. Nikt nie wchodził mi w drogę. Wyglądałem na piętnaście, szesnaście lat. Miałem już wtedy kilka tatuaży; parę naprawdę koszmarnych blizn. Ludzie przestali mieć mnie za popychadło. Chyba wszystko we mnie mówiło, „odejdz”. Oczywiście, była i zła strona: trudno zdobywałem przyjaciół. Potem Janet zaszła w ciążę. Pomyślałem, no tak, teraz naprawdę muszę odejść. Ale ona powiedziała, że nie, że mogę zostać, jak długo zechcę.

Problem w tym, że Ben był chyba niepłodny. Tylko, że Janet o tym nie wiedziała. Pieprzyła się z każdym i zaszła w ciążę. Ben oszalał. Wbił sobie do głowy, że to ja ją przeleciałem.

- Miałeś czternaście lat - powiedziałam.

Roześmiał się ponuro.

- Tak, wiem. Pewnej nocy, kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że Ben stoi nade mną i klepie mnie łufą po głowie. On mówi: „Pieprzyłeś moją żonę, śmieciu?“, a ja: „Nie, Ben, wcale nie“. I pamiętam, że w tym momencie ogarnął mnie smutek większy niż strach. Bo Ben był dla mnie lepszy niż ktokolwiek inny. Było mi przykro, że tak o mnie myśli. Powiedziałem do niego: „Nie odsyłaj mnie. Podoba mi się tutaj“. To było takie niesprawiedliwe. Byli dla mnie tacy dobrzy. Dzięki temu lepiej się zachowywałem. W szkole średniej szło mi dobrze, dostawałem niezłe stopnie, a jednak wszystko diabli wzięli. Próbowałem usiąść i on postrzelił mnie w ramię. Chciał mnie zabić, ale chybił.

Resztę lat młodzieńczych spędził w sierocińcu dla chłopców. I dopiero tam znalazł mentora i przyjaciela. Psychologa szkolnego Arniego Coela.

- Nauczył mnie, jak stawiać czoło moim demonom, wyrażać gniew w zdrowy sposób. Kazał mi prowadzić dziennik, a potem omawiać wpisy. Opowiadał mi o sztuce, nauczył wydobywać twórcze instynkty. Z własnej kieszeni opłacił mi kursy metaloplastyki i rzeźby, kiedy mnie to zainteresowało. On też wyrósł w tym systemie. Zwykł mawiać: „Nie jesteś gównem tylko dlatego, że ludzie traktują cię jak gówno i czasem sam się tak czujesz, jakbyś nim był. Możesz coś zrobić ze swoim życiem. Możesz sprawić, żeby ten świat był lepszy“. To on zasugerował, żebym zaciągnął się do wojska, bo wtedy armia opłaci moje wykształcenie. To była trudna droga, ale chyba odpowiednia dla mnie. Bez takiej dyscypliny, po opuszczeniu sierocińca, mógłbym zbłądzić. Czyż nie tak mówią o żołnierzach? Że gdyby nie wojsko, siedzieliby w więzieniu? Kiedy skończyła mi się służba, przeprowadziłem się do miasta, poszedłem na John Jay College. Spodobała mi się myśl o służeniu prawu, ale nie spodobała mi się nowojorska policja.

- Tam dostałeś licencję prywatnego detektywa?

Pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.

- Była tu policja. Pewien detektyw wszystko mi powiedział - przyznałam się, a on znów skinął głową. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- To mnie nie określa. Bardziej definiuje mnie moja sztuka. Im więcej zarabiam na rzeźbach i meblach, tym mniej pracuję jako detektyw. Początkowo zajmowałem się dochodzeniami w sprawach o wyłudzenie odszkodowań, sprawdzałem niewiernych mężów, odwalałem trochę roboty dla policji, zajmując się ludźmi na zwolnieniach warunkowych, skazanych za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym.

Przerwał na chwilę i przetarł oczy. Nie byłem pewna, czy ta odpowiedź mnie zadowala. Wydawała się niekompletna, trochę niejasna. Ale był chyba zmęczony, a ja nie chciałam go naciskać. Miałam też mnóstwo innych pytań, pomyślałam jednak, że przyjdzie na nie właściwy czas.

- Sądziłem, że jako prywatny detektyw będę w stanie naprawić parę krzywd i nie rezygnować z moich zasad - ciągnął, kiedy nic nie powiedziałam. - Więc w dziewięćdziesiątym siódmym odebrałem licencję. Ale to było byle co. Łapie się kogoś na zdradzie małżeńskiej albo namierza jakiegoś biedaka, który dorabia sobie na zasiłku, i chrzani im się życie. Nie wiem. Może snułem jakieś fantazje, co to znaczy być prywatnym detektywem. Myślałem, że wykorzystam te zdolności, żeby odkryć własny los, sprawdzić, co stało się z rodzicami. Ale nie zaszedłem z tym zbyt daleko.

Westchnął, patrząc w sufit. Spostrzegłam, że napięcie w jego barkach lekko ustępuje.

- Utrzymawałem bliskie kontakty z Arniem do jego śmierci, ponad rok temu. Rak okrężnicy. To on ciągle mobilizował mnie, żebym dowiedziała się czegoś o rodzicach. Ale kiedy umarł... - Zamilkł. Zrozumiałam, że skończył. Popatrzył na mnie, jakby chciał sprawdzić, jakie wywarł wrażenie. Był troszkę skrępowany, jakby się bał, że każe mu wyjść. Wsunęłam mu się w ramię i przez dłuższy czas się obejmowaliśmy. Słyszałam, jak serce bije mu w piersi, i ten dźwięk napełnił mnie ogromnym uczuciem. Mimo wszystko, mimo wszystkich ludzi, którzy usiłowali je złamać, a nawet zatrzymać jego rytm, było silne.

- Przepraszam - powiedział po jakimś czasie. - Nikomu jeszcze tego nie opowiadałem. Poza Arniem. To było zbyt ciężkie, żeby wszystko ci wyłożyć. Szczególnie teraz, kiedy przeżywasz trudne chwile.

Wyprostowałam się.

- Jestem silniejsza, niż wyglądam. - Uśmiechnęłam się.

- Wyglądasz na silną - odpowiedział z uśmiechem ulgi. Sięgnął ręką do moich włosów, ale strąciłam ją i przytknęłam jego dłoń do ust. Pocałowałam go, a on zamknął oczy.

- Dziękuję - szepnęłam.

Potrząsnął głową i zmarszczył czoło.

- Za co?

- Za podzielenie się sobą ze mną, za to, co opowiedziałeś.

- Ja... - zaczął i przerwał. - Nie chcę, żebyś się nade mną litowała. Nie dlatego ci to opowiedziałem.

- Wierz mi, Jake. - Spojrzałam mu prosto w oczy. - To ostatnie uczucie, jakie żywię do ciebie. Jesteś silnym mężczyzną, który dostał gówniane karty, a i tak wyszedł z doświadczeń zwycięsko. Podziwiam cię. Szanuję. Nie lituję się nad tobą.

Kiedy zaczynamy kogoś naprawdę poznawać, wszystkie cechy charakterystyczne jego powierzchowności zanikają. Czujemy jego energię, zapach jego skóry. Widzimy tylko istotę osoby, a nie łuskę. To dlatego nie można pokochać pięknia. Można go pożądać, być zauroczonym, chcieć mieć go na własność. Można go kochać oczami i ciałem, ale nie sercem. I to właśnie dlatego, kiedy człowiek łączy się z czymś wewnętrznym, wszelkie niedoskonałości fizyczne znikają, stają się nieważne.

Patrząc wstecz, spostrzegłam, że miłość do Zacka wynikała z postanowienia. Był przystojny, wesoły, miał cechy, które większość kobiet uznałaby za pożądane u partnera. Lubiłam go. Był przyjacielem rodziny. Postanowiłam, że się w nim zakocham, że stworzę z nim związek. To był dobry pomysł, wielu go pochwalało. Ale zakochanie się w Jake'u było po prostu... miłością. Nie miałam wyboru. Uczucie przetoczyło się przeze mnie jak spieniony nurt i gdybym próbowała z nim walczyć, utonąłabym.

Po sposobie, w jaki na mnie patrzył w tej chwili, mogłam się domyślić, że i jego porwał ten sam potężny nurt. Zobaczył prawdziwą mnie, lśniąca esencję pod moją skórą. Zrozumiałam, że zostałam rozpoznana. Byłam mu taka wdzięczna, bo nie wiedziałam, czy w tym momencie sama siebie bym rozpoznała. Wiedziałam, kim byłam; nie zrozumcie mnie źle. Nie wiedziałam tylko, jak siebie nazwać. Może właśnie to jest miłość: że widzi się siebie nawzajem. Widzi się dalej niż imiona i wszystkie zewnętrzne sprawy, które pomagają nam się określić, przypiąć sobie etykietkę. To nieważne, czy był Harleyem, czy Jakiem, czy ja byłam Ridley, czy Jessie. Może nigdy to nie było ważne.

Wstał, przyciągnął mnie do siebie i przycisnął usta do moich. Nie minęła minuta i pożeraliśmy się wzajemnie. Pozostało jeszcze coś do powiedzenia, ale nie było już słów, tylko fizyczna żądza. Poprosiłam, żeby zaprowadził mnie do siebie, piętro wyżej; w moim mieszkaniu, wśród wszystkich moich



widm, krążących wokół i przyglądających mi się, nie mogłabym się zrelaksować. A w szarej nijakości jego mieszkania pograżaliśmy się w oceanie ciepła i przyjemności, dając wszystko i nie prosząc o nic - sycąc się sobą.

## Rozdział 20

Następnego ranka przygotował mi niedzielne śniadanie, naleśniki z dżemem truskawkowym, gdyż skończył mu się syrop klonowy, oraz filiżankę aromatycznej, mocnej kawy. Jedliśmy w łóżku, a ja opowiadałam mu o poprzednim dniu. Wydawało się niemożliwe, że minęły zaledwie dwie doby, odkąd widziałam, jak umiera Christian Luna. Opowiedziałam mu o detektywie Salvo, o madame Marii i o tym, co znalazłam w bibliotece.

- Partner detektywa Salvo przyszedł, żeby sobie ze mną pogawędzić, i w końcu zabrał mnie na IX komisariat - powiedział Jake. - Chyba nie byłem równie pomocny jak ty. Ale po paru godzinach musieli mnie puścić. Miałem wrażenie, że potrzyimaliby mnie chętnie dłużej. Tak czy inaczej, zaskwestrowali mój samochód.

- Powiedział, że rozmawiał z tobą.

- Kiedy?

- Zadzwoiłam do Salvo, żeby powiedzieć mu o zaginionych dzieciach z Hackettstown.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał i przez sekundę myślałam, że w jego głosie jest coś więcej niż ciekawość. Troska?

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Potrzebowałam sprzymierzeńca. - I dodałam: - Nie wiedziałam, komu mogę zaufać.

Pokiwał głową.

- Tak - szepnął. - Okłamałem cię. Nie byłaś pewna, czy możesz na mnie liczyć. Przepraszam.

Potrząsnęłam głową. To nie miało już znaczenia.

- Co powiedział? O tych dzieciach? - zapytał Jake po chwili milczenia.

- Nic. Tylko, że to sprawdzi. Chyba chciał mnie uspokoić. Poradził, żebym dała sobie spokój z nowo obranym zawodem prywatnego detektywa i pojechała do domu.

- Niezła rada.

Przewróciłam oczami.

- Jake - odezwałam się, gdy wypitałam jeszcze trochę kawy i zjadłam naleśnika. - Co się stało, kiedy próbowałeś szukać rodziny?

Nie byłam pewna, czy należało stawiać to pytanie, ale działałam zgodnie z nową polityką, żeby mówić dokładnie to, co się myśli, a to pytanie dręczyło mnie od poprzedniego wieczoru, kiedy poszliśmy do łóżka. On zasnął, a ja leżałam, zastanawiając się nad tym, co mi powiedział. Przypomniałam sobie słowa detektywa Salvo, że Jake „został porzucony”. Jake powiedział, że pamięta matkę, i nic więcej.

Przestał jeść, ale nie spojrzął na mnie od razu. Wzruszył ramionami.

- Szukałem bez przerwy, odkąd uzyskałem licencję prywatnego detektywa. I tak było aż do śmierci Arniego. Już ci mówiłem, to była jedna z tych jego ważnych rzeczy. Myślał, że powinienem rozwiązać zagadkę swojej przeszłości, zanim będę mógł zbudować przyszłość. Być może, jeśli mam być uczciwy wobec siebie, był to jedyny powód, żeby zostać detektywem.

- I...

- Nie zaszedłem dalej, niż byłem pięć lat temu. - Znow wzruszył ramionami.

Wziął puste talerze z łóżka i zaniósł je do kuchni. Nie poszłam za nim, bo może chciał pobyc sam, żeby nie odpowiadać na moje pytanie. Ale wrócił, usiadł obok mnie i ciągnął dalej:

- Mówili, że zostawiła mnie bez dokumentów, bez świadectwa urodzenia, bez książeczki szczepień. Gdybym ci powiedział, że w to nie uwierzyłem, że pamiętałem, jak mnie kochała, że jej twarz nadal widzę oczami wyobraźni, że nie wierzę, iż ot tak mnie porzuciła, to pomyślałabyś, że to dziecinne fantazje?

Pokręciłam głową. Oczy mu pojaśniały, przypatrywał mi się. Rozumiałam, jak to dla niego ważne, żebym mu uwierzyła. Nie sprawiało mi to problemu.

- Nie pomyślałabym tak. Powiedziałabym, żebyś trzymał się swoich przeżyć. Czasem tylko im możemy ufać.

Skinął głową i odwrócił wzrok.

- Arnie dużo dla mnie zrobił. Dzięki niemu udało mi się znaleźć dostęp do dokumentacji z czasów dzieciństwa. Przypięli mi taką etykietkę, że żadne małżeństwo starające się o adopcję nie chciało mnie wziąć. Szanse były już niewielkie. Byłem za stary: ludzie wolą niemowlęta.

- Gdzie cię znaleźiono? - zapytałam, sądząc, że będzie to logiczne miejsce do rozpoczęcia poszukiwań.

- Nie ma zapisu. Akta wpisu zaginęły.

Ponura sprawa - ani nazwisk rodziców, ani aktu urodzenia. Pomyślałam o jego haśle, *quidam*. Teraz miało dla mnie sens.

- Tak czy inaczej - powiedział, klepiąc się po udach. - To jest moja krucjata, a my mamy więcej teraz pilnych spraw, dotyczących głównie twojej krucjaty. - Bardzo się starał, żeby poprawić nastrój. Niestety, to nie działało.

- Nasze krucjaty są niezwykle podobne - zauważyłam, daremnie usiłując ukryć smutek w głosie.

- Właśnie - zgodził się. — Poza tym, że do ludzi, z którymi rozmawiam, nikt nie strzela, a za mną nie łązi żaden skinhead.

Wtedy się roześmieliśmy. Jak ludzie, którzy śmieją się na pogrzebie, żeby rozładować napięcie, chociaż wiedzą, że nie ma się z czego śmiać.

Spędziliśmy resztę dnia, próbując odnaleźć rodziców dzieci zaginionych w Hackettstown. Posłużyliśmy się tą samą historyjką, której użyłam wobec madame Marii, żeby ze mną pogadała. Siedziałam na kanapie Jake'a z telefonem i książką telefoniczną hrabstwa Morris, jedną z jego kolekcji używanej do pracy detektywistycznej. On siedział przy komputerze i przeszukiwał Internet oraz dzwonił z telefonu komórkowego do jakichś swoich znajomych w policji. Pod koniec dnia dowiedzieliśmy się od członków rodzin, z gazet i z raportów policyjnych, że z jednym wyjątkiem, wszyscy rodzice porwanych nie żyją.

Jake znalazł wiele potrzebnych nam informacji w internetowych archiwach dwóch gazet z Jersey, „Record” i „Star-Ledger”.

Sheila Murray, matka Pameli, która miała dziewięć miesięcy, kiedy została uprowadzona, zmarła w 1975 roku w spowodowanym przez siebie wypadku, gdy prowadziła po pijanemu. Trzy lata po nierozwiązanej sprawie uprowadzenia jej dziecka przejechała na czerwonym świetle i zderzyła się z innym samochodem, wiozącym trójkę nastoletnich dziewcząt, które również zginęły na miejscu. Według artykułów napisanych po porwaniu Pameli z kołyski, kiedy Sheila spała, kobieta prawdopodobnie nie była pewna, kto jest ojcem jej dziecka, i wychowywała je sama.

- Martwa sprawa - powiedział Jake, kiedy przejrzelśmy obie gazety, szukając artykułów o Sheili i Pameli Murray.

- Dosłownie - stwierdziłam.

Michael Reynolds, ojciec Charliego, który miał trzy latka, kiedy zaginał, musiał samotnie wychowywać syna, bo jego żona Adele zmarła z ran odniesionych podczas bójki w miejscowym barze. Artykuł znaleziony w „Record” informował, że rodzinę przeżyła matka Adele, Linda McNaughton. Nie było

jej w książce telefonicznej, ale poszukiwanie on-line szybko pozwoliło ustalić jej namiary. Nadal mieszkała w tym samym mieście.

Ze zwięzłej, nieprzyjemnej rozmowy z Lindą McNaughton dowiedziałam się, że Michael Reynolds był uzależniony od heroiny i umarł w niecały rok po porwaniu Charliego z ich mieszkania.

Pani McNaughton powiedziała coś mrozącego krew w żyłach, coś co pozostało w mojej pamięci do końca dnia.

- Była moją córką, niech spoczywa w pokoju, a ja ją kochałam. Ale ona nigdy nie chciała tego chłopca. Próbowала go oddać dwa dni po urodzeniu, ale wróciła po niego. Nie dawała sobie rady z poczuciem winy. A Michael... jemu była potrzebna tylko igła. Jeśli mnie pani o to pyta, to dziecko, żywe albo zmarłe, prawdopodobnie ma się teraz lepiej.

Jake patrzył na ekran komputera, kiedy odłożyłam słuchawkę.

- Coś masz? - zapytał z roztargnieniem, nie odwracając wzroku od monitora.

Powtórzyłam, co mi powiedziała. Nie zareagował, tylko stuknął palcem w mysz, przewijając artykuł, którego nie widziałam z mojego miejsca na kanapie.

- Czy to nie dziwne, że wszyscy ci ludzie nie żyją? - zapytałam.

- To bardzo dziwne - zgodził się, wciąż nie odrywając wzroku od lektury. - Popatrz na to.

Podeszłam, żeby przeczytać mu przez ramię.

Marjorie Mathers, matka Briana, liczącego trzy latka, kiedy znikł z łóżka w środku nocy, obecnie odsiadywała dożywocie za zamordowanie męża. Zabiła go trzy tygodnie po zaginięciu Briana. Kłócili się zażarcie o prawo do opieki nad dzieckiem, a ona twierdziła, że mąż wynajął ludzi, żeby uprowadzili syna. Jej prawnicy utrzymywali, że była na poły obłąkana z powodu zniknięcia chłopca i że to, w połączeniu z wieloletnim maltretowaniem przez męża, doprowadziło ją do choroby psychicznej. Mówili, że nie chciała zabić, ale przyszła, żeby oskarżyć go o porwanie Briana; według niej mąż chciał ją ukarać za to, że go rzuciła. Twierdziła, że pistolet przypadkowo wypalił podczas szamotaniny. Ale dowody wspierające oskarżenie wskazywały, że strzeliła mu w plecy, kiedy spał. Będzie mogła ubiegać się o zwolnienie warunkowe po 2020 roku.

- Hm, zobaczymy, czy znajdzie się sposób, żeby porozmawiać z tą kobietą— zaproponowałam.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Ridley. - Jake odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

- Dlaczego?

- Bo to oczywista wariacka.
- Dlaczego tak twierdzisz?
- Hm, może dlatego, że zamordowała męża?

Wzruszyłam ramionami i wróciłam na kanapę.

- To, że kogoś zabiła, nie znaczy, że nie może dysponować istotnymi dla nas informacjami. Jest jedynym żyjącym rodzicem.

Jake westchnął.

- Po prostu myślę, że byłoby nieodpowiedzialne w tej chwili wydobywać przeszłość z tej kobiety, zanim postawi się precyzyjniejsze pytania. To będzie bolesna rozmowa, jeśli w ogóle zgodzi się z nami spotkać. Ta kobieta ma spędzić resztę życia w więzieniu; jej syna uprowadzono i nie odnaleziono. Postaraj się to sobie wyobrazić. Naprawdę chcesz sprawić jej jeszcze więcej bólu?

Miał rację. A ja poczułam się jak łajdak, tak samolubny w poszukiwaniu odpowiedzi na własne pytania, że stracił wrażliwość na cierpienie innych.

- To dokąd zmierzamy?
- Nie wiem - odparł.

Około ósmej wyszedł, żeby kupić dla nas jakąś kolację, a ja siedziałam, przeglądając notatnik, i starałam się zrozumieć, dlaczego odnalezienie tych ludzi jest dla mnie takie ważne. Czego chciałam się dowiedzieć? Dokąd mnie to zaprowadzi? Myślałam o tym, co powiedziała Linda McNaughton. Przerzuciłam kartki z notatkami, znalazłam jej numer i ponownie go wykreśliłam.

- Pani McNaughton? - zapytałam, kiedy odebrała.

- Tak. - Ton jej głosu wyrażał zmęczenie i irytację, gdy rozpoznała mój głos.

- Tu Ridley Jones. Bardzo przepraszam, że znów panią niepokoję, ale chciałam jeszcze o coś zapytać w związku z tym, o czym pani mówiła.

Westchnęła. Usłyszałam trzask i syczenie zapalniczki gazowej. Ostro się zaciągnęła.

- Paniusiu, to nie jest dla mnie łatwe.

- Wiem i przepraszam - powiedziałam najłagodniej, jak potrafiłam, mając w pamięci słowa Jake'a. - Ale proszę, jeszcze tylko jedna sprawa.

- O co chodzi?

- Mówiła pani, że córka chciała oddać Charliego zaraz po jego urodzeniu.

- Zgadza się - odparła urażonym tonem. - Próbowałam ją powstrzymać. Ale wszyscy ledwie wiążemy koniec z końcem, więc pomyślała, że tak będzie dla niego najlepiej.

- A więc... zabrała go do agencji adopcyjnej?  
- Nie. - Znow się zaciągnęła i na chwilę zamilkła. - Musi pani zrozumieć. Michael był narkomanem i ona sądziła, że nie będą dobrymi rodzicami.  
- Rozumiem. Ale dokąd zabrała Charliego?  
- Ona... zostawiła go w jednym z tych miejsc.  
- Jakich miejsc? - Krew dudniła mi w uszach.  
- Jednym z tych miejsc, gdzie się zanosi niemowlęta i nikt nie zadaje pytań. Wie pani, oni nie chcą, żeby ludzie zostawiali dzieci na wysypiskach, więc można je położyć, nacisnąć dzwonek i uciec. Ma się jakieś trzy dni, żeby wrócić, gdyby zmieniło się zdanie.  
- Pani McNaughton. Czy Charlie trafił do przytułku projektu „Na ratunek”?

- Tak, właśnie tam. Tak się to nazywało. Ale jak mówiłam, wróciła i zabrała go. Byli dla niej uprzejmi, udzielili paru rad. Poczuli się lepiej po rozmowie z nimi, pomyślała, że uda jej się być matką Charliego. Ale skoro pani pyta, to on wiedział, że ona go nie chciała. Miał kolkę i darł się w dzień i w nocy.

Ale ja już nie bardzo słuchałam. Mogłam myśleć tylko o tym, co Ace powiedział mi tamtego wieczoru: „Zapytaj tatę o wujka Maksa i jego fundację pieczuszków”.

Podziękowałam i odłożyłam słuchawkę. Co to miało znaczyć? Nie miałam pojęcia. Ale oglądałam broszury, które dał mi tato. Był tam zimny, brudny pojemnik na śmieci i ciepłe, przyjazne ramiona pielęgniarki.

W głowie tańczyła mi pewna myśl. Natychmiast odrzuciłam ją jako nierozsądną. Ale ona wróciła, w piruetach, i nie dawała mi spokoju.

- Coś nie tak? - zapytał Jake, wchodząc do pokoju z aromatycznymi torbami chińskiego jedzenia od Young Chow's. Mieszkaliśmy tuż poza ich obszarem dostarczania zamówień, ale oboje uważaliśmy, że mają najlepsze krewetki z czosnkiem w East Village i warto się po nie pofatygować.

- Nic — zełgałam. - Po prostu jestem zmęczona.  
- Jasne - odparł, patrząc na mnie.

Chyba wiedział, że coś ukrywam, ale dał temu spokój. Nie byłam gotowa, żeby mu powiedzieć, o czym myślę. Do diabła, nie byłam nawet gotowa, żeby w ogóle o tym myśleć.

- Coś jeszcze znalazłaś? - zapytał, a ja uznałam, że trochę mnie naciska.  
- Nie. Nic. - Wstałam i podeszłam do stołu. Zaczęłam rozpakowywać pojemniki.

Poszedł do kuchni i po paru minutach wrócił z talerzami, sztućcami, serwetkami i butelką białego wina pod pachą.

- Jedzmy. - Odsunął dla mnie krzesło. - Wszystko wygląda lepiej po smacznym posiłku i butelce dobrego wina.

Uśmiechnęłam się do niego. Miałam nadzieję, że rzeczywiście tak jest.

## Rozdział 21

Kiedy patrzę teraz wstecz, jestem sobą doprawdy zdumiona. Wiem, podobno z perspektywy czasu widzi się najostrzej. Ale szczerze mówiąc, tyle spraw z mojej przeszłości przyjmowałam na wiarę, nigdy ich nie kwestionowałam, nigdy się im nawet nie dziwiłam. W głowie to się nie mieści. Z drugiej strony, czyż nie przyjmuje się własnego życia na wiarę? Pomyślałam, że jednak były pewne znaki. Zawsze się zżymałam na matkę za to, że zjadła zaprzecza wszystkiemu, co mogłoby zaburzyć jej pogląd na siebie i zakłócić jej życie. Na przykład udawała, że Ace nigdy nie istniał. Ale tę rysę odziedziczyłam po niej, nawet tego nie wiedząc.

Czy to nie dziwne, że przez cały ten czas ani razu nie pomyślałam o ostatnim wieczorze z wujkiem Maksem? Jego śmierć była takim wstrząsem, że wydarzenia, które nastąpiły po telefonie do naszego domu, że wydobyto wrak samochodu Maksa, przyćmiły wszelkie inne wspomnienia z tamtego wieczoru.

Była to Wigilia doskonała. Padał lekki śnieżek, a wszystkie domy przy ulicy lśniły od małych, białych lampek. (Miasto zakazało używania przewodów z różnokolorowymi światełkami). Wszyscy sąsiedzi od tygodni zbierali pojemniki po mielu i wodzie, a teraz ustawili je wzdłuż ulic, napełnili piaskiem i wetknęli w nie białe świece. Efekt był magiczny. Po kolacji całe rodziny wychodziły na ulice, gdzie przygaszono gazowe latarnie, i spacerowały po obfitym posiłku, zatrzymując się na pogawędki z sąsiadami i przyjaciółmi w świetle świec. Było przyjemnie. Nawet zblazowany nowojorczyk, taki jak ja, musiał przyznać, że było w tym jakieś proste piękno.

Nikt poza mną zdawał się nie widzieć, że wujek Max pojawił się pijany. Hm, może rodzice to spostrzegli, ale nie dali po sobie poznać. Zaczyna do was trafiać, jak to jest z mojąrodziną? Do mnie wreszcie tak. Brzydkie albo niepokojące rzeczy są ignorowane. To taki mieszczański stereotyp. Nie byliśmy wprawdzie przesadnie mieszczańscy, ale pomijanie tego rodzaju spraw było tak rozmyślne, tak całkowite, że napomknięcie o nich albo rozmowa na

ich temat byłyby porównywalne do podpalenia domu i zostałyby przyjęte wrzaskiem i ogólną paniką. Zaprzeczanie to kapryśna dziwka, prawda? Tak delikatna i wstydliva, że nie jest w stanie znieść swojego widoku.

Wujek Max był doświadczonym alkoholikiem. Może gdybyście go nie znali, nie usłyszeliście tego bełkotu w głosie, nie dostrzeżlibyście błysku w oku i chwijnego chodu. Dom był pełen gości. Paru młodych lekarzy, z którymi pracował mój ojciec, przyszło z żonami, była też Esme. No i Zack; dopiero zaczynał się nasz związek; był nadal nowy, nadal wiele obiecywał, i choć niezbyt mnie ekscytował, to jednak dawał jakiś dreszczyk emocji. Dołączyli do nas niektórzy z naszych sąsiadów. Matka harowała jak wół, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik, od kwiatów po jedzenie. Biegała jak nakręcona, organizując doskonałe przyjęcie, a jej twarz wyglądała jak ponura maska koncentracji pośród morza innych zaczerwienionych, uśmiechniętych twarzy. Pamiętam, jak Zack powiedział do mnie:

- Co słyhać u twojej mamy? Czy dobrze się czuje?

Popatrzyłam na nią. Napięcie parowało z niej falami, kiedy dbała o porządek, obsługiwała gości, biegała do kuchni i z kuchni.

- Co masz na myśli? - zapytałam, przekrzykując zgiełk kolęd i rozmów. - Ona zawsze jest taka.

Wtedy naprawdę nie widziałam problemu. Moja matka była kłębkim nerwów, gdy dążyła do doskonałości; jakakolwiek skazana organizacji tego wieczoru została przyjęta jako klęska i skończyłaby się całkowitym emocjonalnym odcięciem się od gości. Wydawało mi się to całkowicie normalne.

Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że ojciec unikał jej, jak mógł. Pamiętam, jak go zrużała, bo wyjął z pieca tacę z przekąskami, używając w tym celu ściěrki do naczyń zamiast kuchennej rękawicy, albo nasypał za dużo kawy do ekspresu, przez co napój był za mocny i tak dalej. Beształa go po cichu, ale tonem, w którym aż syczała rozgrzana do białości pogarda. Wreszcie ojciec po prostu nauczył się schodzić z linii ognia. I znów, wcale nie wydawało mi się to dziwne. Moja nieświadomość była totalna, bawiłam się świetnie.

Max wpadł jak wicher, cały w uśmiechach, w ramionach miał pełno toreb wypakowanych niemożliwie ekstrawaganckimi prezentami. Był jak magnes. Wszyscy uczestnicy przyjęcia kręcili się wokół niego jak metalowe opiłki. Nie wiem, czy to jego osobowość, jego pieniądze, czy też potężna alchemia obu tych czynników naraz tak mocno przyciągała ku niemu uwagę, ale od chwili, kiedy wkroczył do pokoju, stał się duszą towarzystwa, a poziom jowialności wzrastał dziesięciokrotnie. Jego huczący głos i śmiech słyhać było



wszędzie. Nawet moja matka jakby trochę się rozluźniła i przestała tak bardzo zwracać uwagę na swoje występy w roli gospodyni.

Zack i ja poszliśmy do kuchni i siedliśmy przy stole, zając ciasteczka z pudełka, które ktoś przyniósł rodzicom w prezencie. Z naszego miejsca nadal widzieliśmy, co się dzieje na przyjęciu, ale jednocześnie mieliśmy spokój, żeby posiedzieć i porozmawiać. Rozdarliśmy ozdobny, czerwony celofan i znaleźliśmy te malutkie, osypane cukrem ciasteczka w kształcie muszek wypełnionych dżemem malinowym.

- Kurczę, twój wujek mógłby przestać - powiedział Zack.

- O co ci chodzi? - zapytałam.

Popatrzył na mnie.

- Chodzi mi o to, że jest tu zaledwie od godziny, a już pochłonał pięć burbonów.

Wzruszyłam ramionami.

- To duży facet.

- Tak, ale, Jezu, to prawie nie robi na nim wrażenia.

Znów wzruszyłam ramionami zajęta pochłanianiem ciasteczek.

- To po prostu Max.

Po prostu Max. Jakbym go znała.

Kilka godzin później w domu zrobiło się ciszej. Esme i Zack wyszli. Ojciec wyprowadził grupę na dwór, na doroczny, sąsiedzki spacer przy świecach. Matka została i wściekle szorowała naczynia w kuchni, odrzucając wszelkie moje próby pomocy. Twierdziła, że nikt tego nie robi tak jak należy. Nie, to nie. Wysłałam z kuchni, szukając słodyczy, i znalazłam wujka Maksa siedzącego samotnie w przyciemnionym pokoju, przed naszą olbrzymią choinką. To jeden z moich ulubionych widoków - oświetlona choinka w przyciemnionym pokoju. Usiadłam obok niego na kanapie, a on położył mi rękę na ramieniu, drugą balansując na kolanie szklaneczką burbona.

- Co jest, wujku?

- Nic takiego. Ładne przyjęcie.

- Tak.

Siedzieliśmy przez dłuższy czas w życzliwej ciszy, aż coś sprawiło, że spojrzałam na niego. Płakał bezgłośnie, cienkie strumyki łez spływały po jego twarzy jak krople deszczu po szybie. Wyglądał przy tym zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Twarz miał prawie bez wyrazu. Zszokowana, chyba po prostu gapiłam się na niego. Schwyciłam go za wielką, niedźwiedziową łapę i przytrzymałam w obu dłoniach.

- Co się stało, wujku? - wyszeptalam, jakbym się bała, że ktoś zobaczy teraz jego prawdziwą twarz. Chciałam go chronić.

- To wszystko do mnie wraca, Ridley.

- Co takiego?

- Całe to dobro, jakie chciałem wyświadczyć. Schrzaniłem wszystko. Kurczę, schrzaniłem, że lepiej nie trzeba. - Głos mu drżał.

Pokręciłam głową. Myślałam: jest pijany, po prostu jest pijany. Ale on wtedy chwycił mnie za ramiona, nie mocno, ale z uczuciem. Zrozpaczone oczy miał jasne i przejrzyste.

- Jesteś szczęśliwa, Ridley, prawda? Wyrastałaś w miłości i bezpieczeństwie, prawda?

- Tak, wujku. Oczywiście - odparłam, pragnąc ze wszystkich sił go zapewnić, że tak było, chociaż zupełnie nie rozumiałam, co moje szczęście ma z nim wspólnego.

Pokiwał głową i rozluźnił uchwyt, ale nadal patrzył mi prosto w oczy.

- Ridley, możliwe, że jesteś jedynym dobrem, jakie udało mi się stworzyć.

- O co chodzi? Max? - Oboje odwróciliśmy się i zobaczyliśmy mojego ojca. Stał w drzwiach, czarny kształt na tle światła. Jego głos brzmiał dziwnie. Było w nim coś obcego, coś mrocznego i nierozpoznawalnego. Max puścił mnie, jakbym paliła go w dłoń.

- Max, porozmawiajmy - powiedział ojciec i Max wstał.

Poszłam za nim do drzwi, ale ojciec położył mi rękę na ramieniu, żeby mnie zatrzymać. Max poszedł dalej do gabinetu ojca. Ramiona miał przygarbione, a głowę trzymał nisko, ale zanim zniknął w pokoju, odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

- Co mu jest? - zapytałam ojca.

- Nie martw się, słoneczko - odparł ojciec z wymuszoną lekkością. - Wujek Max wypił trochę za dużo. Jest w nim mnóstwo demonów; burbon czasem je wyzwala.

- Ale o czym on mówi? - zapytałam z uporem, czując, że nie chcą mi powiedzieć o czymś ważnym.

- Ridley - powiedział ojciec zbyt surowym tonem. Szybko jednak złagodniał. - Naprawdę, kochanie, nie martw się o Maksa. To burbon przez niego przemawia.

Zostawił mnie i znikł za drzwiami do gabinetu. Stałam tam minutę, słyszałam szmer ich głosów za dębowymi panelami. Wiedziałam, że przez drzwi niczego nie podsłucham. Próbowалам wiele razy, jako dziecko. Były za gru-

be. Trzeba byłoby stanąć z uchem przy nich, a oni musieliby wrzeszczeć, żebym cokolwiek usłyszała. W korytarzu wpadłam na moją ulubioną ciocię. Pamiętacie, ciotunia Zaprzeczenie. Objęła mnie ramionami i wyszeptała pocieszające słowa: „To tylko burbon. Wyzwolił demony Maksa. Znasz go. Jutro będzie w doskonalszej formie”. Drobniutka (nie jest w stanie przypuścić bezpośredniego ataku), staje się potężna, kiedy się z nią współpracuje, omotuje wtedy człowieka swoją siecią i jeśli nie spojrzysz jej w twarz, otoczy go kokonem. Jest w nim bezpiecznie i ciepło, przyjemniej.

Wtedy po raz ostatni widziałam wujka Maksa. Jego twarz mokrą od łez i zaczerwienioną od burbona, jego smutny uśmiech i ostatnie słowa skierowane do mnie: „Możliwe, że jesteś jedynym dobrem, jakie udało mi się stworzyć”.

O Boże, myślałam teraz, patrząc na przyływy i odpływy ruchu w Pierwej Alei z okna Jake'a. Co chciał przez to powiedzieć?

Jake wkładał w kuchni naczynia do zmywarki. Słyszałam, jak coś sobie mruczy. Bardzo mi się spodobało, że przyniósł obiad i pozmywał naczynia. Zack był takim maminsynkiem. Esmé zawsze robiła wszystko za niego, nawet dobierała mu co rano ubranie, kiedy chodził do college'u. Taki mężczyzna, nawet jeśliby wreszcie zrozumiał, że nie wszystkie kobiety są po to, żeby zajmować się zaspokajaniem jego potrzeb, i tak się naburmuszy, gdy będzie musiał zrobić coś, co w głębi duszy uważa za poniżające. Jake wiedział, jak zadbać o swoje sprawy, i nie miał nic przeciwko temu, żeby zadbać także o sprawy innych. Może nawet trochę to lubił.

Pewnie zastanawiacie się, kiedy wyjawię to, co powiedział mi detektyw Salvo. Kiedy zapytam o kryminalną przeszłość przyjaciela i o to, czy strzał, który zabił Christiana Lunę, naprawdę padł z dachu domu, a nie z parku, w którym Jake się schował.

Nie, nie zapomniałam o tych sprawach. Uznałam, że wystarczająco długo już czekałam, żeby o nie zapytać, chociaż chyba nie zależało mi na odpowiedziach.

Patrzyłam przez okno, więc wyczułam raczej, niż zobaczyłam, jak wchodzi do pokoju. Podeszedł i objął mnie. Czekałam, aż zapyta, o czym myślałam, ale nie zrobił tego.

- Detektyw Salvo twierdzi, że masz kryminalną przeszłość - powiedziałam po cichu.

Oddychał blisko mojego ucha; nadal trzymał mnie w objęciach.

- Jak się zaczyna pracę prywatnego detektywa, łatwo można wpaść w kłopoty. To nie jest tak jak na filmach. Policjanci nie lubią prywatnych detektywów.

Wejdiesz im w drogę, to cię oskarżą. A przy okazji, właściwie, to ja nie mam takiej kartoteki. Przecież nie siedziałem, na litość boską. - Usłyszałam śmiech w jego głosie i to sprawiło, że i ja się uśmiechnęłam.

- Lubisz niegrzecznych chłopców, he? - zapytał, całując mnie w szyję.
- Jesteś moim pierwszym.

Już miałam go zapytać o strzał w parku, ale poczułam, że zeszywniał i nagle umilkł. Odwróciłam się do niego, zastanawiając się, co zauważył. Ale on nie patrzył na mnie tylko przez okno. Delikatnie odsunął mnie na bok.

- Coś zobaczyłeś?
- Tego faceta, który stoi tam, w drzwiach. Czy to ten sam, który cię śledził? Był tam, kiedy wracałem z jedzeniem. I nadal tam stoi.

Wyjrzałam zza jego ramienia i zobaczyłam jakiś kształt w ciemnej sieni. Ale nie mogłam dostrzec twarzy. Widziałam tylko nogę i czarny but.

- Nie wiem - powiedziałam, czując trzepot w piersi. - To może być ktośkolwiek.

- Mam dziwne przeczucie.
- Tak, ludzie-cienie czający się w drzwiach w East Village... to naprawdę niesamowite. Zupełnie nienormalne.
- Sprawdzę to. Zostań tutaj.

Chwyił kurtkę, klucze i wyszedł, zanim dokończyłam:

- Jak to, sprawdzę? To śmieszne.

Słyszałam, jak zbiega ze schodów. Pomyślałam, że zanim włożę spodnie (miałam na sobie jeden z T-shirtów Jake'a i białe skarpetki), zanim zejść na ulicę, on już zdąży wrócić. Stałam więc w oknie i patrzyłam na człowieka po drugiej stronie ulicy.

## Rozdział 22

Zanim Jake dotarł na dół, zobaczyłam, że postać wyłania się z ciemności i zaczyna iść ulicą. To nie był człowiek z pociągu ani z Barnesa & Noble. To był mój brat.

Co on tutaj robił? Czekał na mnie? Otworzyłam okno i wywrzeszczałam jego imię, ale zgiełk uliczny pochłoniął moje słowa. Zaczęłam się szybko ubierać. Kiedy wkładałam dzinsy, usłyszałam dziwne dzwonienie, przytłumione, jakby wydobywające się spod warstw materiału. Zdałam sobie spr-

wę, że dochodzi spod mojego ubrania na podłodze w sypialni Jake'a. Zaczęłam w nim grzebać, aż znalazłam to w kieszeni płaszcza - moją nową komórkę. Wzięłam ją i popatrzyłam na numer migający na ekranie. Nie znałam go. Zawahałam się, czy warto odebrać, skoro nikt nie zna mojego numeru. Wreszcie ciekawość zwyciężyła.

- Halo? - zapytałam z wahaniem.

- Ridley Jones? - Szorstki ton, męczyzna w średnim wieku. Rozpoznałam głos, ale nie osobę.

- Tak?

- Tu detektyw Salvo.

Cholera.

- Skąd pan ma mój numer?

- Zadzwoiła pani do mnie, pamięta pani? Zachowałem numer w telefonie komórkowym.

- Och. - Kolejny powód, żeby nie mieć komórki.

- Słuchaj, Ridley. Mam dla ciebie złe wiadomości. Znaleźliśmy karabin, z którego, jak sądzimy, zabito Christiana Lunę.

Serce zaczęło mi walić. Dlaczego mi o tym mówi?

- Znaleźliśmy go na parkingu przy Fort Tyron Park w Bronksie. Jest zarejestrowany na twojego przyjaciela Harleya Jacobsena.

Myśli zaczęły gonitwę, wracałam pamięcią do tamtej nocy. Jake wypadł z ciemności, odciągnął mnie od Christiana Luni. Pamiętałam, jak objął mnie ramieniem i szybko zaprowadził do samochodu. Pamiętałam, jak pojechał do Fort Tyron Park i zatrzymał się na pustym parkingu, gdzie pozwolił mi się wypłakać w rękaw. Nie pamiętałam karabinu. Widziałabym go, prawda?

- Chcę tylko mieć pewność, że będziesz się trzymała z dala od niego dziś wieczór. Mamy zamiar go zatrzymać. Nie chcę, żeby stała ci się jakaś krzywda.

- Powiedziałam panu, że go...

- Daruj sobie, panno Jones.

Miał rację. Trochę było to głupie, tak upierać się, że go nie znam, skoro fakty mówią, że jest inaczej. A jednak trzymałam się swojej historyjki.

- Jeśli myśli pan, że jestem jego przyjaciółką, to dlaczego mówi mi pan, że go zabieracie, i ryzykuje, że go uprzedzę?

Milczał przez sekundę, słyszałam, jak sapnął.

- Bo myślę, że jesteś dobrym człowiekiem, który zaufa komuś, kto nie zasługuje na zaufanie. I szczerze mówiąc, nie chcę, żebyś znalazła się między młotem a kowadłem. Nie pozwól, żebym pożałował, że ci odpuściłem. - I odłożył słuchawkę.

Jake wszedł do mieszkania i zaniknął za sobą drzwi.

- Zmył się - powiedział, rzucając kurtkę na krzesło. - Nie było go tam, kiedy wyszedłem na ulicę.

Stałam z telefonem w ręku i nie byłam pewna, co mam powiedzieć czy zrobić.

- Widziałeś go, kiedy biegł? - Zapomniałam o moim bracie. Musiałam dziwnie wyglądać, kiedy się tak gapiłam na Jake'a, myśląc jednocześnie o tym, co powiedział mi detektyw Salvo.

- Co? - zapytał, marszcząc brwi.

Potem wydało mi się, że w oddali słyszę syreny. On chyba nie zwrócił na to uwagi. W końcu takie odgłosy nie są niczym dziwnym w wielkim mieście.

- Jada po ciebie, Jake — powiedziałam.

- Kto?

- Właśnie dzwonił do mnie detektyw Salvo. - Zapinając džinsy, patrzyłam na niego.

- Zadzwoił do ciebie? - Spojrzał na mnie ostro. - Jak to?

- Na komórkę. Miał mój numer, bo wczoraj ja do niego dzwoniłam. - Zbliżyłam się do niego. - To nieważne. Powiedzieli, że znaleźli karabin, z którego zastrzelono Christiana Lunę.

- Okej, dobrze. - Wzruszył ramionami. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Powiedzieli, że jest zarejestrowany na ciebie, Jake.

Zamilkł, gdy dotarła do niego waga moich słów.

- O cholera! To jakaś bzdura, Ridley.

- Właśnie po ciebie jada. - Wkładałam tenisówki i zawiązywałam sznurówką. Syreny były coraz głośniejsze. Narzuciłam kurtkę.

- Nie. - Pokręcił głową. - To nie mój karabin. I nie ma możliwości, żeby tego dowiedli.

Wiecie, jak się czułam? W prawym uchu słyszałam dziwny, szeleszczący dźwięk; ręce lekko mi drżały. Nie wiedziałam, co myśleć o Jake'u. Chyba byłam w szoku. Nie miałam punktu odmesienia w tego rodzaju sytuacjach, więc poruszałam się po omacku.

- Ten strzał. Mówią, że został oddany od strony drzew, gdzie się schowałeś, a nie z dachu - dodałam.

Popatrzył na podłogę, a potem znowu na mnie.

- Nie wiem, skąd padł strzał, Ridley. Ale to nie ja strzeliłem.

Wyglądał na równie przestraszonego jak ja. Chwycił kurtkę i ruszył do drzwi.

- Ridley, chcę, żebyś znalazła sobie jakieś bezpieczne miejsce. Natychmiast.

Jego słowa sprawiły, że zrobiło mi się zimno.

- Co ty mówisz?

Kiedy podszedł do mnie, był blady. Delikatnie położył ręce na moich ramionach.

- Słuchaj mnie uważnie, Ridley. Chcę, żebyś wróciła do swojego mieszkania, wzięła trochę rzeczy i zameldowała się w hotelu. Nikomu nie mów, gdzie jesteś. Nikomu. Ani rodzicom, ani przyjacielowi Zackowi. Rozumiesz mnie?

- Idę z tobą. - Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Czy rzeczywiście rozważałam możliwość ucieczki wraz z nim przed policją? Odpowiedź brzmiała: tak. Byłam do tego stopnia wykorzeniona z poprzedniego życia, odcięta od mojej poprzedniej wersji rzeczywistości, że wydawało mi się to całkiem normalnym wyborem.

Syreny wyły coraz głośniej. Na budynku po drugiej stronie ulicy zobaczyłam wreszcie odbicie migających czerwonych świateł. Pocałował mnie lekko w usta; nie umiałam odczytać wyrazu jego twarzy.

- Nie naraziłbym cię na to, Ridley.

- Jake...

- Obiecuj, że zrobisz to, co ci powiedziałem. Przysięgnij, że nikomu nie powiesz, gdzie jesteś, i zapłacisz za pokój gotówką. To ważne. Tylko gotówką.

- Dlaczego, Jake? - Nie bardzo wiedziałam, co się dzieje, ale zaczęłam zdawać sobie sprawę, odkąd rozmawiałam z Lindą McNaughton, że chodzi o coś znacznie poważniejszego i mroczniejszego niż manipulacje Christiana Luny.

- Jesteś w niebezpieczeństwie, Ridley. Oboje jesteście. Więc obiecuj mi.

- Jake, nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Ridley, wszystko ci wyjaśnię. Nie masz powodu, żeby mi ufać, ale proszę cię o to. Po prostu obiecuj, że zrobisz to, co ci powiedziałem.

Usłyszałam walenie w metalowe drzwi na dole.

- Obiecuję.

- Znajdę cię. Nie martw się.

Kiwnęłam głową, a on podszedł do drzwi. Poczułam, jak żołądek kurczy mi się ze strachu, że już go nigdy nie zobaczę.

- Nie zabiłem Christiana Luny. Chcę, żebyś o tym wiedziała, Ridley.

I już go nie było. Poczekałam sekundę, słuchając, jak policjanci szarpią za drzwi wejściowe. Kiedy weszłam do korytarza, usłyszałam krzyzącą na parterze Zeldę. Jake zniknął.

- Chwileczkę! Chwileczkę! - Głos Zeldy niósł się do góry.

Usłyszałam trzask drzwi i kroki dudniące po schodach. Pobiegłam piętro wyżej i wypadłam na dach. Owiąło mnie zimne powietrze. Stałam w ciemności, zastanawiając się, co u diabła mam teraz zrobić. Spodziewałam się, że zobaczę Jake'a biegnącego po dachach, ale nigdzie go nie widziałam. Nie byłam pewna jak - i czy - udało mu się uciec z domu.

Przerzuciłam nogi przez brzeg dachu i zeszałam na schody przeciwpożarowe. Psy na dole szalały, czekały wściekle, kiedy schodziłam na swoje piętro. Po chwili szamotaniny otworzyłam okno i wślizgnęłam się do swojego mieszkania. Było ciemno, a ja starałam się zachowywać jak najciszej.

W korytarzu usłyszałam donośne głosy, trzaski i piski policyjnych radiostacji, ciężkie kroki wielkich mężczyzn w twardych butach. Słyszałam, jak Zelda krzyczy:

- Hej, macie nakaz, żeby tu włązić? Słyszycie, co mówię?

Wyjrzałam przez wizjer i na moim piętrze nikogo nie zobaczyłam, więc lekko uchyliłam drzwi. Przez chwilę myślałam, czy po prostu nie zejść na dół i nie wyjść na tyły budynku. Ale widziałam już wystarczająco wiele filmów z gliniarzami, żeby nie wiedzieć, że chyba pogłupieliby, gdyby nie obstawili obu wejść. Kiedy już miałam się cofnąć, zobaczyłam, że drzwi mieszkania Victorii otwarte są na oścież. Widziałam, jak patrzy na mnie otwartymi szeroko ze strachu oczami. Zrobiło mi się jej żal, pomyślałam, że musi się bardzo bać, ale nie byłam w stanie jej pomóc. Szybko, po cichu zamknęłam drzwi i usiadłam plecami do nich. Myślałam, oddychając ciężko, że właśnie ukrywam się przed policją, przekroczyłam barierę prawa. Spadam, machając rękami i nogami w nieznaną ciemność.

Usłyszałam kroki na schodach.

- Jej tutaj nie ma. Mówiłam wam. Wyszła wcześniej i nie wróciła. - Zelda powarkiwała na kogoś.

- Dokąd poszła? - To detektyw Salvo. Słyszałam jego kroki na ceramicznych płytkach przed moimi drzwiami. Głosy zbliżały się coraz bardziej.

- Hej, a co, wyglądam na jej matkę?

Detektyw Salvo zapukał głośno do drzwi, a ja skurczyłam się, bo ciągle się o nie opierałam.

- Coś pan, ogłuchł? - wrzeszczała Zelda.

Wstrzymałam oddech. Zapanowała cisza, a potem on znowu zaczął się dobijać.

- Ridley. Jeśli tam jesteś, wyświadczyć sobie przysługę i wyjdź. Porozmawiaj ze mną. Nie zmuszaj mnie, żebym przychodził z nakazem aresztowa-



nia. Pomoc i współudział, odmowa współpracy w śledztwie policyjnym. Ridley, nie chcę ci schrzanić życia. Ale zrobię to.

Siedziałam cicho jak skamieniała. Nie mogłam stąd wyjść. Musiałabym wydać Jake'a; uciekłam z mieszkania i ukrywałam się przed policją. Nie miałam wyboru, musiałam trzymać się tego, co robiłam. Zaczęłam dzwonić telefon, a ja wstrzymałam oddech. Automatyczna sekretarka włączyła się po dwóch dzwonekach i usłyszałam głos ojca.

- Ridley - powiedział z troską i poważnym głosem. - Twoja matka i ja mieliśmy niepokojący telefon od Alexandra Harrimana. Jesteśmy bardzo zdenerwowani i chcemy z tobą natychmiast porozmawiać. Zadzwoń do nas. - Odłożył słuchawkę.

Tyle, jeśli chodzi o przywileje relacji adwokat - klient. Nie powinien tego robić, prawda? Dzwonić do rodziców? Co im powiedział? Zastanawiałam się nad tym. Cholera.

- Ma pani klucz do tego mieszkania? - Detektyw Salvo zapytał Zeldę.

Zamknęłam oczy i zmówiłam modlitwę.

- Ma pan nakaz?

- Niech pani nie utrudnia sobie życia, pani Impecciate.

- Ma pan nakaz? - powtórzyła spokojnie.

Jakże ja ją wtedy kochałam.

- Nie, nie mam.

- To ja nie mam klucza. - Zeldę łągała w moim imieniu i chroniła mnie. Wiedziała, że nie wyszłam z budynku. Wiedziała też pewnie, że siedzę za drzwiami. Jak na kogoś, kto rzadko kiedy powiedział mi uprzejme słowo, naprawdę narażała się dla mnie. Czy to dlatego, że potajemnie, przez te wszystkie lata, lubiła mnie, czy dlatego, że naprawdę nienawidziła policji.

- Co pan robi?

- Dzwonię na jej telefon komórkowy - powiedział Salvo. - Dopiero z nią rozmawiałem.

Pogmerałam w kieszeni, szukając komórki. Usłyszałam długi pisk, kiedy nacisnęłam guzik, żeby zadzwonić. Macałam w ciemności, szukając wyłącznika i udało mi się go znaleźć, zanim zadzwonił.

- Poczta głosowa - powiedział Salvo jakby do siebie. - Do cholery, Ridley.

Odeszli, nic więcej nie mówiąc. Nie wiem, jak długo jeszcze tam siedziałam. Nasłuchiwałam tylko, aż na górze się uspokoiło, aż ciężkie kroki zeszyły ze schodów i ucichły na ulicy, aż przestałam słyszeć krótkofalówki i grube głosy. Siedziałam tak długo, że po jakimś czasie chyba się zdrzemnęłam.

Zadzwoił telefon, ale ten, kto telefonował, odłożył słuchawkę, gdy usłyszał automat. Jeszcze nie wstałam spod drzwi, kiedy usłyszałam cichutkie pukanie.

- Ridley - dotarł do mnie szept zza progu.

Lekko podskoczyłam i poczułam, że nogi mi boleśnie zdrętwiały. Wstrzymałam oddech, nie wiedząc, co robić.

- Ridley. - Znów usłyszałam ten szept. — To ja, Zelda.

- Zelda?

Lekko uchyliłam drzwi.

- Chodź - powiedziała. - Pokażę ci, którędy wyjść, żeby policja nie widziała. Czekają na zewnątrz, aż wrócisz. Ten gliniarz powiedział, że dostanie nakaz na twoje mieszkanie.

Nie wiedziałam, dlaczego Zelda mi pomaga, i nie było czasu, żeby pytać. Poszłam za nią trzy piętra w dół, przez kuchnię jej restauracji, na podwórko. Przeszliśmy przez sforę warczących psów, które zaczęły skakać na powitanie. Zelda nachyliła się i z wysiłkiem otworzyła metalowe drzwi w ziemi prowadzące do piwnicy. Poszłam za nią po schodach ze schyloną pod niskim sufitem głową. Prowadziła mnie obok rzędów półek z butelkami oliwy i puszkami mięszu pomidorowego, wielkich pojemników z przyprawami, stosów papierowych talerzy, serwetek i skrzynek czosnku. Ich zapachy mieszały się nieprzyjemnie z podziemną stęchlizną.

Po drugiej stronie piwnicy otworzyła kolejne metalowe drzwi. Prowadziły w całkowitą ciemność. Zelda znikła w drzwiach, a ja poszłam za nią, wmacując drogę po ścianie. Znajdowałyśmy się w jakimś tunelu, wilgotnym i zimnym; powietrze było tak stęchłe, że zaczęły mi nabrzmiewać zatoki.

- Ten tunel wychodzi na Jedenastą ulicę - usłyszałam głos Zeldy w ciemności. - Nie wiem, dlaczego tutaj jest, ale biegnie na tyłach piekarni Black Forest. Tu są drzwi, które prowadzą także do ich piwnicy. - Ledwie to powiedziała, dotknęłam czegoś, co przypominało metalową klapę. Cała sytuacja stawała się tak nierealna, że poczułam, jak wzbiera we mnie histeryczny śmiech. Wiedziałam, że jak się roześmieję, natychmiast przerodzi się on w szloch. Stłumiłam chichot i szłam dalej. Po kolejnych kilku minutach usłyszałam, jak Zelda przesuwając jakieś zasuwę, a potem otwiera drzwi na Jedenastą. Poczułam świeże, rześkie powietrze. Nocne niebo było jasne jak w dzień w porównaniu z egipskimi ciemnościami tunelu. Przeszłam obok Zeldy i odwróciłam się do niej, gdy już byłam na ulicy.

- Dziękuję, Zeldo.

Popatrzyła na mnie i jakby rozważała, co odpowiedzieć.

- Uważaj - szepnęła tylko po chwili. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło. Coś dziwnego płonęło jej w oczach. Zamknęła drzwi z głośnym szczękiem.

## Rozdział 23

Czy się uśmiechał? Nie widziałam w ciemnym pokoju zajeżdżającym lekko piwem i śmieciami. Ace nie ucieszył się, kiedy mnie zobaczył u swoich drzwi.

- Co tu robisz? - zapytał przez tę samą szczelinę, przez którą kilka dni temu rozmawiałam z Ruby.

A ja tylko stałam, nie wiedząc, co powiedzieć. Dokąd jeszcze mogłabym pójść? Z pewnością nie do rodziców. To tylko kwestia czasu, zanim policja się z nimi skontaktuje, jeśli już tego nie zrobiła. Nie do Alexandra Harrimana. Był tchórzem, a poza tym było w nim coś, co sprawiało, że mu nie ufałam (i czyż nie wydał mnie rodzicom?). Jakaś część mnie chciała pójść do Zacka, ale stłumiłam tę zachciankę. Byłoby samolubne pędzić do niego, kiedy jestem w kłopotach, szczególnie po tym, co zaszło między nami w ciągu ostatnich paru dni. Wreszcie, po chwili krępującego milczenia, Ace otworzył drzwi. Poszłam za nim. Było tam niewyobrażalnie brudno i okropnie. Ruby leżała na starym, zniszczonym fotelu z wypłowiałym roślinnym wzorkiem i wyłazającym włosiem. Pomyślałabym, że nie żyje, gdybym nie widziała jej na ulicy. Cieniutka strużka śliny spływała z kącika jej ust na policzek.

- Co jej jest? - zapytałam.

- Nic - odparł chłodno. - Co się dzieje?

Żołądek mi się ścisnął, a w gardle zaschło.

- Dlaczego zawsze jesteś takim dupkiem? ~ zapytałam. - Myślisz, że przyszedłbym tutaj, gdybym nie musiała?

Zaczęłam płakać. Nie był to taki szloch, jak po śmierci Christiana Luny, ale podobny. Usiadłam na łóżku, a on usiadł obok mnie. Pozwolił mi się wypłakać, trzymając rękę na moich plecach. Kiedy się uspokoiłam i już wycierałam łzy i smarki w serwetkę z delikatesów, którą wyjął z pobliskiej kupy śmieci, odezwał się.

- Po prostu powiedz mi, Ridley, co się stało. Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

A to niewiele, nie dodał, ale można było się tego domyślić. Opowiedziałam mu wszystko, co zdarzyło się, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

- Ben i Grace muszą się wściekać. - Roześmiał się. - Mała, doskonała Ridley ucieka przed policją. Prawdopodobnie urządzili konferencję z Zakiem i Esme i debatują, co z tym fantem począć.

W jego głosie było tyle wściekłości, że mniej by zabolało, gdyby uderzył mnie w twarz. Teraz to widziałam: zazdrość, nienawiść. Wcześniej nigdy nie były tak jawne. Pomyślałam o tym, co powiedział ojciec i co sugerował Jake, że może Ace ma coś z tym wspólnego. Przez chwilę widziałam brata tak, jak widzieli go inni: podły, nic niewart, ktoś, kto chce mnie tylko zranić. Byłam taka smutna. Jak to wam powiedzieć: po prostu bardzo smutna.

- Widziałam cię - powiedziałam. - Czekałeś przed moim domem jakiś czas temu. Co tam robiłeś?

Wzruszył ramionami, odchylił się i oparł na łokciach. Patrzył na ścianę.

Na samym początku, kiedy przeprowadziłam się do Nowego Jorku i zaczęłam spotykać z bratem, fantazjowałam na jego temat, że mnie potajemnie obserwuje, śledzi, na wypadek, gdybym wplątała się w jakieś kłopoty. Śniłam na jawie, że chcą mnie obrabować w jakimś zaułku, a brat wyskakuje zza puszek na śmieci, żeby mnie uratować. Potem zanosì mnie do mojego domu i opiekuje się mną, dopóki nie poczuję się lepiej. Później on wraca do swojego życia, a ja do swojego, pewna, że zawsze mi pomoże, że nade mną czuwa. W innej fantazji idziemy razem do domu rodziców, następuje łzawe pojednanie i wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Dość to smutne, wiem. Ale małe dziewczynki wychowywane są na bajkach o czarodziejkach. Czemu się dziwić, że potem chcemy, żeby wszystko, co mroczne w naszym życiu, kończyło się szczęśliwie? Nikt wam przecież nie mówi, że życie musi być smutne.

- Czy mi wreszcie odpowiesz? - zapytałam.

- Czekałem na ciebie. Potrzebowałem pieniędzy. Ale zszedł do mnie twój zbir. Dałem nogę.

- Mój zbir?

- Nowy chłopak, czy kto tam. Lepiej uważaj na tego faceta. Idę o zakład, że nie jest tym, za kogo go masz.

Popatrzył na mnie nieprzyjaźnie. Miałam ochotę uderzyć go w tę głupią gębę.

- A co ty o nim wiesz? Co ty w ogóle wiesz?

Znów wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

- Nie zawsze mnie nienawidziłeś, prawda? - zapytałam. - Pamiętam, że mnie kochałeś, kiedy byliśmy dziećmi.

Uśmiezek (tak on się uśmiechał) znikł mu z twarzy. Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Ja nie czuję do ciebie nienawiści, Ridley. I nigdy nie czułem.

Patrzyłam mu w oczy, aż odwrócił wzrok.

- Tylu rzeczy nie rozumiesz - powiedziała, kiwając powoli głową.

- Myślę, że doskonale rozumiem. - W piersiach wrzał mi straszny gniew. - Chodzi o Maksę, prawda?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Co ci się wydaje, że wiesz, Ridley?

- O pieniądze, które nam zostawił.

Odetchnął i przewrócił oczami.

- Chciałaś powiedzieć, że zostawił tobie.

- Tobie też, Ace, jeśli weźmiesz się w garść. - Nie spodobało mi się, jak to zabrzmiało, jakby to było takie łatwe, lecz chyba jakaś część mnie sądziła, że Ace wybrał sobie takie życie. Może narkotyki zawładnęły nim bez reszty. Skoro jednak można wybrać branie, to można także wybrać skończenie z braniem. Droga jest długa i trudna, najeżona przeszkodami zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi, ale to pierwszy krok stanowi o wyborze, prawda? Dysponował środkami. Pomoc tylko czekała na niego.

- Kto ci to powiedział? Tato? - zapytał, wstając.

- A co to za różnica? To przecież prawda?

- Jak zwykle nie masz pojęcia, o czym mówisz. Żyjesz we własnym, małym światku, świecie Ridley, gdzie wszystko jest białe i czarne, słuszne i niesłuszne. Chodzi tylko o wybór, zgadza się? O słuszny wybór.

Myślicie, że tylko wam palnęłam mowę na temat wyborów? Jak widzicie, Ace zupełnie tego nie zrozumiał. Wstałam i ruszyłam w kierunku drzwi. Trzęsłam się z gniewu i smutku, żołądek całkiem już mi się zbuntował. Przeszłam po pomoc i pociechę, ale przekonałam się, że nie ma dla mnie ani jednego, ani drugiego, a jeśli nawet ma, to i tak nie da. Chciałam od niego uciec i chciałam do niego podbiec, zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się jak najmocniej. Nienawidziłam go i kochałam.

- Życie nie jest takie proste, Ridley.

Nie wiedziałam, jak mu odpowiedzieć; nie ufałam swojemu głosowi. I z nim zdołałam powstrzymać łzy, znów się rozpląkałam. Nigdy nie twierdziłam, że życie jest proste. Nigdy tak nie uważałam.

- Poddaj się im, Ridley, zadzwoń do mamy i taty. Wyjdiesz z tego cało. Jak zawsze.

Taki kwas ze strony tego człowieka, którego kochałam, odkąd on był chłopcem, a ja małą dziewczynką. Mój brat. Kochałam go tak długo i nie zadawałam

pytań. Nie wiedziałam, że mnie nienawidzi. A może po prostu nienawidził siebie. Słowa Esme na temat Maksa wróciły do mnie. „Nie wyciśniesz krwi z kamienia. Możesz próbować, ale to ty będziesz krwawić”.

Wysłałam, trzaskając za sobą drzwiami. Poczułam, jak wibruje podłoga pod moimi stopami. Zbiegłam ze schodów na pustą ulicę. Nie wiedziałam, w którą stronę się zwrócić, dokąd pójść. Usiadłam na ławce na skwerze Tompkinsa. Wszechświat chciał mi coś powiedzieć. Jesteś zdana na siebie, kotku.

Pojechałam do West Village. Najpierw zrobiłam coś dziwnego. Pojechałam pociągiem do Dziewięćdziesiątej Szóstej, a potem wysłałam na ulicę i zatrzymałam taksówkę. Zawiozła mnie do Barnes & Noble'a; weszłam drzwiami od Broadwayu i wysłałam drugim wejściem. W bankomacie podjęłam kilka setek, tyle, ile maszyna mogła mi wydać. Potem wskoczyłam do kolejnej taksówki. Przez cały czas wypatrywałam skinheada, policjantów i wszystkich, którzy mogli wydać mi się podejrzani. Uznałam, że nikt mnie nie śledzi. Ale byłam nowicjuską. W uszach dźwięczało mi ostrzeżenie Jake'a, zanim uciekł przed policją, i chyba nie muszę wam mówić, że byłam śmiertelnie przerażona.

Zameldowałam się w obskurnym hotelu przy Washington Square, przed którym przechodziłam parę razy. To jedno z tych miejsc, które na przekór próbom remontu nadal wyglądają to, czym były - na miejsce dla ludzi, którzy płacą z góry gotówką. Portierem był stary mężczyzna w dżinsowej koszuli z płamą na kieszeni na piersi, chyba po keczupie. Jego pomarszczona twarz wyglądała, jakby nosił gumową maskę. Nawet na mnie nie spojrzął, tylko wziął ode mnie pieniądze i wręczył mi klucz.

- Pokój 203. Winda po prawej. Schody po lewej.

Jestem pewna, że nie rozpoznałby mnie podczas policyjnej konfrontacji. Pomyślałam, że to chyba zawodowe. Dziwne, ale chciałam, żeby na mnie spojrzął. Chciałam, żeby przyjął do wiadomości, iż nie jestem duchem.

- Przyjemnej nocy - powiedziałam, ociągając się przy kontuarze, a on bez słowa odwrócił się i poszedł do swojego biura.

Pokój był dość czysty, ale w łazience kafelki były wyszczerbione, na suficie widniały zacieki po wodzie, a zasłony pożółkły od papierosowego dymu. Nigdy nie byłam tak samotna, jak tamtej nocy, kiedy leżałam na łóżku, patrzyłam przez okno na pomarańczowy blask lamp, nasłuchiwałam hałasów dochodzących z zewnątrz i nikt nie wiedział, gdzie jestem ani co się ze mną dzieje. Czułam się tak, jakby ktoś zrobił mi w piersi dziurę na wylot, a w niej hulał wiatr, wydając pusty, żałobny świst, który towarzyszył mi przez całą noc.

## Rozdział 24

Poniedziałkowy poranek. Po bezsennej nocy wzięłam taksówkę i pojechałam na parking, gdzie zostawiłam wynajętego dżipa, po czym wróciłam do New Jersey. Po drodze zatrzymałam się w kawiarni internetowej przy Trzeciej Alei i za pomocą MapQuest znalazłam mapę prowadzącą prosto do drzwi Lindy McNaughton. Trochę to zwariowane, pomyślicie, że każdy może wprowadzić wasz adres do komputera i poznać precyzyjną trasę wiodącą do waszego domu, ale wtedy działało to na moją korzyść. Nie mogłam narzekać. Skorzystałam z karty kredytowej. Nie miałam wyboru. Poza tym wydarzenia ubiegłego wieczoru zaczynały wyglądać surrealistycznie, a ja zyskałam dziwny dystans do świata. Tyle się wydarzyło, odkąd dzwoniłam do Lindy McNaughton. Przestałam tak intensywnie myśleć, że mój chłopak (bo przecież nim był, prawda?) uciekł policji (prawdę mówiąc, ja też), a mój brat nienawidził mnie, i to, jak widać, od lat.

Kiedy tylko znalazłam się na autostradzie, zadzwoniłam z komórki do ojca.

- Ridley - powiedział, usiłując zawrzeć w dwóch sylabach gniew, niepokój, ulgę i miłość. - Powiedz mi, co się dzieje. Natychmiast.

- Nic, a co? - zapytałam.

- Ridley.

- Tato, wszystko jest w porządku - skłamałam. - Chcę tylko, żebyś opowiedział mi o projekcie „Na ratunek”.

Chwila milczenia.

- Ridley, musisz natychmiast przyjechać do domu. Rozmawialiśmy z Alexandrem Harrimanem. Była tu rano policja.

To smutne, kiedy rodzice coś wam każą, a wy jesteście za starzy, żeby ich posłuchać. Widać tu rozdziew pomiędzy tym, co o was sądzą, a tym, czym naprawdę jesteście. Trzymają się myśli, że wciąż pozostajecie małymi istotami pod ich kontrolą, i potrzeba wiele czasu, zanim dotrze do nich fakt, że jest inaczej.

- Nie mogę przyjechać do domu, tato. Muszę się zorientować, co się dzieje. Opowiedz mi o projekcie „Na ratunek”.

- Projekt „Na ratunek”? Ridley, o czym ty mówisz?

- Tato, powiedz! - Te słowa wyrzeszczałam. Nigdy jeszcze nie krzyczałam na ojca i było w tym coś, co mi się spodobało.

Długo nic nie mówił, aż pomyślałam, że odłożył słuchawkę. Potem usłyszałam, jak oddycha.

- Tato.  
- Była to grupa odpowiedzialna za przeprowadzenie ustawy o bezpiecznym schronieniu. - Jego głos brzmiał dziwnie, a w słowach były jakieś podteksty.

- Nie. To coś więcej. - Zdałam sobie sprawę, że jadę bardzo szybko i nie dam rady skręcić. Zwolniłam i zjechałam we właściwą ulicę.

Westchnął.

- No cóż. Bezpieczne schronienia należące do projektu „Na ratunek” istniały już dość wcześnie. Zazwyczaj przy kościołach i przychodniach, czasem przy współpracujących z organizacją sierocińcach. To było, zanim wprowadzono nową ustawę, toteż, chociaż nie była to działalność nielegalna, me była też usankcjonowana prawem. Zawsze myśleliśmy o tym jak o swego rodzaju podziemnej kolei.

- Kto to założył? Max?

- Tak. I inni. - Wydawał się zmęczony. Miałam wrażenie, że głos lekko mu drży, ale mogła to być wina telefonu komórkowego.

- I co się działo w tych miejscach?

- To samo, co dzieje się teraz. Matka może spokojnie zostawić tam dziecko. Będzie nad nim roztoczona opieka przez siedemdziesiąt dwie godziny. Jeśli przed upływem tego czasu matka zmieni zdanie, będzie mogła przyjść po niemowlę. Uzyska poradę i wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebowała.

- A jeśli nie wróci?

- Wtedy dziecko zostaje włączone do systemu opieki nad dziećmi.

- Byłeś w to zaangażowany?

- Ależ nie. Chociaż niektóre z przychodni, gdzie przez te lata pracowałam charytatywnie, należały do projektu i kiedy znalazło się tam jakieś porzucone dziecko, zajmowałam się jego leczeniem jak w przypadku każdego innego dziecka.

- Ale czy łamałeś prawo?

- W zasadzie nie. Nie było prawa zakazującego udzielania pomocy medycznej potrzebującemu jej, porzuconemu dziecku, o ile porzucenie zostało zgłoszone w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Więc poruszaliście się na granicy prawa.

Znów westchnął.

- Oczywiście, w najlepiej rozumianym interesie dzieci.

To miało sens, że ojciec pomagał dzieciom. Widać to było po nim. Ale ta logika wydawała mi się cokolwiek naciągana. Bo niby po co się trudzić, żeby wydobyć dziecko z potencjalnie niebezpiecznej sytuacji tylko po to,



żeby umieścić je w równie wadliwym systemie sierocińców? Pomyślałam o doświadczeniach Jake'a z dzieciństwa.

Czegoś mi tu brakowało. Odpowiedzi miałam przed nosem, ale ich nie widziałam. Byłam zmęczona, za dużo tego się nagromadziło. To jest tak, jak kiedy zaczyna się pracę nad realizacją jakiegoś wielkiego planu, jak uporządkowanie własnej szafy. Wszystko, co macie, leży na podłodze i łóżku, szafa jest pusta, a potem wpadacie w letarg. Zastanawiacie się, po co to w ogóle zaczęliście. Mnie brakuje energii, żeby zakończyć. Ale nie można po prostu odejść, jest na to za późno. Wiem, że mogłam zadać ojcu milion pytań, tymczasem nie byłam w stanie wymyślić ani jednego.

- Co powinienem powiedzieć, żebyś przyjechała do domu?

Myślałam nad tym przez sekundę.

- Powiedz mi, że nie ma niczego, co powinnam wiedzieć, że wplątałam się w coś, co nie ma ze mną nic wspólnego, i straciłam perspektywę.

Wahanie było prawie niewyczuwalne.

- Ridley, nie ma niczego, co powinnaś wiedzieć.

Nie wiem dlaczego, ale miałam chłodną pewność, że ojciec kłamie. W tle słyszałam głos matki.

- Powiedz Ridley, że jej pokój jest gotowy. Alex zajmie się wszystkim, a ona może u nas zostać, aż wszystko się przewali.

- Zadzwoń do ciebie, tato. Spróbuj się nie zamartwiać.

Słyszałam jeszcze jego głos, kiedy odsunęłam telefon od ucha i wyłączyłam go. Brzmiał cichutko, był dalej niż kiedykolwiek. Praktycznie nikomu na tym świecie nie mogłam ufać.

Okazało się, że Linda McNaughton mieszka w podwójnej przyczepie na dobrze utrzymanym parkingu dla przyczep mieszkalnych przy Trasie 206, w miasteczku o nazwie Zagubiona Dolina. Przyczepa była ładna z oknami skrzydełkowymi i aluminiowym sidingiem. Stała przy ulicy naprzeciwko biblioteki publicznej. Pani McNaughton podeszła do drzwi z uśmiechem, ale tylko lekko je uchyliła. Nie zadzwoniłam, żeby zapowiedzieć wizytę, bojąc się, że odmówi spotkania.

- Czym mogę pani służyć?

- Cześć, pani McNaughton - powiedziała wesoło, uśmiechając się jak skautka. - Jestem Ridley... ostatniego wieczoru rozmawialiśmy przez telefon.

Uśmiech szybko zniknął z jej twarzy.

- Co pani tutaj robi?

- Byłam w mieście, przygotowując materiały do mojego tekstu, i pomyślałam, że może byśmy trochę dłużej porozmawiały. Właściwie, to myślałam, że może pani ma zdjęcie Charliego i pożyczycyła mi je pani.

Zmrużyła oczy. Były w nich podejrzliwość i gniew.

- Nie mam zdjęcia i więcej nie mam pani nic do powiedzenia. Proszę odejść. - Zamknęła przede mną drzwi. Szybko.

- A jeśli - powiedziałam przez drzwi, pewna, że nadal za nimi stoi i obserwuje mnie przez wizjer - powiedziałyby pani, że Charlie może żyje?

Usłyszałam westchnienie i natychmiast poczułam się niewyraźnie. W końcu nie mam żadnego dowodu, że Charlie żyje. Ale kiedy leżałam na hotelowym łóżku przez całą noc, rozmyślając o sobie, o tym, co powiedział mi Christian Luna, o tym, czego dowiedziałam się o innych zaginionych dzieciach, o wujłoi Maksie, o słowach Ace'a, złapałam bakcyła, który teraz, szczególnie po rozmowie z ojcem, zaczął się rozprzestrzeniać jak wirus.

Drzwi znów się otworzyły, tym razem na oścież, a twarz Lindy złagodniała. Stanęła z boku, przepuszczając mnie do środka.

W saloniku usiadłam na sztywnej beżowej kanapie pokrytej plastikiem i wypijałam trochę kawy, którą mnie poczęstowała, słabej i gorzkiej. Linda miała na sobie szary dres, który świetnie pasował do jej siwych, krótko obciętych włosów. Jej twarz wyglądała jak krajobraz zmarszczek i obwisłej skóry, ale bystre, niebieskie oczy patrzyły uważnie i skrzyły się inteligencją. Usiadła naprzeciwko mnie i zaczęła mi się przyglądać. Otaczały nas żółwie - figurki żółwi, żółwie wymalowane na poduszkach i talerzach, wypchane żółwie, żółwie ruchome.

- Wie pani - powiedziała, kiedy zobaczyła, że się rozglądam - ja tam szczególnie nie uwielbiam żółwi. To tamtego roku mąż kupił mi złoty wisior w kształcie żółwia, kiedy byliśmy na żółwiej farmie na Morzu Karaibskim. Narobiłam tyle hałasu, że mi się podoba, że od tamtego czasu wszyscy zaczęli kupować mi żółwie. I tak to już trwa.

Patrzyła na mnie niemal przepraszając i śmiała się, zakłopotana. Uśmiechnęłam się do niej, odstawiłam filiżankę na stół. Wstała i podeszła do półki z książkami po drugiej stronie pokoju. Wróciła z małą fotografią w cynowej ramie. Podała mi ją. Była na niej para z małym dzieckiem. Chłopczyk, około dwóch lat, w koszulce w czerwono-białe paski i dżinsowych szortach, siedział na kucyku. Mężczyzna, chudy i brodaty, stał z boku z nieśmiałym uśmiechem, trzymając opiekuńczą dłoń na udzie dziecka. Kobieta, mała jak myszka, garbiła się, a na twarzy miała promienny uśmiech.

Nie wiem, czego spodziewałam się po Michaelu i Adele Reynoldsach. O mężczyźnie wiedziałam tylko tyle, że był uzależniony od heroiny. Adele

próbowała porzucić dziecko. Ale na fotografii widziałam dwoje ludzi trochę steranych życiem, a jednak cieszących się dniem spędzonym z synkiem. Ten obraz nie pasował do wyobrażenia, który podświadomie sobie wytworzyłam. Zaskakiwał mnie. Wyobrażałam ich sobie bowiem jako ludzi zimnych, samolubnych, nieuprzejmych, zaniedbujących wszystko. I może takimi czasem bywali. Ale czasem byli też kochający, szczęśliwi, opiekuńczy dla dziecka. Może Adele chciała oddać Charliego, bo bała się, że nie dorosła do odpowiedzialności wiążącej się z wychowywaniem dziecka, myślała, że będzie mu lepiej pod opieką kogoś innego. Zawsze złościłam się, że Zack osądzał Ace'a jednostronnie, na podstawie jego nałogu, a podświadomie zrobiłam to samo wobec Adele i Michaela.

- Kiedy dobrych chwil jest bardzo mało, zapamiętuje się je dokładniej - powiedziała Linda. - Pamiętam ten dzień, drugie urodziny Charliego. Wszyscy byliśmy szczęśliwi. Moja córka Adele umarła miesiąc później. Charlie zaginął. Potem odszedł Michael. W ciągu półtora roku. Straciłam ich wszystkich.

Serce mi się ścisnęło, gdy wyobrażałam sobie, jaki to musiał być cios i jak musiała się czuć, kiedy świat dla niej pociemniał. Popatrzyłam na nią, spodziewając się, że zobaczę łzy w jej oczach albo wyraz smutku na twarzy. Ale ona tylko patrzyła na zdjęcie z półuśmiechem, jakby wszystkim, co jej zostało, była smutna rezygnacja, przekonanie, że niczego nie da się zmienić.

Nawet Lindę osądziłam. Wyobrażałam ją sobie jako kogoś, kto za mało kochał Adele, kto postanowił nie pomagać jej w krytycznej chwili, kiedy nie była w stanie zająć się Charliem. Okoliczności, w jakich wyrastałam, w domu, w którym zawsze był nadmiar pieniędzy i miłości, sprawiły, że myślałam, iż wszyscy mają dostęp do takich samych, nieograniczonych zasobów. Wstyd mi przyznać, ale dopiero w chwili, gdy znalazłam się w otoczeniu zółwi Lindy McNaughton, zrozumiałam, że nędza nie jest abstrakcyjną koncepcją, że czasem ludzie po prostu mają za mało miłości albo pieniędzy, żeby odpowiednio zadbać o dziecko. Nie można ganić ich za to, że nie dają tego, czego sami nie mają, prawda?

- Jest pani pewna? - zapytała nagle, patrząc na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Czy ma pani dowód, że on żyje?

Widziałam, jak z lekka trzęsą się jej ręce, jakby nadzieja przepełniła ją podnieceniem.

- Nie - przyznałam, patrząc jej w oczy. - Jeszcze nie.

Usiadła z westchnieniem i odwróciła ode mnie wzrok. Patrzyłam na zdjęcie, które trzymałam w ręku. Obraz był niewyraźny, twarze zamglone i półzółkłe od upływu czasu.

- Próbuję nie mieć wielkich nadziei. Takich jak w ubiegłym roku.
- W ubiegłym roku?

- Przyszedeł młody facet. Mniej więcej w pani wieku. Powiedział, że jest detektywem zajmującym się zamkniętymi sprawami. Tak je nazywają. Kontaktował się ze mną kilkakrotnie i zadawał pytania w rodzaju, kto był pediatrą Charliego, czy kiedykolwiek był na ostrym dyżurze, jak często. Powiedziałam mu, co wiedziałam. Ale po jakimś czasie przestał dzwonić. Raz ja do niego zadzwoniłam, a on mnie zapewnił, że nadal nad tym pracuje, i obiecał, że zadzwoni, jak tylko coś znajdzie, ale już więcej o nim nie słyzałam. Śmieszne. Niedawno myślałam, żeby do niego zatelefonować.

- Kiedy?

- W stosie starych dokumentów natrafiłam na metrykę urodzenia Charliego. Pomyślałam, że mogłoby to mu pomóc.

- Proszę pani, czy mogłabym na nią zerknąć?

- Jasne. - Wstała i podeszła do biurka w rogu pokoju.

Pochyliłam się do przodu.

- Ten człowiek, który się z panią skontaktował, pamięta pani jego nazwisko?

- Hm, mam jego wizytówkę razem z metryką Charliego. Nie przeczytam bez okularów.

Wręczyła mi wizytówkę. Poczułam ściskanie w żołądku, kiedy patrzyłam na kremowy kartonik zadrukowany na czarno. JAKE JACOBSEN, PRYWATNY DETEKTYW.

Wróciły wspomnienia niektórych, wspólnie spędzonych chwil. Pamiętam jego dziwny ton, kiedy mówiłam mu o innych zaginionych dzieciach, pamiętam, że w ogóle go to nie zaskoczyło. Zastanawiałam się, jak udało mu się zdobyć tyle informacji o ich rodzicach za pośrednictwem Internetu. Przypomniałam sobie też, jak szybko określił, skąd pochodzi wycinek prasowy przysłany przez Christiana Lunę. Jaki był zaniepokojony, gdy dowiedział się, że powiedziałam detektywowi Salvo, co znalazłam. Małeńkie ziarenka strachu zaczęły rosnać mi w piersi. On wiedział, pomyślałam. On już wcześniej wiedział o innych zaginionych dzieciach.

- Panno Jones, dobrze się pani czuje? Musiałam dłuższy czas siedzieć i gapić się na wizytówkę, a ona wyciągała do mnie rękę z dokumentem.

- Przepraszam - powiedziałam.

- To metryka urodzin Charliego. Kopia, proszę ją zatrzymać.

Spojrzałam na nią, złożyłam i wsunęłam do wewnętrznej kieszeni kurtki. Podniosłam wzrok. Linda mi się przyglądała.

- Nie powiedziała mi pani dlaczego, dlaczego sądzi pani, że Charlie może jeszcze żyć.

Pomilczałam sekundę, a potem odpowiedziałam tak uczciwie, jak tylko mogłam w tej chwili.

- Boja żyję.

Pokręciła głową, nie rozumiejąc.

- W tym samym roku zaginęło kilkoro innych dzieci. Przynajmniej jedno z nich żyje i ma się dobrze. Mam nadzieję, że to samo dotyczy Charliego.

Popatrzyła na mnie, a ja spostrzegłam ostrożną radość na jej twarzy. Ukłuło mnie poczucie winy.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała i złączyła dłonie jak do modlitwy.

Wstałam, uściśnęłam jej rękę i podziękowałam za pomoc. Obiecałam, że oddam fotografię i nie zostawię jej z samymi pytaniami.

Stała u drzwi i unosiła rękę w geście pozdrowienia, kiedy wsiadałam do dżipa i wyjeżdżałam ze żwirowanej alejki na autostradę. Pomyślałam, że nadzieja nie zawsze jest darem.

Kiedy wjechałam na trasę 206, zobaczyłam w tylnym lusterku, jak zbliża się czarny firebird z przyciemnionymi szybami. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Zatrzymałam się na poboczu, oczekując, że tamten wóz zatrzyma się za mną. Ale się nie zatrzymał. Przejechał z rykiem silnika. Ulga i rozczarowanie wezbrały mi w piersi. Gdy patrzyłam, jak samochód znika za zakrętem, przypominałam sobie, jak Jake mówił, że policja zatrzymała jego wóz. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Żywiłam teraz wobec niego nowe podejrzania. Jeśli już wcześniej wiedział o innych zaginionych dzieciach, to znaczy, że wiedział o Jessie Stone. Wiedział o tym, zanim mnie poznał. Starłam się odgadnąć, co to mogło znaczyć, ale ciężka kurtyna przesłoniła mi umysł. Nie chciałam się teraz tym zajmować.

Wróciłam na autostradę i pojechałam w stronę Skully's Mountain. I do Hackettstown. Nie miałam lepszego pomysłu, więc postanowiłam odwiedzić przychodnię, do której Teresa Stone zabierała Jessie. Co tam będę robić? Doprawdy nie wiedziałam. Musiałam zacząć być twórcza. Działałam zgodnie z wiarą że wszechświat odśłania prawdę, a kłamstwa szybko się demaskują.

Niebo przybrało kapryśny szaroczarny odcień, grożąc śniegiem. Jechałam pod baldachimem drzew i zrobiło się tak ciemno, że włączyłam reflektory. Przemknęłam przez centrum małego miasteczka i skręciłam z głównej trasy w mniejszą drogę, która wiała się w górę Skully's Mountain. Była to wąska

aleja i kiedy zatrzymałam się na jednopasmowym moście u podnóża stramego podjazdu, zobaczyłam, że przed stoczeniem się w nurt szerokiej, rwącej rzeki zabezpiecza tylko drewniana balustrada.

Właśnie wtedy po raz drugi zobaczyłam w lusterku wstecznym firebirda. Nie wiedziałam, jak jechał za mną. Nie widziałam kierowcy, ale przeszył mnie dreszcz. Nacisnęłam gaz do dechy i dżip spalił trochę gumy, zanim wyrwał się pod górę.

Ale dżip nie może się równać z firebirdem. W sekundę był tuż za mną, jego reflektory oślepiająco odbijały się w lusterkach. Usłyszałam głuchy łoskot, gdy staranował mnie z tyłu. Na filmach, kiedy samochód zostaje uderzony od tyłu, nie wygląda to szczególnie niebezpiecznie. Miałam wrażenie, że ziemia pod moim wozem ucieka, głowa poleciała mi do przodu, a potem ostro do tyłu. Podskoczyłam i nieświadomie wypuściłam na sekundę kierownicę. Dżip zjechał, ku memu przerażeniu, w stronę krawędzi drogi, zanim zdołałam złapać ponownie kierownicę. Skręciłam gwałtownie i przejechałam na przeciwległy pas, kiedy zza zakrętu wyjechał drugi samochód i przemknął obok z rykiem klaksonu.

Śmiertelny strach spowalnia wszystko. Czułam się jak w pętli czasu, kiedy firebird znów mnie staranował. Słyszałam tylko własny, urywany oddech, kiedy wjechaliśmy na następny ostry zakręt. Dodałam gazu, ale firebird był szybszy; uderzył mnie mocniej niż poprzednim razem. Łzy napłynęły mi do oczu, drogę widziałam w wilgotnej, zamglonej otulinie.

- Przestań! - wrzasnęłam bez sensu.

Kolejne uderzenie posłało dżipa na przeciwny pas. Wpadł na górską barierkę i tylko iskry się posypały, kiedy się od niej odbił. Firebird szybko podjechał, tak że nie mogłam wrócić na swój pas. Obejrzałam się, ale zobaczyłam tylko przyciemnioną szybę. Nagle gniew rozproszył mgłę strachu spowijającą mój umysł. Nie wiedziałam, kto prowadzi tamten samochód, i nic mnie to nie obchodziło. Ostro zakręciłam kierownicą, wbijając bok dżipa w firebirda. Nie bez powodu firebirdy nazywa się mocnymi wozami. Odniosłam wrażenie, jakbym uderzyła o kamienny mur. Samochód zachwiał się trochę, ale nie zjechał z trasy. Wtedy naprawdę się wkurzyłam. Rąbnęłam ponownie, jeszcze mocniej, nie zważając, że może nas to wyrzucić na stok. Jechaliśmy tak razem, w koszmarnym zgrzycie metalu trącego o metal. Wtedy, tuż za zakrętem, zobaczyłam blask reflektorów nadjeżdżającego wozu.

Firebird nie zjechał w bok. Nacisnęłam klakson z nadzieją, że zaalarmuje nadjeżdżających z przeciwka kierowców. Wiedziałam, że jeśli ostro zahamuję na zakręcie, przewrócę dżipa albo wejdem w kolizję czołową ze zbliża-

jącym się wozem, bo nie starczy mi czasu, żeby zjechać na prawą stronę. Ponownie nacisnęłam klakson, modląc się, żeby kierowca mnie usłyszał i zwolnił, ale właśnie wtedy firebird dodał gazu i odjechał. Szarpnęłam kierownicą i wróciłam na prawy pas. Przysięgam, dwie minuty później ciężarówka Dodge wypadła z ogromną szybkością zza zakrętu. Przemknęła obok mnie, a gniewny klakson dał mi reprimendę za nieostrożną jazdę. Patrzyłam, jak firebird niknie za kolejnym zakrętem.

Nadepnęłam na hamulec i się zatrzymałam. Rękami ścisnęłam kierownicę, zęby miałam zaciśnięte, każdy mięsień mojego ciała płonął od adrenalin. Nie mogłam opanować dreszczy. Szlochałam z głową na kierownicy, dopóki nie zobaczyłam samochodu zbliżającego się z tyłu. Przejechałam niepewnie całą resztę trasy pod górę, a kiedy z niej zjechałam, zatrzymałam się przy Burger Kingu dla zmotoryzowanych i zamówiłam sobie koktajl mlecznoczekoladowy i frytki. Wielkie porcje. Na górskiej drodze omal mnie nie zabito, a usiłował to zrobić zapewne człowiek, z którym sypiałam, więc pomyślałam, że mogę sobie pozwolić na taką ucztę. Siedziałam na parkingu cała we łzach i wpychałam sobie tłuste frytki w usta, niemal się dławiąc.

Miałam zamęt w głowie. Jakoś nie mogłam ogarnąć tego wszystkiego, co mi się przytrafiło. Nie wiedziałam, co teraz robić. Nie byłam w stanie zidentyfikować kierowcy, ale to musiał być samochód Jake'a. Czy to on siedział za kierownicą? Dlaczego chciałby mnie skrzywdzić? Jeśli nie on, to kto? Jak zdobył jego wóz? I w kółko to samo pytanie: dlaczego to wszystko się dzieje? Kiedy siedziałam, sącząc koktajl, nadal nie panując nad dreszczami, ogarnęło mnie dojmujące poczucie samotności. Ale przestałam płakać. Byłam teraz ponad to. Zabrakło mi łez.

Co robicie, kiedy przekonacie się, że fundamenty waszego życia zbudowane zostały z piasku i teraz wał się wszystkie ściany? Dokąd idziecie? Błądziłam myślami, jakbym chciała dać wychnąć nadwężonemu mózgowi. Coś sprawiło, że pomyślałam o matce.

W latach po ukończeniu college'u co środę i piątek jechałam pociągiem na zajęcia z jogi w Upper East Side. Koszmarna pora, od szóstej do siódmej trzydzieści rano, ale stwierdziłam, że znacząco podnosi to moją produktywność w dzień. Pewnego szczególnie zimnego lutowego poranka, kiedy jeszcze było ciemno, poszłam Czternastą ulicą i na Union Square zeszłam do stacji metra. Byłam na wpół śpiąca, kiedy nadjechał mój pociąg. Stał chwilę na stacji, a ja patrzyłam przez okno. Polatywał tam królewski motyl. Zdawał się lewitować za szybą, gdy przyglądałam mu się zdziwiona. Zdumiało mnie, że pojawił się tutaj, w tym mrocznym, podziemnym lochu, i to zimą. Jak

udało mu się przetrwać na chłodzie? Ale przecież był. Rozejrzałam się po przedziale, czy inni pasażerowie też go widzą, ale wszyscy drzemali albo czytali. Nie zauważyli tego maleńkiego cudu. Kiedy znów spojrzałam w okno, motyla już nie było. Drzwi się zamknęły i pociąg odjechał ze stacji.

Wpadło mi do głowy, nie wtedy, ale teraz, kiedy siedziałam na parkingu w zmasakrowanym dżipie, że taka była moja miłość do matki. Zza szyby, w pociągu, który zawsze odjeżdżał. Matkę można było podziwiać za jej urodę, wdzięk, za siłę charakteru. Ale była odległa i ulotna, jak królewski motyl. Była kimś, na kogo można popatrzeć, ale nie można go dotknąć. Pewnie byłoby inaczej, gdyby nie straciła Ace'a. Bo sądzę, że wszyscy, gdzieś w głębi serca, wiedzieliśmy, że była to jej jedyna, prawdziwa miłość, i kiedy ją opuścił, nigdy całkiem nie odzyskała równowagi psychicznej. Mimo całego tego zaognionego konfliktu uwielbiała go. Jakiś blask z niej emanował, gdy patrzyła na mojego brata. Kiedy odszedł, na scenie zapanowała ciemność. I wszyscy, błądząc po omacku, szukaliśmy nowych ról w reżyserowanym przez nią spektaklu.

Chyba ją trochę za to nienawidziłam, choć bardzo ją kochałam. W głębi serca zawsze sądziłam, że gdyby miała zrezygnować z któregoś z nas, byłaby to ja. Że wymieniłaby mnie w mgnieniu oka na niego, gdyby do niej wrócił. Może nie była to prawda, ale tak uważałam przez większą część młodości i dorosłego życia.

W życiu jest jednak inaczej. Nie można dokonywać transakcji z losem. Przynajmniej tak mi się wydawało.

## Rozdział 25

Uszkodzenia były ogromne. Mogłam to poznać po tym, jak inni kierowcy omijali mnie szerokim łukiem na parkingu, a potem wykręcali szyje, żeby popatrzeć. Dżip był w bardzo złym stanie. Wysiadłam i obeszałam go. Wyglądał tak, jakby o włos uniknął zgniatacza. Burty, zarówno od strony kierowcy, jak i pasażera, były podrapane i wgniezione w miejscach, w których uderzały na przemian o firebirda i górską barierę. Cieszyłam się, że zainwestowałam w dodatkowe ubezpieczenie.

Powinnam była wezwać policję, a nawet podjechać na najbliższy komisariat i zrezygnować z poszukiwań. Rozumiecie? To było jasne przesłanie.



Gdyby tamten kierowca chciał mnie zabić, nie skreśliłby w ostatniej sekundzie, pozwalając mi zjechać na właściwy pas i uniknąć zderzenia z nadjeżdżającym wozem. Chciał mnie sterroryzować, przerazić, żebym zrezygnowała z prywatnego śledztwa. I dałam się nastraszyć. Ale byłam też rozżłoszczona, bardziej niż kiedykolwiek. I gotowa na wszystko, żeby sprawdzić, o co tu chodzi.

Musiałam też odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie robię. Pamiętajcie, że wszystko zaczęło się, kiedy poczułam potrzebę, żeby skoczyć przed nadjeżdżającą furgonetkę i uratować dziecko stojące na jej drodze. Ten czyn uruchomił serię wydarzeń, które doprowadziły mnie do podważenia własnej tożsamości. Ale teraz chciałam dowiedzieć się także, co stało się z innymi dziećmi, które zaginęły w tym samym roku, co Jessie Amelia Stone. Dopijałam koktajl, a jeszcze jadłam frytki, kiedy podjęłam decyzję. Wicie, jak to jest w instrukcjach bezpieczeństwa znajdujących się w samolotach: zanim udzielicie komuś pomocy, sami najpierw powinniście włożyć maskę tlenową. To było coś w tym stylu. Nie odpowiem na pytanie, co stało się z Charliem, Pamelą czy Brianem, dopóki nie dowiem się, co stało się z Ridleyem. A ze względu na ostatnie moje przygody musiałam dowiedzieć się więcej, co stało się z Jessie. Więc włączyłam silnik i pojechałam dalej, do przychodni Aniołków - tam, według Marii Cacciatore, Teresa zabierała Jessie. Obmyślałam kilka kłamstw, którymi mogłabym się posłużyć, żeby uzyskać dostęp do ich teczek, jeśli jeszcze istniały. Ale w końcu kluczem okazała się prawda.

Kiedy weszłam przez automatyczne drzwi, dostrzegłam na szybie naklejkę projektu „Na ratunek”. Logo miało kształt pary ramion trzymających niemowlę. Pod spodem był napis: Tu JEST BEZPIECZNE SCHRONIENIE. Cóż za zbieg okoliczności. Przypomniałam sobie, że detektyw Salvo nie lubił przypadków. Pomyślałam, że w tej kwestii zgadzam się z nim.

- Chcę rozmawiać z kierownikiem - powiedziałałam młodemu człowiekowi w recepcji.

Był słodki, miał okrągłą, poważną twarz i leciutki zarost na brodzie.

- Chodzi pani o kogoś, kto szefuje lekarzom?
- Nie, o szefa placówki. Kogoś, kto zawiaduje teczkami.
- Och, pani potrzebne są historie chorób.
- Coś w tym stylu.
- Musi pani porozmawiać z tamtą panią. Ona może pani pomóc. — Wskazał na niesympatyczną, starą kobietę siedzącą za wielkim biurkiem. Natychmiast zrozumiałam, że niczego z nią nie załatwię.
- To będzie trudne. Nie mam żadnego identyfikatora.

Popatrzył na mnie ponuro i zaczął kręcić głową.

- Hm...

- Czy mógłby mnie pan po prostu skontaktować z szefem placówki? Proszę. - Mówiąc to, uśmiechnęłam się do niego słodko. Odpowiedział uśmiechem. Uważam, że atrakcyjna młoda kobieta może załatwić prawie wszystko. Może mam rację, a może to tylko pewność siebie pozwala mi dostawać to, czego chcę. Tak czy inaczej, potrzebowałam dzisiaj materiałów do pracy.

- Okej - powiedział, spoglądając na mnie porozumiewawczo. - Proszę usiąść.

Czekałam jakiś czas, przeglądając stary egzemplarz czasopisma „Parenting”. Dyskusja w kwestii dawania klapsów ma się świetnie, podobnie jak polemika w sprawie szczepień. Jestem przeciwko dawaniu klapsów i za szczepieniami. Dlaczego ludzie w ogóle chcą dzieci, skoro tyle jest sposobów, żeby źle je wychować?

- Czym mogę służyć? - Ciepły baryton wdarł się w moje myśli.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam ogromnego Murzyna o lśniącej, łysej głowie i w okularach w złotych, drucianych oprawkach. Na brodzie miał lekki, siwy zarost. Nosił lekarską, białą kurtkę, szerokie, granatowe spodnie i krawat z tańczącym misiem. Wstałam i podałam mu rękę, którą wziął w swoją wielką niedźwiedzią łapę. Przez sekundę ją przytrzymał.

- Czy ja panią znam? - powiedział i przyjrzał mi się, przekrzywiając głowę.

- Nie sędzę

- Tak. — Wielki uśmiech przeciął mu twarz. Jak tylko go zobaczyłam, dałam mu sporo ponad pięćdziesiątkę. Ten szeroki uśmiech zdjął mu z barków jakieś piętnaście lat. - To pani uratowała dziecko. Zdumiewające. Dobra robota.

- Och, tak, rzeczywiście, to ja - odparłam, również z uśmiechem. - Ridley Jones. Dziękuję.

- Jonathon Hauser. - Uśmiechał się i kiwał głową jeszcze przez sekundę. - Czym mogę pani służyć, Ridley?

- Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać? To raczej długa historia.

Popatrzył na mnie, marszcząc brwi w dobrodusznym zaciekawieniu.

- Oczywiście - odparł, spoglądając na zegarek. - Proszę ze mną.

Usiedliśmy w jego skromnie urządzonej, ale schludnej i dobrze oświetlonej gabinecie, a ja opowiedziałam mu całą historię, omijając wszystko, co było niezgodne z prawem, nie mówiłam więc prawie nic o Jake'u. Nie powiedziałam też, że mało nie zostałam zepchnięta z drogi przez tajemniczego kierowcę firebirda. Nadzieję pokładałam w tym tańczącym misiu na krawacie dobrego doktora. Był to symbol hippisowskiego stylu, łąmiącego

konwenanse. Może ten lekarz należał do tego typu ludzi, którzy gotowi są złamać przepisy w interesie sprawiedliwości?

- Co za historia, Ridley - powiedział cicho, kiedy skończyłam. - Ale wiesz przecież, że jeśli nie udowodnisz, że jesteś tą osobą, za którą się podajesz, nie mogę ci pokazać dokumentów Jessie.

- Ale sądzi pan, że ma pan je tutaj?

- Oczywiście, że je mamy. Wiem o tym, bo rok temu pewien młody człowiek, prywatny detektyw, pytał o to samo. Powiedział, że wynajęto go, żeby zbadał nierozwiązane sprawy dzieci zaginionych w latach siedemdziesiątych. Jessie Amelia Stone była jednym z nich. Przekopaliśmy archiwum, które nadal znajduje się w piwnicach tego budynku.

A więc Jake był i tutaj. Nie zaskoczyło mnie to.

- Czy pozostałe z tych dzieci także były pacjentami tej przychodni? - zapytałam, starając się skoncentrować.

- Nie wolno mi ujawnić tej informacji. - Nachylił się do przodu. - Oczywiście, gdybym nigdy o nich nie słyszał, nie byłbym w stanie powiedzieć ci tego.

Skinęłam głową że rozumiem.

- Czy detektyw uzyskał dostęp do którejs z teczek?

- O tyle, o ile byłem skłonny mu pomóc. Powiedziałem, że musi mieć w tym celu nakaz sądowy.

- I co?

- I więcej się nie pojawił.

Westchnęłam i wyprostowałam się na krześle. Wcześniej, bezwiednie, coraz bardziej pochylałam się ku lekarzowi. Czułam się bezsilna wobec systemu twardego jak kamienny mur, zmuszona byłam grać według ustalonych reguł albo nie grać w ogóle. Odwołałam się do tańczącego misia.

- Panie doktorze. Ja nie jestem prywatnym detektywem. I prawdopodobnie jestem jednym z tych dzieci. Czy nie mógłby pan czegoś zrobić?

Spuścił wzrok na skórzaną podkładkę na biurku i westchnął.

- Co pani chciałaby znaleźć w tej teczce? Czy to odpowie na któreś z pani pytań?

Wzruszyłam ramionami i odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

- Nie wiem. Ale nie mam dokąd pójść po odpowiedzi.

Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, ręce miał złożone przed sobą. Lekko potrząsnął głową i wstał.

- Niech mi pani da sekundę, okej?

- Okej - odparłam.

Wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Gapiłam się na ścianę za biurkiem. Dyplomy, fotografie i wycinki z gazet wisiały na ciemnej boazerii ze sztucznego drewna. Wstałam i przeszłam za biurko, żeby dokładniej się przyjrzeć. Mój wzrok przyciągnęło świadectwo z Rutgers University, rocznik 1962. W tym samym roku mój ojciec ukończył szkołę średnią, zanim poszedł na medycynę. Patrzyłam na liczne dyplomy i nagrody. Coś jeszcze przyciągnęło moją uwagę: plakietka projektu „Na ratunek” przyznana w nagrodę Aniołkom za ich „wzorową pomoc medyczną i opiekę nad dziećmi”. Przypomniałam sobie nalepkę, którą widziałam na drzwiach przychodni, i zaczęło mi coś świtać w głowie. Przychodnia Aniołków - czy nie o tym mówiła mi Maria Cacciatore? Znow usiadłam i przeszukałam pamięć, ale nic nie znalazłam.

Lekarz wrócił do gabinetu z teczką w ręku.

- Słuchaj, Ridley. Jestem lekarzem, obowiązują mnie więc bardzo ścisłe reguły i przepisy. Jakiegokolwiek ich naruszenie może kosztować mnie karierę zawodową. Rozumiesz?

- Tak - odparłam; moje myśli nadal krążyły wokół nazwy przychodni.

- Pomogłem temu detektywowi, pomogę i tobie. Powiem ci przynajmniej tyle, ile powiedziałem jemu.

Pochyliłam się ku niemu z wdzięcznym uśmiechem.

- Ten detektyw ma na imię Jake. Był także dzieckiem z systemu opiekuńczego, a jego mentor Arnie Coel był moim dobrym przyjacielem. Śledztwo swoją drogą, a on miał własne, dobre powody, żeby dowiedzieć się, co stało się z tymi dziećmi. — Westchnął. - Choćbym bardzo chciał, i tak nie mogę ci powiedzieć, co jest w tej tezcze. Ale przypadkiem wiem, że lekarz, który zajmował się Jessie Stone, nadal praktykuje w New Jersey. Niedługo przejdzie na emeryturę, ale może zechce z tobą porozmawiać. Może nawet uda ci się go przekonać, żeby zwrócił się do Stowarzyszenia Lekarskiego o wydanie tej teczki. Skoro Jessie była jego pacjentką, on jeden może to dla ciebie zrobić.

Pokiwałam głową.

- Dziękuję. - Nie wiedziałam, czy to mi ułatwi zadanie, ale pomyślałam, że lepsze to niż nic.

- Nazywa się Benjamin Jones. Dam ci numer do jego prywatnego gabinetu. - Zachichotał. - Cóż za zbieżność, nosisz to samo nazwisko. Ale myślę, że ciągle ci się to przydarza.

Doktor Benjamin Jones. Mój ojciec.

Usłyszałam odległe werble, a pokój pociemniał i zaczął wirować. Przestraszyłam się, że zwymiotuję w tym gabinecie.

- Tak - powiedziałam, a najbardziej oszukańczy uśmiech, na który w życiu się zdobyłam, w każdej chwili mógł zniknąć mi z twarzy. - Ciągłe mi się to przydarza.

## Rozdział 26

Wyszłam stamtąd najszybciej, jak mogłam. Wracając do tego pamięcią, zdaję sobie sprawę, że było tysiąc pytań, które mogłam zadać doktorowi Hauserowi - prawdziwy prywatny detektyw nie wystraszyłby się tak jak ja i nie zwiął - ale nie wiedziałam, jak długo zdołam utrzymać sztuczny uśmiech i kiwać głową w podzięcie za pomoc. Miałam wrażenie, że w głowie wyje mi syrena i że jestem w wesołym miasteczku, w jednym z tych domków, w których faluje podłoga. Wyszłam więc, gdy tylko wręczył mi numer telefonu. Nie zapytałam go o Jake'a ani o projekt „Na ratunek”.

Siłą otworzyłam pogniecione drzwi dżipa (nadal, choć z trudem, można je było zamykać i otwierać) i usiadłam za kierownicą. Czekałam tak na zimnie przez minutę. Robiło się już ciemno, śnieg, padał coraz gęstszy. Włączyłam silnik i gdy cofałam wóz, uświadomiłam sobie, że nie mam dokąd jechać. Wyłowiłam telefon komórkowy z kieszeni kurtki i wystukałam numer.

- Salvo - odpowiedział, zanim odezwał się drugi dzwonek. Głos miał oschły, zmęczony, ale uprzejmy.

- Tu Ridley Jones.

Westchnienie, potem cisza.

- Powiedziałaś mu. I teraz go nie ma.

Milczałam. Nie miałam zamiaru sama się oskarżać, ale nie chciałam też dalej kłamać.

- Czyjego samochód nadal jest u was? - zapytałam. W tym celu dzwoniłam. Musiałam wiedzieć, czy to Jake usiłował mnie zabić.

- Co?

- Firebird - wyjaśniłam trochę spiętym tonem. - Nadal go macie?

Milczał przez minutę.

- Nigdy nie zajmowaliśmy mu samochodu, Ridley.

Serce we mnie zamarło, musiałam zwalczyć łyzy rozczarowania i strachu.

- Detektywie, mam kłopoty. Ktoś chciał mnie zabić. - Mój głos dźwięczał obco nawet w moich uszach, był cichy i napięty. Mimo wszystko nie

chciałam tego powiedzieć. Nie chciałam powiedzieć: „Myślę, że Jake próbował mnie zepchnąć z drogi swoim firebirdem”.

- Przyjdź na komisariat. Nie mogę cię chronić, skoro nie wiem, gdzie jesteś. - Mówił łagodnym, zatroskanym tonem, był uprzejmy. Ale nawet jemu nie ufałam. Może chce mnie tylko zwabić.

- Muszę odkryć, co się dzieje - powiedziałam, starając się, żeby moje słowa zabrzmiały rażno. — Czy zajął się pan którymś z zaginionych dzieci, o których panu mówiłam? Czy tylko mnie pan pocieszał?

Usłyszałam w tle szelest papierów.

- Trochę się rozejrzałem. Tylko dlatego, że ci to obiecałem. Wszyscy rodzice nie żyją... z wyjątkiem Marjorie Mathers, matki Briana. Odsiaduje dożywotni wyrok za morderstwo w stanowym więzieniu dla kobiet w Rahway.

- Nie wydaje się to panu dziwne?

- Co? Że wszystkie te dzieci zaginęły i nie zostały odnalezione? Smutne, ale to zdarza się częściej, niż chcemy się do tego przyznać.

- Okej. Ale w tym przypadku to większość rodziców zginęła?

- Hm, cóż, nazywamy ich ludźmi wysokiego ryzyka. Rozumiesz, ich styl życia i zwyczaje stawiają ich w niebezpiecznych sytuacjach. Narkomani, zgadza się? Pijacy, którzy bez zastanowienia siadają za kierownicę. Ludzie, którzy wdają się w bójki w barach. Przemysł to. Tacy, jak ty, Ridley, to ludzie niskiego ryzyka. Ty przestrzegasz prawa, przynajmniej do tej pory przestrzegałaś. Zachowujesz się odpowiedzialnie wobec siebie i ludzi, którzy cię otaczają. Mniej prawdopodobne jest, że spotka cię przemoc i przedwczesna śmierć ze względu na twoje wybory. Gdybyś dużo wypijała, prawdopodobnie zamówiłabyś taksówkę albo zadzwoniła do przyjaciela, żeby usiadł za kierownicą. Zły wybór mógłby zakończyć się twoją śmiercią i śmiercią innych... albo nie.

Wybory. Wróciliśmy do tego, do rzeczy, które określają przebieg waszego życia. Czy to takie proste? Niektórzy z nas to ludzie wysokiego ryzyka, a niektórzy - niskiego? Jedni dokonują złych wyborów, a inni dobrych? I te wybory stanowią o tym, czy jesteśmy szczęśliwi, czy godni pożałowania, zdrowi czy chorzy, kochani czy niekochani? Musiałam przemyśleć, co powoduje te wybory. Nasuwa się odpowiedź, że to nasi rodzice, ludzie, którzy nas kochali albo nie, wychowywali nas dobrze albo marnie. Istnieją również inne czynniki, rzecz jasna. Ale czyż nie sprowadza się to do faktu, czy ktoś kochał nas wystarczająco mocno, żeby nauczyć nas, jak podejmować dobre wybory?

Nie. To nie jest takie proste. Jak to w życiu. Popatrzcie na Ace'a i na mnie. Wychowali nas ci sami ludzie, w tym samym domu. Całkowicie różne rezul-

tary; dokonaliśmy odmiennych wyborów w naszym życiu. Jak mówiłam, wychowanie to tylko część całego tła. To jeden z miliona ważnych czynników. Ale w końcu nie tylko małe i duże wydarzenia czynią nas tym, czym jesteśmy, a nasze życie takim, jakie ono jest, lecz i nasz wybór -jak na nie reagować. Na tym polega kontrola nad własnym życiem. Tak uważam.

- Więc co z tymi dziećmi? Ich rodzice byli biedni, wysokiego ryzyka, jak pan powiedział. Wszyscy, którzy mogli je kochać, nie żyją. Nikt nawet nie wie, co mogło się z nimi stać. I co, wszystko w porządku?

Detektyw Salvo znów westchnął.

- To było trzydzieści lat temu. Trop jest zimny.

- Jeśli ktoś przeżył, to nadal kocha te dzieci, nawet po trzydziestu latach.

- Teraz mówisz jak Marjorie Mathers.

- Rozmawiał pan z nią?

- Mówiłem ci, że zajmę się sprawą.

- I co?

Kolejne ciężkie westchnienie. A może zaciągał się i wydmuchiwał głośno dym?

- Powiedziała, że dwóch mężczyzn ubranych na czarno, w kominiarkach, przyszło tamtej nocy i zabrało jej chłopca. Myślała, że wynajął ich jej mąż, bo kłócili się o prawo do opieki nad nim. Twierdziła, że maltretowała dziecko. Ona walczyła o pełne prawo do opieki dla siebie, żeby ojcu przyznano tylko nadzorowane wizyty.

Przerwał, odchrząknął. Usłyszałam, że znów przegląda papiery.

- Problem w tym, że zadzwoniła na policję dopiero rano. Twierdzi, że oszołomiono ją jakimś narkotykiem i odzyskała świadomość dopiero następnego dnia. Ale nie było na to dowodów. Policja jej nie uwierzyła. Zarówno więc ona, jak i jej mąż byli podejrzanymi. No i nie była bardzo wiarygodna: miała za sobą depresję i próby samobójcze. Raport stwierdza, że wykazywała skłonności do hysterii.

Roześmiałam się.

- A pan by nie wykazywał?

- Więc zabiła męża „przypadkiem”, próbując dociec, co stało się z jej synem. Ale było to zabójstwo pierwszego stopnia. Ława przysięgłych nie kupiła jej historyjki. I tyle.

- A Brian zaginął.

- Tak. Sprawa była otwarta jeszcze przez rok. Z akt wynika, że trzymali się procedur.

- A co powiedziała, kiedy pan z nią rozmawiał?

- Jest trochę zwariowana. Rozmawiałem z nią przez telefon. Trzyma się swojej historii. Mówi, że nie ma dnia, żeby nie opłakiwała swojego chłopczyka, nie rozmyślała, gdzie on może być. Zaklina się, że on żyje.

- Pozwoli pan, że zapytam. Czy wspominała, że jakiś czas temu był u niej na widzeniu prywatny detektyw?

Salvo milczał przez chwilę.

- Tak, mówiła. Skąd wiesz?

- Idę tym tropem, a on był już wszędzie przede mną.

- Harley Jacobsen?

Nie odpowiedziałam.

- Co ci to mówi? - zapytał.

Znów nie odpowiedziałam. Niebo zupełnie już poczerniało, siedziałam w ciemnościach. Powietrze z otworów wentylacyjnych było w najlepszym przypadku chłodne. Wiedziałam, że samochód nie nagrzej się, dopóki nie ruszy. Tarczki na tablicy rozdzielczej żarzyły się pomarańczowo i zielono. Radio było przyciszone, ale słyszałam cichy pomruk z głośników.

- Hm, ale mnie to coś mówi - odezwał się, kiedy nie odpowiadałam. - Mówi mi to, że byłaś ostatnim przystankiem na tym tropie. Że śledził ciebie i używa cię teraz do osiągnięcia swoich celów.

Te słowa mnie uderzyły. Nie pomyślałam o tym. Teraz miało to sens. Przypomniałam sobie, jak przyszedł pod moje drzwi wieczorem, zaraz po tym, jak dostałam list od Christiana Lunny. Pomyślałam o zaproszeniu, jakie znalazłam na progu, butelce wina i przeprosinach. Pomyślałam o tym, jak mu wszystko opowiedziałam pierwszej nocy. Ten mężczyzna na klatce schodowej. Ta druga notka i wycinek z gazety, który tak szybko zidentyfikował. „Oni kłamali”. Oto, co powiedziała mi notka, a ja zastanawiałam się, skąd ktoś może wiedzieć, co mi powiedzieli rodzice. On wiedział, bo ja sama mu to powiedziałam. Mój umysł zmagął się z tym wszystkim. Pomyślałam o Christianie Lunie. Nie wymyśliłam go sobie, wiedziałam to doskonale. Ale kto zabił? Jake? Dlaczego miałby to robić? Dlaczego doprowadził mnie do niego, a potem go zabił? To nie miało sensu. Nic tu nie miało sensu.

- Czego on chce? - powiedziałam, raczej myśląc na głos niż naprawdę pytając.

- Nie wiem, Ridley - odparł detektyw Salvo, zaskakując mnie. Zapomniałam, że jest na linii. - Ale pozwól, że ci pomogę, okej? Po prostu przyjedź i wszystko wyjaśnimy.

Gus Salvo był porządnym człowiekiem, dobrym gliną. I choć nie miałam wątpliwości, że chce mi pomóc, to w głębi serca wiedziałam, że nie będzie



w stanie tego zrobić, że jeśli chcę dociec prawdy, jestem zdana na własne siły. Pływałam w oceanie kłamstw i jedyną rzeczą, która nie pozwalała mi utonąć, był mój instynkt. Rozłączyłam się więc z pocziwym detektywem bez słowa i wyjechałam z parkingu przychodni Aniołków. Pojechałam porzbijanym dżipem z powrotem do miasta, rozglądając się po drodze nerwo-wo za firebirdem i radiowozami.

Zwróciłam dżipa na otwarty po godzinach parking firmy wypożyczającej samochody, zostawiłam kluczyk wraz z dokumentami w zagłębieniu przy dźwigni biegów i poszłam do wyjścia. Pracownica firmy, młoda czarna kobieta z modną fryzurą, purpurowymi, zdobnymi paznokciami i największymi, jakie widziałam, złotymi kolczykami w formie kół, popatrzyła na mnie, jakbym straciła rozum.

- Będzie pani musiała za to zapłacić - powiedziała. - Ten samochód jest uszkodzony. - Chwyciła papiery wozu i czerwonym długopisem zaczęła robić znaczki na małym diagramie.

- Doskonale. Macie moje namiary. - Nie mogło mnie to mniej obchodzić. Przed tym wszystkim czułam się bardzo nie w porządku, gdybym wypaliła papierosem dziurę w siedzeniu wypożyczonego samochodu, uznałabym to za objaw wyjątkowego braku odpowiedzialności, ale to tak było bardzo dawno temu i dotyczyło zupełnie innej Ridley. Teraz byłam w stanie myśleć tylko o tym, żeby się położyć. Wróciłam do hotelu na Washington Square. Nie musiałam kombinować z połączeniami komunikacyjnymi. Było to niedaleko miejsca, w którym zostawiłam wóz. Po prostu przeszłam się kawałek.

Weszłam do obskurnego holu i do małej windy. Wsiadłam na trzecim piętrze. Śmierdziało pleśnią i kulkami na mole, mimo że wyglądało na świeżo odremontowane. W pokoju położyłam się na sztywnym materacu z postrzępioną kołdrą. Leżałam przez chwilę w ciemności. W głowie miałam pustkę, całe moje ciało było jak odrętwiałe. A potem zapadłam w czarny sen bez marzeń.

## Rozdział 27

Carl Jung uważał, że istnieje cień ego, ciemna strona, którą każdy z nas ma Ci uczy się w niej ukrywać. Tę ciemność zamieszkują nasze niedozwolone apetyty, ukryte sądy o nas samych i o otaczającym nas świecie, ohydne

cechy, których nienawidzimy i które próbujemy ukryć. Ale Jung twierdził, że nie można się tej części wyprzeć. Im bardziej chcemy ją ukryć, tym śmielej świat będzie się starał ją ujawnić. Utrzymywał, że strefa cienia najbardziej pragnie być uznana i przygarnięta do serca. Dopiero gdy jej wybaczymy, stajemy się prawdziwą całością, jesteśmy naprawdę wolni.

Obudziłam się nagle w pokoju hotelowym. Trwało kilka sekund, zanim zorientowałam się, gdzie jestem, i kolejne kilka, żeby wydarzenia ostatnich paru dni wróciły do mnie nagłym ohydnym strumieniem. Włączyłam lampkę nocną i chyba spodziewałam się zobaczyć Jake'a siedzącego na krześle przy oknie. Ale nic z tego. Byłam sama.

Po raz pierwszy, odkąd opuściłam gabinet doktora Hausera, pozwoliłam sobie na przemyślenie tego, co mi powiedział. Mój ojciec był pediatrą Jessie Amelii Stone. Znał ją. Czy to mógł być zbieg okoliczności? Carl Jung powiedziałby, że nie ma zbiegów okoliczności, tylko synchroniczność, siły wszechświata, które zmówiły się, żeby wprowadzić nas w strefę naszego cienia. Musiałam stanąć twarzą w twarz z własnymi myślami, a one na pewnym poziomie zawsze były mi znane; uświadomiłam sobie, że moje życie aż do chwili, kiedy dostałam liścik od Christiana Luny, było serią pięknych kłamstw. Czyniły mnie one szczęśliwą, dawały mi dobre życie, a opowiadały mi je z miłości. Niemniej były to kłamstwa.

Nadal nie potrafiłam dopasować wszystkich fragmentów, wszystkich „kto”, „co” i „dlaczego”. Ale stało się jasne, że Ridley Jones urodziła się w nocy, kiedy Teresę Stone zamordowano w jej własnym domu. A moi rodzice (oczywiście nadal tak o nich myślałam) musieli o tym wiedzieć, ale byli tak zaangażowani w ukrywanie faktów, że udawali ignorancję.

Wydedukowałam także, że ktoś inny, ktoś niemający z nimi związku, był równie zaangażowany w ukrywanie przede mną rzeczywistości, zaangażowany na tyle, że śledził mnie, zabił Christiana Lunę i próbował zepchnąć mnie z drogi, żeby zniechęcić do poszukiwania prawdy. Dlaczego tak myślałam? Bo znałam moich rodziców. Przy wszystkich ich wadach i błędach, przy wszystkich kłamstwach i półprawdach, wiedziałam, że mnie kochali i raczej sami by zginęli, niż pozwoliliby mnie skrzywdzić. Czymkolwiek było to, co ukrywali, nie poświęciliby mnie, żeby to ukryć. Groziło mi prawdziwe niebezpieczeństwo, a jedynym sposobem, żeby go uniknąć, było zanurzyć się na powrót w te piękne kłamstwa, udawać, że to wszystko było jakimś koszmarem i spać dalej. Ale, rzecz jasna, nie mogłam teraz tak postąpić. Jak już weszło się na drogę odkrywania siebie, to bez względu na to, jak jest zdradliwa, nie można z niej zawrócić. Natura na to nie pozwala.

A jak pasuje do tego wszystkiego Jake? Był przyjacielem czy wrogiem, kochankiem czy zabójcą? Nie wiedziałam. Okłamał mnie, to prawda. Uważałam, że wiedział, kim jestem, zanim go spotkałam. Myśląc o tym, doszłam do wniosku, że to on wysłał tę drugą kopertę. Pierwsza nadeszła od Christiana Luny, ale druga od Jake'a. Ale i tak nie mogłam zapomnieć tego, jak na mnie patrzył, jak przytulał i jak się ze mną kochał. Nie mogłam zapomnieć, jak odsłonił przede mną ohydę swojej przeszłości i przez to naraził się na ciosy. Przy wszystkich tych kłamstwach było także coś prawdziwego. Ale sądziłam, że już go nigdy nie zobaczę. Mógł odejść na dobre.

Była druga nad ranem, kiedy znowu wyszłam z hotelu. O tej porze nad miastem wisiała cisza. Ulica drzemała, ale samo centrum zdawało się niepokojne. A może ja taka byłam. Przechodząc obok całonocnej jadłodajni, poczułam zapach bekonu i kawy. I zapach drewna płonącego w czyimś kominu. Było zimno, a lekki wietrzyk wpełzał pod mankiety mojej kurtki i wkradał się za kołnierz koszuli. Byłam wykończona, powieki mi się kleiły, z braku snu robiło mi się niedobrze.

Weszłam na ganek i nacisnęłam dzwonek. Raz. Drugi. Trzeci.

- Kto tam? - odezwał się zmęczony, zaniepokojony głos.
- Ridley.
- O cholera, Ridley! - Nacisnął brzęczyk, żeby mnie wpuścić.

Czekałam na windę. Przyszłam do jedynej osoby, która znała i mnie, i moich rodziców. Jedynej, która według mojego rozeznania mogła mieć jakies odpowiedzi. Do Zacharego.

Stał w drzwiach mieszkania w bokserkach i bluzie Rutgers University, blond włosy miał zmierzwione, policzek odgnieciony od poduszki. Objął mnie, a ja pozwoliłam mu wziąć się w ramiona, chociaż sama nie podniosłam rąk. Było miło, że ktoś mnie przytula, nawet jeśli to był on. Wprowadził mnie do środka i wziął ode mnie kurtkę. Usiadłam na kanapie, a on zrobił mi herbatę. Potem, kiedy piłam, usiadł obok mnie. Nie odzywał się ani słowem. Wreszcie nie wytrzymał.

- Ridley, czy powiesz wreszcie, co się dzieje?

Był miły i przyglądał mi się z troską. Pamiętałam, jak ostro potraktowałam go ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, i poczułam się niewyraźnie (ale nie za bardzo - to on niewłaściwie się zachował). Hm, już pewnie wiecie, jak łatwo przychodzi mi wylewać żale. Opowiadałam jednym tchem. Powiedziałam wszystko poza historią z Jakiem. Nie chciałam ranić go bardziej, niż już to zrobiłam.

Kiedy skończyłam, opadł na oparcie kanapy i pokręcił głową.

- No, no. Przeszłaś przez magiel, Ridley. - Pocieszył mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. Zdjęłam buty i siedziałam obok niego ze skrzyżowanymi nogami. Było tu sympatycznie i znajomo. Skórzana kanapa, telewizor z dużym ekranem, barek z kolekcją puszek po piwie.

- Tak - przyznałam. - Było trochę ciężko.

- Słuchaj. Może położysz się na moim łóżku i trochę pośpisz. A rano, kiedy odpoczniesz, popatrzysz na sprawę świeżym okiem. Myślę, że wszystko będzie inaczej wyglądało, kiedy się wyśpisz.

- Co? - powiedziałam. - Nie, Zachary. Nie mogę teraz spać. Potrzebne mi odpowiedzi. To dlatego tutaj jestem.

Popatrzył na mnie z tym samym wyrazem troski, a ja zamiast poczuć się lepiej, chciałam go walnąć. Nagle zaczęło to wyglądać nie tyle na troskę, co na protekcjonalność. Pochylił się i oparł ręce na udach, splótł palce. Czuję, że zbliża się wykład.

- Chciałbym, Rid, żebyś coś rozważyła.

- Co takiego?

- Wiem, że masz za sobą parę ciężkich dni. Ale chcę, żebyś się przez chwilę zastanowiła, czy cokolwiek z tego brzmi dla ciebie racjonalnie.

- Racjonalnie?

- Tak. Czy nie wydaje ci się, że ta cała sprawa to jedna wielka bzdura? Że ten psychol, który to rozpoczął, i twój „przyjaciół” Jake kłamali? Że to wszystko wygląda na jakiś kant?

Byłam zaskoczona, że ośmielił się to powiedzieć.

- Kant? Co mogliby na tym zyskać? Czy ty mnie słuchałeś?

- Tak, słuchałem. A czy ty wsłuchałaś się w siebie?

Zmieszana potrząsnęłam głową. On mi nie wierzył.

- Chodzi mi o to, że ufasz zupełnie obcym ludziom, a nie własnemu ojcu.

- Zack, właśnie ci powiedziałam, że był pediatrą Jessie Stone.

Wzruszył ramionami.

- No to co, Ridley? Twój ojciec pracuje w klinice dłużej, niż ty żyjesz. Prawdopodobnie leczył tysiące dzieci. Oczywiście, niektóre z nich mogły zginąć albo umrzeć od chorób, zaniedbania czy bicia. Ale to nie znaczy, że ma z tym cokolwiek wspólnego.

Tylko patrzyłam na niego. Czuję, jak chaos ogarnia mój umysł. Jeśli zakwestionowało się podstawową prawdę zawartą w tym, co mi się przytrafiło, to każde wydarzenie z ostatnich paru dni mogło zostać odrzucone jako element bardzo skomplikowanego kłamstwa, jakiś spisek, który miał mnie zmusić do podważania własnej tożsamości. Myślałam o tym przez sekundę

tak, jak się marzy o wygraniu na loterii wycieczki na Karaiby. Siedząc w ciepłym i wygodnym salonie Zachary'ego, omal nie dałam się przekonać. Tak łatwo byłoby pozwolić mu się przekonać, że byłam manipulowana, że mnie oszukano, że cierpiałam na rodzaj przejściowego pomieszania zmysłów. Mogłabym pojechać gdzieś na wieś, żeby trochę „odpocząć” i wyjść z nerwowego załamania. A potem mogłabym poślubić Zacka, mieć dzieci i byliśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Zapomnielibyśmy o małym „epizodzie” biednej Ridley.

Rozparłam się na kanapie, zamknęłam oczy i zamyśliłam się nad tym. Czy to możliwe? Ale nie było odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Nawet Ace, który może miał jakiś powód, żeby mnie nienawidzić, którego zżerała zawiść - cóż by on na tym zyskał?

Zack w geście pocieszenia położył dłoń na moim czole. Otworzyłam oczy i popatrzyłam na niego. Uśmiechał się z ulgą.

- Odpocznij trochę - powiedział. - Rano to będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Chwycił wielki koc, który dałam mu w ubiegłym roku na urodziny, i zrzucił go na mnie. Prawie byłam w stanie wyobrazić sobie to wszystko, kiedy tak leżałam i pozwalałam, żeby się mną opiekował. Posiedział przy mnie chwilę, aż uznał, że już śpię. Potem poszedł do drugiego pokoju i zadzwonił do moich rodziców, powiedział, że ze mną wszystko w porządku, a on się mną zajmie.

- Powiedz mi o projekcie „Na ratunek” - odezwałam się.

Wyraz ulgi zniknął z jego twarzy, uśmiech zbladł, a pojawiło się rozdrażnienie.

- Ridley, daj sobie z tym spokój. Nie możesz bardziej wierzyć komuś takiemu jak Christian Luna niż własnemu ojcu.

W innym momencie mojego życia mogłabym tego nie zauważyć. Mogłoby to przemknąć mi koło ucha. Ale tamtej Ridley nie było. Uśmiechnęłam się do Zachary'ego. Miałam nadzieję, że był to smutny, zirytowany uśmiech, bo tak właśnie się czułam. Usiadłam i zrzuciłam z siebie koc.

- Nie mówiłam ci, jak się nazywał - powiedziałam cicho.

- Co?

- Christian Luna. Nigdy nie wymieniłam jego nazwiska.

- Owszem, tak, Ridley. - Popatrzył na mnie ze smutkiem.

Ale ja byłam pewna, że tego nie zrobiłam. Prawdę mówiąc, celowo pomięłam to nazwisko, z przyczyn, których wtedy nie potrafiłam wyjaśnić. Mógł udawać, że uważa mnie za szaloną, ale ja wiedziałam, że jestem zdrowa.

- Ridley, proszę.

Spojrzałam na Zachary'ego i zrozumiałam, że to coś więcej niż dążenie do wolności, niż to, że go nie kocham, sprawiło, że go opuściłam. To coś tkwiło w nim. Wyczuwałam to, ale nie miałam dowodu. Widziałam to przez moment, kiedy wszedł nieproszony do mojego mieszkania. Teraz też to czuję, ale nie umiałam tego nazwać. Powoli wstałam i sięgnęłam po kurtkę. Wstał razem ze mną, a kiedy spojrzałam na niego, nie poznałam go.

- Jeśli stąd wyjdiesz, nie odpowiadam za to, co się z tobą stanie. - Głos mu się łamał, kiedy to mówił, ale oczy pozostały obojętne i chłodne.

- Co to jest projekt „Na ratunek”, Zack? - zapytałam. Głos mi drżał. Zrozumiałam, że się go boję. Fizycznie. Zaczęłam się cofać w kierunku drzwi.

On też usłyszał strach w moim głosie. Wydawał się nim zaskoczony, jakby dostał w twarz. I przez sekundę znów był mężczyzną, którego kiedyś kochałam.

- Rid, proszę, nie patrz tak na mnie. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Wiesz o tym.

Ale ja już nie chciałam widzieć więcej twarzy kłamców, więcej masek.

- Co to jest, Zack?! - Tym razem krzyczałam.

- Uspokój się, przestań wrzeszczeć - błagał, spoglądając mi przez ramię na korytarz. - Projekt „Na ratunek” jest dokładnie tym, o czym powiedział ci ojciec. Jest organizacją która daje przerażonym matkom alternatywę wobec pozostawienia ich dzieci na ulicy. Nic ponad to.

- Jesteś kłamcą.

- Nie, to prawda.

Nie odpowiedziałam, a on westchnął i usiadł na kanapie.

- System opieki nad dziećmi nie zawsze był taki, jak teraz. Bez względu na wszystkie swoje wady przynajmniej dba o bezpieczeństwo dzieci. Ale w latach siedemdziesiątych było inaczej. Było trudno wyciągnąć dziecko ze środowiska, gdzie je maltretowano. Lekarze wielokrotnie widzieli, jak dzieci są zaniedbywane i maltretowane, co prowadziło w końcu do śmierci. Mieli związane ręce.

- O czym ty mówisz? - zapytałam. Ale zaczynałam rozumieć. To był ten brakujący fragment, który wyczuwałam podczas rozmowy z ojcem.

- Mówię, że niektórzy ludzie nie potrafili po prostu stać i przyglądać się. Nie mogliby spojrzeć sobie w twarz.

- Ludzie jak mój ojciec i wujek Max.

- Między innymi. Także moja matka - powiedział, podnosząc wzrok i spoglądając mi w oczy.

Przypomniałam sobie, jak Esme mówiła: „Zrobiłabym wszystko dla tego człowieka”. Te słowa przybrały inne znaczenie. Zastanawiałam się, co zrobiła dla Maksa.

- Wystarczy, Zack. - Ten głos sprawił, że odwróciłam się na pięcie.

Za mną stała Esme w różowej piżamie. Przypomniałam sobie, że czasem zostawała w kawalerce Zacka, kiedy pracowała do późna na mieście. Uwielbiałam te noce, które spędzałyśmy tu razem. Pichciłyśmy wtedy kolację, prażyłyśmy kukurydzę i wypożyczałyśmy film.

- Ridley - powiedziała miękko. - Popełniasz straszny błąd, kochanie.

Popatrzyłam na nią.

- Jaki błąd?

- Grzebiąc się w przeszłości. Nikomu z nas nie wyjdzie to na dobre.

- Niczego nie wygrzebałam. To samo wypłynęło.

Pokręciła głową, jakby chciała coś powiedzieć, ale zacisnęła usta.

- Wiesz, kim jestem, Esme?

- Wiem, Ridley. Oczywiście, że wiem. Pytanie brzmi: dlaczego ty nie wiesz?

Uśmiechała się smutno i nie potrafiła ukryć wystraszonego spojrzenia. Popatrzyłam na Zacka z nadzieją, że na jego twarzy wyczytam coś dla mnie rozpoznawalnego.

Był błądy, a w oczach miał gniew i coś jeszcze. Ten wyraz pamiętałam z lat spędzonych z nim. Wcześniej nigdy nie patrzył tak na mnie, ale widziałam to, kiedy rozmawiał o pacjentach bezpłatnej przychodni, w której pracował raz w tygodniu wraz z moim ojcem. Temu spojrzeniu towarzyszył zazwyczaj komentarz w rodzaju: „Niektórzy ludzie nie zasługują na dzieci”. Omyłkowo brałam to za pasję, pasję do pracy, miłość do dzieci, smutek, że tak wiele z nich wypada przez luki w systemie. Ale teraz zobaczyłam, czym było to naprawdę: osądem, brakiem współczucia, arogancją.

- Gdybyś została ze mną, żadna z tych rzeczy by ci się nie przytrafiła - powiedział rozdrażniony. - Nigdy byś nie musiała się tym zajmować.

Oczywiście, miał rację. Gdybym z nim została tamtego ranka, byłabym prawdopodobnie w jego łóżku albo on w moim. Nie musiałabym wychodzić na spotkanie z nim. Szanse, że znalazłabym się na tamtym rogu we właściwym mgnienu oka były prawie równe zero. Ale kto wie, może wtedy przyszedłby czas na ujawnienie się mojej ciemnej strony i nic by tego nie zatrzymało. Może wszystkie moje wybory, te małe i te wielkie, o których myślałam, że tak bardzo wpływają na bieg mojego życia, wcale nie były wyborami. Może to mój cień szeptał mi do ucha i po cichu prowadził mnie ku mnie samej, ku prawdzie, ku integracji.

- Tak, Zack. Może nawet przeżyłabym całe życie, nie wiedząc, kim jestem naprawdę.

- Czy twoje życie było... takie złe? - zapytała Esme. W jej głosie brzmiała chyba gorycz. - Czy pomyślałaś, jaka mogła być alternatywa?

Spojrzałam na nią. Była mała, nawet krucha. Ale w jej oczach płonął straszliwy gniew.

- Jakżebym mogła? Nawet nie wiedziałam, że jest jakaś alternatywa.

Roześmiała się lekko.

- Cóż, teraz, gdy wiesz, jesteś szczęśliwa?

Odwrociłam się od nich i wybiegłam z mieszkania.

- Ridley! - Słyszałam, jak Zack krzyczy za mną z rozpaczą w głosie. - To jest niebezpieczne.

„To nie najsilniejszy z nas przetrwa. Ani najinteligentniejszy. Przetrwają ci, którzy najlepiej potrafią dostosować się do zmian”. Nie pamiętam, kto to powiedział, ale zawsze uważałam to za myśl genialną. Powtarzałam ją w kółko w myślach. Przebiegłam kilka przecznic, zadyszałam się i kulałam przez jakiś czas, trzymając się za bok, bo kilka minut po opuszczeniu mieszkania Zacka chwycił mnie skurcz. Czyż to nie fantastyczne w filmach, że zwyczajni ludzie biegną kilometrami, wspinają się na siatki ogrodzeń u końca ślepych uliczek, wskakują na jadące samochody? Tego rodzaju akrobatyka nie była dla mnie; nie pamiętałam nawet, kiedy ćwiczyłam po raz ostatni. Gdyby ktoś mnie wtedy gonił, złapałby z łatwością po paru minutach, odkąd wybiegłam od Zacka. Ciągle oglądałam się za siebie, czy z tyłu nie ma firebirda albo skinheada. Zack powiedział, że narażam się na niebezpieczeństwo, a ja nie miałam powodu, żeby mu nie wierzyć. Poruszałam się szybko, ale bez celu. Nie mogłam wrócić do domu. Nie mogłam wrócić do tego obskurnego, samotnego pokoju hotelowego. Nie mogłam pojechać do rodziców. Więć szłam.

Byłam jak chora. Potłuczona, ale nie załamana. W głowie miałam płątaninę pytań i myśli bez związku, ale nie oszalałam. Tyle przynajmniej wiedziałam. Szłam na wschód, w stronę rzeki przez budzące się do życia miasto. Niebo jaśniało, przechodząc od czerni do niebieskiego welwetu. Poszłam do pracowni Jake'a, ale zastałam drzwi zamknięte naглуcho. Nacisnęłam dzwonek, chociaż wiedziałam, że na próżno. Nie było go. Z tego, co wiedziałam, zniknęła na dobre. I może to lepiej dla mnie, jeśli wziąć pod uwagę, że prawdopodobnie chciał mnie zabić.

Brakowało co najmniej godziny do wschodu słońca, ale ruch uliczny przybrał już na sile. Minęłam mężczyznę ciągnącego wózek z kawą. Szłam przez



kipiące już życiem Chinatown. Otwierano pierwsze stoiska ze świeżymi rybami, w sklepach mrugały świetlówki. Na Chambers Street parkowały lincolnny, z których na chodniki wysiadały ranne ptaszki - adwokaci i sędziowie. Szli szybko w stronę wielkich, brudnobiałych gmachów sądów. Byłam zmęczona jak nigdy w życiu. Ale szłam dalej. Myślałam o filmach o ludziach wspinających się na Mount Everest. Ponad osiem tysięcy metrów, temperatura poniżej zera, ledwie starcza tlenu, a oni mimo to prą do przodu. Krok za krokiem. Wiedzą, że jak się zatrzymają, umrą. Proste. Nie wiem, czy dla mnie było to równie proste. Ale czułam, że muszę iść, bo inaczej ciężar moich myśli i obaw przygniecie mnie. Wreszcie stanęłam u podnóża schodów do chodnika biegnącego przez Most Brooklyński. Zaczęłam wspinać się na drewniane stopnie. Jeśli dojdę na drugą stronę, to znajdę tam hotel. Może uda mi się zameldować i przespać następne półtora tygodnia. A może będę iść dalej, aż dojdę na kraj świata.

Chciałam powiedzieć, że zawsze uważałam swoje życie za trochę przetrącone, ale tak nie było. Myślę jednak, że na granicy mojej świadomości zawsze czaiło się jakieś dziwne uczucie. Widmo, które nigdy nie objawiło się całkowicie. Esme zapytała mnie: „Czy twoje życie było... takie złe? Czy pomyślałaś, jaka mogła być alternatywa?”.

Mówiłam wam, wystarczy, że zamknę oczy, i dzieciństwo wraca do mnie, jego zapachy i uczucia z nim związane. Nie jakieś konkretne wspomnienia, ale ich esencja: szampon Johnsona dla dzieci, przypieczone grzanki, przyjęcia urodzinowe i koszenie trawy, węgle w kominku i choinka. Byłam kochana. Wyrastałam w bezpieczeństwie, wiedząc, że nie będę głodna. W domu nigdy się nie bałam. Czy to była doskonałość? Pytam was: co z tym? Czy ja nie wiedziałam o tym, czyja to zignorowałam? Najwyraźniej tak. Ale to było dobre, podmiejskie, amerykańskie dzieciństwo pełne minifurgonetek i rozgrywek futbolowych. Z tego, co wiedziałam, alternatywa mogła nie być tak dobra. Mogłam być maltretowana przez ojca, moja matka mogła się go bać, on mógłby być dla niej okrutny. Kim bym była, gdybym została wychowana jako Jessie przez Teresę Elizabeth Stone? Kto wie? Już nigdy się nie dowiem. Nie mogę powiedzieć, że było mi przykro z tego powodu. Co nie znaczy, że było to w porządku. Ktoś zamordował Teresę Stone i porwał jej dziecko. Trudno, nie należę jednak do ludzi, którzy uważają, że cel uświęca środki.

- Cześć.

Odróciłam się na pięcie i zobaczyłam go - stał tuż za mną.

- Nie możesz iść w nieskończoność - powiedział. - W końcu będziesz musiała się zatrzymać i stawić czoło swojemu losowi.

Najego widok poczułam przypływ uczucia: miłość, gniew i strach, które jak pociąg widmo chciały mnie przejechać.

- Jak sądzę, będziesz mi chciał w tym pomóc? - powiedziałam, nie pa-nując nad drżącym głosem.

Pokiwał powoli głową.

- Jeśli jesteś gotowa, żeby wysłuchać prawdy.

## Rozdział 28

Chyba nie widzisz w tym ironii - powiedziałam, cofając się przed Jakiem. Nienawidziłam mojego głosu i rąk trzęsących się wbrew mojej woli, za to, że zdradzały władające mną uczucia. On tylko patrzył na mnie. Najego korzyść trzeba powiedzieć, że milczał. Niebo rozjaśniało się nad nami, a ruch na moście się nasilał, napełniając powietrze dźwiękiem opon trących o asfalt, punktowany nagłymi, ostrymi rykami klaksonów. Stał nieruchomo, jakby miał zamiar zbliżyć się do ptaka, którego nie chce wystraszyć. A ja byłam gotowa odfrunąć.

- Wiem wszystko - powiedziałam, prostując się. Spojrzałam mu w oczy.

- Nie. - Powoli pokręcił głową. - Nie wiesz.

W tej sekundzie był taki, jak wszyscy w moim życiu, którzy mnie okłamali. Chciałam wyładować na nim moją wściekłość, zbić go, wywiercić dziurę we wszechświecie samą siłą mojego gniewu i żalu, a potem go w nią wrzucić. Niewiarygodne, ale powstrzymałam wybuch na kilka sekund, co przypominało trzymanie rottweilera na nitce dentystycznej.

- Wiem, że nie przypadkiem wprowadziłeś się do mojego domu. Wiem, że przebyłeś długą drogę, która, w końcu, doprowadziła cię do mnie. Wiem, że to ty napisałeś ten drugi list.

- Ridley. - Zabrzmiało to jak modlitwa.

- Nie podchodź. - Topniałam. Drżenie głosu i rąk rozchodziło się na resztę ciała. Trzęsłam się wbrew woli. - Nie podchodź bliżej.

- Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy.

Roześmiałam się krótkim, mocnym śmiechem, który nawet w moich uszach zabrzmiał trochę zbyt nerwowo.

- Wiesz co - powiedziałam, a głos uniósł mi się o kilka oktaw - słyszę to kolejny raz tej nocy. Chyba tak się mówi, kiedy mogą być problemy.

Pobladł. Wyglądał na zmęczonego, miał podkrążone oczy.

Znów zatrząsał mną ten szalony śmiech, jakbym to nie była ja, ostry i dziwny.

- Ależ cholerny z ciebie kłamca. Wczoraj mało nie zabiłeś nas obojga. Co ty chciałeś zrobić? - wrzeszczałam i rozglądałam się wokół. W Nowym Jorku nigdy nie jest się samemu, w pobliżu zawsze ktoś jest. Z jednym wyjątkiem: kiedy jest się wystraszonym. Wtedy miasto staje się największym pustkowiem na ziemi. Na moście nikogo nie było.

- O czym ty mówisz? - Był przekonujący. Muszę mu to przyznać. Wyszlifował wygląd niewinnego zmieszania.

- Samochód! - wrzasnęłam, aż rozboleło mnie gardło. - Ten pieprzony firebird. Prowadziłeś go, kiedy o mały włos nie wmanewrowałeś mnie w kolizję czołową?

- Co? - Pokręcił głową. Oczy mu błyszczały. - Nie. Boże. Ridley, dobrze się czujesz? - Przysunął się o krok, a ja znów się odsunęłam, jakbyśmy tańczyli.

Pamiętacie, nie byłam pewna, czy to on. Prawdę mówiąc, byłam prawie pewna, że to nie on. Ale w tamtym momencie, na Moście Brooklyńskim, o wschodzie słońca, nie ufałam własnym uczuciom, ani temu, co wiedziałam, ani temu, co powiedziano mi pięć minut wcześniej, poprzedniego dnia czy przed trzydziestu laty. Mogłam działać tylko w czasie teraźniejszym. Bałam się i jednocześnie byłam zła. I to było dosłownie wszystko, czego się trzymałam.

- Posłuchaj - powiedział powoli. - Firebirda nie ma. Został skradziony. Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

- Myślisz, że jestem idiotką Jake? Sam mi powiedziałeś, że został zasekwestrowany, a ja wiem z całą pewnością, że nie.

Ostry, zimny wiatr powiał znad wody, rozchylając poły mojej kurtki. Owinęłam ją ściśle wokół ciała.

- Okej. - Uniósł rękę. - Wiem, co ci powiedziałem. Myliłem się. Założyłem, że policja go zajęła, ale dowiedziałem się później, że tak nie było.

Myślałam o tym przez sekundę, ważyłam prawdopodobieństwo jego słów i stwierdziłam, że jest bardzo małe.

- Jak mogłeś się dowiedzieć? Nie mogłeś przecież zadzwonić i zapytać. Jesteś uciekinierem, poszukiwanym pod zarzutem zamordowania Christiana Luny.

Pokiwał głową, jakby rozumiał mój sceptycyzm.

- Nadal mam ustosunkowanych przyjaciół.

- Kto by to zrobił? Kto ukradłby twój samochód, a potem próbował mnie nim zabić?

- Ci sami ludzie, którzy zostawili w Fort Tyron Park karabin zarejestrowany na moje nazwisko, żeby znalazła go policja.

Popatrzyłam na niego ostro, jakbym spodziewała się, że samą siłą wzroku wycisnę z niego prawdę.

- Och, to teraz mamy jakiś spisek?

- A jak wolałabyś to nazwać?

Informacji było zbyt wiele, żebym mogła się z nimi uporać. Poczułam, że umysł znów spowija mi mgła, wszystko nagle robi się rozmazane, ciemne kształty poruszają się za welonem dymu.

- Muszę wiedzieć wszystko o tym, co się dzieje, Jake. Żadnych kłamstw więcej. Czy jesteś gotów wszystko mi powiedzieć? Niczego nie pomijając.

- Powiem ci wszystko, co wiem. Nie ma już powodu, żeby cokolwiek przed tobą ukrywać - odparł łagodnie.

Milczałam przez chwilę, a tysiące pytań cisnęło mi się do ust. Udało mi się zadać tylko jedno.

- Czy znalazłeś to, czego szukałeś? - zapytałam, kiedy smutek przewazył nad gniewem i ukazał swoją twarz. Wkrótce też przyszły łzy. Ciche, obfite, prosto z mego poranionego, zmaltretowanego serca. - Po tym wszystkim? Morderstwo, kłamstwa, manipulacje. Czy chociaż dostałeś to, czego szukałeś?

Westchnął i odwrócił ode mnie wzrok. Spojrzał sobie pod nogi i jakby trochę się zgarbił pod ciężarem moich słów.

- Nie. Nie znalazłem tego, czego szukałem. - Mówił cicho. Podniósł oczy i podszedł do mnie. - Ale znalazłem coś, o czym nawet nie wiedziałem, że istnieje.

- Och, proszę. Nienawidziłam go, bo powiedział to, co chciałam usłyszeć. - Nawet nie udawaj, że kiedykolwiek o mnie dbałeś. Wiesz co? Pieprz się, Jake. - Odwróciłam się i zaczęłam iść.

- Ridley, proszę.

Poruszała się szybko, za szybko, żebym zdołała uciec. Złapał mnie mocno, walczyłam jeszcze mocniej. Nie mówię o dziewczęcych kułaczkach i ciosach zadawanych bez przekonania. Kopnęłam go w gołe nogi. Waliłam go po plecach. Nie puścił mnie.

- Odwal się. Ty kłamco. Kurwa, jak ja cię nienawidzę! - wrzeszczałam jak opętana. Między ciosami w jego plecy, które były jak z granitu, powiedział:

- Puszczę cię, jeśli obiecasz, że mnie wysłuchasz.

Próbowałam trafić go kolanem w krocze, ale umiejętnie zablokował mnie nogą. W końcu, wyczerpana, oparłam się o niego tak, jak robią to bokserzy na ringu, kiedy trzymają się wzajem i zadają sobie bolesne ciosy w nerki. Wypuściłam powietrze, z głową na jego szyi.

- Okej - powiedziałam. - Okej.

Dotrzymał słowa. Ale ja nie. W chwili, gdy mnie puścił, pognałam w stronę Brooklynu.

- Ridley, Jezus! - krzyknął.

Biegłam, korzystając z każdej iskierki energii, jaka mi została, ale dogonił mnie w mgnieniu oka. Mówiłam wam, że nie byłam nazbyt szybka. Teraz złapał mnie z tyłu, przytrzymując mi ramiona przy bokach. Próbowałam go kopnąć; szarpałam się i wrzeszczałam jak dziecko w napadzie złości.

- Masz rację, Ridley! - ryknął, żeby przebić się przez moje wrzaski. - Okłamałam cię. Pozwól mi wyjaśnić.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu wyczerpanie i świadomość, jak silnym mężczyzną jest Jake, sprawiły, że opadłam na niego.

- Okej - wydyszałam wreszcie. - Puść. Nie ucieknę. Jestem zbyt zmęczona.

- Proszę - powiedział, oddychając ciężko. - Nie rób tego. Ja też jestem zbyt zmęczony, żeby cię gonić. - Po sekundzie zwolnił chwyt, a ja odsunęłam się od niego.

Podeszłam do balustrady i oparłam się o nią. Poranek był śliczny, niebo miało nastrojowy szarobłękitny odcień, fale na wodzie pod nami zwieńczone były białymi grzywami.

- Powiedz, że to nie byłeś ty - szepnęłam, patrząc w dal. - Powiedz, że nie zabiłeś Christiana Luny. Powiedz, że to nie ty prowadziłeś ten samochód.

Uczciwie mówiąc, jeśli chodzi o to, co istniało między Jakiem a mną, mimo tych wszystkich kłamstw i manipulacji, tylko te dwie sprawy mogły spowodować zerwanie. Nie było za nie wybaczenia, nie można było ich usprawiedliwić. Podeszedł do mnie i stanął obok, otoczył mnie ramieniem i uniósł podbródek tak, że musiałam spojrzeć mu w oczy.

- To nie byłem ja.

Myślę, że gdyby próbował powiedzieć coś więcej, nie uwierzyłabym mu. Ale on pozwolił mi spojrzeć sobie w oczy i natychmiast wiedziałam, że to prawda. Kiwnęłam głową.

- Jak mnie znalazłeś?

- To znaczy? Teraz?

- Nie. Wiem, jak odkryłeś, że mój ojciec był lekarzem Jessie Stone, ale jak wpadłeś na mój trop?

Zaśmiał się.

- Tak samo jak Christian Luna. Dzięki fotoreporterowi „Post”.

Westchnęłam.

- Boże, nienawidzę tego faceta.

Zwiesił lekko głowę. Zobaczyłam, że trochę go dotknęłam. Nic nie powiedziałam, żeby to naprawić.

- Przykro ci, że mnie spotkałeś - powiedział po dłuższej chwili.

- Powiedzmy, że będziesz musiał gęsto się tłumaczyć.

Staliśmy tak nie wiem sama jak długo, patrząc w dół na rzekę ruchu ulicznego, w unoszących się oparach spalin. Poczułam czarny, gryzący osad w gardle. Żadne z nas się nie odzywało. Moje obawy i pytania były jak zwój drutu kolczastego między nami. Mogliśmy się przez niego przedostać, ale będzie to bolało jak wszyscy diabli.

Na Montague Street w Brooklynie znaleźliśmy restaurację. Weszliśmy do niej w milczeniu. Miał dużo do powiedzenia, to było dla mnie jasne, a ja miałam mnóstwo pytań, ale oboje wiedzieliśmy, że musimy znaleźć jakieś bezpieczne i ciche miejsce, żeby porozmawiać. Ubrany był w bluzę od dresu, z kapturem narzuconym na głowę, a daszek czapki baseballowej zakrywał mu oczy. Trzymałam się na dystans i szłam szybko. Kiedy słońce weszło, poczułam się tak, jakbyśmy oboje zostali zdekonspirowani, i chciałam jak najszybciej gdzieś się schronić.

Usiedliśmy w pokrytym czerwoną skórą boksie i zamówiliśmy kawę. Milczeliśmy, nie patrzyliśmy na siebie. Chyba żadne z nas nie wiedziało, od czego zacząć.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytałam. - Chodzi mi o dzisiaj.

- Obserwowałem pracownicę z Tompkins Square.

Skinęłam głowę.

- Wiedziałeś, że przyjdę cię szukać?

- Nie wiedziałem. Miałem nadzieję.

Znów milczenie.

- Poszłam spotkać się z Zackiem - powiedziałam po chwili.

- Tak? Dlaczego?

- A dokąd miałam pójść? - Wzruszyłam ramionami. - Pomyślałam, że skoro zna mojego ojca, pomoże mi w bardziej jasny sposób popatrzeć na sprawę.

- Ale?

- Ale... on próbował przekonać mnie, że to wszystko mój wymysł. Jego matka też tam była. I wtedy zrozumiałam.

- Co rozumiałaś?

- Że czymkolwiek jest projekt „Na ratunek”, oni stanowiącego część.

Skinął głową, jakby już o tym wiedział, i prawdopodobnie nie była to dla niego nowina. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam metrykę urodzenia Charliego oraz zdjęcie przedstawiające Charliego, Adele i Michaela. Położyłam je na stole i przesunęłam w jego stronę.

- Ty jesteś Charlie, prawda? - powiedziałam cicho.

Jak na to wpadałam? Kiedy rozmawiałam telefonicznie z detektywem Salvo, spojrzałam na metrykę urodzenia i zauważyłam, że urodziny Charliego przypadają na 4 lipca 1969 roku. Pierwszego wieczoru, kiedy spotkałam się z Jakiem, zapytałam, spod jakiego jest znaku; powiedział, że spod Raka. Patrzyłam na nieostre zdjęcie berbecia na kucyku i nie byłam pewna, czy to on. Ale coś w jego twarzy, kiedy byliśmy na moście, sprawiło, że pomyślałam o tej fotografii, a moja podświadomość poprzesuwała fragmenty układanki. Nie byłam zaskoczona, kiedy skinął głową, spoglądając na metrykę i zdjęcie leżące przed nim na stole.

- Tak - powiedział. - Tak sądzę. A przynajmniej kiedyś nim byłem.

- Co się stało?

- Nadal dokładnie nie wiem. Nie wiem, jak znalazłam się w systemie opieki. Wiem tylko tyle, że Charliego porwano z domu, kiedy miał trzy lata. Co działo się potem, nie jest jasne.

- Ale miałaś rację co do swojej matki. Ona cię kochała.

- Próbowała mnie porzucić.

- Ale wróciła po ciebie. Była młoda i wystraszona. Jej mąż był ćpunem. To nie znaczy, że cię nie kochała.

Wzruszył ramionami i kiwnął bez przekonania głową. Boże, czyż nie jesteśmy wszyscy dziećmi, które bardzo chcą się upewnić, że rodzice je kochają?

- I znalazłeś babkę. Dlaczego jej nie powiedziałeś?

Znów wzruszył ramionami. Patrzył w kubek z kawą, obracał go w dłońmiach.

- Nie rozumiem - powiedziałam, kiedy nie odpowiadał. - Czy nie tego szukałeś? Swojej rodziny?

- Tak myślałem. Ale kiedy znalazłem Lindę McNaughton... Nie wiem. To nie było w porządku. Chłopczyka, którego kochała, nie było od tak dawna.

Córki też. Nie mogłem się zmusić, żeby jej powiedzieć. Myślałem, że wrócić, jak wszystko wyjaśnię. Nadal nie wiem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu on się odezwał.

- Tylko jedna osoba z całą pewnością wie, co stało się z nami obojgiem. Dlaczego i kto nas wziął, co się z nami działo potem.

- Kto?

- Twój ojciec. Był lekarzem, który zajmował się całą czwórką dzieci zaginionych w tamtym roku. I kto wie, jak wielu innych.

- Są inne?

- Myślę, że bardzo wiele.

- Projekt „Na ratunek”... - myślałam na głos. Nie wiedziałam, jaki był związek między tym, co stało się z Charliem, Jessie i innymi, a organizacją wujka Maksa, ale wiedziałam, że jakiś był, tak jak się wie, że wyspa łączy się z dnem oceanu, chociaż może to być bardzo głęboko pod powierzchnią morza.

- To dlatego mnie szukałeś?

Zrobił długi wydech i popatrzył na mnie.

- Żeby nie skłamać. Znalazłem się w ślepej uliczce, kiedy zobaczyłem ciebie na okładce „Post”. Spotkałem się z doktorem Hauserem i dowiedziałem się o twoim ojcu. Ale nie wiedziałem, jak się do niego zbliżyć. To nie jest tak, że mogłem po prostu podejść i zapytać go o projekt „Na ratunek”. Potem umarł Arnie. Wszystkie moje wysiłki, żeby dowiedzieć się czegoś o organizacji, spaliły na panewce. Przez jakiś czas byłem zagubiony, chodziłem jak zombi, dla pieniędzy pracowałem nad jakimiś sprawami. Potem zobaczyłem twoje zdjęcie w gazecie. Byłaś tak podobna do Teresy Stone z „Record”, że mnie to zastanowiło. Pomyślałem, że tracę rozum, że tak rozpaczliwie szukam śladu, że ogarnęła mnie taka obsesja poszukiwań, iż widzę rzeczy, których nie ma. Potem przeczytałem, że jesteś córką Benjamina Jonesa, i to wydało mi się zrzędzeniem losu. Pomyślałem, że, jak poznam ciebie, uzyskam możliwość zbliżenia z twoim ojcem.

- Więc, w istocie rzeczy, wykorzystasteś mnie.

Sięgnął po moją rękę, a ja jej nie wyrwałam.

- Tak zacząłem, Ridley. Ale... - Nie dokończył zdania, a ja byłem z tego zadowolona, bo nie chciałam teraz wysłuchiwać o jego uczuciach do mnie. Na poziomie komórkowym wiedziałam, co między nami się dzieje. Słowa tylko by to spłaszczyły.

- Więc jeśli ty jesteś Charlie, a ja jestem Jessie, co z dwojgiem pozostałych dzieci, które zaginęły w tamtym roku? Kim one są?



- Nie wiem. Nie udało mi się ich wyśledzić. Wszystkie te dzieci zniknęły. Weź siebie, na przykład. Nosisz inne nazwisko i masz inny numer ubezpieczenia społecznego. Istnieje metryka urodzin Ridley Jones. To samo ze mną; mam metrykę urodzin na nazwisko Harley Jacobsen. Charlie, Brian, Pamela i Jessie już nie istnieją. Większość ich biologicznych rodziców nie żyje.

Nie wydawało mi się dziwne, że rozmawiamy o Charliem i Jessie w trzeciej osobie. Żadne z nas, jak sądzę, jeszcze nie identyfikowało się z zaginionymi dziećmi. Nie czułam się Jessie. Jej los był niezwykle blisko spleciony z moim, jej historię powinnam rozwikłać, zanim zrozumiem, kim sama jestem. Z tego, co mówił Jake, wynikało, że myśli podobnie.

- Nadal nie rozumiem. Te dzieci zostały zabrane z ich własnych domów i jakoś pojawiły się w innych domach z odmiennymi nazwiskami i numerami ubezpieczenia społecznego. Dlaczego? I jak się to stało?

- Przez koneksje potężnych ludzi z ogromnymi pieniędzmi i wielkimi wpływami - powiedział bez wahania, jakby myślał o tym już od jakiegoś czasu. - Poziom zorganizowania i korupcji zapiera dech w piersiach.

- Ale dlaczego? - znów zapytałam. - Dlaczego ktoś miałby to robić?

- Kiedy po raz pierwszy tym się zająłem, chodziło o mnie, o to, co stało się ze mną. Z początku myślałem, że to coś w rodzaju czarnego rynku. Powiedziałem sobie, w porządku, dzieci były porzucane w instytucjach powołanych do życia przez projekt „Na ratunek”, wiele prawdopodobnie bez metryk urodzenia i numerów ubezpieczenia społecznego. Musiał być sposób na nadawanie dzieciom nowej tożsamości, prawda? Może zdrowe dzieci białych były wykradane z tego systemu i sprzedawane bogatym ludziom, którzy pragnęli mieć potomstwo, ale byli bezpłodni.

- Ale twoja matka wróciła po ciebie. Ty właściwie nie zostałeś porzucony.

- Zgadza się. I kiedy dowiedziałem się o innych dzieciach zaginionych w tej okolicy, stwierdziłem, że one też nie zostały porzucone. To był wiatr w żagle mojej teorii.

- Wszystkie były pacjentami przychodni Aniołki.

- To miały ze sobą wspólnego.

- A przychodnia Aniołki to instytucja projektu „Na ratunek”.

- Zgadza się.

- Więc? Co to znaczy?

- Miały ze sobą wspólnego jeszcze coś: liczbę wizyt w klinice. Kiedy dziecko zbyt często było u lekarza z pewnego rodzaju ranami albo chorobami, było określane przez pediatrę jako prawdopodobna ofiara przemocy. Jessie miała złamaną rękę. Charlie został porzucony. Briana przywieziono ze złamaną nogą

i urazem głowy. Pamela miała ramię wyrwane ze stawu. To nie są normalne urazy jak na takie szkraby.

- Skąd to wiesz? Doktor Hauser powiedział, że nie dał ci teczek.

- Cóż, chyba nie spodziewasz się, że powiedziałyby ci o naruszeniu polityki przychodni ze względu na przyjaźń z Arniem.

Uśmiechnęłam się w duchu. Miałam rację co do Hausera i jego krawata z tańczącym misiem. Siedzący w lekarzu hippis przeważył nad postulatem właściwego postępowania, nawet jeśli oznaczało to złamanie przepisów.

- Więc twierdzisz, że ktoś uznał te dzieci za ofiary przemocy.

- Nie ktoś, Ridley. Twój ojciec.

Jake spoglądał jakby obok mnie, a brwi miał ściągnięte, aż odwróciłam się, żeby zobaczyć, na co patrzy. Zobaczyłam to, co on, firebirda zaczajonego i groźnego jak rekin.

Jake wyciągnął rękę, chwycił mnie za głowę i przycisnął ją do stołu. Swoją głowę położył obok i ryknął do kelnerki, która była jedyną osobą w restauracji:

- Na ziemię! - Dziewczyna zareagowała, jakby przeszła trening, i natychmiast ukucnęła za ladą.

W tym momencie okno restauracji eksplodowało kryształową zamiecią, szkła. Odgłos broni automatycznej i pękającej szyby był ogłuszający. To najstraszniejszy jazgot, jaki w życiu słyszałam. Cały świat zmienił się w kalejdoskop śmiertelnych odłamków i oślepiającego światła. Jake rzucił się pod stół i pociągnął mnie za nogi, żebym zrobiła to samo. Razem wczłotaliśmy się za kontuar, gdzie wystraszona kelnerka szlochała na podłodze. Ja byłam zbyt oszołomiona, żeby się bać.

- Czy jest tu tylne wyjście? - Jake przekrzykiwał hałas.

Kiwnęła głową i poczołgała się do kuchni. Tylne drzwi były otwarte, musiał nimi uciec kucharz. Wypełziliśmy na czworakach.

Zanim znaleźliśmy się na tylnym podwórku, ogień ucichł i usłyszeliśmy pisk opon na asfalcie. Ryk silnika firebirda cichł wraz z odległością. Jake pomógł mi wstać.

- Dzwon na policję! - krzyknął do wystraszonej kobiety, która płacząc, przytulała się do betonowej ściany. - Proś detektywa Gusa Salvo.

Chwycił mnie za rękę i pobiegliśmy w zimny, słoneczny poranek.

Wpadliśmy do kościoła na Hicks Street. Uszy pulsowały mi od gwałtownych dźwięków, a serce utkwilo w gardle, utrudniając oddychanie. Chwyciłam dłoń Jake'a tak mocno, że zdrętwiały mi palce.

W kościele szumiała cisza. Starsza pani w czarnej chuście modliła się we frontowej ławie. Światło poranka wpadało przez witrażowe okna i jaskrawe kolory tańczyły po podłodze jak motyle. W niszach płonęły świece wotywnie. Wydawało się tu bezpiecznie. Któż próbowałby zabijać w kościele?

Jake pociągnął mnie do konfesjonału. Na karteczce było napisane, że spowiedź zaczyna się o czwartej po południu. Byłam zadowolona. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć. Opadłam na czerwoną, welwetową poduszkę, tak wytartą, że zaczynał z niej wyłazić wypełniacz. Dotknęłam oprawnej w skórę Biblii. Na palcu został mi kurz. Jake stał i patrzył zza zasłony.

- Kto chce nas zabić? - wyszeptałam.

- Ridley, głęboko w coś wdepnęliśmy. Ktoś chce nas powstrzymać. W tej chwili wiesz tyle, co ja - odparł łagodnie.

- Ale ja nie wiem nic.

Obrzucił mnie spojrzeniem, którego wymowy nie zrozumiałam, i obserwował dalej. Zauważyłam, że w rękę trzyma pistolet, półautomat, zimny i groźny. Zdałam sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widziałam broni palnej. Chciało mi się wymiotować.

- Co chcesz z tym zrobić? - zapytałam głupio.

- Bronić nas... gdyby do tego doszło.

Czy myślicie, że jak się zastrzeli kogoś w kościele, to idzie się prosto do piekła, czy może Bóg rozumie, że zdarzają się ekstremalne sytuacje? Oparłam głowę o drewnianą ściankę i poczułam przypływ ogromnego zmęczenia.

- Nic nie wiem - wyszeptałam znowu.

Myślałam o tych obiadach organizowanych przez fundację, o wspaniałych przyjęciach wśród nowojorskich elit biznesowych, medialnych, medycznych, towarzyskich. Myślałam o pieniądzach wpływających na działalność charytatywną Maksa. O ludziach, którym te pieniądze pomogły. Myślałam o pasji Maksa, żeby spieszyć z pomocą maltretowanym dzieciom i bitym kobietom, bo jemu i jego matce nikt nigdy nie pospieszył z pomocą, o tym, jak stało się to swego rodzaju środkiem uśmierającym jego własny ból. Myślałam o tym, jak on i mój ojciec irytowali się czasem, że system tak często zawodzi, że wiąże ręce lekarzowi, który chce pomóc dziecku w niebezpieczeństwie. Przegadali o tym wiele wieczorów po kolacji. Tyle razy podsłuchiwałam ich pełne pasji dyskusje w gabinecie. Tyle razy, jako dziecko, zastanawiałam się, dlaczego są tacy zdenerwowani i smutni.

Co by się stało, gdyby Max i mój ojciec postanowili wziąć pewne przypadki we własne ręce? A jeśli organizowanie bezpiecznej przystani dla porzuconych dzieci było tylko jedną inicjatywą projektu „Na ratunek”? A jeśli

był też inny projekt „Na ratunek”? Taki, że nowojorska elita nie chciała wiązać z nim swoich gwiazdorskich nazwisk? Te myśli wpływały mi w żyły jak ciekły azot.

- Więc nie wiesz, jak i dlaczego zabierano te dzieci? Nie masz teorii? — wyszeptiałam do niego.

- Tego nie powiedziałem. - Odsunął się od zasłony i usiadł obok mnie na ławeczce tak, że musieliśmy się do siebie przycisnąć. Zatknęła pistolet za pasek i wytarł pot z czoła. Potem objął mnie ramieniem.

- Zostaniemy tu przez jakiś czas, dobrze?

- A potem co?

- Poczekamy, aż się ściemni, i wtedy... Nie wiem. Nie planowałem aż tak daleko.

Po raz pierwszy zwróciłam uwagę, że jest bardzo zmęczony.

- Co masz zamiar zrobić, Jake? - zapytałam łagodnie. Usta miałam tak blisko jego ucha, że mogłabym go posmakować.

- Co masz na myśli?

- Kiedy to odkryjesz. Kiedy będziesz miał wszystkie odpowiedzi na temat projektu „Na ratunek” i tego, co stało się z nami. Co wtedy zrobisz?

Popatrzył na mnie obojętnie, lekko potrząsając głową jakby nigdy o tym nie pomyślał, jakby podążał za czymś, czego nigdy nie pozna. Wszyscy jesteśmy tacy zagubieni, prawda? Zawsze szukamy czegoś nieuchwytnego, czegoś, co jest dla nas istotne, i nigdy dokładnie nie wiemy, co to jest.

- Muszę po prostu dowiedzieć się, kim jestem - powiedział.

- Przecież wiesz, prawda?

- Muszę wiedzieć, co się ze mną stało. Tamte dzieci znalazły domy. Tak jak ty. Co było ze mną? Jak trafiłem do systemu opieki nad dziećmi? Czy ty nie chcesz wiedzieć bez wątpliwości, co działo się z tobą? Nie chcesz poznać prawdy?

Nadal mówiliśmy szeptem. To było dobre pytanie. Prawdę zawsze pokazuje się jak świętego Graala, jak wartość, dla której wszystko inne należy poświęcić. Podobno prawda uwalnia człowieka, należy jej spojrzeć w oczy i nic złego z tego nie może wyniknąć. W tym przypadku podejrzewałam jednak, że prawda zawodzi, że wszystkie te piękne kłamstwa były znacznie lepsze. Ale do tej pory zdążyłam się już dowiedzieć, że przyroda nie znosi tajemnic, że rozstawia wnyki, których się nie uniknie. Byłam lisem z łapą w potrzasku. Jedyną drogą ucieczki było teraz odgryzienie kończyny. I już do tej pory sporo straciłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę (tak, znowu), aż Jake delikatnie zdjął mi z policzka dużą, pełną łzę.

- Przykro mi, Ridley, tak mi przykro ze względu na to wszystko. - Pocałował mnie. Jego oddech sprawił, że zrobiło mi się gorąco w ucho i dostałam gęsiej skórki. - Mogłam ci nic nie mówić, ale nie wytrzymałam. Różnieciłem płomień. Zaprowadziłem cię do Christiana Luny. To było takie samolubne. Ja po prostu...

- Nie chciałeś być z tym sam?

Pokiwał głową. Zrozumiałam go. Pamiętałam, jaka byłam samotna, kiedy leżałam w ciemnym pokoju hotelowym, zastanawiając się, kim jestem i skąd pochodzę, kto chce mnie skrzywdzić. Jake czuł się tak przez całe swoje życie. A w ostatnim roku, kiedy szukał rodziny i odpowiedzi na pytanie, co się z nim samym działo, odszedł jego jedyny przyjaciel. Jakiż musiał być samotny. Myśl o znalezieniu kogoś, kto dzieliłby jego poszukiwania, jego pytania, musiała być nieodparta. A w ogóle, to czyż nie jest tak, że wszyscy czegoś szukamy? Możemy powiedzieć, że szukamy miłości, dążymy za marzeniami, gonimy za pieniądzem, ale czyż nie szukamy po prostu naszego miejsca w życiu? Miejsca, w którym nasze myśli, uczucia i obawy są rozumiane?

- Przepraszam - powiedział, obejmując mnie.

Też go objęłam i trzymałam mocno.

- W porządku - szepnęłam. - Teraz rozumiem.

- Co?

- *Quidam*.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem i zarazem wdzięcznością. Czulałam słony smak moich łez na jego wargach.

Kiedy my ukrywaliśmy się w kościele, detektyw Gus Salvo przybył na miejsce strzelaniny. Później dowiedziałam się, że stojąc na usianej szklanym konfetti podłodze, wziął od roztrzęsionej kelnerki opis dwojga ludzi, którzy stamtąd uciekli. Potrząsała głową kiedy mu opowiadała, co widziała. Był to kolejny niedopasowany fragment układanki, która, im bardziej się nią zajmował, tym mniej miała sensu. To, co zaczęło się jako przypadkowa strzelanina w niebezpiecznym parlcu, nabierało rozmiarów, których nie przewidziała jego intuicja, kiedy sprawa wylądowała mu na biurku.

Prawo posiadania broni w stanie Nowy Jork jest bardzo restrykcyjne. Jeśli chcecie mieć broń palną legalnie, czeka was seria biurokratycznych przepraw, sprawdzanie, długi okres oczekiwania itd. Harley Jacobsen legalnie uzyskał dziewięciomilimetrowego glocka i mniejszego, pięciopistoletowego smith & westona, pistolet często noszony przez policjantów poza służbą. Miał prawo nosić oba te pistolety. Ale karabin, z którego zabito Christiana Lunę, został

kupiony na Florydzie, gdzie prawo jest znacznie bardziej pobłażliwe i wymaga tylko trzydniowego okresu oczekiwania. Faktycznie, na Florydzie można legalnie kupić broń bez rejestracji. Detektyw Salvo rozumiał, że można pojechać na Florydę, kupić broń, wrócić do Nowego Jorku i dokonać morderstwa. Nie rozumiał jednak, dlaczego Jacobsen ją zarejestrował. Salvo uzyskał dokumenty podpisane przez Jake'a, porównał podpisy na nich i na licencji prywatnego detektywa i odkrył, że nie są nawet trochę podobne.

Dotrzymał danego mi słowa i zajął się sprawą czworga zaginionych dzieci. Poszedł prawie tym samym tropem, który przemierzył przed nim Jake, a potem ja. Ale detektyw Gus Salvo był człowiekiem bardzo prostolinijnym. Nie miał tych osobistych uwarunkowań, które kierowały Jakiem i mną. I nie tracił z pola widzenia celu: odkryć, kto i dlaczego zamordował Christiana Lunę.

Policja podejrzewała, że to Luna zabił Teresę Stone. Fakt, że nie został schwytany, sprawiał, że sprawa nadal była otwarta. Ale według akt, które przejrzał detektyw Salvo, nikt nie zastanawiał się nad innymi możliwościami. Teresa Stone nie miała rodziny, która nalegałaby na prowadzenie śledztwa, toteż, po jakimś roku, zostało ono zaklasyfikowane jako sprawa martwa, właściwie zakończona, ateczka pokryła się kurzem w jakiejś piwnicy w Jersey. Dobra wiadomość dla zabójcy. Zatem fakt, że Christian Luna wypłynął na powierzchnię i zapewnił o swojej niewinności kobietę, którą uważał za porwaną córkę, o całkowicie zmienionej tożsamości, musiał stanowić dla kogoś bardzo złą nowinę i ogromny problem.

Detektyw Salvo doszedł więc do wniosku, że Christian Luna komuś zawadzał. Fakt, że Jake kopał na tym samym cmentarzu, sprawił zaś, że i on zaczął zawadzać. A jeśli już o tym mowa - ja też.

Rozejrzał się po restauracji zasypanej teraz potłuczonym szkłem. Chodnik na zewnątrz pobrużdżony był seriami z broni automatycznej. Co, do kurwy nędzy, tutaj zaszło, zastanawiał się detektyw. A ja mogłam się o wszystkim dowiedzieć od niego wcześniej, gdybym uparcie nie wyłączała telefonu, kiedy zaczynał wibrować w mojej kieszeni, wyświetlając jego numer.

## Rozdział 29

Jedziecie autostradą, a osiemnastokółowy tir przed wami wyrzuca kamyk, który uderza w szybę przednią waszego samochodu z zaskakująco głoś-

nym trzaskiem. Kamyk, prawdopodobnie niewiele większy od paznokcia, zostawia maleńkie, prawie niewidoczne draśnięcie. I chociaż z początku ledwie je widać, w końcu rozchodzi się ono jak pajęczyna. To małe draśnięcie powoduje pęknięcia, które zagrażają stabilności całej struktury. W końcu wszystko, co widzicie przez szybę, robi się złamane i popękane, a kolejne uderzenie, choćby i najmniejsze, może sprawić, że całość posypie się zabójczym, tnącym deszczem.

Przez zagrożoną wybiciem przednią szybę mojej pamięci widziałam rzeczy, o których nie myślałam od dzieciństwa, o ile kiedykolwiek w ogóle o nich myślałam. Te chwile, zapamiętane, ale pogrzebane w podświadomości, teraz do mnie wracały. Ileż to rzeczy kiedyś widzieliśmy i ani razu potem o nich nie pomyśleliśmy? Sądzę, że kiedy widzimy coś jako dzieci i jeszcze tego nie rozumiemy, chowamy to w podświadomości i wyławiamy, dopiero kiedy dysponujemy językiem i wiedzą, one pozwalają nam to przetworzyć w umyśle. Nie mówię o wypartych wspomnieniach. Mówię o niuansach, subtelnościach, tych delikatnych chwilach, które zmieniają znaczenie.

Pamiętam zimowe popołudnie, kiedy wcześniej zamknięto moją szkołę. Miałam chyba osiem lat, byłam w trzeciej klasie. Wszyscy zebraliśmy się przy oknie z żaluzjami, żeby obserwować padający śnieg, który nieprawdopodobnie szybko pokrywał plac zabaw. Niebo miało ciemnoszary kolor zadymki. Ze szkoły wypuszczano nas partiami. Do południa przedszkole i pierwszaki, a pozostali po trzeciej, i dla wszystkich naraz nie starczyło miejsc w autobusach. Wezwano więc matki i na podjeździe szkolnym stanęła parada kombi i minifurgonetek. Pamiętam to uczucie pełnego winy podniecenia. Byłam szczęśliwa, że jadę tam, gdzie będzie ciepło i przytulnie, żeby ogłądać wilgotny, zimny świat zza okna niedaleko kominka, jeść grillowane kanapki z serem i pić gorącą czekoladę.

Wszyscy opatuleni czekaliśmy przy aluminiowo-szklanych drzwiach, a za każdym razem, kiedy się otwierały, wpadała chmura płatków śniegu i podmuch zimnego wiatru, który sprawiał, że różowiały nam nosy i policzki. Byłam jednym z ostatnich czekających dzieci. Widziałam, jak nasz samochód się zbliża, ale z początku prowadząca go kobieta nie wyglądała jak moja matka. Twarz miała szarą, o twardym, zaciętym wyrazie. Włosy zmierzwione, a oczy zmrużone z wściekłości. Moja matka była piękną kobietą, zawsze zadbaną. Nawet nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała ją „niezrobioną”, jak to nazywała. Kobieta, która odprowadzała nas tamtego ranka, chociaż nadal ubrana była w czerwoną, jedwabną piżamę, była perfekcyjnie zadbaną, twarz miała umytą, włosy zaczesane, nosiła dopasowany do

piżamy czarny, welwetowy szlafrok i kapcie. Była w swoim kostiumie i doskonale grała rolę matki.

Kobieta za kierownicą czarnego mercedesa wyglądała na zdenerwowaną, zaniepokojoną i bardzo głęboko zasmuconą. Patrzyła przed siebie, w śnieg, jakby pogoda niesła dla niej przytłaczające rozczarowanie. Pamiętam drżenie serca, którego chyba nie potrafiłabym wytłumaczyć. W tamtej chwili widziałam chyba matkę bez maski.

Moja nauczycielka, pani Angelica, powiedziała:

- Idź, Ridley. To twoja mama.

Odwrociłam wzrok od kobiety za kierownicą i pokręciłam głową.

- Proszę pani, to nie jest moja mama.

Nauczycielka znów popatrzyła.

- Ależ oczywiście, że tak, Ridley. - Uśmiechnęła się zmieszana.

Kiedy odwróciłam się, zobaczyłam moją matkę, uśmiechała się, machała ręką. Poczułam lekki dreszczyk zaskoczenia i wyszłam na śnieg. Matka nachyliła się i otworzyła mi drzwi. Usiadłam obok niej i poczułam zapach jej perfum, UAir du Temps, tych w butelce z mrożonego szkła, z ptaszkiem na korku. Starła śnieg z mojej czapki.

- Ale pada! - powiedziała radośnie. - Chodźmy, odbierzemy twojego brata. Potem pojedziemy do domu i napijemy się gorącej czekolady.

Nadal szukałam tej widmowej kobiety.

- Co się stało? - zapytała z uśmiechem, kiedy zobaczyła, że się na nią gapię-

- Nie wyglądałaś jak ty - powiedziałam - kiedy zobaczyłam cię zza drzwi. Wyglądałaś inaczej.

Lekko się roześmiała, jakbym była głupiutka albo się bawiła. Ale jej uśmiech był trochę krzywy.

- Naprawdę? - zapytała. Potem odwróciła się, zrobiła minę i pokazała język. - Czy teraz wyglądam tak, jak ja?

Zaczęłam chichotać.

Co ja chcę przez to powiedzieć? Co chcę wam opowiedzieć? Myślę, że kłamstwa były nie tylko w sprawach najważniejszych. W małych też.

Znowu przypomniałam sobie to przyjęcie urodzinowe, kiedy podsłuchiłam wujka Maksa i matkę rozmawiających w kuchni. Nie mogłam uwierzyć, jakim tonem się do siebie zwracali. Byli tacy źli. Teraz rozumiem, byli sobie bliscy. Bo, pomyślcie tylko, nie mówi się w ten sposób do uprzejmego obcego, nawet do najbliższego przyjaciela męża, nawet jeśli z upływem lat stał się i waszym przyjacielem. W jej słowach było tyle emocji,



jakby w ich wzajemnych stosunkach istniała cała warstwa, której nawet się nie domyślałam.

- Doprawdy, Max. Jak mogłeś przyprowadzić jedną z nich tutaj, na urodziny Ace'a?

- Nie chciałem przychodzić sam - odparł. W jego tonie było coś, czego nie rozpoznawałam.

- Bzdura, Max.

- Czego ty ode mnie chcesz, Grace, he? Przestań być taką cholerną cnotką.

Babka ze strony matki zawsze z dumą mówiła o mojej matce i jej rodzeństwie: „Och, oni nigdy się nie kłóca”. I przez długi czas uważałam, że brak konfliktu jest oznaką dobrych stosunków. Aż wreszcie pewnego wieczoru, kiedy babka to powtórzyła, usłyszałam, jak ojciec szepcze:

- Tak, nie kłóca się, bo ze sobą nie rozmawiają.

- Co powiedziałaś, Benjaminie?

- Nic, matko. - Tak się do niej zwrócił, jakby to słowo miało w jego ustach gorzki posmak. Do swojej matki zwracał się „mamuś”.

Pamiętam, że moi rodzice nigdy się nie kłócili - z wyjątkiem konfliktów o Ace'a. Poznawałam, że matka jest zła na ojca - on nigdy nie gniewał się na nią - po milczeniu i ciemności. Kiedy matka była w dobrym nastroju, światła w domu były włączone, zimą i jesienią w kominku płonął ogień, słysząc było telewizor albo stereo. Kiedy była zła, siedziała samotnie w ciszy i ciemności, aż jej przeszło. Dzięki temu wiedziałam, że coś jest nie tak.

- Jak się czujesz? - zapytał Jake, kładąc mi dłoń na karku.

- Dobrze. Po prostu wspominam - odparłam.

Pokiwał głową, jakby rozumiał.

Taksówka, do której wsiedliśmy na Hick Street, zatrzymała się przed domem Ace'a. Nie powiem, żebym bardzo się cieszyła, że znów go zobaczę; po ostatnim spotkaniu nadal byłam zła i urażona. Ale szczerze mówiąc, nie mieliśmy dokąd pójść, żeby znaleźć odpowiedzi. Wiedział więcej, niż mi powiedział. Jego pasywno-agresywne napomknięcia dały mi to do zrozumienia. Musi być wobec mnie, chociaż raz, szczerzy. Tym razem nie dam się zbyć.

Ganek był pusty, a niebo, chociaż było tuż po wpół do piątej, pociemniało. Przez pewien czas siedzieliśmy w kościele, dopóki nie stwierdziliśmy, że jesteśmy bezpieczni i nikt za nami nie wszedł. Opierając się o siebie i trzymając za ręce, zdrzemnęliśmy się w konfesjonale. Oboje byliśmy tak odurzeni, jak pod wpływem narkotyków. Ocknęliśmy się podczas popołudniowej

mszy i przypomnieliśmy sobie kartkę na konfesjonale z informacją, że spowiedź zaczyna się o czwartej. Gdy msza się skończyła, wyszliśmy razem z wiernymi i znaleźliśmy taksówkę tuż przed kościołem. Powiedzieliśmy kierowcy, żeby jechał do Lower East Side. Jake patrzył przez tylne okno, a kiedy upewnił się, że nikt za nami nie jedzie, poprosił, żebym podała taksówkarzowi adres. Teraz staliśmy przed tym budynkiem.

- To tutaj mieszka? - zapytał Jake.

- Jeśli nazwiesz to mieszkaniem.

Kiedy weszliśmy do środka, Jake położył rękę na pistolecie wetkniętym za pasek. Tak jak poprzednio okropny smród - śmieci, odchodów ludzkich, czegoś chemicznego - podrażnił mój nos. Ale teraz budynek zdawał się opuszczony, cichy, brakowało światła słonecznego, które wcześniej wpadało przez brudne okna.

- W porządku - powiedziałam, biorąc go za rękę.

- Nie podoba mi się ta ciemność.

Zrozumiałam go, gdy pomyślałam o wszystkich tych strasznych rzeczach, które przytrafiły mu się w ciemności. Mocniej ścisnęłam go za rękę. Kiedy weszliśmy na trzeszczące schody, nasze oczy przystosowały się do mroku. Drzwi do mieszkania brata były otwarte. Serce mi zamarło.

- Ace? - zapytałam.

Ale nie było odpowiedzi.

Jake wyjął pistolet i stanął z boku, pociągając mnie łagodnie pod ścianę. Popchnął drzwi, które otworzyły się, skrzypiąc. Na łóżku leżała jakaś postać; w ciemności widziałam zarysy. Cienki, delikatny cień zdawał się lekko drżeć. Potem usłyszałam cichy płacz.

- Ruby? - zapytałam, zbliżając się do niej.

Jake złapał mnie za nadgarstek, ale strząsnęłam jego rękę i podeszłam do niej.

- Zabrali go - powiedziała, szlochając.

- Kto go zabrał? - Ukłękłam obok niej. Nie widziałam jej twarzy, lecz wyczuwałam przesiąknięty papierosami oddech.

- Nie wiem. Dwóch mężczyzn w kominiarkach. Wpadli przez drzwi. Jeden z nich uderzył mnie mocno w brodę. - Podniosła rękę i potarła twarz. - Straciłam przytomność. Kiedy się ocknąłam, nie było ani ich, ani Ace'a.

- Dobrze się już czujesz? - Próbowałam obejrzeć jej szczękę w ciemnościach.

Pokiwała głową i spojrzała na mnie. Oczy miała szeroko otwarte, pełne łez.

- Nic nie mówili? - zapytał Jake od drzwi.

- Kazali ci powiedzieć, żebyś zostawiła sprawę.

- Mnie? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Obojgu wam. Powiedzieli: „Niech to zostawią, a my go puścimy”,

Przez chwilę nic nie mówiłam, bo coś utkwilo mi w gardle i nie pozwalało wyrwać się słowom. Znów miałam to koszmarne uczucie, kiedy człowiek rozgląda się, szukając czegoś, co potwierdziłoby jego nadzieję, że to tylko ~~sm~~

- To moja wina - szepnęła. - Powiedziałam mu, żeby ci pomógł. Powiedziałam, żeby opowiedział ci wszystko i chronił przed nimi.

- Przed kim?

- On wie - stwierdziła, kiwając głową w stronę Jake'a. - On wie, ~~ko~~ to jest.

Jake tylko pokręcił głową i unióśł ramiona.

- Nie mam pojęcia - powiedział, kiedy spojrzałam na niego.

- To ludzie, którzy ciebie zabrali, Ridley. - Popatrzyła na mnie ~~poważ~~nie. - Ludzie odpowiedzialni za wszystko, co się z tobą dzieje.

- Kto, Ruby? Kto jest odpowiedzialny?

Znów zaczęła płakać. Walczyły we mnie dwa impulsy: objąć ją czy ~~nie~~ rzucić w twarz.

- Nie wiem. Nie powiedział mi. - Płakała coraz głośniej. - Z tego ~~samo~~go powodu nie powiedział tobie. Uważał, że ta wiedza jest dla nas ~~zbytnie~~bezpieczna.

Czy ta dziewczyna była tylko oszalałą ćpunką? Czy wiedziała ~~choć~~o czym mówi? Nie wiedziałam, jak zareagować.

- Zostawili ten numer telefonu - wydusiła wreszcie Ruby. Usiadła i podała mi kawałek papieru. Patrzyła podejrzliwie na Jake'a. W pokoju było ciemno, ale światła wystarczało, żebyśmy mogli widzieć swoje twarze. Zapach dymu z papierosów był jak czyjaś obecność. Wyjęłam telefon z ~~kiesz~~eni i otworzyłam go. Pisk i błysniecie zielonego ekraniku powiadomiły mnie, że mam trzy wiadomości. Nie wiedziałam, jak je odsłuchać. Popatrzyłam na Jake'a.

- Zadzwonić? - zapytałam.

Podszedł do mnie bliżej.

- Masz jakiś wybór?

Powinłam wpaść w panikę, załamać się po tym, co stało się z Ace'em i ze mną. Ale byłam spokojna. Jediną wskazówką, że jednak się boję, był ~~natę~~ny szum w prawym uchu i suchość gardła oraz lekkie, prawie niewyczuwalne drżenie rąk.

Wystukałam numer i wszyscy czekaliśmy, aż odezwie się sygnał.

- Ridley. Niewiele czasu ci to zajęło. Zawsze byłaś mądrą dziewczyną,

Rozpoznałam głos starszego mężczyzny, ale nie potrafiłam go skojarzyć. Był gładki i poważny, ale miał w sobie jakieś zło.

- Myślałem, że się dogadaliśmy co do tego, że wrócisz do domu rodziców, Ridley.

Trybiki rozpoznania trafiły na swoje miejsca, z ohydny młaśnięciem otwierając drzwi do klatki tygrysa. To był Alexander Harriman.

- Nie rozumiem...-powiedziałam.

- Od chwili, kiedy zobaczyłem twoje zdjęcie na pierwszej stronie gazety, wiedziałem, że będą kłopoty. - Głos był swobodny, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

- Proszę pana, czego pan chce?

- Pomyślałem sobie tylko, że powinniśmy się spotkać i omówić pewne sprawy, wyjaśnić pewne nieporozumienia i ułożyć plan na przyszłość. A kiedy to już się stanie, możemy porozmawiać o twoim bracie i udzielić mu pomocy, której potrzebuje.

Zdałam sobie sprawę, że jest bardzo ostrożny w rozmowie telefonicznej.

- Proszę pana, mogę pójść do mediów z tym, co już wiem. Mogę wezwać policję, skoro wiem, że ma pan mojego brata.

Ani przez chwilę się nie zastanawiał.

- Możesz. Ale będą konsekwencje. Myślę, że zaczynasz zdawać sobie sprawę z tego, że prawda nie zawsze nas wyzwala. W wielu znanych mi przypadkach jest wręcz przeciwnie. W przypadkach, które i tobie są znane.

- Czy pan mi grozi?

- Skądże - powiedział z udawanym oburzeniem.

Moje myśli szalały. Nie wiedziałam, jak to rozegrać. Czuję się jak mysz w pazurach głodnego, udomowionego kota.

- Muszę wiedzieć, czy Ace'owi nic się nie stało. - Tak, to było słabe. Ale nie potrafiłam wymyślić innego żądania. Ponadto chciałam usłyszeć jego głos, dowiedzieć się, że jest bezpieczny i że w mojej mocy jest go uratować.

- Jeśli uda nam się osiągnąć porozumienie, twój brat i reszta twojej rodziny, nie wspominając twojego przyjaciela, pana Jacobsena, nie mają powodów do żałoby. Masz moje słowo.

- To nie wystarczy.

- Słuchaj, Ridley. - Zniecierpliwienie wkładało się do jego wyważonego tonu. - Nie masz asa w rękawie, więc przestańmy pieprzyć. Bądź w moim biurze w ciągu godziny. Wyświadczam ci uprzejmość ze względu na miłość Maksa do ciebie. Ale nie jestem człowiekiem z natury sentymentalnym, a ty stałaś się koszmarnie niewygodna.

Odłożył słuchawkę. W końcu powiedział wszystko, co chciał. Odsunęłam telefon od ucha i patrzyłam na niego, jakby był zabójczą bronią. Czułam, że drzę. Myślałam o jego uprzejmości, która jak dotąd polegała na ostrzelaniu mnie z samochodu i próbie zepchnięcia mojego wozu z drogi. Popatrzyłam na Jake'a, a on podszedł i wziął mnie w ramiona.

- Kto to był, Ridley?
- Prawnik mojego wujka, Alexander Harriman.
- Prawnik mafii?

Nie myślałam o nim w ten sposób, ale domyśliłam się, że skoro raz broniło się mafiosa, to już zostaje się prawnikiem mafii. Usiadłam na łóżku obok Ruby, która patrzyła na mnie teraz z rozpaczą w oczach.

- Kocham go - powiedziała. Była wyniszczona i tak chuda, że widać jej było wszystkie kości. Po twarzy spływał makijaż. Włosy miała spalone od zbyt dużej ilości farby. Ale było w niej jakieś piękno, jakaś słodycz, coś, co chciałam chronić.

- Ja też.
- Więc czego on chce? - zapytał Jake.
- Chce spotkać się ze mną w swoim biurze w ciągu godziny.

Jake pokręcił głową.

- To nie jest dobry pomysł.
- Mam inne wyjście?

Patrzyliśmy na siebie przez sekundę; żadne z nas nic nie powiedziało.

- No dobrze, nie pójdziesz sama - oświadczył.

- Nie możemy mu ufać. - Ruby chwyciła mnie za ramię. Spojrzała ze strachem na Jake'a. Wyglądała na zrozpaczoną, ale szalona nie była.

- Dlaczego, Ruby? Dlaczego to mówisz? — zapytałam, patrząc na Jake'a. Tylko uniósł ręce. Przyciągnęła mnie bliżej do siebie, tak, że mogłam wyczuć zapach papierosów w jej oddechu. Szeptała gorączkowo:

- On zabił twojego wujka Maksa.

Te słowa mnie zmroziły.

- Ruby, mój wujek spadł z mostu. Jechał samochodem. Był pijany. Było ślisko. Nie został zamordowany.

Popatrzyłam na Jake'a. Stał bez ruchu, milczał. Żałowałam, że nie widzę jego oczu, ale zauważyłam, że powoli kiwa głową.

- Nie trzeba strzelać z pistoletu, żeby kogoś zabić - powiedziała, patrząc na Jake'a.

Jake wszedł w smugę światła, tak że mogłam zobaczyć jego twarz.

- Czasem - westchnął - wystarczy powiedzieć człowiekowi prawdę.

- Co? O czym wy mówicie?

Przypomniałam sobie, jak wujek Max płakał tamtego wieczoru. Zapamiętałam jego słowa. „Ridley. Możliwe, że jesteś jedynym dobrem, jakie udało mi się uczynić”. I wtedy zrozumiałam, co Jake miał na myśli.

- Spotkałeś się z nim. Powiedziałeś mu, co się z tobą stało.

Pokiwał głową.

- Brodziłem w ciemnościach, kiedy spotkałem Maksa. Tak, jak ci mówię, dowiedziałem się o zaginionych dzieciach, o twoim ojcu. Ale nie wiedziałem, w którą stronę poprowadzić dalej śledztwo. Wtedy umarł Arnie. Było we mnie tyle złości, że nie mogłem zasnąć, dopóki nie wypilem. Kiedy dowiedziałem się o Fundacji Maxwella Allena Smileya i jej projekcie „Na ratunek”, musiałem porozmawiać z twoim wujkiem. Pytałaś mnie o moją teorię? Jest następująca: przychodnia Aniołki i inne podobne placówki w całym stanie, które zostały określone jako „bezpieczne schronienia”, gdzie przerażone matki mogą zostawiać swoje dzieci, miały także inną funkcję. Niektórzy lekarze działali jako „aniołowie stróże”.

Znów westchnął, jakby opowiadanie o tym sprawiało mu ból.

- Zajmowali się dziećmi, które ich zdaniem były maltretowane? - zapytałam. Pomyślałam o Jessie i jej złamanej ręce. Pomyślałam, co mój ojciec, tak troszczący się o dobro dzieci, musiał czuć, kiedy się nią zajmował.

- Tak i oznaczali je.

- Jak to?

- W latach siedemdziesiątych było bardzo trudno wyciągnąć dziecko ze środowiska, w którym źle je traktowano.

- Więc uważasz, że stworzono system, dzięki któremu lekarze identyfikowali maltretowane dzieci... i co?

- Potem je uprowadzano - powiedział. - Chyba.

- Kto to robił? I co się potem z nimi działo?

- Nie znałem odpowiedzi na te pytania, kiedy szedłem na spotkanie z Maksem, i do tej pory nie jestem pewien.

- Co się stało? - zapytałam.

- Próbowałem spotkać się z nim w jego biurze, ale nie udawało mi się z nim umówić, więc śledziłem go przez kilka dni i namierzyłem lokale, w których pił. Czekałem na niego w Blue Hen, niedaleko domu twoich rodziców, Ridley.

- W Wigilię?

- Nie. Kilka tygodni wcześniej. Już wcześniej pił, zanim przyszedł, wszyscy tam zachowywali się, jakby go znali. Czekałem przy stole w rogu z gu-

innessem, aż usiadł sam. Był to przyjacielski facet, kupił mi drinka. Nienawidziłem go do szpiku kości. - Głos Jake'a zrobił się zimny, wyczuwałam w nim coś, czego się nie spodziewałam. Słyszałam gniew, o którym mówił, i zdałam sobie sprawę, że nadal w nim płonie. Może to się zmieni, kiedy Jake zrozumie swoją przeszłość. - Powiedziałem: „Wie pan, kim jestem?”. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem i trochę podejrzliwie. „Nie, synu, nie mam pojęcia”. Ja na to: „Niech pan pozwoli, że panu opowiem”. I wiesz co? Był dla mnie miły. Wysłuchał mojej opowieści, wciągnęła go, mówił mi o tym, że sam był maltretowany. Ale ja nic sobie nie robiłem z jego uprzejmości. Kiedy skończyłem i wypiliśmy jeszcze po piwie, powiedziałem: „Panie Smiley, co mógłby mi pan powiedzieć o projekcie «Na ratunek»?”. Przestał być miły i poszarzał na twarzy. „Kim jesteś, synu?”, chciał się dowiedzieć. „W tym problem, że nie mam pojęcia”, odparłem. Zapłacił i wyszedł, a ja wyszedłem za nim. Mógł urządzić scenę, poprosić facetów w barze, żeby się mną zajęli, albo wezwać policję, ale nie zrobił tego. Na parkingu wyłuszczyłem mu moją teorię na temat projektu. „Myślę, że jestem jednym z tych dzieci, proszę pana. Ale coś poszło źle i znalazłem się w systemie opiekuńczym dla sierot”. Powiedział mi, że oszalałem, że nie wiem, o czym mówię. „Projekt «Na ratunek» służy ratowaniu porzuconych niemowląt i tyle. Tobie potrzebna jest pomoc, synu”. „Ma pan rację, potrzebna mi pomoc. Niech mi pan powie prawdę o tym projekcie”. Staliśmy tak blisko siebie, że niemal szeptaaliśmy. „Powiedziałem ci prawdę. Nie mogę ci pomóc”. Wsiadł do samochodu, ale zanim zamknął drzwi, rzucił mi wizytówkę na kolana. Po błysku w oczach poznałem, że jest zirytowany, że go wyprowadziłem z równowagi. Pomyślałem, że jeśli wie więcej, to sumienie pewnego dnia się w nim odezwie. I pewnie tak było. Może dlatego zjechał z mostu w Wigilię. Jeśli go zabiłem, to właśnie w ten sposób.

Ogarnęła mnie fala żalu po wujku Maksie. Po tym wszystkim nadal boli mnie myśl, że umierał w smutku, który chodził za nim przez całe życie, zabierał mu radość, prowadził do wyskoków. I wygrał z nim.

- Skąd Ace dowiedział się o tym?

- Twój wujek mu powiedział - wtrąciła się Ruby. - Na kilka dni przed śmiercią przyszedł go szukać. Chciał załatwić z nim sprawy, pomóc mu, zapłacić za leczenie. Powiedział Ace'owi, że dopadła go przeszłość i musi naprawić coś, co zniszczył. Chyba tak właśnie myślał o twoim bracie.

Przypomniałam sobie ostatnią moją rozmowę z wujkiem Maksem i zastanawiałam się, co by mi powiedział, gdyby ojciec go nie powstrzymał. Myślałam o tym, co powiedział mi ojciec, o funduszu, który Max zostawił

Ace'owi pod warunkiem, że ten przez pięć lat nie będzie brał. Czy chciał coś naprawić w ten sposób?

Popatrzyłam na Ruby, która zdawała się nie wiedzieć, co jeszcze dodać. Po prostu gapiła się na Jake'a, obgryzając resztki paznokci. Chyba jedynym uczuciem, równie silnym jak strach, był wtedy przytłaczający mnie żal, że stało się tyle krzywd, że tak wiele rzeczy poszło źle. Czy winiłam Jake'a za śmierć Maksa? Nie. Miał prawo poszukiwać prawdy. Czy winiłam Maksa za to, co stało się Jake'owi? Nadal nie wiedziałam. I nie byłam pewna, czy szukanie winnego jest takie ważne.

- Musimy iść - powiedziałam do Jake'a. - Minęło pół godziny, odkąd dzwoniłam.

Popatrzył na mnie zaskoczony, jakby nie na taką reakcję czekał. Potem szybko skinął głową.

- Chodźmy.

Po drodze na dół moja komórka zaczęła wibrować w kieszeni. Spojrzałam na ekranik i wiedziałam, że to detektyw Salvo. Nie śmiałam odpowiedzieć. Ale wpadłam wtedy na pewien pomysł.

## Rozdział 30

Każdy, kto widział egzekucję, powie wam, że towarzyszy jej uczucie rozczarowania. Rodziny ofiary mordercy po latach cierpień, po niekończących się procesach, które mają wymierzyć przestępcy sprawiedliwość, po kolejnych apelacjach z celi śmierci, wreszcie przychodzą do sterylnego pomieszczenia. Przyglądają się wymierzeniu sprawiedliwości zza szklanej tafli. Patrzają, jak zabójca umiera. Długie lata czekali na tę chwilę, kiedy skończy się cierpienie, a zacznie proces uzdrawiania. Wyobrażają sobie, że ciężar spadnie im z serca, że sny będą wolne od koszmarów. Ale kiedy to się dokona, powiedzą wam, że ból nie minął. Nie ulżyło im to w cierpieniu. Ich żal jest równie gorący i świeży jak pierwszego dnia, niezłagodzony w najmniejszym stopniu śmiercią sprawcy.

Może to dlatego, że koncepcja kary jest fałszywa, bo dobre czy złe działanie zmienia wszystko wokół nas w sposób nieodwołalny. Zmieniamy się dzięki temu, czego doświadczamy. Wielkie sprawy, małe sprawy, wszystkie wywierają na nas wpływ i nie możemy tego zmienić. Osądzać te doświad-



czenia, nienawidzić tego, co nam się przydarzyło, to jest tak, jakbyśmy nienawidzili siebie samych za to, że staliśmy się inni pod ich wpływem. Myślę, że dlatego nie czułam gniewu, kiedy jechaliśmy taksówką do biura Harrimana. Bałam się, byłam przybita tym, co się stało, ale nie przeklinałam dnia, kiedy skoczyłam przed tamtą furgonetkę, żeby uratować dziecko. Nie czułam nienawiści do ojca za to, że „oznakował” małą Jessie Stone, jeśli rzeczywiście to zrobił. Nie czułam nienawiści do Jake'a za to, że porozmawiał z Makssem. Nie umiałam wykrzesać z siebie uczucia sprawiedliwego gniewu. Bo jest tak, jak wam mówiłam. Wierzę w równowagę, w karmę. Na każdą dobrą rzecz przypada zła, na każdą słuszną- niesłuszną.

Oczywiście w tamtej chwili nie myślałam o tym. Każdy mój nerw żył strachem o brata, o rodzinę i o to, czego będzie ode mnie chciał Alexander Harriman. Znow znalazłam się w sytuacji, do której nie miałam odnośników. Nachylałam się w fotelu, jakbym chciała sprawić, żeby taksówka jechała szybciej, żeby inne wozy ustąpiły nam miejsca. Zanim dojechaliśmy do kamienicy przy Central Park West, w której mieściło się biuro Harrimana, strach przygniótł mnie nagle do winylowej tapicerki fotela.

- W porządku - powiedział Jake, płacąc taksówkarzowi. Lekko wypchnął mnie na chodnik. - Gdyby chciał cię skrzywdzić, już byłabyś martwa.

Musiałam przyznać, że była w tym logika, ale nie poczułam się dzięki temu lepiej. Nacisnęliśmy dzwonek i chciałam móc powiedzieć, że zaskoczył mnie widok skinheada otwierającego nam drzwi. Uśmiechnął się, obmacał Jake'a i wyjął mu pistolet zza paska. Ale nie wyglądał tak przeraźliwie, jak w moich wspomnieniach. Na szczęście miał zarost, a oczy obramowane dziewczęcymi długimi rzęsami. Czuć było od niego mocną tanią wodą kolońską.

- Ładna sztuka - powiedział łysoń, obracając pistolet w rękę. Dwoma szybkimi ruchami wyjął magazynek i wyrzucił pocisk z komory. Pustą broń zwrócił Jake'owi.

Popatrzył na mnie i wyszczerzył się w tym wilczym uśmiechu, który już widziałam.

- Chyba się znamy - powiedział.

- Nie sądzę - odparłam, próbując udawać zimną i twardą, ale wyglądałam jak wystraszony dzieciak.

Uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Zastanawiałam się, czy takie rzeczy zdarzają się wszystkim. Czułam, że moją świadomość znow ogarnia to sennie odrętwienie.

Ostatnim razem, kiedy znalazłam się w wytwornym biurze Alexandra Harrimana, byłam innym człowiekiem... chociaż minęło zaledwie kilka dni.

Teraz wszystko wyglądało inaczej w moich oczach - wspaniałe dywany, obite skórą meble, nad barkiem portret żony z córką. To, co wcześniej wydawało mi się eleganckie i wygodne, teraz zdawało się zbrukane.

- Ridley, mam zamiar dać ci coś, czego nie ma nikt - powiedział Harriman, kiedy weszliśmy do gabinetu. Jego wynajęty opryszek wyszedł i zamknął za nami drzwi, ale pomyślałam, że nie odszedł zbyt daleko.

- A co to takiego?

Stał, opierając się o monolityczne dębowe biurko, z ramionami skrzyżowanymi na brzuchu. Był przystojny, zdawał się nieomal dobry, gdyby nie stalowe błyski w jego oczach.

- Prawdę - odparł, unosząc brwi. - Chcę obojgu wam przedstawić prawdę.

- Po co tyle zachodu? - zapytał Jake. - Dlaczego po prostu się nas nie pozbyć. Niech pan nie mówi, że pan nie próbował.

- Cóż. - Harriman roześmiał się pojednawczo. - Właściwie to nie próbowałem was zabić, tylko wyłączyć. Czasem te sprawy... Prosisz kogoś, żeby zrobił coś za ciebie, a on trochę przesadzi. Tak czy inaczej - ciągnął, machnąwszy niedbale ręką - mam zamiar wam powiedzieć to, co oboje chcieliście wiedzieć, ale nalegam, żeby zostało to między nami. Myślałem o tym wiele i sądzę, że to jedyny sposób, żeby powstrzymać was przed węszeniem wokół tego, co prawie was zabiło.

- A dlaczego mielibyśmy na to pójść? - zapytał Jake.

- Ze względu na świadomość konsekwencji. Ridley, jeśli ciało twojego brata, zmarłego z przedawkowania, zostanie jutro znalezione w East Village, to myślisz, że kogokolwiek to zdziwi? Jeśli twój przyjaciel, tutaj obecny, zniknie bez śladu, kto, poza tobą, będzie za nim tęsknił? Mam mówić dalej czy zrozumiałeś?

Zrozumiałam i było to jak uderzenie w splot słoneczny. Skinęłam głową, żeby mu to zakomunikować.

- Gdzie jest mój brat? - zapytałam.

- Jest bezpieczniejszy teraz niż wtedy, gdy go znaleźliśmy. Usiądź, Ridley. Im szybciej z tym skończymy, tym wcześniej spotkasz się z Ace'em.

Opadłam na skórzaną kanapę bardziej dlatego, że już ledwie stałam, niż żebych chciała posłuchać polecenia Harrimana.

- To, co chcę ci dać - powiedział dramatycznym tonem - stróże prawa nazywają owocami z zatrutego drzewa. Uzyskasz wiedzę, której szukasz, ale nie będziesz mogła jej wykorzystać, dojść sprawiedliwości, tak, jakby została ona uzyskana podczas nielegalnego przeszukania albo zatrzymania.

Otrzymasz odpowiedzi na swoje pytania, ale to będzie ci musiało wystarczyć. Mam mówić dalej?

Myślałam nad tym przez chwilę. Może nawet po wszystkich przejściach nie chciałam tego wiedzieć. Co zrobię z tą wiedzą jeśli nie będę mogła się nią podzielić, naprawić tego, co zostało zepsute? Może było mi lepiej, kiedy nie wiedziałam, co nam wszystkim się przytrafiło. Ale kiwnęłam głową na zgodę.

- Max był krzyżowcem. Widział zło, system, który zawodził, i próbował go naprawić. Ale reformowanie instytucji rządowych jest doprawdy mozolną pracą, a tymczasem dzieci umierały. Dzieci były bite, zaniedbywane, dopieprzano im na setki różnych sposobów, a robili to ludzie, którzy ani ich nie kochali, ani ich nawet nie chcieli. A jeśli było inaczej, to nie wiedzieli, jak się nimi zająć. Tymczasem inne małżeństwa rozpaczliwie szukały dzieci, bo nie były w stanie ich począć z tych czy innych powodów i czekały w długiej kolejce do adopcji. W swojej fundacji Max spotykał wiele takich osób, wiedział, jak są zrozpaczone, wiedział, jak wspaniałe, pełne miłości domy stworzyłyby dla tych dzieci. Bardzo go ta wiedza frustrowała, widział w tych ludziach zmarnowany potencjał. Max obmyślił sposób, żeby pomóc dzieciom, i przekonał do niego innych. Nazwał to projektem „Na ratunek”.

Nie mogłam oderwać od Harrimana wzroku. Odepchnął się od brzegu biurka i zaczął przechadzać jak adwokat wygłaszający mowę końcową na sali sądowej. Jake stał przy drzwiach i również patrzył na niego. Twarz miał jak maskę; nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie, co myśli.

- Projekt „Na ratunek” miał dwie różne funkcje. Była grupa, która prowadziła lobbing, żeby przepchnąć w stanie Nowy Jork ustawę o bezpiecznym schronieniu. Pozwalała ona matkom zostawiać dzieci w takich miejscach jak szpitale, przychodnie, oddziały straży pożarnej bez konieczności odpowiadania na pytania. Te dzieci były wchłaniane przez system opieki... wszystko zgodnie z prawem. Ale była też bardziej mglista funkcja. Otóż współpracujący z organizacją personel medyczny w przychodniach obsługujących biedniejsze gminy mógł anonimowo informować pracowników projektu o dzieciach bitych i zaniedbywanych. Wielu z tych lekarzy i pielęgniarek robiło to z czystym sumieniem, sądząc, że projekt ma układ z agencjami rządowymi zajmującymi się sprawami maltretowania dzieci.

- Ale w rzeczywistości - wtrącił się Jake - „oznaczyli” je jako dzieci wymagające ratunku.

- Zgadza się - przytaknął Harriman. - Otóż, o ile idea leżąca u podstaw projektu była szlachetna, wykonanie aż takie szlachetne nie było. Ktoś musiał zabierać te dzieci z ich domów. A do tego twój wujek się nie palił.

- Natomiast bardzo użyteczni okazali się pańscy inni klienci - powiedział Jake.

- Dobra uwaga, panie Jacobsen.

- Co? - zapytałam. - Nie rozumiem, co to znaczy inni klienci?

Harriman uśmiechnął się do mnie jak do mało rożgarniętej uczennicy, która mimo najlepszych chęci nie nadaża za resztą klasy.

- Jestem pewien, że nie muszę ci tłumaczyć z jakiego rodzaju ludźmi mam do czynienia na co dzień.

- I... co? - zapytałam zdęgowana. - Pośredniczył pan między projektem „Na ratunek” a gangsterami?

Harriman wykrzywił się dramatycznie.

- Ridley, proszę. Ja niczego takiego nie powiedziałem. A na twoim miejscu nie powtarzałbym tego.

Gapiłam się na niego. Stwierdziłam, że jest potworem kompletnie pozbawionym moralności. Odchrząknął i mówił dalej:

- Przez jakiś czas sprawy toczyły się gładko. Lekarze i pielęgniarki zgłaszały przypadki maltretowania pracownikom projektu. Zabieranie dzieci było „zamawiane”. Dzieci szły do dobrych domów; nikt z czystymi rękami nie angażował się w podejrzone działania. I robiono pieniądze. Duże pieniądze.

- Oni sprzedawali dzieci? - zapytałam. Niesmak i przerażenie narastały we mnie.

Harriman wzruszył ramionami.

- To była kosztowna operacja. I nie wszyscy angażowali się w nią „dla dobra dzieci”, o ile mnie rozumiesz.

Był taki spokojny, tak zwyczajnie o tym mówił. Trudno było uwierzyć w jego słowa. On mówił o tym, że Max zwąchał się ze zorganizowaną przestępczością, żeby uprowadzać dzieci z domów, zabierając je rodzicom i sprzedawać obcym ludziom. Bogatym, ustosunkowanym, obcym ludziom. Pomyślałam o tych rautach fundacyjnych, lśniących od gwiazd, i zaczęłam się zastanawiać, ile z nich kupiło dzieci od projektu „Na ratunek”.

- Najważniejszą sprawą dla twojego wujka było, żeby nikt nie ucierpiał. Toteż kiedy Teresa Stone została zabita podczas odbierania jej dziecka, Max wpadł w furję. Postanowił zakończyć operację, ale tymczasem wymknęła mu się ona z ręki. Ludzie w nią zaangażowani robili na tym duże pieniądze i nie mieli ochoty z tego zrezygnować.

Harriman usiadł naprzeciwko mnie, nalał wody do trzech szklanek z oszronionego kryształowego dzbanka.

- Wyglądasz trochę blado. - Wyciągnął do mnie rękę ze szklanką, ale jej nie wzięłam. Postawił ją z powrotem na tacy.

- Max przestraszył się, że stworzył coś, nad czym nie może zapanować. I miał rację.

- Ile było tych dzieci? - zapytał Jake, podchodząc, żeby stanąć za mną. Harriman pokręcił głową.

- Nie ma sposobu, żeby to stwierdzić. - Roześmiał się. - Niemożliwe, żeby ktoś prowadził statystykę.

Jake wyglądał jak posąg, chłodny, sparaliżowany gniewem. Nie byłam pewna, czy zdoła ponownie otworzyć usta.

- Co stało się z Jakiem? - zapytałam. - Wiemy, że matka go porzuciła, a potem wróciła po niego. Wiemy, że został uprowadzony. Jak to się stało, że wrócił do systemu opiekuńczego?

Harriman rozłożył ręce.

- Obawiam się, że nie mam odpowiedzi na te pytania. Mogę jedynie stwierdzić, że ludzie, którym wydaje się, że mogą kupić dziecko, nie przeżywają kryzysu sumienia, kiedy dochodzi do zwrotu zakupionego towaru. Pomyślcie o wszystkich tych, którzy kupują rasowe szczenięta, a potem topią je w stawie, bo za dużo szczekają albo srają na dywan.

Skurczyłam się na to porównanie. Ale Harriman w jednym miał rację. Nie powinno się równie łatwo dostawać dziecka jak szczeniaka. Popatrzyłam na Jake'a. Twarz miał bladą, usta zaciśnięte w cienką linię. Emanował z niego gniew.

- A więc uważa pan, że zostałem „przeprowadzony” przez projekt „Na ratunek” z własnego domu, bo doktor Jones uznał, że byłem maltretowany, ale rodzina, której mnie sprzedano, stwierdziła, że sprawiam za dużo kłopotów, i znów porzuciła mnie w placówce projektu?

- To możliwe. - Harriman popatrzył na Jake'a. - Przykro mi, synu, naprawdę nie wiem. Po prostu nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

- Chwileczkę - wtrąciłam się. - Chce mi pan powiedzieć, że mój ojciec brał w tym udział? Że wiedział?

- Nie mam pojęcia, czy twój ojciec był świadom, że projekt ma drugie oblicze.

- Był lekarzem całej czwórki tych zaginionych dzieci, Ridley - powiedział łagodnym tonem Jake. Usiadł obok mnie i położył mi rękę na kolanie.

- W porządku. Ale może on ich nie „oznaczył”. Mógł to być ktokolwiek w tej przychodni. Któraś z pielęgniarek albo jakiś inny lekarz.

Jake popatrzył na mnie ze smutkiem.

- To jak dostał ciebie?

Milczeliśmy przez chwilę, potem odwróciłam się, żeby znów spojrzeć na Harrimana.

- Czy jestem Jessie Stone?

Popatrzył na mnie. Miałam wrażenie, że w jego oczach widzę błysk współczucia.

- Tak - odparł. - Jesteś. A ja wiem o tym tylko dlatego, że stanowiłaś szczególny przypadek.

- Dlaczego szczególny?

- Wiąże mnie umowa z Benem i Grace, Ridley. Musisz porozmawiać z nimi.

- Chce mi pan powiedzieć, że moi rodzice mnie kupili? - zapytałam.

- Tego nie powiedziałem, Ridley. Musisz porozmawiać z Benem i Grace.

- Ale ja pytam pana.

Pomyślałam o człowieku, którego zawsze uważałam za swojego ojca. Znałam jego twarz, jego ręce, jego uściski. Myślałam, że pochodzę od niego, że jego skóra to moja skóra. Ale on mnie kupił jak dom albo nowy samochód. Nasza rodzina, wszystko, co z nią związane, to fałszywy fronton, ładny od zewnątrz, pusty w środku.

- A co z Ace'em?

- Ace - powiedział wolno Harriman. - Ace nie jest dzieckiem z projektu „Na ratunek”.

- Co? Nie rozumiem. Myślałam...

- I znów, Ridley, będziesz musiała porozmawiać z Benem i Grace.

Zauważyłam, że nie mówi o nich jako o moich rodzicach.

Nie wiedziałam, jak się do tego odnieść. Pływałam, unosiłam się w powietrzu, zastanawiałam się, czy grunt, na który spadnę, będzie twardy, kiedy rzeczywistość przywoła mnie na ziemię.

- Czy to się dzieje nadal? - zapytał Jake, przerywając moje myśli.

- Nic nie wiem o takich przedsięwzięciach. O ile znam sprawę, skończyło się to, kiedy projekt przestał w tym uczestniczyć.

- Mam w to uwierzyć? - powiedziałam, czując dziwną desperację. - Sam pan powiedział, że to przerosło Maksa.

- Nie obchodzi mnie, czy w to uwierzysz, czy nie, Ridley — odparł chłodnym tonem i wstał. - Jedyne, co mnie obchodzi, to, żebyś, kurwa, trzymała głębę na kłódkę. Nie każ mi złamać obietnicy danej Maksowi. Nie zmuszaj mnie, żebym cię uciszył.

Jake wstał i zaczął iść w kierunku Harrimana. Przytrzymałam go za rękę. Wyrwał się i jego potężna pięść wylądowała na podbródku adwokata. Ten sapnął i leciał do tyłu. Myślałam, że upadnie, ale złapał się rogu biurka. Skoczyłam i chwyciłam Jake'a za ramię, zanim zdążył go dopaść powtórnie.

- Przestań. To nie ma sensu - powiedziałam, ale on nie patrzył na mnie. Wzrok miał utkwiony w prawniku.

Harriman spokojnie wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł krew spływającą mu strużką po brodzie.

- Lepiej się teraz poczułeś? - zapytał Jake'a. - Mam zamiar wyświadczyć ci przysługę i nic ci za to nie zrobię. Miałeś ciężkie życie.

Poczułam, że Jake spina się, jakby chciał go znów uderzyć, ale trzymałam go mocno.

- Głuptaski, w tym życiu nie ma gwarancji. Kochane czy niekochane, maltretowane czy pieszczone, uwielbiane czy zaniedbywane... Nie wybieramy swojego losu, a tylko sposób, w jaki na niego reagujemy. Jake'owi powodziło się źle, Ridley całkiem dobrze. Ale oboje tu jesteście, żywi i zdrowi. I odnaleźliście się wzajem. Macie więcej niż większość ludzi.

Stała tam Ridley, która chciała się położyć na kanapie i płakać. Stała tam Ridley, która chciała się rzucić na Alexandra Harrimana i zbić go z całą siłą swojego gniewu i smutku. Stała tam Ridley, która chciała uciec od tego człowieka i nigdy nie myśleć ani o nim, ani o tym, co jej powiedział. Stała tam Ridley, która chciała iść na policję, do mediów i pieprzyć konsekwencje dla niej, dla Ace'a, dla rodziców, dla Jake'a i dla wszystkich dzieci z projektu „Na ratunek” żyjących pięknymi kłamstwami.

Harriman miał rację; te informacje były jak owoce z zatrutego drzewa. Co mogłam z nimi zrobić? Myślałam o kolejnych pytaniach, wiedząc, że to ostatnia szansa, żeby mu je zadać. Ale niczego nie wymyśliłam.

- Mój ojciec nigdy nie wzięłby udziału w czymś takim. Nigdy.

Popatrzyłam na Jake'a. Bardzo mi zależało, żeby w to uwierzył. Ale po jego twarzy poznałam, że jest inaczej.

Harriman wzruszył ramionami.

- Trudno byłoby przekonać o tym władze, jeśli weźmie się pod uwagę jego stanowisko, całą tę pracę dla legalnej gałęzi projektu, jego stosunki z Makssem. I to, że posiada ciebie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Słowo „posiada” rzuciło mną.

Wreszcie wydusiłam:

- O czym pan mówi?

- Mówię, że Maksa już nie ma. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, ktoś będzie musiał odpowiedzieć za projekt „Na ratunek”. Ty jesteś jedynym ogniwem łączącym gałąź prawną z bezprawną projektu. Jak myślisz, co by to znaczyło dla twojego ojca? Dla jego kariery? Dla całego tego dobra, jakie starał się nieść ludziom w swoim życiu? To go zrujnuje, w najlepszym razie.

Byłam odrętwiała. Patrzyłam na Jake'a, który trochę złagodniał, jakby pogodził się z tym, że nigdy nie pozna całej prawdy, i to go trochę uspokoiło. Usiadł obok mnie. Przytuliłam się do niego, a on mnie objął.

- Przepraszam - wyszeptałam.
- W porządku - powiedział w moje włosy. - Jest okej. Chodźmy stąd.
- Gdzie jest mój brat? - zapytałam, przypominając sobie o nim z przerażeniem.

Harriman podszedł do drzwi w tylnej ścianie gabinetu i otworzył je. Wewnątrz był duży stół konferencyjny i kilka biurka. Na długiej, skórzanej kanapie leżał mój brat. Nie był pobity ani związany, ale kompletnie nieprzytomny, błydy, tylko pod oczami miał niebieskie bruzdy. Leżał rozwalony, z jedną ręką sięgającą podłogi. Wyglądał jak trup.

- Jego dziewczyna stawiała większy opór niż on — powiedział Harriman. - Dziś trafił na moją kanapę. Jutro to będzie jakiś zaułek w Lower East Side. Dziś żyje. Jutro... wybór należy do ciebie.

Żałuję, że nie mogę opowiedzieć o jakimś cudzie, o jakimś niezwykłym akcie bohaterstwa, który pozwoliłby nam przechytryć Harrimana. Żałuję, że nie mogę opowiedzieć o kimś, kto przybył w ostatniej chwili, i my zostaliśmy uratowani, a sprawiedliwości stało się zadość. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to postawić Ace'a na nogi i powlec go do drzwi.

Alexander Harriman miał rację w jeszcze jednej sprawie. Nie wiem, skąd mnie tak dobrze znał. Świadomość konsekwencji to potężny środek odstraszający. Jeśli nawet nie groziłby śmiercią Ace'owi, to czy zdecydowałabym się rzucić to wszystko na głowę mojego ojca? Czy byłam gotowa kazać mu zapłacić za to, co zrobił albo i nie zrobił? Czy byłam dość silna, żeby narazić projekt „Na ratunek”? Dość sprawiedliwa? W tamtej chwili odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: nie.

Przypomnijcie sobie jednak, od czego zaczęliśmy. Mówiliśmy o małych sprawach. O tym, że mogą one wpłynąć na bieg naszego życia bardziej niż najistotniejsze decyzje przez nas podejmowane, bardziej niż to, który college sobie wybierzemy, kogo weźmiemy za męża... albo nie weźmiemy, bardziej niż to, czemu postanowimy poświęcić życie. W tym przypadku był to telefon komórkowy.

Kiedy wahałam się, jadąc taksówką do Harrimana, zrobiłam coś głupiego i desperackiego, coś prosto z filmu. Ot, po raz kolejny wyszłam na idiotkę. Nacisnęłam guzik wywołania numeru i włożyłam telefon do kieszeni. Wiedziałam, że zadzwoni do ostatniej osoby, która dzwoniła do mnie, do detektywa Salvo. Nie wiedziałam, czy to zadziała, czy coś usłyszy albo czy będzie w stanie nas zlokalizować. Była to próba ostatniej szansy podjęta przez potężnie wystraszonego człowieka. W końcu okazało się, że nie było to takie głupie.



Fragmety i okruchy naszej rozmowy, które dotarły do niego przez materiał mojej kurtki, pozwoliły mu rozjaśnić niektóre mgliste miejsca w dochodzeniu. I kiedy wraz z Jakiem wyszliśmy z biura Harrimana na Central Park West, ciągnąc między sobą nieprzytomnego Ace'a, na ulicy stało stado radiowozów. Salvo czekał na chodniku, opierając się o swój nieoznakowany samochód.

- Panno Jones, panie Jacobsen, miło mi widzieć państwa obojga i w dobrym zdrowiu. Kim jest państwa przyjaciel?

- To mój brat - odpowiedziałam obronnym tonem. Będzie nim przecież zawsze, bez względu na to, czy łączą nas więzy krwi.

Kiwnął głową.

- Panie Jacobsen, muszę pana poprosić, żeby położył pan broń na chodniku i kopnął poza zasięg ręki. Potem proszę położyć ręce na głowie.

Jake wykonał polecenie, a ja musiałam przytrzymać Ace'a. Z karetki, której z początku nie zauważyłam, wyszło dwóch sanitariuszy. Położyli Ace'a na noszach.

- Czy jest ranny? - zapytał jeden z nich.

- Tak - odparłam. - Nie wiem. Jest na haju, chyba.

Popatrzyłam na leżącego brata i zrobiło mi się go bardzo żal. Potem podniosłam wzrok. Detektyw Salvo przyglądał mi się.

- Parę trudnych dni, Ridley - powiedział cicho.

- Jak pan nas odszukał? - zapytałam.

Podniósł telefon komórkowy.

- Dobra robota. To nie był przypadek, prawda?

Pokręciłam głową.

- Powinniście obydwójce pojechać ze mną. Czeką nas długa rozmowa.

- Czy pan nas zatrzymuje? - zapytał Jake.

- Nie w tej chwili. Ale myślę, że współpraca z policją leży w waszym najlepszym interesie. W przeciwnym razie, panie Jacobsen, oskarżę pana o zamordowanie Christiana Luny. A ciebie, Ridley, o pomocnictwo i współudział. Czy mam wam przeczytać prawa?

Popatrzyłam na Jake'a i pokręciłam głową.

- Pójdziemy z panem.

- Właściwa decyzja - pochwalił detektyw Salvo.

- Ile z naszej rozmowy pan usłyszał? - zapytałam, zdając sobie nagle sprawę, co zrobiłam, dzwoniąc do niego.

- Wystarczająco dużo - odparł, prowadząc mnie do samochodu. Jake siedział tuż za nami.

- Więc wie pan, że nie mogę panu nic powiedzieć.

- Usłyszałem tyle, że nie musisz - stwierdził.

Pomyślałam, że skoro Salvo wie wszystko, czego nie powinnam mówić policji, to co stanie się z Ace'em i moimi rodzicami? Zatrzymałam się. Czuję się tak, jakbym miała kamień w piersi, gdy myślałam o bracie, który nie był moim bratem, i o rodzicach, którzy nie byli moimi rodzicami, i o tym, co się z nami wszystkimi stanie ze względu na poczynione przeze mnie wybory. Pomyślałam o wujku Maksie i o tym, co chciał zrobić... i co mu z tego wyszło. Pomyślałam o tym, jak umierał ze świadomością straszliwych konsekwencji jego dobrych zamiarów. Niczego nie da się już zrobić. Sprawiedliwość nie zostanie wymierzona. Gdzie ta równowaga, w którą kiedyś wierzyłam? I wtedy, przez sekundę, naprawdę żałowałam, że stanęłam na drodze tej furgonetki. Z duszy, z serca pragnęłam wrócić do stanu niewiedzy.

Nagle zaczęłam mieć problem z zaczerpnięciem powietrza. Słyszałam jedynie swój zduszony oddech. Jake coś mówił. Z oddali dobiegał mnie zaniepokojony głos detektywa Salvo. Przed oczami miałam gwiazdy, w mózgu biały zgiełk, a potem wszystko się przewróciło i poczerniało.

W karetce na sekundę odzyskałam przytomność. W głowie mi waliło. Dotknęłam jej i wyczułam bandaże. Palce miałam mokre od krwi. Był przy mnie Jake. Detektyw Salvo też.

- Co się stało? - zapytałam. Ale znów zemdlałam i nie usłyszałam odpowiedzi.

Po korytarzu ruchliwego szpitala w tę i z powrotem biegali młodzi ludzie w zielonych kombinezonach. Słyszałam dźwięk interkomu, czułam zapach bandaży i środków dezynfekcyjnych. Jake trzymał mnie za rękę i patrzył na mnie. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego.

- Co się stało? - zapytałam.

- Zemdlałaś. Nie złapałem cię w porę i mocno uderzyłaś głową o krawężnik. Masz...

Wtedy znów straciłam przytomność.

Kiedy się obudziłam, było ciemno i spokojnie. Słyszałam ciche pikanie monitora akcji serca. Chwilę potrwało, zanim zdałam sobie sprawę, że to moje serce jest monitorowane. Szorstkie, pachnące sterylnością prześcieradła, twarde materac, metalowa balustradka na brzegu łóżka. Spod drzwi sączyło się światło. Kiedy moje oczy dostosowały się do mroku, zauważyłam postać siedzącą na krześle obok mnie. Rozpoznałabym go wszędzie.

- Tato?

- Ridley - odparł, szybko wstając. Podszedł do mnie. - Jak się czujesz, kochanie?

- Głowa mnie boli.

Łagodnie położył mi rękę na czole.

- Pewnie, że boli - powiedział.

- Co się stało?

- Zemdlałaś i zanim ktokolwiek zdążył cię złapać, uderzyłaś głową o krawężnik. Doznałaś paskudnego wstrząśnienia mózgu i straciłaś mnóstwo krwi.

Próbowałam przypomnieć sobie upadek i wtedy wróciły do mnie nagle wszystkie wydarzenia dnia: okno w restauracji eksplodujące prysznicem szkła, kościół, zaginięcie Ace'a, biuro Alexandra Harrimana.

- Tato. - Rozpłakałam się. - Tyle kłamstw.

Westchnął i przyciągnął krzesło do łóżka. Usiadł ciężko i oparł głowę na rękę. Znow uniósł ku mnie twarz i zobaczyłam, że i on płacze. Ten widok przestraszył mnie. Twarz, na którą zawsze patrzyłam, szukając w niej pociechy, była pełna smutku.

- Tato, kim jestem? ~ Próbowałam usiąść, ale świergotanie, które nagle usłyszałam, uświadomiło mi, że to niemożliwe.

Pokręcił powoli głową.

- Jesteś Ridley. Jesteś moją Ridley. Zawsze nią byłaś.

Była w tym prawda, którą uznawałam. Ale nie cała prawda, i oboje o tym wiedzieliśmy.

- Żadnych kłamstw więcej, tato.

- To nie jest kłamstwo - powiedział, prawie krzyknął. - Nie możesz w większym stopniu być moją córką.

Wiem, że gdyby mógł, zarzuciłby na nas oboje płaszcz zaprzeczenia. Ale nic z tego. Już nie pasował. Wyrosłam z niego.

- Jestem Ridley, tato. Ale nie zawsze nią byłam. Kiedyś nazywałam się Jessie Amelia Stone i byłam córką Teresy Stone. Ta kobieta nie żyje przez projekt „Na ratunek”.

Patrzył na mnie oszołomiony. Wokół oczu miał zmarszczki, których wcześniej nie widziałam, skórę na rękach suchą i papierową. Były to ręce starego człowieka. Oparł na nich głowę.

- Nie - powiedział przez palce.

- Wiedziałaś, tato? Wiedziałaś, co oni robią?

Pokręcił energicznie głową.

- Nie - odparł stanowczo. - Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem o projekcie „Na ratunek”. Jeśli robili to, co podejrzewa ten detektyw, to ja

nie miałem o tym pojęcia. Znasz mnie, Ridley. Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił, prawda?

Nie wiedziałam, czy mogę mu wierzyć. To było najgorsze ze wszystkiego. Nikomu nie mogłam ufać. Wszyscy mieli jakieś skryte zamiary, dobre czy złe, jakiś powód, żeby ukrywać przede mną prawdę.

- Więc jak dostałam się do ciebie, tato, skoro nie wiedziałeś, jak zostałam Ridley Jones?

Popatrzył na mnie z głębokim smutkiem. Taki wyraz miała też twarz Maksa, kiedy mój ojciec zamykał za nim drzwi gabinetu.

Drzwi do salki otworzyły się nagle i weszła moja matka. Wyglądała na silniejszą od ojca, bardziej opanowaną. Oczy miała suche, a na twarzy lekki, smutny uśmiech. Nie wiedziałam, jak długo podsłuchiwała, i nie wiedziałam, jak dalece jest wtajemniczona. Popatrzyłam na nią i pomyślałam o tamtym motylu z Union Square. Podeszła do łóżka i położyła mi na czole chłodną, suchą dłoń, jakby matczyne instynkt kazał jej sprawdzić, czy nie mam gorączki.

- Nadszedł czas, Ben. Ridley ma rację, żadnych kłamstw więcej. - Nie spuszczała ze mnie wzroku, a ja nie byłam w stanie zrozumieć wyrazu jej twarzy. Myślałam tylko o tym, jak bardzo się ode mnie różni. Jej twarz w niczym nie przypominała mojej.

- Nie, Grace. Obiecaliśmy. - Prawie to wyszeptał.

- Max nie żyje - powiedziała ostro matka. Słowa „nie żyje” były jak rzucony kamień. Ojciec zdawał się zaskoczony jej tonem. - Nie chcę już tego trzymać w tajemnicy. Wyrządziło to tyle szkód. Gdybyśmy byli uczciwi od samego początku, Ridley nigdy nie zostałaby narażona na taki koszmar.

Ojciec opadł na krzesło. Powoli pokiwał głową.

- Może masz rację.

## Rozdział 31

**M**ysłałam, że opowiedzą mi o projekcie „Na ratunek”, o tym, że znali plany Maksa, że byli w nich jakoś uwzględnieni. Myślałam, że powiedzą mi, jak mnie zabrano Teresie Stone i że mnie kupili, i wychowali jako swoją córkę. Myślałam, że będą podawać powody, dla których to wszystko jest w porządku i że lepiej, że tak się stało. Ale nie takie tajemnice mieli do ujawnienia.

- Po pierwsze, Ridley, chcę, żebyś zrozumiała: twój ojciec nie miał nic wspólnego z projektem „Na ratunek” - powiedziała matka. - Nie interesuje mnie, co mówi ten prywatny detektyw. Musisz wiedzieć, że bez względu na wszystko, nigdy świadomie nie wzięlibyśmy udziału w uprowadzeniu i morderstwie. Ojciec mógł leczyć te dzieci, mógł zapisywać, że są narażone na maltretowanie, ale nigdy nie pomagały w takich działaniach.

Nic nie powiedziałam. Chciałam jej wierzyć. Nie kłóciło się to z tym, co wiedziałam o ojcu. Ale trudno było przyjąć, że nie miał choćby bladego pojęcia o tym, co dzieje się w projekcie. W dodatku oboje okłamywali mnie przez całe życie. Nie byłam już tak bardzo pewna ich samych, ich przekonań, osądów, jak kilka tygodni temu.

- Ridley. - Matka chciała, żebym się z nią zgodziła, więc kiwnęłam głową, bo zależało mi, żeby mówiła dalej. - Nie stamtąd przyszłaś do nas.

- Więc skąd?

W życiu Maksa zawsze było dużo kobiet i z początku nikt nie sądził, że Teresa Stone jest wyjątkiem. Śliczna, młoda kobieta, która pracowała w recepcji biura Maksa na Manhattanie; tylko kwestią czasu było, żeby ją zauważył i zagadnął. A ona, oczywiście, powiedziała „tak”. Żadna nie oparła się Maksowi, jego wdziękowi, jego pieniądзом, sposobowi, w jaki sprawiał, że dziewczyna czuła się w siódmym niebie.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie zaprzętałam sobie głowy zapamiętywaniem ich imion. Sądzę, że Teresa, obok Esme, była jedyną dziewczyną, z którą spotykał się częściej niż raz.

- Od razu wiedziałem, że jest inna - wtrącił ojciec. - Była w niej dobroć, która przyciągała Maksa, jakaś przyzwoitość. Nie była taka jak inne.

Matka spojrzała na niego karcąco, że jej przerwał.

- Przepraszam - powiedział.

Po raz pierwszy zobaczyli ją na przyjęciu bożonarodzeniowym. Przyprowadził ją wtedy na obiad do domu rodziców; później zabrał ją na *Boheme* w Metropolitan Opera, a na koniec wszyscy zjedli kolację w 21.

- Była cicha - wspominała matka. - Najwyraźniej speszona. Łoża w Metropolitan, szczególne traktowanie Maksa w 21. Nie wiem, ale chyba mi się to w niej podobało. Nie uważała tego za rzecz oczywistą, nie była tak rozpieszczona jak wiele przyjaciółek Maksa. - Podkreśliła słowo „przyjaciółki”, wyrażając tonem pogardę. - Pomyśleliśmy, a może to jest to; prawdziwa dziewczyna, a nie wynajęta, dosłownie albo w przenośni. - Matka zawsze była trochę uszczypliwa. - Ale potem znikła. Więcej jej nie zobaczyliśmy. Pytałam o nią, chociaż Max tego nie lubił. Powiedział, że

mieli zbyt różne zainteresowania... czy coś równie niejasnego. Ale to było coś więcej. Już o tym mówiliśmy, Ridley.

Przypomniałam sobie naszą rozmowę o Esme i to, co matka powiedziała mi wtedy o Maksie.

- Człowiek taki jak Max - wtrącił ojciec - tak załamany i samotny po latach udruk, po tym, co wycierpiał i co widział, nie potrafi naprawdę kochać. Był na tyle mądry, że wiedział o tym. To dlatego nigdy się nie ożenił.

Pomyślałam o wszystkich tych cali girls Maksa, o atmosferze samotności, która go otaczała, o tym, jak patrzył na matkę i ojca: z miłością i zawiścią. Te zniekształcone fragmenty mojego życia, które zawsze ignorowałam, zaczynały do siebie pasować.

- O czym ty mówisz, tato? Że znał Teresę Stone, a mimo wszystko pozwolił, żeby jej zabrano dziecko?

Rodzice wymienili spojrzenia.

- Niezupełnie - powiedziała matka, wbijając wzrok w swoje paznokcie.

Z wielkim trudem udało mi się usiąść. Ojciec podbiegł, żeby mi pomóc. Głowę miałam jak balon; pokój zaczął nieprzyjemnie wirować.

- Max i Teresa poszli każde swoją drogą - powiedziała matka. - W końcu ona zrezygnowała z pracy w jego biurze i zatrudniła się gdzie indziej. Nigdy więcej jej nie widziałam. - Westchnęła ciężko i podeszła do okna.

- Ale kilka lat później pojawiła się w klinice Aniołków z dzieckiem. Małą dziewczynką, niespełna dwuletnią- mówił dalej ojciec. - Pamiętałem ją, ale ona nie pamiętała mnie. Nie chciałem jej peszyć, więc nic nie powiedziałem o moich związkach z Makssem. W ciągu kolejnych kilku miesięcy zdarzyły się przypadki, które mnie zaniepokoiły.

- Christian Luna złamał Jessie rękę.

Ojciec pokiwał głową.

- A więc wiesz.

- Powiedział mi to, zanim został zabity. - Przełknęłam łzy i zwalczyłam przypływ zmęczenia.

Ojciec znów pokiwał głową i zmarszczył brwi.

- Rozmawiałem z nią- powiedział. - Przyrzekła, że Luna już więcej się do niej nie zbliży, a ja popatrzyłem na ten incydent przez palce.

- Ale wspomniałeś o tym Maksowi?

Ojciec pokręcił głową.

- Nie. Nie mogłem. To naruszyłoby tajemnicę lekarską.

- Ale jakoś się o tym dowiedział - stwierdziłam.

- Nie wiem, Ridley. - Wzruszył ramionami i odwrócił ode mnie wzrok. Wiem tylko tyle, że kilka tygodni później pojawił się w naszym domu. Z małą Jessie Stone. - Przerwał, położył mi dłoń na ramieniu. - Z tobą.

- Ze mną?

- Ridley - powiedział chrypliwym głosem, a oczy mu się zaszkliły. - Nie jestem twoim biologicznym ojcem; to już wiesz. Ale Christian Luna też nim nie był. Mógł sądzić, że jest. Być może Teresa mu to wmówiła.

Pokrećiałam głową.

- Więc kto nim jest?

- Ridley, kochanie. Jesteś córką Maksa.

Spojrzałam na matkę i wiedziałam, że mówi prawdę. W głowie dźwięczały mi słowa Maksa: „Ridley, możliwe, że jesteś jedynym dobrem, jakie udało mi się uczynić”. Zaczęłam płakać, bo wreszcie zrozumiałam, o co mu chodziło.

Max przyszedł do nich, niezapowiedziany, po północy. Niósł na rękach małą dziewczynkę. Oświadczył, że to jego dziecko z kobietą, której od lat nie widział. Dziewczynka przywarła do niego, płakała cichutko, miała szeroko otwarte ciemne oczy, chłonęła nieznane widoki i dźwięki.

- O mój Boże. To córeczka Teresy Stone - powiedział ojciec, biorąc ją z objęć Maksa. - Leczyłem ją w przychodni.

Max popatrzył na niego, twarz miał bladą, czoło pokryte potem.

- Wiedziałeś, że mam córkę?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł ojciec. - Nie wiedziałem, że jest twoja.

Max poszedł do kuchni, pocierając skronie dłońmi. Usiadł przy stole. Malutka Jessie ciągnęła ojca za ucho i popiskiwała cicho.

- Coś strasznego stało się z Teresą. Nie żyje. Ben, zamordowano ją w jej własnym domu. - Mówił prawie szeptem.

Dziewczynka zaczęła płakać, więc matka wzięła ją na ręce i zanosła do pokoju, żeby ją pocieszyć.

- Co? Kiedy? - Wstrząśnięty ojciec chciał znać szczegóły.

- A co to za różnica? - parsknął Max.

- Co za różnica? - powtórzył z niedowierzaniem ojciec. - Max. Co tu się dzieje?

- Nie mogę wychowywać tego dziecka, Ben. Dobrze wiesz.

- Chwileczkę, Max. Powoli. Jak doszło do tego, że to dziecko trafiło do ciebie.

- Zadzwoniła do mnie policja. Teresa podała moje nazwisko w metryce urodzin. Niedawno odebrałem małą z ochronki.

- Ale to było kłamstwo - przerwałam ojcu. - Tamtej nocy zamordowano Teresę, a Jessie nigdy nie odnaleziono.

Pokiwał głową.

- Masz rację. Nazwiska Maksa nie było w metryce. Teresa kazała zostawić puste pole w rubryce na nazwisko ojca. Policja nie mogłaby zadzwonić do Maksa. Ale kiedy to zrozumieliśmy, było już za późno.

- Co to znaczy „za późno”?

Ojciec potrząsnął głową.

- Tamtej nocy wzięliśmy cię od Maksa. Bez pytań przyjęliśmy jego wersję.

- Od półtora roku staraliśmy się o drugie dziecko i ty byłaś jak odpowiedź na nasze modlitwy - powiedziała matka. Siedziała teraz po drugiej stronie pokoju, z dala ode mnie. Było ciemno, nie widziałam jej twarzy.

- Więc kiedy zorientowaliście się, że Max skłamał, że Jessie była tym zaginionym dzieckiem, że nie wiadomo, kto zamordował jej matkę, po prostu siedzieliście cicho?

- Od razu cię pokochaliśmy. A do czasu, kiedy domyśliliśmy się, że Max nie powiedział nam wielu rzeczy, już zdążyliśmy nagiąć prawo - wyjaśnił ojciec. Wyglądał na zmieszanego.

- Jakie prawo?

- Dzięki znajomościom Maksa adoptowaliśmy cię jako dziecko z projektem „Na ratunek”, zostawione bez dokumentów. Uzyskaliśmy nową metrykę urodzin i kartę ubezpieczenia społecznego.

- I tak zostałam Ridley Jones - powiedziała matka z uśmiechem, jakby opowiadała mi szczęśliwe zakończenie bajki na dobranoc.

- A Jessie Stone znikła. Aż do chwili, gdy uratowałam Justina Wheelera.

Nic w ich opowieści nie brzmiało prawdziwie. Była w niej jakaś fałszywa nutka i pozostawało miejsce na wiele pytań. Na przykład: Jak można wziąć w nocy dziecko od przyjaciela i nie zadawać pytań? I czyż nie jest niesamowitym zbiegiem okoliczności, że Jessie, córka Maksa, była leczona przez doktora Benjamin Jonesa, jego najlepszego przyjaciela? Jeśli Ben nie wiedział, że Jessie jest córką Maksa, a nazwiska Maksa nie było na metryce, to jak Max dowiedział się o Jessie? I czy to on zaaranżował uprowadzenie Jessie tamtej nocy? Czy on zaaranżował zabójstwo Teresy Stone? Pytania mnożyły się i we mnie blokowały. Przez jakiś czas nie mogłam się zmusić, żeby je zadać. Odpowiedzi miały być ohydne.

Oboje patrzyli na mnie. A ja nie byłam pewna, co mam im powiedzieć.

- Więc wzięłaś tę dziewczynkę i obiecałaś Maksowi, że wychowasz ją jak własne dziecko. Sfałszowałaś dokumenty, żeby przez resztę życia zach-



wać w tajemnicy jej prawdziwą tożsamość. I nigdy nie pytałeś, co stało się z jej matką, jak umarła?

- Hm, wszyscy sądziliśmy, że zabił ją Christian Luna. Potem uciekł. Dziecko nie miało rodziny, nie licząc Maksa. - Wzruszył ramionami. - Co by się z nią stało, gdybyśmy jej nie wzięli? Trafłaby do sierocińca. Adoptowałiby ją obcy ludzie.

- Gdyby zatrzymał ją Max, wychowywałyby ją nianie - dodała matka.

Mieli całe życie, żeby usprawiedliwić wobec siebie własne czyny. Nie chodzi o to, że byłam skłonna ich osądzać. Niby dlaczego? Jeśli skłamali i złamali prawo, jeśli nie chcieli widzieć wszystkich podejrzanych okoliczności, kiedy przybyłam do ich domu, to zrobili to dla Jessie. Zrobili to dla mnie.

- Dlaczego po prostu nie powiedzieliście mi prawdy? Dlaczego nie wychowaliście mnie jako adoptowanego dziecka? Ludzie często to robią, to nie jest ścisłe tabu.

- Max był stanowczy: miałaś się nigdy nie dowiedzieć, że był twoim ojcem. Nie chciał, żebyś wiedziała, że zabrakło mu czegoś, żeby cię wychować. Nie chciał, żebyś myślała, że cię nie chciał.

- I nie chciał, żebym zaczęła drażyć swoją przeszłość. Nie chciał, żebym dowiedziała się, co stało się z Teresą Stone. I nie chciał, żebym zadawała pytania na temat projektu „Na ratunek”.

- Projekt nie ma z tym nic wspólnego - stwierdził poważnie mój ojciec.

Nie rozumiem, jak mógł to powiedzieć. Ale widziałam, że w to wierzył. Musiał w to wierzyć. Ale pierwsze z wielu obrzydliwych pytań wydostało się na powierzchnię.

- Jeśli na metryce nie było nazwiska Maksa i policja nie zadzwoniła do niego, to jak dotarł tamtej nocy do Jessie? - zapytałam.

Popatrzyli na siebie, a potem na mnie.

- Czy miał coś wspólnego z tym morderstwem? - głoś mi się łamał.

- Nie - odparł ojciec. - Oczywiście, że nie.

- To skąd o mnie wiedział? Jak do mnie dotarł tamtej nocy?

Oboje milczeli. Potem odezwała się matka. Mówiła cicho, prawie szeptem.

- Nigdy nie zadawaliśmy takich pytań, Ridley. Jakiż miałyby sens?

Zaprzeczenie: dziedzictwo mojej rodziny. Jeśli nie zadawać pytań, prawda nie będzie przeszkadzać.

Próbowałam przetworzyć tę informację, ale mój zmęczony mózg nie pozwolił na to. Ben i Grace nie byli moimi rodzicami. Max był moim ojcem. Moja matka została brutalnie zamordowana. Być może, a nawet prawdopodobnie, Max miał coś z tym wspólnego. A ja zostałam uprowadzona - mniej

więcej tak to wyglądało. Moja metryka i karta ubezpieczenia społecznego zostały sfałszowane. To jasne. Ale te informacje nie robiły na mnie wrażenia.

Spodziewacie się, że szalałam, że krzyczałam, wyrzucałam im wszystkie te kłamstwa i pomyłki - przestępstwa - które popełnili? Nie zrobiłam tego. Znowu opadłam na łóżko. Przestałam płakać. Byłam drętwa. Może tak działały środki przeciwbólowe. Zastanawiałam się, czy mogłabym ich dostać więcej. Na całe życie.

Popatrzyłam na ludzi siedzących przede mną i próbowałam sobie wyobrazić, że nie są moimi rodzicami. Okazało się to nie do przełknięcia. Pomyślałam, że to nie krew nas łączy, ale doświadczenie. Teresa Stone była dla mnie obcą osobą, smutną obcą kobietą, którą spotkał straszny i niesprawiedliwy koniec. Poczułam ból w klatce piersiowej, kiedy myślałam o niej i o jej okrutnym losie. Ale była tak odległa i wyblakła jak stara fotografia, od której wszystko to się zaczęło. Co do Maksa, to potrzebowałam czasu, żeby obsadzić go w roli ojca, mojego nieudanego ojca. Był dobrym wujkiem, człowiekiem, którego bardzo kochałam przez całe życie. Niewiarygodne, ale nie mogłam wykrzesać w sobie gniewu na niego za to, co zrobił, i za to, co podejrzewałam, że zrobił. W każdym razie nie wtedy. Max, przy całej swojej jowialności, cierpiał strasznie; przy całym swoim bogactwie był emocjonalnym nędzarzem. Potraficie to osądzić? Pogardzać człowiekiem, bo jest czegoś pozbawiony? Hm, może potraficie. Ale ja tego w sobie nie mam.

- A co z Ace'em?
- Jak to? - zapytał ojciec.
- Czy jest twoim synem?

Ojciec pokiwał głową.

- Ace jest naszym synem. Naszym biologicznym dzieckiem.

Myślałam o tym przez chwilę.

- Czy wie, że ja nim nie jestem?

Przytaknęła.

- Pewnego dnia podsłuchiwał moją rozmowę z wujkiem. Byliśmy nieostrożni i dowiedział się wielu rzeczy. Ale problem z Ace'em zaczął się na długo przed tym. Prawdę mówiąc, to myślę, że wślizgnął się do mojego gabinetu, żeby ukraść trochę pieniędzy, kiedy weszliśmy tam z Maksem i zamknęliśmy drzwi. Schował się za biurkiem i usłyszał wszystko.

Musiałam się roześmiać.

- Hm, to jakim cudem jest taki popierdolony?
- Ridley - powiedziała matka, która wyraźnie zeszytniała na wspomnienie imienia Ace'a. - Licz się ze słowami.

Licz się ze słowami. Uwierzyć? Nie umieją przestać nas wychowywać, prawda? Ben i Grace byli moimi rodzicami i zawsze nimi będą. Nic tego nie zmieni.

- Gdzie on jest?

- Wzięli go na odtrucie. Ale nie mogą go tam zatrzymać. Jeśli będzie chciał odejść, muszą go wypuścić.

Kiwnęłam głową. W innych okolicznościach rozpaczalabym i zamartwiałam się z jego powodu, myśląc, czy zostanie, czy wróci na ulicę. Ale jakaś część mnie pozwoliła Ace'owi odejść. Nie dlatego, żebym już go nie kochała albo nie chciała jego dobra. Lecz wreszcie zrozumiałam, że bez względu na wszystko nie będę w stanie go kontrolować. A przez cały czas próbowałam to robić. Z nadzieją, że skoro tak go kocham, tak mu pomagam, to nauczy się kochać siebie i pomagać sobie. Może ten kawałek betonu, o który uderzyłam czaszką, wbił mi trochę rozumu do głowy.

Ojciec westchnął.

- Chyba czuł, że cię faworyzujemy, Ridley. Ja i Max. Ale tak nie było. Miłości wystarczyło dla was obojga. Wszystkiego było dosyć.

To samo ojciec powiedział mi w swoim gabinecie. Było to jak mantra, którą powtarzał, żeby się pocieszyć.

- Zawsze było z tobą tak łatwo, Ridley. Ławo było cię zadowolić, łatwo kochać. - Nie powiedział „łatwiej”, ale słyszałam to w jego tonie.

- Nie wgłębiajmy się w to - przerwała matka.

Tak, nie wgłębiajmy się w to, kto był faworytem i jak przejawiało się to na różne niewerbalne sposoby, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego. Spojrzałam na matkę, a ona odwróciła wzrok.

Ojciec siedział na łóżku, trzymał rękę na moim ramieniu. Popatrzyłam na niego i zobaczyłam wstyd na jego twarzy. Nie wiedziałam, czego tak żałuje, ale chyba miał czego. Nie dano mi szansy, żeby zapytać. Otworzyły się drzwi i wszedł Jake. Na jego widok poczułam ulgę. Widząc mojego ojca, stanął w wejściu.

- Wszystko w porządku?

- Tak. To moi rodzice, Ben i Grace.

Matka wstała, chwyciła torebkę i ruszyła w moją stronę.

- Spotkaliśmy się już - powiedział Jake. - Odbyliśmy długą rozmowę.

Popatrzyłam na ojca, a on kiwnął głową. Matka coś tam odchrząknęła, wyrażając swoje niezadowolenie. Podeszła i pocałowała mnie w czoło.

- Odpoczywaj, kochanie. Rano nie będzie to wyglądało tak koszmarnie.

I tyle. Z jej postawy wyczytałam, że w to wierzy. Że w jej przypadku tak by było. Zazdrościłam jej tego. Wiedziałam, że rano nic nie będzie wyglądało

lepiej. Że droga przed nami jest niebezpieczna i nieznaną. I że zostały nam jeszcze całe mile do przebycia.

Ojciec wstał i też pocałował mnie w czoło.

- Kocham cię, moje dziecko. Przepraszam za to wszystko. - Te przeprosiny brzmiały tak prosto, jakby wszystko było tylko głupim nieporozumieniem, z którego wkrótce będziemy się śmieli w głos.

- Też cię kocham, tato - odpowiedziałam machinalnie.

Oczywiście, kochałam go. Co do jednego miał rację: nie mogłam być w większym stopniu jego córką, bez względu na biologię. Wyszedł szybko, zabierając płaszcz z krzesła; chłodno skinął Jake'owi głową. Wyglądał na starego, przybitego człowieka, jakby ciężar, który dźwigał całe życie, zaczął wreszcie przygniatać go do ziemi.

- Odwiedzę cię jutro - obiecał, odwracając się do mnie w drzwiach. - Wszystko omówimy, Ridley. Będzie dobrze.

- Będzie dobrze - powtórzyłam, ale nie wiedziałam, co przyniesie jutro.

Chyba nie chciał wychodzić, zostawiać mnie z całą prawdą i nie móc jej kontrolować. Rzucił długie spojrzenie na Jake'a, człowieka prawdopodobnego, i zobaczyłam gniew na jego twarzy. Myślę, że poczuł się wysadzony z siodła. Jakby Jake zajął w moim życiu miejsce, w którym, według ojca, znalazłam prawdę. Żaden rodzic nie chce opuścić tego miejsca w życiu dziecka, ale przecież wcześniej czy później musi, prawda? Wyszedł i wtedy znów się rozplakałam. (Skąd zostało mi tyle łez?).

Jake przyciągnął krzesło do łóżka i wziął mnie za rękę. Dał mi się wypłakać, pocieszał mnie tylko dotykiem, oszczędzając komunałów.

- Co z tobą? - zapytałam Jake'a, kiedy wreszcie wzięłam się w garść.

- W porządku. Czuję się koszmarnie, że cię w porę nie podtrzymałem.

- Nie o to mi chodzi.

Wzruszył ramionami i ścisnął mnie za rękę.

- Wiem. Nie mam pojęcia, co teraz czuję. Zbyt wiele trzeba przemyśleć. To trochę potrwa.

Chciałam się zdobyć na pełen zrozumienia uśmiech, ale rozbolała mnie głowa. Opowiedziałam mu, co wyjawili mi rodzice.

- Tak mi przykro ze względu na to wszystko, Ridley... wszystkie te kłamstwa, całe to zamieszanie - powiedział, kiedy skończyłam.

Podobnie jak Jake musiałam poukładać sobie dotyczące mnie sprawy. Z całą pewnością nie wiedziałam, co jeszcze kryje przyszłość. A moje życie, takie, jakie znałam do tej pory, legło w gruzach. Ale byłam tu nadal i nadal byłam sobą. Jest coś pociesającego w tym, że kiedy wszystkie pewniki runą, człowiek wciąż się trzyma.

- A mnie nie jest przykro.
- Popatrzył na mnie zmieszany.
- Na moście - powiedziała, dotykając ręką jego policzka - zapytałeś mnie, czy jest mi przykro, że cię spotkałam. Cóż, nie jest.
- Uśmiechnął się, nachylił i pocałował mnie w usta tak łagodnie, tak delikatnie, że zniknął ból za oczami. Wyszeptał mi do ucha:
- Kocham cię, Ridley Jones... czy jak tam się nazywasz.
- Roześmialiśmy się, bo chociaż prawda była tak smutna i straszna, Alexander Harriman miał rację. Jesteśmy żywi i zdrowi i mamy siebie. Jak to ujął, to więcej, niż ma wielu innych ludzi.

## Rozdział 32

Nie wierzę w pomyłki. Nigdy nie wierzyłam. Uważam, że przed nami rozciąga się mnóstwo ścieżek i tylko kwestią przypadku jest, którą wybieremy, podążając do domu. Nie wierzę w żal. Jeśli żałujecie spraw z waszego życia, to załóżę się, że nie przywiążecie do nich wagi. Żal to po prostu wyobrażanie sobie, że wiecie, co by się stało, gdybyście jednak na przykład podjęli tę pracę w Kalifornii albo pobrali się ze swoim lubym ze szkoły średniej, albo rozejrzeli się raz jeszcze przed wejściem na jezdnię... A przecież nie wiecie; nie możecie wiedzieć. Mogłabym godzinami rozmyślać, co by się stało, gdybym nie zobaczyła Justina Wheelera truchtającego tamtego dnia ulicą. I rzeczywiście trochę o tym myślałam - ale niezbyt wiele. Takimi myślami można doprowadzić się do szaleństwa.

Bardzo chcieli pozbyć się mnie ze szpitala Mount Sinai. Moje ubezpieczenie zdrowotne opiewało tylko na „wypadki” (ubezpieczenie prywatne jest drogie, a ja nigdy nie chorowałam) i doszło do sporu, czy uderzenie głową o krawężnik po zemdleniu wywołanym atakiem paniki to rzeczywiście wypadek. Odbyła się debata na temat znaczenia tego słowa i czy był to wypadek czy też wynik wypadku, który musiał zagrażać życiu, żeby polisa go pokryła. Niecała doba spędzona w szpitalu już kosztowała mnie ponad dwa tysiące dolarów, doszłam więc do wniosku, że jeśli wydobrzeję gdzie indziej, to wyjdzie taniej. Jake szedł na dwór, żeby przywołać taksówkę, a ja umyłam sobie twarz. W lustrze wyglądałam blado i śmiesznie z tym bandażem na głowie. Wtedy wszedł detektyw Salvo.

- Wyrzucają cię? - zapytał.
- Tak, mają mnie już powyżej uszu.

Uśmiechnął się i usiadł na winylowym krześle obok drzwi. Wyglądał na zmęczonego. Zauważyłam, że nosi *to* samo ubranie co poprzedniego dnia.

- Oskarżenie przeciwko Harleyowi Jacobsenowi zostało wycofane - powiedział, kiedy usiadłam ponownie na łóżku.

Poinformował mnie, że podpis na dokumencie rejestrującym karabin nie pasował do jego dokumentacji. W połączeniu z faktem, że na karabinie nie było odcisków palców, oznaczało to, że nie istniały podstawy prawne do wytoczenia oskarżenia.

- Dobra wiadomość.

- Dla ciebie i pana Jacobsena. A ja nadal mam sprawę morderstwa do rozwiązania i żadnych śladów.

Siedzieliśmy w milczeniu. Mogłam zasugerować, żeby zaczął śledztwo od przejrzenia listy klientów Aleksa Harrimana, ale tego nie zrobiłam.

- Jest jednak coś interesującego - odezwał się, patrząc na mnie. - Niektóre z łusek znalezionych w restauracji po strzelaninie pasują do broni użytej przy okazji innego przestępstwa, w strzelaninie na Arthur Avenue w Bronksie tydzień temu. Zgadnij, kto jest głównym podejrzanym.

Wzruszyłam ramionami.

- Oprych o nazwisku Angelo Numbruzio, znany wspólnik Paulie „Piąchy” Umbruglia. Czy to nazwisko coś ci mówi?

- Chyba tak. Słyszałam o nim w wiadomościach.

- Jego adwokatem jest Alexander Harriman.

Popatrzyłam na niego.

- Co za zbieg okoliczności.

- Pomyślałam, że zainteresuje cię ta informacja. Ktoś, kto lubi znajdować związki między faktami, może uznać ją za ciekawą.

W drzwiach pojawił się Jake i wyraz jego twarzy powiedział mi, że on jest zaciekawiony. Poczułam lekki skurcz żołądka. Czy on nadal szuka sprawiedliwości i odpowiedzi na pytania?

- Czy jest coś jeszcze, detektywie Salvo? - zapytałam.

Wstał, kiedy szłam do drzwi, i wyszedł za mną na korytarz.

- Jeśli się znajdzie, to zadzwonię do ciebie. Mam twój numer.

- Zamierzam pozbyć się tej komórki.

Roześmiał się, a ja zrewanżowałam mu się uśmiechem. Był dobrym człowiekiem, ale wiedziałam, że nie popuści. A ja nie mogłam odpowiadać na jego pytania, gdy groźby Harrimana ciągle odbijały się echem w mojej potłuczonej głowie.

Rozczarowałam was? Czy spodziewaliście się, że rozpocznę krucjale, żeby odnaleźć wszystkie dzieci z projektu „Na ratunek” na świecie i oddać je ich prawdziwymi prawdopodobnie koszmarnym rodzicom? Zapytajcie sami siebie; gdybyście stracili wszystko, gdyby pozostały wam tylko skrawki dawnego życia, gdyby waszej rodzime groził adwokat reprezentujący typki o przewiskach w rodzaju Pięcha, co byście zrobili? Właśnie. Co byście zrobili?

W taksówce, po drodze do śródmieścia, oparłam się o Jake'a. Nie miałam butów, bo moje niki zagięły w czasie od mojego przybycia do izby przyjęć do wypisania. Opuściłam więc szpital w samych skarpetkach.

Patrzyłam na zalany słońcem Central Park za oknem. Drzewa traciły liście; ludzie uprawiali jogging, jazdę na rolkach, przechadzali się z psami, Normalny dzień dla wszystkich innych.

- Wiesz, że nie ma żadnego dowodu?-powiedział, jakby myślał na głos, - Byli bardzo ostrożni. Nie ma dowodu, że to w ogóle się zdarzyło.

- Poza tym, że te dzieci zagięły. Poza tym, że ty jesteś Charlie, a ja Jessie.

- Tak, ale dzieci giną w całym kraju i na całym świecie. Są nierozwiązane sprawy, takie jak Charliego, Jessie, Briana i Pameli. Nie będziemy w stanie powiązać ich z projektem „Na ratunek”.

To była prawda. Nie zostawiali śladów. Udawało im się jakoś zmienić metryki urodzenia i numery ubezpieczenia społecznego dzieci, żeby dać im całkowicie nową tożsamość. Dzieci stawały się... duchami. Może lepiej im się powodziło, może gorzej.

- Chyba że... - powiedział Jake, patrząc obok mnie przez okno.

- Chyba że co?

- Chyba że nakłonimy kogoś do mówienia.

- Jak niby mamy to zrobić?

- Nie wiem. - Spojrzał na mnie. - Nie musimy teraz o tym myśleć, Po prostu jedźmy do domu.

- Jake, moja rodzina...

- Wiem, Ridley. Nie martw się. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem

Nie odpowiedziałam. Nadal czułam się bardzo oszołomiona i pragnęłam tylko się położyć. Ale towarzyszyło mi to nieprzyjemne uczucie w okolicy ramion i dudnienie krwi w prawym uchu, które słyszę, kiedy jestem zdenerwowana. Wiedziałam, że to jeszcze nie koniec.

## Rozdział 33

Jedliśmy obiad, a niesprawiedliwość siedziała z nami. Piła wino z kieliszka i jadła ze smakiem, podczas gdy my przesuwaliliśmy makaron po talerzu i skubaliśmy sałatkę. Miażdżył nas strach, siedział z nami przy stole, tłusty i zwycięski, nietykalny.

Mało rozmawialiśmy podczas posiłku. Kiedy Jake zmywał naczynia, ja siedziałam na kanapie i patrzyłam na Pierwszą Aleję, myśląc, gdzie by się przeprowadzić. Nie byłam nawet w stanie podnieść się, żeby pójść do mojego mieszkania. Jake obiecał, że jak skończymy jeść, zejdzie na dół i przyniesie trochę czystych ubrań, buty i przybory toaletowe. Włączyłam telewizor i nacisnęłam guzik wyłączający głoś. Śledziłam obrazy na ekranie.

Po jakimś czasie Jake podszedł do mnie i usiadł obok. Oparłam się o niego i tak siedzieliśmy w milczeniu, słuchając hałasu ulicy za oknem. Tyle zaszło między nami, że milczenie nie było krępujące. Mogłam słyszeć jego myśli tak, jak on, z pewnością, słyszał moje.

- Dasz sobie z tym spokój? - zapytałam go wreszcie. - Zdołasz zadowolić się tym, co wiemy, i wyprowadzić się stąd?

Milczał przez chwilę.

- A ty?

- Chyba muszę - odparłam, choć szarpała mną niepewność. - Sam powiedziałeś: nie ma dowodów, nie ma śladu, którym można by pójść.

- Chyba że nakłonimy kogoś do mówienia; do wyznania, co się stało. Chyba że ktoś weźmie na siebie odpowiedzialność za projekt „Na ratunek”.

- Na przykład kto?

- Myślałam o tym. Twój ojciec twierdzi stanowczo, że nie miał pojęcia o drugiej stronie projektu. Ale ktoś „oznaczał” te dzieci. Może ktoś, kto z nim pracował?

Odwróciłam się, żeby na niego popatrzeć. Wzrok miał spuszczone, jakby nie chciał widzieć wyrazu mojej twarzy.

- Czy matka twojego byłego nie pracowała przez lata z twoim ojcem?

- Esme?

- Widziałem jej nazwisko na każdej z tych teczek.

Pomyślałam o Esme i rozmowie tamtej nocy w mieszkaniu Zacka o Mak-sie. Powiedziała, że dla tego człowieka zrobiłaby wszystko. Co zatem zrobiła?

- Ridley, może porozmawiałaby z nami. Może ze względu na uczucie, które żywi do ciebie, opowiedziałaby, co wie o projekcie „Na ratunek”?



Przypomniałam sobie, jak zachowywała się u Zacka. Na pewno nie jak kobieta gotowa mówić o przeszłości.

- Chcesz ryzykować dla tego nasze życie, Jake? - zapytałam.

Pokręcił głową, ale nie podniósł wzroku.

- Ty masz życie, Ridley - odparł cicho. - Ja nie mam.

Zraniło mnie to stwierdzenie. Jakaś część mnie sądziła chyba, że prowadzimy wspólne życie, że możliwa jest wspólna przyszłość, i to mi wystarczyło, żeby iść naprzód i zostawić wszystko za sobą. Ale domyśliłam się, na czym polega różnica: ja znałam odpowiedź na swoje pytania. Wiedziałam, co stało się z Jessie i Teresą Stone. Znałam los Christiana Luny. Wiedziałam, kim byłam kiedyś i co się ze mną później stało. Jake nadal był sierotą, *quidam*. Jego miejsce przy mnie mu nie wystarczało.

Zrozumiałam, jaki czeka mnie wybór. Jeśli wybiorę Jake'a, będę musiała zgodzić się na przyjęcie prawdy, choćby bolesnej, obrzydliwej i ryzykownej. Jeśli postanowię zachować milczenie i chronić rodzinę, zgodzę się na piękne, znajome kłamstwo, na fałsz. Będę musiała wybrać miejsce, w którym, z latami, moja przeszłość przekształci się w coś na kształt potwora z Loch Ness albo Wielkiej Stopy, którą ktoś ponoć widział, ale nikt w nią naprawdę nie wierzy.

Jestem pewna, że nie pokładacie we mnie wielkich nadziei. Nie dokonałam jeszcze tego szlachetnego wyboru. To Jake mnie popychał na właściwą drogę, namawiał, żebym zadawała odpowiednie pytania, i to one doprowadziły nas do tego miejsca. Zauważyłam wtedy, że na mnie patrzy, i kiedy spojrzałam mu w oczy, wiedziałam. Już zdążyliśmy zawrzeć przymierze na tym świecie. W dniu, w którym tu stanęłam i wzięłam go za rękę, zaczęliśmy wspólną podróż do granic mojej rzeczywistości. A kiedy znaleźliśmy się nad przepaścią, nie pozostało nam nic innego, jak tylko w nią skoczyć.

- Ona była w tamten wieczór u Zacka. Myślę, że wiedziała, co się stało. Powiedziała mi, że wyciągam sprawy, które nikomu nie przyniosą niczego dobrego.

Jake pochylił się do przodu.

- Jak myślisz, ile ona wie?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Nie powiedziała wiele. Ale najwyraźniej zna sprawę. Zack chyba też coś wie. Powstrzymała go, bo inaczej opowiedziałaby mi wszystko o projekcie „Na ratunek”.

- Jeśli to ona „oznaczała” dzieci, to przynajmniej wie, kogo wybrała do projektu - stwierdził Jake. -I może wiedzieć, skąd Max dowiedział się o tobie.

- Chcesz powiedzieć, że może wiedzieć, czy Max był odpowiedzialny /a śmierć Teresy Stone?

Przyglądał mi się z napięciem. Nagle wstał i przeszedł obok mnie. Teraz nie patrzył na mnie, tylko w telewizor, włączony bez dźwięku.

- Adwokat mafii Alexander Harriman i jego niezidentyfikowany pomocnik zostali znaleźieni martwi w ich biurze w Central Park West. Morderstwa dokonano w stylu egzekucji - informował ponury dziennikarz, kiedy Jake podkręcił głośność. W tle widziałam wejście do kamienicy z biurem Harrimana, gdzie byliśmy zaledwie dobę wcześniej. Czyjeś ciało wynoszono na noszach w worku na zwłoki. - Jak do tej pory policja nie ma podejrzanych.

- Panu Harrimanowi nie brakowało wrogów - powiedział detektyw z sekcji zabójstw do reportera.

Jake odwrócił się i spojrział na mnie. Na jego twarzy odbijały się moje uczucia: oszołomienie i strach.

- My dogadaliśmy się z Harrimanem - powiedział powoli. - Mam złe przeczucie, że umowa jest już nieważna.

Pamiętacie: nie wracalibyśmy do mojego mieszkania, gdyby nie mały problem polegający na tym, że nie miałam butów. Ze szpitala do taksówki poszłam w skarpetkach, a idąc do Jake'a, nie wchodziłam do swojego mieszkania. Włożyłam jego czystą parę skarpet i tak zostałam. Zaczęłam tego żałować, kiedy Jake włożył kurtkę, a mnie podał moją.

- Tutaj z całą pewnością nie jesteśmy bezpieczni. Musimy iść.

- Dokąd?

- Gdzieś, gdzie nas jeszcze nie było.

Popatrzyłam na stopy.

- Cholera - powiedział, ruszając w stronę drzwi. - Okej, poczekaj tutaj.

- Nie ma mowy. Idziemy razem albo wychodzimy tak, jak stoje.

Westchnął i zniknął w sypialni. Wrócił z pistoletem, który widziałam już wcześniej. Wsunął go za pasek i zapiął kurtkę.

- Okej, idziemy.

Szybko, po cichu zesliśmy na moje piętro. Przy drzwiach Jake pokazał mi gestem, żebym zachowała ciszę. Podałam mu klucze.

- Ridley! - Ostry szept wystraszył nas oboje.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Victoria wygląda zza drzwi swojego mieszkania. Przyłożyłam palec do ust i podeszłam do niej. Ajednak znała moje imię!

- Victorio, tu nie jest bezpiecznie. Zamknij drzwi.

Trzęsa się w uchylonych drzwiach i patrzyła na mnie ze strachem. Zapomniała włożyć peruki i kilka siwych pasemek na jej łysej głowie falowało w przeciagu.

- Ktoś tam jest. W twoim mieszkaniu.
- Ilu? - zapytał Jake, stając za mną.
- Tylko jeden - powiedziała i zamknęła drzwi.

Słyszałam, jak szybko przekręca trzy zamki, jeden za drugim.

Byłam gotowa do ucieczki bez butów, ale Jake podszedł do drzwi. Pchnął je i okazało się, że klucz nie był potrzebny. Były otwarte. Wszedł powoli z wyciągniętym pistoletem, trzymając się blisko ściany. Kiwnął do mnie, żebym nie wchodziła, ale ja poszłam za nim.

Lampka za parawanem, który oddzielał mój „gabinet” od sypialni, była włączona. Usłyszeliśmy, że ktoś szpera w papierach. Ukazał się zwalisty cień. Nie weszliśmy do pokoju, lecz schowaliśmy się za ścianą.

- Podnieś ręce tak, żebym je widział, i wyjdź zza parawanu - powiedziała Jake. Mówił grzmącym głosem, można było się go przestraszyć.

Coś stuknęło o podłogę. Miałam nadzieję, że to nie mój laptop. Cień zamarł.

- Podnieś, palancie, ręce tak, żebym je widział, albo strzelę - rozkazał ostrym, stanowczym tonem. Musiałam spojrzeć na niego, żeby się upewnić, że te słowa wyszły z jego ust. Mówił tonem zimnokrwistego zabójcy. Poczekaliśmy chwilę, a potem zobaczyłam, jak palec Jake'a zaciska się na spuście. Nie miałam wątpliwości, że strzeliłby, ale wtedy dwie ręce uniosły się nad parawan.

- Nie strzelaj - powiedział głos, który rozpoznałam.

Cień wyszedł zza zasłony. Napięcie opadło. Strach, gniew i ulga walczyły w mojej piersi.

- Co tu robisz, Zack? - zapytałam zza pleców Jake'a, zaskoczona, że mówię tak spokojnym głosem.

- Usiłuję uratować ci życie, Ridley.

- Jak to?

- Są ludzie, którzy cię szukają... ludzie, którzy są bardzo zainteresowani tym, co wiesz. Staram się to sprawdzić, zanim zrobią to oni.

- Ci sami ludzie, którzy zabili Alexandra Harrimana? - zapytałam.

Pokiwał głową.

- Naprawdę masz kłopoty. Oboje macie. Ale ja mogę wszystko załatwić i oboje wyjdziecie z tego cało.

Jego twarz była jak maska powagi i dobroci. Chciałam wierzyć, że próbuje nam pomóc, ale nie ufałam już ludziom.

Podszedł do nas bliżej. Jake i ja się cofnęliśmy.

- Zostań, gdzie jesteś - polecił Jake, a Zack zamarł.

- Okej, okej. Tylko mnie wysłuchajcie.  
- Słuchamy - powiedziałam.  
- Jeśli chodzi o Jake'a, to wystarczy, że zniknie. Nikt go nie będzie szukać, jeśli przestanie węszyć, jeśli zakończy to swoje śledztwo. Są dla niego pieniądze, żeby gdzieś zamieszkał i zaczął nowe życie, gdziekolwiek na świecie. Tylko nie tutaj.

Pokazał ruchem głowy worek leżący na moim łóżku.

- Dalej. Popatrz.

Podeszłam do worka i rozpięłam zamek błyskawiczny. Wyładowany był paczkami banknotów. Nie miałam nawet pojęcia, ile tego było. Na pewno mnóstwo.

- Nieznaczone, nie do wykrycia - powiedział Zack.

Widziałam, jak Jake przez sekundę patrzy na pieniądze. Próbowałam odczytać wyraz jego twarzy, ale był zacięty i nieczytelny. Nadal mierzył z pistoletu w Zacka, który przez cały czas trzymał ręce w górze.

- A co z Ridley? - zapytał Jake.

Na to pytanie mój żołądek się skurczył. Czyżby rozważał ofertę?

- Im wystarczy moje słowo, że nie będzie zajmowała się tą sprawą, że wróci na łono rodziny, która kochają i troszczy się o nią. Dopóki tak będzie, nie ma się o co martwić. Będzie się miała doskonale. Jej rodzina też.

- Dlaczego wystarczy im twoje słowo? - Jake chciał się dowiedzieć.

Roześmiał się lekko.

- Bo jestem w to tak głęboko umoczony, że mamamnie na własność. I moją mamusię też. Ona była w to zamieszana od samego początku. Chyba już do tego doszłście.

- A więc to nadal działa. Dzieci nadal są uprowadzane i sprzedawane.

- Nie mów o tym tak, jakby to było samo zło, Ridley - powiedział Zack obronnym tonem. - Ratujemy zaniedbywane i maltretowane dzieci. Włącz pieprzoną telewizję, a codziennie usłyszysz o jakimś zwierzaku, który zabił dziecko swojej dziewczyny, bo za głośno płakało, albo o jakiejś zwariowanej dziwce, która myśli, że Bóg kazał jej zbawić dzieci od grzechu poprzez utopienie ich w wannie. To nie my jesteśmy przestępcami.

- Nie macie prawa dokonywać tych wyborów - oburzył się Jake. Głos mu się trząsał. - Tylko my sami możemy decydować o naszym życiu.

- Błąd - powiedział Zack. - Gdyby każdy myślał tak jak ty, Ridley pewnie dawno by nie żyła. Zabiłby jachłopak jej matki. Nawet ty, Jake, nawet ty mógłbyś nie przeżyć dzieciństwa.

- Matka kochała mnie - odparł Jake. - Byłem kochany.

- To nie wystarczy - stwierdził Zack. - Mnóstwo ludzi kocha dzieci, ale nie potrafi ochronić ich przed krzywdą. Mnóstwo ludzi twierdzi, że kocha swoje dzieci, i krzywdzi je, zaniedbuje albo zabija.

W tych argumentach była jakaś logika i chyba wszyscy ją widzieliśmy, nawet Jake. Ale i tak nie było to słuszne. Nie usprawiedliwiała uprowadzenia dzieci z ich domów i sprzedawania bogatym rodzinom. Taka pomoc nie czyniła tego, co się stało z Teresą Stone i z Jakiem, właściwym postępowaniem. Życie jest inne. Nie wolno nam robić takich interesów. Nikt nie ma takiego prawa.

Staliśmy w dziwnym trójkącie. Jake patrzył na mnie i było mi smutno, że czekał na mój wybór. Wiedziałam, że gdybym postanowiła wrócić „na łono”, pozwoliłby mi odejść i nie osądzałby mnie. Pozwoliłby mi wybrać bezpieczeństwo, gdybym tylko chciała. Przecież mnie kochał. Podeszłam do niego.

- Przykro mi - powiedziałam do Zacksa. - Nie mogłabym z tym żyć.

Wyglądał na zaskoczonego i smutnego.

- A co z twoją rodziną, Ridley? A co z moją matką? Zawsze traktowała cię jak swoją córkę. Jak sądzisz, co się z nimi stanie, kiedy ludzie dowiedzą się o projekcie „Na ratunek”? Myślisz, że ktokolwiek uwierzy, że twój ojciec nie maczał w tym palców?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nie powinnam troszczyć się o konsekwencje wyborów, których dokonują inni. W tej chwili myślałam tylko o konsekwencjach własnej decyzji. Widziałam to jako sytuację, w której nie ma wygranych. Nie mogłam wrócić na łono rodziny. To nie był dla mnie wybór. Zbyt jasno wszystko to widziałam. Już mówiliśmy o tym, że nie można udawać, że coś się nie stało. Jeśli wyjdę z Jakiem, konsekwencje będą nieprzewidywalne. Mogłam zranić wielu ludzi, których kochałam. Mogłam skrzywdzić samą siebie. Podeszłam do szafy i wyjęłam parę tramppek, usiadłam na łóżku obok stosu gotówki i zasnurowałam je.

- Chodźmy - powiedziałam do Jake'a, wstając.

- Jesteś pewna? — zapytał. - To nie jest bezpieczne. Nie wiem, przeciwko czemu występujemy i czy zdołam nas obronić.

Kiwnęłam głową.

- Wiem.

- Jeśli stąd wyjdiesz, Ridley, nie ponoszę odpowiedzialności za to, co się z tobą stanie - powiedział Zack. Cała troska ulotniła się z jego tonu. Było w nim tylko rozdrażnienie i złość. Zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dwóch dni drugi raz tak do mnie mówi. - Jeśli ty nie chcesz chronić swojej rodziny, to ja zrobię, co będę musiał, żeby chronić moją matkę.

Zostawiliśmy Zacka tam, gdzie stał z podniesionymi rękami. W korytarzu Jake objął mnie i mocno pocałował w usta. Przyłgnęłam do niego na chwilę, a kiedy go puściłam, zobaczyłam ulgę w jego oczach. Już nie był samotny i wiedział o tym. Zbiegliśmy na dół i Jake podążył w stronę drzwi frontowych. Pociągnęłam go za ramię.

- Z tego domu jest drugie wyjście - powiedziałam i zaprowadziłam go do tunelu Zeldy.

## Rozdział 34

Byłam sprytna, ale nie dość. Poszliśmy na wschód, do Alei C, zanim wyczuliśmy raczej, niż zobaczyliśmy, że jesteśmy śledzeni. Cicha ulica zdawała się pociemniała od groźby, gdy mijaliśmy pustą działkę zawałoną śmieciami, wypalony samochód i paru épunów, którzy na rogu dzielili się skrzętem. Raczej wyczuliśmy, niż usłyszeliśmy niski pomruk silnika samochodu, który jechał za nami z wyłączonymi reflektorami. Jake wziął mnie za rękę i zaczęliśmy biec. W każdej chwili spodziewaliśmy się, że usłyszymy strzały, ale nic się nie działo. Słyszałam tylko nasze kroki i oddechy. Jakby miasto wstrzymało oddech.

Przy Alei D skręciliśmy za róg. Rozejrzeliśmy się, nikogo nie było widać. Wbiegliśmy po schodkach do przeznaczonego do rozbioru domu mieszkalnego i wślizgnęliśmy się do środka przez trójkątny otwór, jaki pozostał po służącej za drzwi płycie ze sklejki, którą ktoś wepchnął do wewnątrz. Wyrzeliśmy przez poczerwiałe od sadzy okno i zobaczyliśmy, jak w alejce zatrzymuje się lincoln. Mężczyźni w maskach narciarskich wysiedli z samochodu, a mnie, przysięgam, serce przestało bić. Miałam wrażenie, że miasto to obcy świat, w którym obowiązują inne reguły. To było jak w *Ucieczce z Nowego Jorku* albo czymś takim, tylko że tu bez drogi ucieczki. Jake położył mi dłoń na ustach, żebym nie zaczęła krzyczeć w panice, której przypływ wyczuł.

- Zostań ze mną, Ridley. Bądź spokojna, dziewczyno.

Kiwnęłam głową i poszliśmy przez zrujnowany hol cuchnący dymem. Przytknęłam koszulę do nosa, żeby nie oddychać tym stęchłym powietrzem, które sprawiało, że chciało mi się kaszleć i kichać. Przeszliśmy obok przewróconej kanapy i szafki na dokumenty bez szuflad. Zaczęliśmy wchodzić po rozpadających się schodach, pojeżdżających w proteście pod naszym ciężar-

rem. Na piętrze spojrzeliśmy przez okno i zobaczyliśmy czterech mężczyzn idących ulicą. Szukali nas, wchodzili na ganki, zaglądali w okna.

Budynek miał tylko dwa piętra. Na górze zauważyliśmy, że coś spadło na sam dół, zostawiając po sobie dziurę w suficie nad nami i podłogach niższych poziomów. Dzięki temu, z drugiego piętra mogliśmy dobrze widzieć parter i wejście do budynku. Usiedliśmy na podłodze, a Jake wyciągnął pistolet, położył się na brzuchu i wycelował w wejście. Słyszeliśmy, jak mężczyźni nawołują się na ulicy. Potem zapadła cisza. Czekaliśmy. Zaczęło padać. Nic nas nie chroniło przed ulewą.

- Bardzo cię przepraszam - wyszeptał po paru minutach, patrząc na mnie. Pokręciłam głową.

- Nie masz za co.

- Za to, co zrobiłem z twoim życiem, Ridley.

- Nie - odparłam, kręcąc głową.

- Tak. Gdybym nie podrzucił tego drugiego listu... gdybym pozwolił, żeby to przeszło obok ciebie, nie siedzielibyśmy teraz tutaj.

Pokręciłam głową. Takie myślenie nie miało sensu; było już za późno. Teraz mogliśmy tylko iść do przodu z nadzieją, że przeżyjemy tę noc.

Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- To był mój wybór, żeby znaleźć się z tobą tutaj. Ja wybierałam. - I to była prawda.

Pokiwał głową, a ja nachyliłam się, żeby go pocałować, ale wtedy on zaczął strzelać do czegoś za mną. Noc rozdarła nawałnica światła i grzmotów, a my zaczęliśmy spadać.

Ja spadłam tylko jedno piętro, ale Jake zleciał aż na sam dół. Usłyszałam, jak jego ciało mocno uderzyło o podłogę. Poczułam to we własnych kościach. Chyba zemdlałam na ułamek sekundy, zanim ocknęłam się na dźwięk głosów.

- Co jest, kurwa? Dokąd poszli?

Zrozumiałam, że przedostali się tutaj z dachu budynku obok.

- Uważaj, kurwa, idioto, podłoga się załamuje. - Usłyszałam głuche łupnięcie i przez dziurę poleciały jakieś odłamki. Nie widziałam mężczyzn na górze i miałam nadzieję, że oni też mnie nie widzą.

- Nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz któregoś z nich, na litość boską, bo ten dom zawali się jak kupa gówna.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że Jake leży na podłodze. Nie ruszał się, a mną wstrząsał strach i przerażenie. Zaczęłam się czołgać i poczułam ostry ból promieniujący z nogi na całe ciało. Był tak intensywny, że chciało mi się wymiotować. Nie widziałam, co mam w nodze. Spodnie miałam rozdarte

i czułam lepka, gorącą krew. Coś tam utkwiło i każdy ruch sprawiał, że chciało mi się krzyżeć. Ale jeszcze bardziej pragnęłam dostać się do Jake'a, więc powlokłam się do klatki schodowej i zeszłam na dół, zanim znów zasypali mnie gradem kul.

Przycisnęłam się do ściany i patrzyłam, jak kule prują podłogę i ściany wokół mnie. Jake leżał bez ruchu na podłodze, nie reagując na hałas i zagrożenie. Usłyszałam głuchoe łupnięcie, nagły trzask i jęk.

- Angelo! Nic ci się nie stało?

- W porządku - odpowiedział ktoś ciężkim nowojorskim akcentem. - Spałem przez tą pieprzoną podłogę.

Skorzystałam z zamieszania, żeby dostać się do Jake'a, zanim kule znów zaczęły świszcząć.

## Rozdział 35

**S**ześć - wyszeptał.

- Co?

- Zostało ci sześć kul.

Skinęłam głową i spojrzałam w kierunku klatki schodowej. Usłyszałam głos Zacka, więc wiedziałam, że jest wśród mężczyzn, którzy nas ścigają. Zabije nas, żeby zachować swoją tajemnicę, a potem będzie udawał smutek na moim pogrzebie. A mój ojciec chciał, żebym za niego wyszła. Ręce trzęsły mi się z bólu, strachu i wściekłości. Przed oczami zaczęły mi tańczyć białe światła.

- Możemy to załatwić inaczej! - krzyknął.

Nadal go nie widziałam. Wiedziałam, że są blisko; słyszałam, jak schody skrzypią. W chwili, gdy zobaczyłam czyjaś nogę, strzeliłam i chybiłam. Huk był tak głośny, a odrzut tak potężny, że aż krzyknęłam z przerażenia. W uszach mi dzwoniło. Kiedy znów spojrzałam, nogi nie było. Może uda mi się ich na jakiś czas powstrzymać. Zostało pięć kul i czterech mężczyzn.

- Nie marnuj kul na beznadziejne strzały - wyszeptał Jake - czekaj, aż będziesz mogła wycelować w tułów. Inaczej nie trafisz. - Popatrzyłam na niego. Leżał spokojnie, jakby nie mógł się ruszać. Chyba bardzo go nie bolało.

- Ridley, proszę! - zawołał Zack. - To nie musi się tak skończyć. Moja oferta nadal jest aktualna. Kiedyś mnie kochałaś. Nie możesz mi teraz zaufać?



Popatrzyłam na Jake'a, a on na mnie. Przyłożył palec do ust. I pokazał w górę. Zobaczyłam mężczyzn. Stali nad nami, pistolety mieli wycelowane w dół. Zack próbował skłonić mnie do mówienia, żeby wiedzieli, gdzie strzelać. Uśmiechnęłam się ponuro i się nie odezwałam.

- Kurwa! - zaklął Zack.

Kiedy zaczęli strzelać, odpowiedziałam ogniem. Ich kule wbijały się w ściany, odbijały od nich rykoszetami, jedna nawet trafiła w kanapę, ale nie przeszła na wylot. Czekałam, aż metal wbije mi się w skórę. Czułam, że Jake próbuje ochronić mnie własnym ciałem. Nozdrza wypełniał mi zapach prochu, a w uszach dzwoniło tak potężnie, że tłumiło to inne dźwięki. Sytuacja zrobiła się nierealna i ja jakoś dziwnie niezbyt się bałam. Tak chyba reagują walczący - okoliczności są tak nierzeczywiste, tak przerażające, że maleje zdolność umysłu do odczuwania niebezpieczeństwa i strachu. Po jednym z moich strzałów któryś z napastników upadł z jękiem na podłogę, ale zostało trzech, a strzelaninie nie widać było końca. Celowałam najlepiej, jak umiałam, ale wkrótce magazynek był pusty, a tamci nadal do nas strzelali. Na filmie trafiłabym ich wszystkich tymi paroma kulami, ale dowiedziałam się właśnie, że słaby ze mnie strzelec. Kiedy zabrakło nabojów, rzuciłam pistolet na ziemię i przywarłam do Jake'a z myślą, że zaraz umrzemy. Jedyne, co mogłam powiedzieć, to że niczego nie żałuję. Cieszyłam się, że nie musiałam stawić temu czoła samotnie.

Zamknęłam oczy i wydawało mi się, że śnię, kiedy usłyszałam świst łopata helikoptera i zobaczyłam, że wewnątrz domu załało światło.

- Rzucić broń! - ryknął głos Boga. - Położyć się na ziemi, ręce na kark.

W chaosie światła i dźwięku ostrzał ustał. Poczułam silne ramiona Jake'a. Trzymał mnie w objęciach.

- Ridley. - Usłyszałam, że Bóg mnie wzywa. - Ridley Jones, nic ci się nie stało? Jesteś tam, na dole?

Ze strachu albo z bólu, albo z czystej ulgi wszystko mi w oczach pociemniało.

## Rozdział 36

**B**yło tak, jak mówiłam. Wszechświat nie lubi tajemnic. Spiskuje, żeby ujawnić prawdę, żeby was do niej doprowadzić. Łatwo przyjęłam układ

zapropnowany przez Harrimana i poszłam sobie, ale wszechświat na to nie pozwolił. Harriman powiedział, że projekt „Na ratunek” przekształcił się w coś, czego Max nie był w stanie kontrolować. Okazało się, że przekształcił się w coś, nad czym sam Harriman nie potrafił sprawować władzy.

Klauzura. Wszyscy jej szukamy. Szukamy końca spraw, a także początku spraw nowych. To, co się nie kończy, zaczyna nas prześladować. Ukazuje nam się we śnie, wkrada w nasze myśli w chwilach bezczynności, jak łamigłówka pozostająca poza granicą naszych możliwości intelektualnych, jak tajemnica, która nie daje się odkryć. Myślałam o Teresie Stone, mojej biologicznej matce, o tym, jak walczyła o dziecko i jak zginęła w tej walce. Myślałam o Christianie Lunie z jego żalem i nieudanym odkupieniem. Myślałam o Maksie, moim prawdziwym ojcu, i wszystkich przestępstwach, które popełnił, bo próbował uzdrowić siebie, „pomagając” innym. Myślałam o innych rodzicach, o twarzach ich dzieci na znaczkach pocztowych i kartonach z mlekiem. Te straszne, graficznie postarzone, domniemane portrety, które przedstawiały, jak wyglądają twarze pięć, sześć, dziesięć lat po zaginięciu, wiszące na skrzynkach pocztowych, w kawiarniach. Może niektórzy z tych ludzi zasłużyli, żeby stracić dzieci, może niektórzy nie zasłużyli. Ale założę się, że na każde dziecko z projektu „Na ratunek” przypadała jedna nieszczęsna dusza. W przypadku Jessie był to Christian Luna. W przypadku Charliego Linda McNaughton.

Gdybym zrobiła, jak prosił Harriman, nadal działałoby ludzkie odpowiedzialności za tę krzywdę; ludzie tacy jak Zack i Esme osądzałiby i bawili się w Pana Boga, igrając życiem obcych, nie doznając wyrzutów sumienia ani bólu. Ale moje życie zaludniłoby się duchami ludzi, którym nie zdołałam pomóc, a najważniejszym byłby Jake.

Skoro mowa o pomaganiu, to tamtego wieczoru w zrujnowanym budynku uratował nas Gus Salvo. Kazał śledzić Angela Numbruzia w związku z łuską pocisku, którą znaleziono na miejscu śmierci Christiana Luny. Kiedy policjant obserwujący Numbruzia odkrył, że skontaktował się on z Zackiem i zmierzał do mojego domu, detektyw Salvo złożył w całość elementy układanki... trochę powoli, ale przynajmniej na czas.

Podczas upadku Jake złamał prawą nogę i lewe ramię oraz przebił sobie płuco. Mocno nadwerżył kręgosłup, ale stos pacierzowy był nietknięty. Kula, która przebiła mi udo, minęła tętnicę. To te małe sprawy, pamiętacie? Milimetr - i nie byłoby mnie tutaj, żeby opowiedzieć wam, co się stało.

Kiedy odzyskałam przytomność w szpitalu St. Vincent's, jako pierwszego zobaczyłam Gusa Salvo. Nie był to śliczny widok, ale i tak ładniejszy niż większość tego, co oglądałam ostatnio.

- Gdzie jest Jake? - zapytałam, a moje serce spanikowało, bo przypomniałam sobie ostatni moment, kiedy byliśmy razem.

- Nic mu nie jest - odparł zyczliwie. - Hm, raczej nic mu nie będzie.

Przysunął krzesło do łóżka i wziął mnie za rękę. Opowiedział mi o ranach Jake'a i że leży o rzut beretem od mojej sali szpitalnej.

- Nie zamartwiaj się, Ridley. Już po wszystkim.

Popatrzyłam na niego i wiedziałam, że nie.

- Więc co pan tu robi, detektywie Salvo?

Westchnął i spojrzał obok mnie.

- Powinienem poczekać, aż lepiej się poczujesz, Ridley. Wiem, ale...

- Ale?

- Muszę wiedzieć, jak do tego doszło. Mężczyźni, którzy ścigali cię w nocy, są w areszcie. Uważam, że jeden z nich zabił Christiana Lunę. Pamiętasz, jak mówiłem ci o Angelu Numbruziu, o tym, że mogę powiązać go ze strzelaniną w restauracji? Mamy go na kliszy kamery nadzoru ze sklepu z bronią na Florydzie. Kupiono w nim karabin, z którego został zastrzelony Christian Luna. Nie możemy skutecznie oskarżyć go bez twojego zeznania. A jeśli przeprowadzimy dalsze postępowanie, to wszystko, co dotyczy twojej przeszłości, projektu „Na ratunek”, wyjdzie na jaw. Wiem, że boisz się o swoją rodzinę, ale muszę ci powiedzieć, że Zack i Esme Grayowie zawarli układ z prokuratorem okręgowym. Tak czy inaczej, wszystko to wyjdzie na jaw.

Nic nie mówiłam, tylko patrzyłam obok niego, na korytarz. Alexander Harriman nie żył. Oczywiście, że układ, jaki z nim miałam, nie będzie honorowany przez ludzi, którzy go zabili. Już raz usiłowali mnie zabić. Wiedziałam, że nie jest w mojej mocy dłużej chronić kogokolwiek. Może nigdy nikogo nie chroniałam.

- Będę zeznawać, detektywie Salvo. Będę zeznawać w sprawie Christiana Luny. Ale nie mogę złożyć zeznań w kwestii projektu „Na ratunek”. - Popatrzyliśmy na siebie. - Nie mogę zeznawać przeciwko Maksowi ani Esme.

Pokiwał głową.

- Ridley, ty byłeś wtedy dzieckiem. Nie będziesz zeznawać, kiedy dojdzie do procesu. W tej sprawie występujesz jako ofiara, a nie świadek.

To był szok. Detektyw, trzymając mnie za rękę, pozwolił mi się wypłakać. Opłakiwałam Teresę Stone, Christiana Lunę, Maksa. I, tak, wszystko to, co sama straciłam.

Później, tego wieczoru, wykuśtykałam z sali i niosąc kroplówkę z morfiną (prawdopodobnie dzięki niej w ogóle mogłam się poruszać), ruszyłam na poszukiwania Jake'a. Dyżurna pielęgniarka okazała się pomocna. Posadziła mnie

na wózku i sama do niego zawiozła. Był oszołomiony, ale podniósł zdrową rękę, jak tylko mnie zobaczył.

- Jesteś piękna - powiedział do mnie, trochę rozwlekle wypowiadając słowa. Wątpliwe, żeby tak było w moim stanie.

- Jesteś na haju - odparłam i zaczęłam chichotać. Sama byłam trochę odurzona, ale już zaczęłam odczuwać tępe pulsowanie w nodze.

Prawa noga i lewe ramię w gipsie. Twarz posiniaczona, muskularna klatka piersiowa ściśle owinięta bandażami. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś wspanialszego.

- Musisz wracać do łóżka. - Wziął mnie za rękę.

- Wrócę. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że już nie jesteś samotny. Ja jestem z tobą.

Pocałowałam jego rękę, a on dotknął mojej twarzy. Uśmiechnął się, a ja spostrzegłam łzę w kąciku jego oka, ale pozbył się jej mrugnięciem.

- Kocham cię, Jake... czy jak tam się nazywasz.

Zaczął się śmiać i jęknął z bólu. Zostałam z nim, aż zasnął. Wkrótce. Po tem pielęgniarka odwiozła mnie do mojej sali.

## Rozdział 37

Pamiętacie, że coś obiecałam Lindzie McNaughton. Ale minął miesiąc, zanim z Jakiem doszliśmy do siebie. Trochę dłużej trwało, zanim zdołałam przekonać Jake'a, żeby pomógł mi dotrzymać obietnicy. Nadal miał nogę w gipsie, kiedy wynajęliśmy samochód i pojechaliśmy do Jersey. Firebird zaginał i już się nie odnalazł. Facet, który prawdopodobnie go zabrał, a potem próbował mnie nim zabić - albo wystraszyć, jak powiedział Alexander Harriman - skończył z kulą w głowie. Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, gdzie go ukrył.

- Chodź ze mną - powiedział Jake. Wyglądał blado, kiedy zatrzymaliśmy się przed mieszkalną przyczepą.

- Niepotrzebna ci widownia - odparłam. - Pobądź z nią kilka minut sam na sam, a potem mnie zawołaj.

Skinął głową i zostawił mnie słuchającą z radia samochodowego *Roxane* w wykonaniu Police. Patrzyłam, jak idzie o kulach, jak ona otwiera przed nim drzwi, a on znika w środku. Zamknęłam oczy i wyobraziłam go sobie,

otoczonego przez żółwie, jak mówi Lindzie McNaughton, że jest Charliem, jej wnukiem zaginionym przed laty. Widziałam ją, jej szare włosy i szary dres, jak zakrywa usta, a łzy tryskające z oczu. Widziałam, jak rzuca się mu w objęcia, a on niezdarnie ją przyciska. Chciałam tam z nim być. Ale to były ich chwile. Niech mają je dla siebie.

Jakieś pół godziny później zobaczyłam, jak staje na progu i macha do mnie. Szukałam radości na jego twarzy, ale jej nie zobaczyłam. Ale kiedy się zbliżyłam, wyglądał raczej na szczęśliwego, był trochę zaczerwieniony. Na zewnątrz było bardzo zimno, ziemia zamarzała, wokół parkingu dla przyczep kempingowych stały nagie, czarne drzewa. Ale w środku było ciepło. Linda, cała we łzach, siedziała na kanapie, trzymając fotografię, którą od niej wzięłam i dałam Jake'owi, żeby je oddał. Wstała i objęła mnie.

- Nie myślałam, że wrócisz - powiedziała. - Że wróci którekolwiek z was.

Staliśmy przez chwilę. Co można było powiedzieć? Panowała krępująca atmosfera. Oni dwoje byli dla siebie obcymi ludźmi. Opowiadała o jego rodzicach, a on słuchał, ze skupieniem i uwagą. Powiedziała mu trochę o pierwszych latach Charliego, że wcześniej zaczął chodzić i mówić, że miał pluszową zabę, którą wszędzie zabierał ze sobą. Uśmiechał się i uprzejmie reagował. Niewiele mógł jej opowiedzieć o swoich latach dojrzewania, nie sprawiając jej bólu, więc prześlizgnął się nad nimi. Opowiedział to i owo o swoim życiu. Wypiliśmy z nią herbatę. I wtedy:

- Proszę pani - zaczął.

- Mów do mnie babciu - poprosiła zawstydzona. - A przynajmniej Lindo. Widać było, że niezręcznie jest mu tak mówić, ale posłuchał.

- Babciu. - Roześmiał się zażenowany. - Musimy już iść.

Wcale nie musieliśmy, ale wstałam wraz z nim i skinęłam głową.

- Och, oczywiście - powiedziała, a ja wyczułam w tych słowach pewną ulgę. - Może we dwoje przyjdziecie w niedzielę na obiad. Nie mamy dużej rodziny, ale moja siostra chętnie by was zobaczyła.

- Z radością - odparł.

Uściskał ją, a ja zobaczyłam, że przytulając się do niego, znów się rozpłakała. Stała w drzwiach i patrzyła, jak odjeżdżamy, tak jak wtedy, kiedy ja odjeżdżałam po pierwszej wizycie u niej, z ręką uniesioną w górę. W samochodzie, gdy jechaliśmy w stronę autostrady, Jake milczał. Położyłam mu rękę na udzie.

- Jakie to miało dla ciebie znaczenie?

Westchnął.

- Nie wiem. Nie takie, jak się spodziewałem. Chyba miałem nadzieję, że będę się czuł bardziej z nią związany.

- Będziesz. Czas to zmienić.

Doszłam do przekonania, jak już mówiłam, że to nie więzy krwi nas łączą, ale doświadczenie. Po wszystkim, co przeszliśmy, po tych kłamstwach, po podłościach wyrządzonych przez moją rodzinę, pozostała ona dla mnie rodziną. Nigdy nie przestałam tak o niej myśleć; w głębi serca nigdy nie stali mi się obcy. I mimo że ideał, który stworzyłam sobie w myślach, okazał się całkowicie fałszywy, nie zmieniło to mojego do nich stosunku. Mogli być tylko tym, kim byli. To musiało wystarczyć.

Zatrzymaliśmy się przed domem moich rodziców i siedzieliśmy przez minutę. Oto obrazek z pocztówki przedstawiającej moje dzieciństwo. Dom udekorowany był na Boże Narodzenie elektrycznymi świeczkami i ślicznymi wieńcami w każdym oknie. Widziałam choinkę z żaróweczkami i czerwonymi tasiemkami lśniącymi za szybami. Nie chciałam, żeby to był fałszywy fronton. Ale był. Miałam nadzieję, że to uczucie minie.

- Jestem pewien, że nie chcą mnie widzieć - powiedział Jake.

- Dlaczego tak mówisz?

Spojrzał na mnie.

- Zdmuchnąłem dach z twojego życia. I ich też.

- A ja widzę to inaczej. - Otworzyłam drzwi i wysiadłam.

Ostrożnie podeszliśmy do domu, uważając na zamrożone kałuże i kule Jake'a. Ojciec wyszedł, żeby pomóc; matka stała w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Weszliśmy wszyscy do środka i przy choince wypiliśmy gorącą czekoladę.

Porwałam na strzępy scenariusz naszego życia. Czy nie wygląda to tak w waszych rodzinach? Każdy ma swoją działkę i dopóki wszyscy trzymają się narzuconych im ról, sprawy mają się tak, jak powinny. Śmiejecie się z tego samego, walczyacie o to samo, życie te same zadawnione nienawiści, dzielcie te same wspomnienia, dobre i złe. Ale jeśli jedna osoba zacznie improwizować, pisać własny tekst, cały scenariusz jest do wyrzucenia. Pozostali nie chwytają, o co chodzi, panuje niezręczna cisza, a potem pojawia się chaos. Później, jeśli macie szczęście, udaje się wam zagrać razem nową sztukę. Opartą na uczciwości i podatną na zmiany. My znaleźliśmy się na etapie niezręcznego milczenia. Mnóstwo nieprzyjemnych przerw w rozmowie. Mnóstwo wspólnych wspomnień, szczególnie tych dotyczących Maksa, które nie wydawały się już godne przywoływania.

- Jake, Ridley, chcę, żebyście wiedzieli - powiedział ojciec, przerywając jedną z tych niezręcznych pauz, którą spowodowałam, kierując wzrok na figurynkę daną matce przez Maksa. Była to srebrna baletnica w kryształo-

wej spódniczce, zainspirowana chyba obrazem Degasa. - Chcę, żebyście wiedzieli, że nawet przez chwilę nie podejrzewałem, jaka jest prawdziwa natura projektu „Na ratunek”. - Milczał przez sekundę, nie patrzył na nas, wzrok skierował w dół, na kubek trzymany w ręku. - Ale wobec ciebie postąpiliśmy, Ridley. Winni jesteśmy także innych błędów wobec ciebie, ale nigdy nie będę żałował, że wzięłem cię tamtej nocy. Nigdy nie pożałuję, że miałem szansę stać się twoim ojcem. Jest dla mnie ważne, żebyście wiedzieli, że nigdy nie uczestniczyłem w uprowadzaniu ani sprzedawaniu dzieci. Bez względu na motyw.

Jake uprzejmie pokiwał głową, ale wiem, że go to nie przekonało. Ja wołałam wierzyć ojcu. Dobrze go znałam i naprawdę nie wyobrażałam sobie, żeby brał w tym udział. Jake nie znał go tak dobrze i miał problem z przekonaniem jego słów.

- A zatem, robiła to Esme Gray? - zapytał. - Ona „oznaczała” dzieci, które według niej znajdowały się w sytuacji zagrożenia? Ona powiedziała Maksowi o Jessie?

To było jedno z tych wielkich pytań, na które nie znajdowałam odpowiedzi. Alexander Harriman powiedział, że morderstwo dokonane na Teresie Stone było przypadkowe, że wtedy Max zdał sobie sprawę, iż utracił kontrolę nad projektem. Ale kto zaaranżował uprowadzenie Jessie tamtej nocy? I jak trafiła do Maksa? Brakowało tu ważnego ogniwa. A Esme, jedyna osoba, która mogła znać odpowiedzi, nie chciała o tym mówić.

- Nie wiem - odparł ojciec po długim milczeniu. - Naprawdę nie wiem, Jake.

- I nie chce pan wiedzieć - stwierdził Jake, nie odrywając od niego oczu. Ojciec westchnął i odwrócił wzrok.

- Jestem pewien, że znajdzie się wiele odpowiedzi na wasze pytania. Jak dobrze wiecie, śledztwo jest w toku.

Wtedy usłyszałam w jego głosie urazę. I zobaczyłam ją w mojej matce, która siedziała milcząco na końcu kanapy, obecna, ale odległa, ze sztucznym półuśmiechem na twarzy. Ona nie uczestniczyła w naszej wizycie, ona ją tolerowała. Jake był prawdą której nie chcieli stawić czoła, światłem, którego nie potrafili zgasić. I tak miało zostać. Oboje żalowali, że wszystko to się przydarzyło. Gdyby mogli cofnąć wskazówki zegara i powstrzymać mnie od wtargnięcia przed tamtą furgonetkę, zrobiliby to. Wybraliby ciemność.

Pewnie zastanawiacie się, co ze mną? Czego chciałam? Czy też cofnęła bym zegar? Nie potrafię odpowiedzieć. Jak już wam mówiłam, nie wierzę w pomyłki ani w żal. Nie znamy innej drogi niż ta, która obraliśmy, ale i tak nie wiemy, dokąd prowadzi.

## Epilog

*Quidam*, obcy, anonimowy przechodzień. Człowiek idący w deszczu po ulicy, o północy. Dźwięk skrzypiec dobiegający zza ściany mieszkania. Bezdomny proszący o drobniaki na schodach kościoła. Stara kobieta obok was, w autobusie, nie uczestniczy w waszym życiu, ale połączyła ją z wami chwila w czasie. Wszystkie wybory i wydarzenia jego życia doprowadziły was w to samo miejsce o tym samym czasie. Pomyślcie o tym.

Piszę to w moim nowym mieszkaniu na Park Avenue South, naprzeciwko stacji kolejki. To poddasze artysty, duże i pogodne, zalane światłem, wyglądające na śródmieście Manhattanu. Podłogi nie wypaczają się, nie ma tu zapachów ciasta ani pizzy i tego naprawdę żałuję. Tych małych dziwactw życia w East Village. Jest tu dość miejsca na gabinety dla nas obojga, chociaż Jake zatrzymał swoje studio na przedmieściu. Mam teraz pokój, w którym piszę te słowa, a nie tylko kącik oddzielony parawanem od reszty sypialni. Chcieliśmy nowego mieszkania, w którym moglibyśmy razem zacząć wszystko od nowa. Nowe życie, nowe mieszkanie. Ma sens, prawda?

Jake i ja coraz lepiej poznajemy Lindę. Zaczyna być dla nas jak rodzina. Jake poznaje też swoich rodziców, a przynajmniej wspomnienia Lindy na ich temat. Z pewnością byli to ludzie z wadami, ale któż z nas ich nie ma? Dowiadując się o nich, Jake dowiaduje się o sobie. Wreszcie mówi, że nie czuje się *quidam*, jak obcy we własnej skórze niemający związków z otaczającym go światem. A ja lubię sobie myśleć, że i mój jest w tym udział.



Ace nadal przebywa na odwyku. Teraz to już prawie trzy miesiące. Odwiedzam go w czwartki. Naprawdę zaczynam go poznawać dopiero teraz. W dzieciństwie był moim bohaterem; jako dorosły był tą częścią mnie, którą zawsze chciałam zachować. Teraz jest po prostu Ace'em, moim bratem, którego znałam przez całe zapamiętane przeze mnie życie, a mimo wszystko był dla mnie obcy. Po części ze względu na jego nałóg, po części ze względu na mój nałóg - w postaci wyobrażenia o nim. Razem się leczymy. On sam uważa, że zawsze kochałam go jako postać wydumaną a nigdy nie widziałam prawdziwego człowieka. Były tylko wspomnienia i sny o nim. Myślę, że ma rację. Czyż nie zdarza się to często w rodzinach, że widzimy je przez filtr naszych obaw, oczekiwań i pragnienia kontroli? On z tym walczy. Nie wiem, czy mu się uda, ale teraz wiem, że nie mogę mu pomóc. Mogę tylko z nim być, zachowywać się wobec niego uczciwie i kochać go za to, kim jest, a nie za to, kim chciałabym go widzieć.

Nie miał nic wspólnego z tym, co działo się ze mną. Jego wina polega tylko na tym, że nie powiedział mi tego, co wiedział. Nie zrobił tego, bo nie chciał sprawiać mi bólu. W końcu, kochał mnie. Chciał mnie chronić przed złymi typami.

Ace i rodzice zaczęli nieśmiało nawiązywać nowy rodzaj stosunków. Jest to seria upadków i nowych początków. Tyle tam gniewu, całe lata bólu. Jak dotąd każde spotkanie kończyło się wrzaskiem i łzami, a przynajmniej tak mi opowiadano. Ale się spotykają. To już coś, prawda?

Ruby znikła. Przyszła na spotkanie z Ace'em po kilku tygodniach jego odwyku, kiedy już dopuszczano do niego gości. Próbował jąprzekonać, żeby została. Zaproponowałam, że zapłacę za prywatną klinikę, w której już przebywał Ace, ale odmówiła. Ace zaś jest dość mądry, żeby wiedzieć, że nie da się pomóc człowiekowi, który tej pomocy nie chce. Od tamtego czasu nie widzieliśmy jej. Na prośbę Ace'a poszłam pewnej niedzieli z Jakiem do Lower East Side, żeby jej poszukać i powiedzieć, że Ace o niąpytał. Ale jej nie było. Spakowała się i wyprowadziła. Ace ma nadzieję jeszcze ją zobaczyć.

Nadzieja jest dobra. Bez niej, cóż, pozostaje logika. Ale nadzieja jest jak modlitwa. Zmawia się ją do siły potężniejszej niż my sami. Jeśli ostatnich kilka miesięcy nauczyło mnie czegoś, to tego: nie mamy kontroli, ale dysponujemy wyborami. Małymi, wielkimi, na nich zasadza się nasze życie. Jedyne, co możemy zrobić, to wybrać jak najlepiej według tego, co wiemy, i mieć nadzieję, że sprawy przybiorą obrót taki, jakiego od nich oczekujemy

Rodzice i ja z trudem układamy sobie stosunki oparte na nowych zasadach. Było kilka pełnych wrzasku konfrontacji; cały ten gniew i cały smutek, których nie czułam podczas pierwszego spotkania, wypłynęły parę razy

na powierzchnię. Ale nie rozeszliśmy się ani nie zerwaliśmy kontaktu. Między nami coś wisiało. Ale kochaliśmy się i nauczyliśmy, jak być razem w tym nowym życiu, w którym nie ma między nami tajemnic ani kłamstw. Wierzę, że kiedy uraza się zagoi, nasz związek będzie mocniejszy, bo oparty na uczciwości. I mam nadzieję, że rodzice znajdą sposób, żeby pokochać także Jake'a, chociaż wiem, że z całej duszy obwiniają go o to wszystko.

Proces o zabójstwo Christiana Luny nadal jest w przygotowaniu. Będę zeznawać, co mi powiedział i jak zginął. Prokuratorzy wykorzystają to, żeby dowieść motywów Angela Numbruzia i ludzi, od których przyjmował rozkazy. Stosunek prokuratury do projektu „Na ratunek” będzie zależał od wyniku procesu. A to określi los Zacka i Esme. Mój ojciec będzie musiał zapewne odpowiedzieć na kilka pytań. Wiem, że się boi. Ja też.

Nie rozmawiałam z Zackiem ani z Esme. Zack siedzi w areszcie, oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Staram się nie myśleć o nim tak, jak wtedy, kiedy widziałam go po raz ostatni, staram się nie myśleć o tym, że próbował zabić mnie i Jake'a. I o tym, co zrobił ze swoim życiem. Adwokaci poradzili jemu i Esme, żeby nie rozmawiali z nami. Zabrania tego także układ, jaki zawarli z prokuraturą w kwestii projektu „Na ratunek”. Nie znaczy to, że chcieliby z nami rozmawiać. Ale ja chciałabym pogadać z Esme. Chciałabym dowiedzieć się, kim wtedy była i co wie o tamtej nocy, kiedy zginęła Teresa Stone, i o innych dzieciach, które przeszły przez klinikę Aniołków i znikły. Myślę, że to ona jest tym ogniwem, że to ona zna odpowiedzi na pytania Jake'a i moje. A wy co myślicie? Tak czy inaczej, możemy wkrótce uzyskać te odpowiedzi, wraz z rozwojem śledztwa.

Media zaczęły natychmiast zajmować się sprawą. W „Dateline” emitowano show o Maksie i jego domniemanym zaangażowaniu w projekt „Na ratunek”. Zrobiono z niego potwora. Jestem pewna, że jest nim w oczach niektórych ludzi. Ale nie w moich. Projekt „Na ratunek” był źle pomyślany, a jego konsekwencje niewyobrażalne, nadal jednak jest dla mnie Maksem. I kimś więcej, moim ojcem. Próbowałam wyobrazić go sobie we wspomnieniach w tym charakterze. Ale nie, nie jestem w stanie. Jeszcze nie. Jako mój ojciec miał wady, w najlepszym przypadku winien był pewnych strasznych błędów w ocenach. Jako wujek Max był doskonały, świeci jak gwiazda w mojej pamięci. Czy to źle, że chcę to zatrzymać?

Nie wiem, co stało się tamtej nocy, kiedy przyniósł Jessie moim rodzicom. Nie wiem, do jakiego stopnia był wplątany w sprawę, jeśli śmierć Teresy Stone była wynikiem przypadku. Nigdy pewnie się nie dowiem, czy mój ojciec był odpowiedzialny za śmierć mojej matki. Czy straszliwa spuścizna udręk i mor-

dów, od której Max uciekał przez całe życie w końcu go nie dopadła? Często wspominam to, co powiedział mi ostatniej nocy, że mogą być jedynym dobrem, jakie uczynił. Tak strasznie cierpiał. Demony, z którymi walczył przez całe życie, przyszły po niego. Później, tamtego wieczoru, zabrały go.

Ludzie z "Datellne" dzwonili także do mnie, ale ja, oczywiście, odmówiłam udzielenia wywiadu. Nigdy więcej. Kiedy nadejdzie dzień rozprawy w sądzie, będę musiała zmobilizować całą odwagę i siłę, żeby opowiedzieć o zabójstwie Christiana Lunny.

Tu nie ma czarnych charakterów. Naprawdę. Jeśli o tym pomyśleć, to w życiu nie ma prawdziwych drani. Tylko w fikcji widzimy wydestylowane formy dobra i zła. W życiu są tylko dobre i złe wybory. A czasami nawet wybory mogą być oceniane tylko po ich konsekwencjach. Jeśli chcecie, możecie widzieć w Zacku i Esme zło. Może myślicie, że i Max był zły. Ale według mnie im się wydawało, że postępują słusznie, że to dla dobra dzieci, dla nich samych i dla mnie. Bez względu na to, jak błędne było ich myślenie, to także się liczy, prawda?

A co stało się z tymi wszystkimi dziećmi z projektu „Na ratunek”? Słyszałam, że założono gorącą linię dla ludzi, którzy podejrzewają, że mogą być takimi dziećmi. Ale chyba większość z nich nie ma tego pierwszego śladu, który pozwoliłby im stwierdzić, co im się przytrafiło. Przypuszczam, że niewielu z nich chce o tym wiedzieć. Nie wyobrażam sobie, żeby wielu rodziców przyznało się, że mają dzieci w wyniku nielegalnej adopcji, chyba że zmuszono by ich do tego. Ale kto wie, dla strefy mroku prawda może stanowić potężną przynętę. Może wszechświat doprowadzi któregoś z tych dzieci, wierzgające i wrzeszczące, do prawdy, tak jak to uczynił ze mną.

Od chwili, kiedy trzymaliśmy się z Jakiem za ręce w jego mieszkaniu, staliśmy się sojusznikami. Owszem, były kłamstwa i momenty zwątpienia. Ale chociaż te chwile były gorsze dla nas niż dla innych w nowym związku, nie uważam ich za coś niezwykłego. Czyż nie jest tak, że odkrywamy się powoli, część po części, przed ludźmi, których zaczynamy kochać? Czyż nie dobieramy tego, co chcemy, żeby o nas wiedzieli? Czyż z początku, zanim lepiej się poznamy, nie boimy się osądu albo odrzucenia ze względu na to, kim jesteśmy? Teraz między Jakiem a mną panuje zasada całkowitej uczciwości. A to nie zawsze jest łatwe (na przykład: „Czy w tych džinsach nie wyglądam grubo?”), ale zawsze jest rzeczywiste. A ja przedkładam rzeczywistość nad kłamstwa, choćby najpiękniejsze.

POCZĄTEK

## Podziękowania

*Najserdeczniej dziękuję...*

*...mojej agentce Elaine Markson i jej asystentowi Gary 'emu Johnsonowi za niezawodne wsparcie i entuzjazm. Byli dla mnie kołem ratunkowym; nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co by się stało bez ich pomocy.*

*...Sally Kim za jej wspaniałą serdeczną redakcję i za gościnę w jej pięknym domu wydawniczym Shaye Areheart Books. Cóż za związek miłosny!*

*...Shaye Areheart za to, że przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Dzięki temu, że stałam się częścią jej kosmosu, przesyconego światłem i dobrem, czuję się tak, jakby spłynęło na mnie błogostawieństwo. Dziękuję także Jenny Frost, Tinie Constable, Philipowi Patrickowi i Dougowi Jonesowi za ich niespożytą energię, entuzjazm i wsparcie. Kiedy są przy mnie, mam wrażenie, że wszystko jest możliwe.*

*...Whitney Cookman, Jacqui LeBow, Kim Shannon, Jill Flaxman, Kirze Stevens, Tarze Gilbride, Darlene FASTER, Lindzie Kaplan, Karin Shulze, Aleksowi Lencickiemu wszystkim z rodziny Shaye Areheart Books/Crown, którzy sprawili, że moja pierwsza wizyta u nich była jak powrót do domu. Cóż to za przywilej móc pracować z tak uzdolnionym zespołem.*

*...wspaniałej gromadce rodziny i przyjaciół, których zestało mi Niebo, a szczególnie: mojemu mężowi Jeffreyowi zasługującemu ponad wszelką miarę na to, żeby go tu wymienić; Heather Mikesell za cierpliwą lekturę brudnopisów, niewyczerpany entuzjazm i bezcenny wkład; moim rodzicom Joemu i Virginii za ich niestrudzony doping i bezwstyde pochwały.*